

David i Leigh Eddings

Tajemnica

Trzecia część opowieści o losach czarodzieja Belgaratha

Przełożyła Maria Duch

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Choć zamordowanie Goreka i niemal całej jego rodziny było z góry przesądzone i konieczne, nadal dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Może gdybym był bardziej czujny, to godzinę czy choćby pół godziny wcześniej właściwie odczytałbym ten fragment Kodeksu Mrińskiego i dotarlibyśmy z Pol do Rivy na czas. Może gdyby Pol nie droczyła się ze mną tak długo...

Może, może, może. Gdy czasami spoglądam wstecz na swe życie, widzę jedynie długi sznur żalonych "może". Jedno wszakże może zdecydowanie się w tym wyróżnia, pozwala sądzić, że emocjonalnie nie jestem przygotowany do stawienia czoła przeznaczeniu. Budzi we mnie poczucie bezsilności i nie podoba mi się to. Dręczyła mnie myśl, że powinienem coś zrobić, zmienić rezultat. Głęb kapuściany może powiedzieć: "Co będzie to będzie". Ja powinienem być trochę bardziej zaradny.

No cóż...

Dotarcie do wybrzeży Sendarii zajęło nam jak zwykle dwa dni. Brand szeroko otworzył oczy ze zdumienia, gdy po raz pierwszy postawiłem żagle, nie wstając nawet z miejsca. To typowa reakcja. Ludzie świadomi są istnienia czarów, ale na ich widok baranieją. Nie wiem, czego on się spodziewał. Powiedziałem mu, co prawda, że Polgara pomoże mi przy żaglach, ale zdawał chyba sobie sprawę z sytuacji. Książę Geran miał zaledwie

sześć lat i dopiero co wymordowano mu całą rodzinę na jego oczach. Potrzebował Pol dużo bardziej niż ja. Powiedziałem tak Brandowi tylko dlatego, by uciąć nudną dyskusję na temat możliwego i niemożliwego.

Czy kiedykolwiek mieliście uczucie, że to, co się właśnie dzieje, zdarzyło się już przedtem? Po prostu tak jest, to rzeczywiście prawda. Zakłócenie Celu wszechświata zablokowało wszystko w jednym punkcie, czas i wydarzenia po prostu maszerują w miejscu. To może wyjaśniać owe "powtórzenia", o których rozmawialiśmy z Garionem. Ja jednak miałem nie tylko uczucie, że to już się wydarzyło, ale także że wydarzy się ponownie. Uczucie to było szczególnie mocne, gdy zbliżaliśmy się do wybrzeży Sendarii.

Był wietrzny, letni poranek i chmury bawiły się w chowanego ze słońcem. Polgara i młody książę wyszli na pokład. Nie było szczególnie ciepło. Pol opiekuńczym gestem przyciągnęła chłopca do siebie i otuliła swym niebieskim płaszczem. W tym momencie słońce wychynęło na chwilę zza chmur. Ten obraz zastygł w mej pamięci. Nadal mogę go przywołać z absolutną wiernością - choć nie muszę tego robić. W ciągu minionych trzynastu stuleci

wielokrotnie widywałem, jak Polgara, z wyrazem nieokreślonego bólu w oczach, tuliła do siebie opiekuńczo kolejnych jasnowłosych chłopców. Chronienie ich nie było jedynym powodem, dla którego przyszła na świat, ale z pewnością jednym z najważniejszych.

Zarzuciliśmy kotwicę w zacisznej zatoczce, około pięciu mil na północ od Camaar, i przeprawiliśmy się na brzeg w szalupie okrętowej.

- Camaar jest tam - powiedziałem do Branda, wskazując na południe.

- Tak, Prastary, wiem. - Brand był na tyle dobrze wychowany, by nie obrażać się, gdy ktoś zwracał mu uwagę na rzeczy oczywiste.

- Zbierz załogę i wracaj do Rivy - poinstruowałem go. - Ja udam się do Val Alorn i opowiem Valcorowi, co się stało. Przy-

puszczam, że za parę tygodni przybędzie ze swoją flotą po ciebie i twoją armię. Omówię to z nim po przybyciu do Val Alorn. Potem ruszę rozmówić się z Drasanami i Algarami. Myślę, że dobrze by było, aby poszli lądem, podczas gdy ty i Valcor poze-glujecie na południe. Chcę zaatakować Nyissę z dwóch stron. Prawdopodobnie dotrzemy tam wszyscy w środku lata.

- Dobry czas na wojnę - zauważył ponuro.

- Nie, Brandzie. Nie ma dobrego czasu na wojnę. Ta jednak jest konieczna. Trzeba przekonać Salmisarę, aby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

- Podchodzisz do tego bardzo spokojnie. - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Pozory mylą. Na gniew będę miał czas potem. Teraz muszę zaplanować kampanię.

- Dołączysz do nas z Valcorem?

- Jeszcze tego nie zdecydowałem. W każdym razie spotkamy się w Sthiss Tor.

- A zatem do zobaczenia. - Brand odwrócił się i przykląkł przed Geranem. - Myślę, że nie zobaczymy się więcej, wasza wysokość - powiedział ze smutkiem. - Żegnaj.

Chłopiec miał oczy czerwone od płaczu, ale wyprostował się i spojrzał swemu strażnikowi prosto w twarz.

- Żegnaj, Brandzie - powiedział. - Wiem, że mogę polegać na tobie. Zaopiekujesz się moim ludem i będziesz strzegł Klejnotu. - Z tego dzielnego chłopca byłby dobry król, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Brand wstał, zasalutował i odszedł plażą.

- Wracasz do chaty swej matki? - zapytał Pol.

- Nie sądzę, ojczu. Zedar wie, gdzie to jest, i z pewnością powiedział Torakowi. Nie chcę niespodziewanych gości. Mam nadal swą posiadłość w Erat. Zatrzymani się w niej, dopóki nie wrócisz z Nyissy.

- Dawno tam nie byłeś, Pol - zaprotestowałem. - Dom pewnie dawno się już rozpadł.
- Nie, ojcze. Zadbaliśmy o to.
- Sendaria jest teraz innym krajem, Pol, a Sendarowie nawet nie pamiętają wacuńskich Arendów. Porzucony dom wprost zaprasza, by się do niego wprowadzić.

Pokręciła głową.

- Sendarowie nawet o nim nie wiedzą. Moje róże o to zadbały.
- Nie rozumiem.
- Nie dasz wiary, jak różane krzewy potrafią się rozrosnąć, jeśli je trochę do tego zachęcić, a ja wokół domu nasadziłam wiele róż. Zaufaj mi, ojcze. Dom nadal tam jest, ale nikt go od czasu upadku Vo Wacune nie widział. Będę tam z chłopcem bezpieczna.

- Być może, w każdym razie jakiś czas. Wymyślimy coś, gdy rozprawię się już z Salmisara.

- Po co go przenosić, skoro tam jest bezpiecznie?

- Ponieważ trzeba zadbać o ciągłość linii, Pol. A to znaczy, że powinien się ożenić i mieć syna. Trochę trudno byłoby nakłonić dziewczynę, aby przedarła się do niego przez gęstwinę różanych krzewów.

- Wyruszasz już, dziadku? - zapytał Geran. Jego twarzyczka miała bardzo poważny wyraz. Wszyscy ci mali chłopcy tak mnie nazywali. Zdaje się, że mają to już we krwi.

- Tak, Geranie - odparłem. - Będziesz bezpieczny z cicią Pol. Ja mam coś do załatwienia.

- Przypuszczam, że nie chciałbyś z tym trochę poczekać, prawda?

- Co ci chodzi po głowie?

- Chciałbym wyruszyć razem z tobą, ale jestem jeszcze za mały. Gdybyś mógł zaczekać kilka lat, to byłbym wystarczająco duży, aby własnoręcznie zabić Salmisara.

Był prawdziwym Alornem.

- Nie, Geranie. Lepiej sam się tym zajmę w twoim imieniu. Salmisara mogłaby umrzeć śmiercią naturalną, nim byś dorósł, a tego chybabyśmy nie chcieli?

Chłopiec westchnął.

- Nie, chyba nie - przyznał niechętnie. - Ale zadasz jej cios ode mnie, dziadku?

- Masz na to moje słowo, chłopcze.

- Tylko mocny - dodał zapalczywie.

- Mężczyźni! - mruknęła Polgara.

- Będę z tobą w kontakcie, Pol - obiecałem. - A teraz zmykajcie z tej plaży. Tu może kręcić się więcej Nyissan.

Tak oto Polgara poprowadziła zasmuconego małego księcia w kierunku Medalii i Erat. Ja zaś ponownie zmieniłem postać i pofrunąłem na północ, ku Val Alorn.

Od stu siedemdziesięciu pięciu lat, odkąd Ran Horb II utworzył królestwo Sendarii i były hodowca rzepy, imieniem Fundor, został wyniesiony na tron, Sendarowie byli bardzo zajęci- głównie wyrębem. Nie pochylałem tego. Zabijanie czegoś, co żyło od tysięcy lat, tylko po to, aby hodować rzepę, wydawało mi się trochę niemoralne. Sendarowie jednakże mieli we krwi zamiłowanie do porządku i wprost uwielbiali proste linie. Jeśli budowali trakt i na drodze stała im góra, to nigdy nie przy-szłoby im do głowy obejść ją. Po prostu przebijali tunel. Tolne-dranie zachowują się podobnie. To chyba całkiem zrozumiałe. Sendarowie są osobliwą mieszanką wszystkich ras, więc powinni mieć w swej naturze również kilka cech tolnedrańskich.

Nie zrozumcie mnie źle. Lubię Sendarów. Czasami są trochę nudni, ale myślę, że to najprzyzwoitsi i najwrażliwsi ludzie na świecie. Mieszane pochodzenie zdaje się chronić ich przed obsesjami, które skaziły inne rasy.

O czym ja mówię? Naprawdę nie powinniście pozwalać mi na takie dygresje. Nigdy nie wyjdziemy poza nie, jeśli nie będę ściśle trzymał się tematu.

Królestwo Sendarii, jeśli patrzeć na nie z góry, przypomina obrus w kratkę. Przeleciałem nad stołecznym miastem Sendar i poleciałem w kierunku jeziora Seline. Potem były góry i w końcu Sendaria urywała się nagle na Przesmyku Chereku.

Gdy przelatywałem nad przesmykiem przez zatokę Cherek, przetaczała się fala przyływu i Wielki Maelstrom wirował radośnie, usiłując poderwać z dna głazy. Niewiele trzeba, by uszczęśliwić prąd.

Potem poleciałem wzdłuż wschodniego wybrzeża półwyspu, minąłem Eldrigshaven i Trelheim, by w końcu dotrzeć do Val Alorn.

Val Alorn znajdowało się tam już od bardzo dawna. Zdaje mi się, że w tamtej okolicy była wioska, jeszcze nim Torak rozłupał świat, w wyniku czego powstała zatoka Cherek. Chereko-wie postanowili zrobić z niej prawdziwe miasto, gdy podzieliłem Alorię. Cherek musiał czymś zająć swój umysł, by nie myśleć o tym, że pozbawiłem go większości królestwa. Jeśli mam być zupełnie szczery, to zawsze uważałem Val Alorn za trochę ponure miejsce. Niebo nad półwyspem Cherek jest niemal zawsze pochmurne i szare. Czy musieli budować miasto z równie szarego kamienia?

Wylądowałem na południe od miasta i obszedłem je, by dostać się do głównej bramy, wychodzącej na port. Potem powędrowałem wąskimi ulicami, na których nadal w ocienionych miejscach leżały zwały brudnego śniegu. W końcu dotarłem do pałacu i zostałem

wpuszczony. Króla Valcora znalazłem w wielkiej sali tronowej na libacji ze swymi dworzanami. Przez większość czasu sala tronowa królestwa Sendarii przypominała piwiarnię. Na szczęście przybyłem około południa i Valcor jeszcze nie zdążył się spać do nieprzytomności. Zachowywał się hałaśliwie, ale to nie było niczym nadzwyczajnym. Cherekowie, pijani czy trzeźwi, zawsze byli hałaśliwi.

- O, Belgarath! - zawołał do mnie z tronu - chodź, przyłącz się do nas!

Valcor był krępkim, ciemnowłosym mężczyzną z krzaczastą brodą. Podobnie jak u wielu nadmiernie umięśnionych mężczyzn, których znałem, mięśnie zmieniały się w tłuszcz, gdy dopadnie go wiek średni. Nie był w zasadzie gruby, ale wyraźnie się o to starał. Mimo że był królem, miał na sobie poplamiony piwem, wieśniaczy chałat.

Minąłem palenisko płonące na środku sali i podszedłem do tronu.

- Wasza wysokość - powitałem go, zachowując pozory. - Musimy porozmawiać.

- Kiedy tylko zechcesz, Belgaracie. Przysuń sobie stołek i poczęstuj się piwem.

- Na osobności, Valcorze.

- Nie mam żadnych tajemnic przed moimi jarłami.

- Za chwilę będziesz miał. Dźwignij swój tyłek, Valcorze, i chodźmy tam, gdzie będziemy mogli pogadać.

Król wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Mówisz poważnie?

- Chodzi o wojnę. - Starannie wybrałem słowo. To jedno z nielicznych słów, które potrafią przyciągnąć uwagę podpitego Alorna.

- Wojna? Gdzie? Z kim?

- Powiem ci, gdy będziemy sami.

Król wstał i poprowadził mnie do pobliskiego pokoju.

Reakcja Valcora na wieści, które przyniosłem, była całkiem do przewidzenia. Trochę trwało, nim udało mi się go przekonać, by przestał przeklinać, rąbać meble swym długim mieczem i wysłuchał mnie.

- Ruszam dalej na rozmowy z Radekiem i Cho-Ramem. Przygotuj flotę i zwołaj klany. Wróć lub zawiadomię cię, kiedy ruszać. Po drodze na południe będziesz musiał zahaczyć o Wyspę Wiatrów, aby zabrać Branda i Rivan.

- Sam rozprawię się z Salmissarą.

- Nie. Salmissarą obraziła całą Alorię i całą Aloria na to odpowie. Nie chcę, abyś obraził Branda, Radeka i Cho-Rama, biorąc sprawy w swoje ręce. Masz zadanie do wykonania, więc

lepiej wytrzeźwiej i bierz się do roboty. Ja ruszam do Boktoru. Wrócę za kilka tygodni.

Do Boktoru dotarłem tuż przed świtem następnego dnia. Ponieważ w pobliżu było niewielu ludzi, wylądowałem na blankach pałacu króla Radeka. Wartownik pełniący tam straż był wyraźnie zaskoczony, gdy zobaczył mnie w miejscu, które właśnie minął.

- Muszę porozmawiać z królem - powiedziałem. - Gdzie jest?

- Myślę, że jeszcze śpi. Kim jesteś? Jak się tu dostałeś?

- Czy imię Belgarath coś ci mówi? Wartownik ze zdumienia otworzył usta.

- Zamknij gębę i zaprowadź mnie do Radeka - rzekłem. Miałem już dość rozdziawiania buzi na widok mojego pośpiechu.

Król Radek chrapał. Królewskie posłanie było solidnie wymięte, podobnie jak królewska kochanka, piersiasta panna, która na mój widok natychmiast skryła się pod kołdrą. Rozsunąłem zasłony i odwróciłem się do króla.

- No dobra, Radeku - wrzasnąłem. - Wstawaj!

Król wybałuszył na mnie oczy. Był młody, szczupły, wysoki, o zdecydowanie haczykowatym nosie. Nosy Drasan z jakiejś przyczyny przybierają najróżniejsze formy. Nos Silka jest tak ostry, że przypomina bociani dziób, a mąż Porenn miał mały, spłaszczony nos, niewiele większy od guzika. Nie miałem okazji przyjrzeć się noskowi młodej damy zagrzebanej pod kołdrą. Szybko zniknęła, a mnie bardziej interesowały inne sprawy.

- Dzień dobry, Belgaracie - powitał mnie król Drasni z niezmaconym spokojem. - Witaj w Boktorze. - Na szczęście był inteligentny i nie tak pobudliwy jak Valcor, więc nie tracił czasu na wymyślanie nowych przekleństw na wieść o tym, co wydarzyło się w Rivie. Oczywiście nie wspominałem o tym, że księżę Geran przeżył masakrę na plaży. Nikt poza Brandem nie musiał o tym wiedzieć.

- Co z tym zrobimy? - zapytał, gdy skończyłem.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wspólnie złożyć wizytę w Ny-issie i uciąć sobie pogawędkę z Salmissarą.

- Nie ma sprawy.

- Valcor szykuje swoją flotę, po drodze na południe zabierze Rivan. Ile twoi pikinierzy potrafią przejść w ciągu dnia?

- Dwadzieścia lig, jeśli powód jest dostatecznie ważny.

- Jest. Zbierz, ich i niech ruszają. Idź przez Algarię i Góry Tolnedry, ale trzymaj się z dala od Maragoru. Nadal jest nawiedzony. Niewielki byłby pożytek z twoich pikinierów, gdyby postradali zmysły. Porozmawiam z Cho-Ramem. Dołączy do ciebie w drodze na południe. Znasz Beldina?

- Słyszałem o nim.

- To karzeł z garbem na plecach i paskudnym charakterem. Nie przegapisz go. Jeśli wróci z Mallorei, nim dotrzesz do Doliny, pójdzie z tobą. Stąd do Sthiss Tor jest pięćset lig. Powiedzmy, że dotarcie do wschodniej granicy Nyissy zajmie ci dwa miesiące. Nie guzdraj się. Jesienią zaczyna się tam pora deszczowa. Nie mam ochoty ugrzęznąć na mokradłach.

- Święta racja.

- Potrafię utrzymać z Beldinem kontakt, więc będziemy mogli koordynować działania. Chcę uderzyć na Nyissę jednocześnie z dwóch stron. Lepiej, żeby zbyt wielu Nyissan nie uciekło. Nie zabij jednak wszystkich. Przez to Issa byłby równie nieszczęśliwy jak Mara. Nie trzeba nam kolejnej wojny pomiędzy Bogami.

- Przecież Issa pozwolił Salmissarze zabić Goreka, prawda?

- Nie, nie pozwolił. On śpi, więc nie ma pojęcia, co robi Salmissarą. Bądź bardzo ostrożny Radeku. Issa to Bóg-Wąż. Jeśli go obrazisz, możesz po powrocie zastać Drasnię pełną jadowitych węzów. Zbierz swoich pikinierów i ruszaj na południe. Ja muszę rozmówić się z Cho-Ramem.

Ruszyłem do drzwi.

- Powiedz dziewczynie, że może już wyjść, Radeku - rzuciłem przez ramię. - Udusi się, jeśli zbyt długo będzie siedzieć pod kołdrą. - Przystanąłem. - Nie sądzisz, że czas już skończyć z tymi zabawami? - zapytałem.

- Są nieszkodliwe, Belgaracie.

- Dopóki nad tym panujesz. Chyba pora, żebyś się ożenił i ustatkował.

- Jeszcze przyjdzie na to czas - odparł. - Teraz mam sprawę do załatwienia w Nyissie.

Poleciałem na południe, do Algarii. Znalezienie Cho-Rama zajęło mi tylko dwa dni. Wódz Wodzów Klanów Algarii był już stary, włosy i brodę miał niemal tak białe jak ja. Pomimo to wolelibyście nie wchodzić mu w drogę. Wiek w najmniejszym stopniu nie spowolnił jego ręki. Szczerze wierzę, że potrafiliby obciąć człowiekowi uszy tak szybko, że ten przez cały dzień nie zauważyłby ich zniknięcia

Spotkaliśmy się w jednym z owych domów na kołach, zaprojektowanych jeszcze przez Algara, więc nikt nam nie przeszkadzał. Byliśmy z Cho-Ramem sąsiadami i starymi przyjaciółmi, więc nie musiałem terroryzować go tak jak Valcora czy Ra-deka. Wysłuchał uważnie mojej opowieści o zamordowaniu Goreka i tego, co zamierzamy uczynić w tej sprawie.

Gdy skończyłem, oparł się, aż zachrząściła jego kurtka z końskiej skóry.

- Naruszymy terytorium Tolnedry - zauważył.

- Nie ma na to rady - powiedziałem. - Ktoś namówił do tego Salmisara i chcę dowiedzieć się, kto to, nim nabierze rozpędu.

- Może to Ctuchik?

- Możliwe. Zobaczmy, co Salmisara ma do powiedzenia, nim zaczniemy oblężenie Rak Cthol. Radek powinien wkrótce dotrzeć. Połączcie siły, gdy tu dotrze. Ja ruszani do Doliny. Jeśli Beldin wrócił z Mallorei, to wyślę go z wami. Jeśli nie, przyślę bliźniaków. Jeśli kryje się za tym Ctuchik i nadal jest w Nyissie, to będzie wam potrzebny ktoś do odpierania jego ataków.

Myślę, że będzie lepiej, jeśli wyruszę z Valcorem i Brandem. Ri-yanie są rozwścieczeni, a sam wiesz, jacy są Cherekowie. Wódz uśmiechnął się.

- O tak - przyznał. - Cały świat wie, jacy są Cherekowie.

- Zbierz swoje klany, Cho-Ramie. Radek powinien wkrótce dołączyć. Jeśli będziesz musiał, wyprzedź jego piechotę. Chcę dotrzeć do Sthiss Tor przed rozpoczęciem pory deszczowej.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Prastary. Bardzo trudno konno brodzić w deszczu przez mokradła.

Potem wyruszyłem do Doliny.

Szczęście nadal mi dopisywało, ponieważ dwa dni wcześniej Beldin wrócił z Mallorei. Kochałem bliźniaków, ale byli zbyt delikatni do tego, co planowałem w Nyissie. Beldin, gdy było trzeba, potrafił być odpowiednio niedelikatny.

Pozwolę sobie w tym miejscu na szczerość. Niezaprzeczalnie wściekłość mnie ogarnęła z powodu zamordowania Goreka i jego rodziny. W końcu to byli moi krewni, ale przygotowywana przeze mnie kampania miała niewiele wspólnego z zemstą, za to dużo z rozmyślnym stosowaniem przemocy. Sprawy na świecie wystarczająco się już skomplikowały i bez wtrącania się Nyissan do polityki międzynarodowej. Mieli dostęp do zbyt wielu trucizn i narkotyków, jak na mój gust, więc najazd Alornów na te mokradła miał przekonać Wężowy Lud, aby siedział w domu i pilnował własnego nosa. Zdaje się, że powiedziałem o sobie kilka niepochlebnych rzeczy, ale na to nie ma już rady.

- A co zrobisz, jeśli Murgowie również zdecydują się włączyć do zabawy? - zapytał mnie Beldin, gdy przedstawiłem mu swój plan.

- Nie sądzę, abyśmy musieli się tym martwić - odparłem z przesadnym przekonaniem. - Ctuchik kontroluje Cthol Mur-gos bez względu na to, kto zasiada na tronie w Rak Goska, a Ctuchik wie, że nie nadszedł jeszcze czas konfrontacji z Alornami. Wiele musi się jeszcze wydarzyć, nim do tego dojdzie. - Wpatrywałem się chwilę chmurnie w podłogę wieży

Beldina. -Trzymaj się jednak lepiej z dala od terytorium Murgów, tak dla bezpieczeństwa.

- Masz szczególne pojęcie o "bezpieczeństwie", Belgara-cie. Jeśli nie mogę przejść przez Cthol Murgos, to będę musiał iść przez Tolnedrę, a to nie bardzo spodoba się legionom.

- Nim wrócę do Val Alorn, zahaczę o Tol Honeth. Vorduvia-nie ponownie doszli do władzy, ale Ran Vordue I jest na tronie dopiero od roku. Porozmawiam z nim.

- Niedoświadczeni ludzie popełniają błędy, Belgaracie.

- Wiem, ale zwykle wahają się, nim je popełnią. Zdążymy skończyć w Nyissie, nim on się zdecyduje.

Beldin wzruszył ramionami.

- To twoja wojna. Do zobaczenia w Sthiss Tor.

Poleciałem zatem do Tol Honeth i udałem się do pałacu imperatora. Wedle pewnych sfałszowanych dokumentów byłem specjalnym wysłannikiem królów Alorii i natychmiast zostałem wpuszczony przed oblicze imperatora.

Imperator Ran Vordue I z Trzeciej Dynastii Vorduviańskiej był młodzieńcem o głęboko zapadniętych oczach i kościstej twarzy. Siedział na marmurowym tronie i na ramiona narzucono mu tradycyjny złocisty płaszcz.

- Witamy w Tol Honeth, Prastary - powitał mnie. Miał ogólne pojęcie o tym, kim byłem, ale podobnie jak większość Tol-nedran uważał moje imię za rodzaj tytułu szlacheckiego.

- Darujmy sobie grzeczności i przejdźmy do rzeczy, Ranie Vordue - powiedziałem. - Nyissanie zamordowali Króla Rivy i Alornowie przygotowują ekspedycję karną.

- Co? Czemu mi o tym nie powiedziano?

- Właśnie to uczyniłem. Z technicznego punktu widzenia zostaną naruszone twoje granice. Stanowczo radzę ci przejść nad tym do porządku dziennego. Alornowie są w wojowniczym nastroju. Mają sprawę do załatwienia z Nyissanami, ale jeśli twoje legiony wejdą im w drogę, to przestaniesz mieć armię. Algarowie i Drasanie pomaszerują na południe przez GóryTol-nedrańskie. Udaj, że ich nie widziałeś.

- Czy nie można tego załatwić bez wojny? - zapytał dość płaczliwym głosem. - Mam do swej dyspozycji wielu bardzo dobrych negocjatorów. Mogliby nakłonić Salmisarę do wypłacenia reparacji.

- Obawiam się, że nic z tego, wasza wysokość. Wiesz, jacy są Alornowie. Półśrodki ich nie zadowolą. Po prostu nie mieszaj się do tego.

- A nie mogą twoi Alornowie przejść przez terytorium Murgów? Jestem nowy na tronie, Belgaracie. Jeśli nie podejmę jakichś działań, zostanę uznany za słabeusza.

- Wyślij listy protestacyjne do alornskich królów. Nakłonię, aby przeprosili cię, gdy już będzie po wszystkim. - Wtem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Mam myśl. Jeśli chcesz zachować się po męsku i wyrzucić wrażenie na Honethach i Horbitach, to wyślij swoje legiony na południową granicę i zamknij ją. Nie pozwól jej nikomu przekroczyć.

Spojrzał na mnie spod oka.

- Bardzo sprytnie, Belgaracie - powiedział. - Wykorzystujesz mnie, prawda? Jeśli zamknę granicę, ty nie będziesz musiał tego robić.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Będziesz musiał podjąć jakieś kroki, Ranie Vordue. Sytuacja polityczna tego wymaga. Honethowie zaczną nazywać cię Ranem Vordue Tchórzem Podszytym, jeśli twoje legiony nie pomaszczą w jakimś kierunku. Gwarantuję ci, że Alornowie nie przekroczą tej granicy. Inne wielkie rody uznają zapewne, że to pokaz twojej siły ich przed tym powstrzymał. W ten sposób obaj dostaniemy to, czego chcemy.

- Przechytrzyłeś mnie, starcze.

- Wiem - odparłem. - Jednak wszystko zależy od ciebie. Wiesz, co się wydarzy, i wiesz, co najlepiej w tej sytuacji uczynić. Jeszcze jedno. Kto jest najbardziej zaangażowany w handel z Nyissą?

- Honethowie - odparł krótko. - Siedzą w tym po uszy. Zainwestowali tam miliony. - Potem na jego twarzy powoli pojawił się diaboliczny uśmiech. - Ekonomiczna ruina Nyissy doprowadzi Honethów na skraj bankructwa, zdajesz sobie z tego sprawę.

- Wielka szkoda, nieprawdaż? Widzisz, Ranie Vordue? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Trzeba tylko się o to zatroszczyć. No cóż, obaj mamy sprawy do załatwienia, więc nie będę ci dłużej zawracał głowy. Przemyśl to. Jestem pewny, że podejmiesz właściwą decyzję. - Potem skłoniłem się dla formy i zostawiłem go z myślami.

Znad Wielkiego Morza Zachodniego nadciągnęła kolejna wiosenna burza i z impetem uderzyła na wybrzeże, więc powrót do Val Alorn zajął mi prawie tydzień. Nim tam dotarłem, Valcor zebrał swoją flotę i zgromadził armię. Skontaktowałem się z Beldinem. Zapewnił mnie, że Algarowie i Drasanie połączyli swe siły przy algarskiej twierdzy i maszerują na południe. Wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z planem, więc wypuściłem Valcora i jego walecznych wojowników.

Burza w końcu minęła i pożeglowaliśmy z Val Alorn pod czystym błękitnym niebem. Chwilę napięcia przeżyłem, gdy przepływaliśmy przez Przesmyk Chereku, ale poza tym podróż na Wyspę Wiatrów upłynęła bez większych zakłóceń.

Wzruszające było spotkanie Valcora z Brandem. Brand stracił swego króla, a Valcor

bratniego alornskiego monarchę. Val-cor zaproponował wypicie kilku kufla za jego pamięć, ale zdecydowanie się temu sprzeciwiłem.

- Czas nagli, panowie - oświadczyłem szorstko. - Radek i Cho-Ram są już w Górach Tolnedrańskich, a do ujścia Rzeki Węża daleka droga. Popijemy sobie po wojnie. Zaokręćcie Ri-van i ruszajmy.

Pożeglowaliśmy na południe. Minęliśmy Arendię, Tolnedrę i zarzuciliśmy kotwicę u ujścia Leśnej Rzeki. Z kilku powodów RanVordue postąpił zgodnie z moją sugestią i jego legiony patrolowały północny brzeg rzeki.

Czekaliśmy tam kilka dni. Od delty Rzeki Węża dzielił nas rzut kamieniem. Nie chciałem jednak obudzić czujności Nyis-san, rzucając kotwicę na ich przybrzeżnych wodach. Czekałem, aby Radek i Cho-Ram zajęli wyznaczone pozycje.

Rankiem, trzeciego dnia, gdy wyszedłem na pokład, w głowie rozległ mi się donośny głos Beldina.

- Belgaracie! Wstałeś?

- Nie krzycz. Słyszę cię.

- Jesteśmy na miejscu, ale daj drasańskim pikinierom dzień wytchnąć. Ostro ich gnaliśmy przez góry.

- Dotarcie do ujścia Rzeki Węża i tak zajmie nam parę dni. Trzymaj się z dala od granicy tolnedrańskiej. Ran Vordue uszczelnił ją, więc nie trzeba nam żadnych incydentów z legionami.

- Jak go do tego namówiłeś?

- Wskazałem mu na pewne korzyści z tego płynące. Wyślij siły uderzeniowe na południe, by zablokować wszystkie drogi ucieczki. Ja zrobię to samo z tej strony, a gdy kolumny spotkają się, będziemy mogli zacząć.

- Dobrze.

Mniej więcej w ten sposób to załatwiliśmy. Pierwszy przyznam, że tolnedrańskie legiony były bardzo użyteczne, choć tak naprawdę nic nie robiły, poza staniem na granicy.

Nyissanie zawsze wierzyli, że dżungla ich ochroni. Tym razem się mylili. Pikinierzy Radeka niemal wyzionęli ducha, ale dotarli do Nyissy przed nastaniem pory deszczowej. Mokradła były prawie wyschnięte, a drzewa suche. Nyissanie schronili się w lasach, a my po prostu je podpaliliśmy. Słyszałem, że ogromna chmura dymu, która popłynęła na północ, bardzo zaniepokoiła Honethów. Niemal czuli zapach swych płonących pieniędzy. Vorduvianie, Borunowie i Horbici podeszli do tego z bardziej filozoficznym spokojem.

Wojny nigdy nie są miłe, ale alornska kampania w Nyissie była szczególnie paskudna.

Jazda algarska pędziła przed sobą Nyissan niczym stado przerażonego bydła, a gdy ci próbowali chronić się przed nimi na drzewach, drasańscy pikinierzy strącali ich z gałęzi. Cherekowie i Rivanie wzniecali pożary, a gdy ogarnięci paniką Nyissanie usiłowali uciekać, wojownicy Val-cora po prostu zapędzali ich z powrotem w płomienie. Szczerze mówiąc, niedobrze mi się robiło od tego wszystkiego, ale nie przerywaliśmy działań.

To była krótka, paskudna wojna, po której z Nyissy pozostało dymiące pustkowie. Jednakże spełniła swoje zadanie. Całe stulecia miną, nim Nyissanie wyjdą z ukrycia. Skutecznie zapobiegło to również ich mieszanemu się do polityki międzynarodowej.

W końcu otoczyliśmy Sthiss Tor i po kilku dniach zdobyliśmy miasto.

Popędziłem z Beldinem przodem i dotarłem do zbytkownego pałacu Salmissary przed rozwścieczonymi Rivanami. Zdecydowanie nie chcieliśmy, aby ktoś zabił królową Wężowego Ludu, dopóki nie zadamy jej kilku pytań. Pognaliśmy korytarzem wiodącym do jej sali tronowej. Wpadliśmy do ogromnego, oświetlonego przyćmionym światłem pomieszczenia, po czym zamknęliśmy i zaryglowaliśmy za sobą drzwi.

Salmissara była sama, bez straży. Eunuchowie przysięgali jej bronić, ale najwyraźniej ich przysięga nie znaczy zbyt wiele, gdy leje się krew. Królowa Wężowego Ludu zajmowała swe zwykłe miejsce. Na wpół leżała na tronie i podziwiała swe odbicie w lustrze, jakby nic się nie działo. Wydawała się bezbronna.

- Nie podchodźcie bliżej - ostrzegła nas, wskazując niedbałym gestem na małe zielone węże kłębiące się przy tronie. - Służba mnie opuściła, ale mali przyjaciele są wierni. - Mówiła niewyraźnie, a jej spojrzenie zdawało się uciekać.

- Nie ma co liczyć na zbyt wiele, Belgaracie - mruknął Bel-din. - Jest tak zaprawiona, że niemal traci przytomność.

- Zobaczmy - odparłem krótko. Zbliżyłem się nieco do tronu. Zielone wężyki zasyczały ostrzegawczo. - Sprawy nie przybrały zbyt dobrego obrotu, Salmissaro - oznajmiłem. - Powinnaś jednak przewidzieć reakcję Alornów. Co cię napadło, aby mordować Goreka?

- Swego czasu wydawało się to dobrym pomysłem - wymruczała.

Rozległo się głośne łomotanie w zaryglowane wrota.

- Trzymaj tych zapaleńców z dala ode mnie - powiedziałem do Beldina.

- W porządku - odparł - ale żeby nie zajęło ci to całego dnia. - Czułem, jak zbiera swoją Wolę.

- Wiesz, kim jestem? - zapytałem senną królową.

- Oczywiście. W mojej bibliotece są całe tony literatury poświęcone tobie i twoim

czynom.

- Dobrze. Więc możemy oszczędzić sobie tych wszystkich nudnych ceregieli. Rozmawiałem z dwoma z twoich morderców w Rivie. Jeden z nich powiedział, że ta głupota była całkowicie twoim pomysłem. Czy zechciałabyś opowiedzieć mi o tym?

- Czemu nie? - Jej obojętność zmroziła mnie. - Około roku temu do Sthiss Tor przybył pewien człowiek, który miał dla mnie propozycję. Jego oferta była bardzo atrakcyjna, zatem przystałam na nią. To wszystko, Belgaracie.

- Co takiego mógł ci zaoferować, że odważyłaś się narazić na wściekłość Alornów?

- Nieśmiertelność, Prastary, nieśmiertelność.

- Żaden człowiek nie może tego zaoferować.

- Ta oferta nie pochodziła od człowieka, a przynajmniej tak kazano mi wierzyć.

- Któż złożył ci tak niedorzeczną propozycję?

- Czy mówi ci coś imię Zedar, Belgaracie? - Wydawała się nieco rozbawiona

Kilka spraw stało się jasne, włączając w to powód, dla którego polecono mi nie zabijać Zedara.

- Może zaczęłabyś od początku? - zaproponowałem. Królowa westchnęła.

- To będzie długa i nudna opowieść, starcze. - Powieki jej opadły.

W tym momencie zacząłem coś podejrzewać.

- To może mi ją streścisz? - zaproponowałem. Królowa ponownie westchnęła.

- No dobrze - odparła. Potem rozejrzała się dookoła. - Czy tu nie robi się chłodno? - zapytała z lekkim drżeniem..

- Pospiesz się, Belgaracie - zażądał poirytowany Beldin. -Nie zatrzymam tych Alornów zbyt długo, nie czyniąc im krzywdy.

- Nie myślę, aby to trwało zbyt długo - odparłem. Potem spojrzałem na królową Wężowego Ludu. - Zażyłaś truciznę, prawda, Salmissaro? - zapytałem.

- Naturalnie - odparła. - To chyba bardzo po nyissańsku, nieprawdaż? Przekaż moje wyrazy ubolewania swym Alornom. Wiem, że będą okropnie rozczarowani.

- Co dokładnie powiedział ci Zedar?

- Stary nudziarz z ciebie, Belgaracie. No dobrze, słuchaj uważnie. Nie myślę, bym miała czas powtarzać. Zedar zjawił się u mnie rzekomo w imieniu Toraka. Mówił, że jedynie Rivański Król przeszkadza Torakowi w realizacji jego pragnień i że da wszystko osobie, która go usunie. Propozycja była prosta. Jeśli zabiję Rivańskiego Króla, Torak mnie poślubi i będziemy wspólnie rządzić światem - już zawsze. Zedar powiedział również, że Torak obroni mnie przed twymi Alornami. Widziałeś może gdzieś po drodze do Sthiss Tor Boga-Smoka?

- Musieliśmy go przegapić.

- Zastanawiam się, co go zatrzymuje.

- Nie byłaś chyba tak naiwna, by w to wszystko uwierzyć? Królowa wyprostowała się nieco i uniosła brodę. Była nadzwyczaj piękną kobietą.

- Jak sądzisz, ile mam lat? - zapytała.

- Trudno powiedzieć, Salmissaro. Zażywasz narkotyki, które chronią cię przed starzeniem.

- Być może tak to wygląda, ale nie jest prawdą. Mam pięćdziesiąt siedem lat, a żadna z moich poprzedniczek nie przekroczyła za bardzo sześćdziesiątki. W dżungli dwadzieścia dziewczynek ćwiczą już do zajęcia mego miejsca. Uwierzyłam Zedarowi, ponieważ chciałam. Chyba nigdy nie przestaniemy wierzyć w bajki. Nie chciałam umrzeć, a Zedar ofiarowywał mi szansę wiecznego życia. Tak bardzo tego pragnęłam, że zaufałam mu. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to wszystko twoja wina.

- Moja? Skąd przyszedł ci do głowy ten dziwaczny pomysł?

- Nie byłabym tak łatwowierna, gdybym nie wiedziała, że ty masz już milion lat. Skoro jakiś człowiek może żyć wiecznie, inni chyba też. Ty i twoi bracia jesteście uczniami Aldura i on uczynił was nieśmiertelnymi. Zedar, Ctuchik i Urvon służą Torakowi i także będą żyć wiecznie.

- Mam nadzieję, że im to uniemożliwię - rzucił przez ramię Beldin.

Salimissara uśmiechnęła się słabo. Oczy jej rozbłyły.

- Issie nie przyszło do głowy nagrodzić nieśmiertelnością swej służki, więc pozostało mi jeszcze około trzech lat życia. Zedar o tym wiedział, oczywiście, i wykorzystał to do nabrania mnie. Chciałabym mu odpłacić. Dostał ode mnie wszystko, czego chciał, a ja otrzymałam jedynie filiżankę obrzydliwej trucizny.

Rozejrzałem się, aby upewnić się, że nikt nie czai się w kącie.

- Zedar niczego nie dostał, Salmissaro - powiedziałem jej bardzo cicho. - Twoi mordercy kogoś przegapili. Riyańska linia nadal jest nietknięta.

Królowa wpatrywała się we mnie przez chwilę ze zdumieniem, a potem się roześmiała.

- Cudowny z ciebie staruszek - szepnęła. - Zabijesz Zedara?

- Prawdopodobnie - odparłem.

- Nim go zgładzisz, powiedz mu, że ten ocalały, o którym wspomniałeś, jest moim ostatnim prezentem dla niego. Marna to zemsta, ale tylko to pozostało umierającej starszej damie.

- Czy Zedar powiedział ci, co planuje Torak, gdy Rivański Król już zginie? - zapytałem.

- Nie doszliśmy do tego, ale nietrudno zgadnąć. Teraz, gdy wierzy, że Strażnik Klejnotu nie żyje, pewnie wkrótce złoży ci wizytę. Żałuję, że nie mogę gdzieś z kąta obserwować, jak reszta jego twarzy wykrzywia się po odkryciu, że plan Zedara się nie powiódł. - Głowa jej opadła i oczy ponownie się zamknęły.

- Nie żyje? - zapytał Beldin.

- Prawie.

- Belgaracie? - Jej głos był zaledwie szeptem.

- Słucham?

- Pomści j mnie, proszę.

- Masz na to moje słowo, Salmissaro.

- Proszę nie nazywaj mnie tak, Prastary. Kiedyś, gdy byłam małą dziewczynką, nazywałam się Illessa. Bardzo podobało mi się to imię. Potem eunuchowie z pałacu przybyli do naszej wioski i przyjrzeni się mojej twarzy. Zabrali mnie od mojej mamy i powiedzieli, że teraz nazywam się Salmissara. Zawsze nie cierpiałam tego imienia. Nie chciałam być Salmissara. Chciałam dalej być Illessa, ale nie pozostawili mi żadnego wyboru. Mogłam zostać jedną z dwudziestu dwunastoletnich Sal-missar albo umrzeć. Czemu nie było wolno zatrzymać mi prawdziwego imienia?

- Illessa to ładne imię - powiedziałem łagodnie.

- Dziękuję, Prastary. - Westchnęła przeciągle. - Czasami żałuję...

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czego żałuje, ponieważ umarła, nim zdołała nam to powiedzieć.

- A zatem? - powiedział Beldin.

- Co zatem?

- Nie masz zamiaru zadać jej ciosu?

- Po co miałbym to robić?

- A nie obiecałeś tego księciu Geranowi?

- Pewnych obietnic nie można dotrzymać, Beldinie.

- Sentymenty! - prychnął. - Jej już to teraz obojętne.

- Ale nie mnie. - Przemieściłem zielone wężyki na drugi koniec sali tronowej, podszedłem do podwyższenia i ułożyłem ciało królowej Wężowego Ludu w pozie pewnego dostojęstwa. Potem poklepałem ją delikatnie po policzku.

- Śpij dobrze, Illeso - mruknąłem i zszedłem z podwyższenia. -Wynośmy się stąd, Beldinie - zaproponowałem. - Nie cierpię zapachu węży.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jesteście rozczarowani? Pragnęliście ponurego opisu mej straszliwej zemsty na ciele królowej Wężowego Ludu. No cóż, całkiem niezły ze mnie bajarz, więc jeśli naprawdę macie ochotę na taką opowieść, mogę ją dla was wymyślić. Sądzę jednak, że po ochłonięciu byłoby wam wstyd.

Prawdę mówiąc to, co zrobiliśmy Nyissie, nie napawa mnie wcale dumą. Gdyby przepełniała mnie wściekłość i żądza zemsty, nasze czyny mogłyby być zrozumiałe - nieszczęśliwie godne pochwały, być może, ale przynajmniej zrozumiałe. Ale ja zrobiłem wszystko z zimną krwią i dlatego to takie potworne.

Powinienem wiedzieć, że od początku za tym wszystkim stał Zedar. To było za subtelne, aby mogło być dziełem Ctuchika. Za każdym razem, gdy zaczynają mnie ogarniać wątpliwości z powodu tego, co ostatecznie uczyniłem z Zedarem, przebiegam w myślach długą listę jego występków. To, że podstępnie nakłonił Illesę do zamordowania Goreka, a potem zostawił ją, by samotnie stawiała czoło Alornom, zajmuje na tej liście poczesne miejsce.

Dość tych nudnych usprawiedliwień.

Gdy opuszczaliśmy z Beldinem pałac, Alornowie nadal z radością pustoszyli miasto. Większość domów była z kamienia, gdyż drewno bardzo szybko gnije na tropikalnych mokradłach.

Alornowie podpalali wszystko, co chciało płonąć, a z resztą rozprawiali się za pomocą taranów. Wszędzie widać było ponure pomarańczowe płomienie. Ulice niemal całkowicie skrywały chmury duszącego czarnego dymu. Rozejrzałem się z goryczą wokół siebie.

- To nedorzecznosc! - powiedziałem. - Wojna skończona. Dostyc tego wandalizmu.

- Daj im się pobawić - powiedział obojętnym głosem Bel-din. - Przybyliśmy przecież chyba po to, aby zniszczyć Nyissę.

- Co Torak zamierza? - zapytałem. - Nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym, gdy przechodziłem przez Dolinę.

- Torak nadal jest w Ashabie...

Cherek, pomimo gorącego klimatu ubrany w niedźwiedzie skóry, przebiegł obok z wyciem, wymachując pochodnią.

- Lepiej porozmawiam z Valcorem - mruknąłem. - Wyznawcy Kultu Niedźwiedzia od dwudziestu pięciu stuleci marzą o najechaniu na południowe królestwa. Teraz, gdy już tu są, mogą postanowić rozszerzyć działania wojenne. Czy w Mai Zeth nadal panuje spokój? To

znaczy, czy czynią jakieś przygotowania?

Beldin wybuchnął krótkim, paskudnym śmiechem i podrapał się pod pachą, potem pokręcił głową.

- W armii wrze. Nowy cesarz wszystkim trzęsie. Ale Torak nie zarządził mobilizacji. Nic o tym nie wie. - Spojrzał na zadymioną ulicę, gdzie z okien buchały płomienie. - Mam nadzieję, że Zedar zaszył się w jakiejś głębokiej dziurze. Stara Spalona Gęba nie będzie zadowolony, gdy dowie się, co się stało.

- Myślę, że tym możemy się martwić później. Nie miałbyś ochoty zabrać Alornów do domu?

- Nieszczerólnie. Czemu?

- Naprawdę nie zajęłoby ci to dużo czasu, Beldinie, ja mam coś do załatwienia.

- Tak? Co takiego?

- Zdaje mi się, że będzie lepiej, jeśli wrócę do Doliny i pogrzebię w Kodeksie Mrińskim. Jeśli Torak zechce skorzystać z okazji, to lepiej wiedzieć, że nadciąga. To byłoby jedno z tych WYDARZEŃ i Kodeks Mriński powinien o nim wspominać.

- Pierwej jednak będziesz musiał doszukać się w nim sensu. Czemu nie pozwolić Alornom samodzielnie znaleźć drogi do domu?

- Chcę być pewny, że wrócą do siebie. A to oznacza, że ktoś będzie musiał przepędzić z Południa stado wyznawców Kultu Niedźwiedzia. Powiedz Brandowi, czego dowiedzieliśmy się od Illessy. Daj mu do zrozumienia, że my zajmiemy się Zedarem. Nie precyzuj jednak zbyt dokładnie, ile nam to zajmie czasu.

- Zajrzysz do Pol przed powrotem do Doliny?

- Sama potrafi się o siebie zatroszczyć. Ze wszystkich ludzi ona to potrafi najlepiej.

Beldin zerknął na mnie chytrze spod oka.

- Jesteś z niej dumny, prawda?

- Oczywiście.

- Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy powiedzieć jej o tym?

- I zniweczyć ponad tysiąc lat sprzeczek? Nie wygłupiaj się. Zahacz o Dolinę, nim wrócisz do Mallorei. Może uda mi się do tego czasu wydobyć z Kodeksu Mrińskiego parę użytecznych wskazówek.

Zostawiłem Beldina na pałacowych schodach i wyszedłem ze zrujnowanego i płonącego miasta na skraj dżungli. Znalazłem polankę, wdrapałem się na pień i ponownie zmieniłem w sokoła. Ta postać zaczynała mi się podobać.

Lot przez dymy płonącej dżungli nie był szczególnie przyjemny, więc wzbijałem się w

powietrze dopóty, dopóki się nad nie wzniosłem. Naturalnie wiedziałem o pożarach. W drodze do Sthiss Tor sam przechodziłem przez kilka wypalonych obszarów, ale nie zdawałem sobie sprawy z ich rozmiarów, aż znalazłem się milę nad ziemią. Wydawało się, że cała Nyissa płonie.

Po powrocie do Doliny opowiedziałem bliźniakom o wydarzeniach w Nyissie. Wielkie łązy sympatii pojawiły się w ich oczach, gdy opowiedziałem im o ostatnich chwilach Illessy. Oni bywają bardzo sentymentalni.

No dobrze, we mnie również Illessa wzbudziła sympatię. Zedar ją nabrał, a potem zostawił na pastwę losu. Oczywiście było mi jej żal. Ruszcie głową, a sami wyciągniecie wnioski.

Przez następnych kilka tygodni trudziłem się nad zrozumieniem Kodeksu Mrińskiego. Jestem dumny z opanowania, jakie przy tym wykazałem. Ani razu nie cisnąłem tych głupich zwojów przez okno. Kodeks Mriński wyjątkowo trudno odczytać, ponieważ przeskakuje z tematu na temat. Zdaje się, że wspominałem już o tym. Zmagając się z brakiem spójności tekstu, zacząłem rozumieć, gdzie zbłądził przyjaciel Ga-riona. Prorok z Mrin nie był na j szczęśliwi e j wybranym mówcą. Bez względu na to, co myślimy o mocy Konieczności, proroctwa zostały przefiltrowane przez umysły proroków, a prorok z Mrin nie znał poczucia czasu. Żył w świecie wiecznego teraz i wszystkie słowa Konieczności wymieszane były z "teraz", "potem" i "w przyszłym tygodniu" niczym jajka na omlet. Na rozwiązanie natknąłem się dzięki czystemu przypadkowi. Z niesmakiem odsunąłem od siebie Kodeks Mriński i zabrałem się za Kodeks Dariński, żeby po prostu rozjaśnić sobie w głowie. Bormik był szalony, ale przynajmniej znał różnicę pomiędzy wczoraj i jutro. Chyba nawet nie czytałem tych zwojów, po prostu rozwijałem je i oglądałem. Córka Bormika sporządziła kopie z bazgrołów swych skrybów. Miała piękny charakter pisma. Wdzięczne litery układały się w równe linie. Skrybowie Drasa powinni wybrać się do Dari-ne po nauki. Kodeks Mriński pełny był kleksów, wyskrobanych słów i przekreślonych wierszy. Dwunastolatek uczący się pisać zrobiłby to lepiej. Nagle moje spojrzenie padło na

znajomy fragment. "Nie przerażaj się, albowiem Król Rivański powróci".

Przycisnąłem zwój kilkoma książkami, aby się nie zwinął. To między innymi dlatego nie lubię tego sposobu przechowywania zapisków. Zwijają się, gdy tylko wypuścić je z rąk.

Ponownie wziąłem do rąk Kodeks Mriński i zacząłem przewijać go, dopóki nie trafiłem na zapamiętane miejsce. "Bacz - brzmiał on - wszystko zdawać się będzie stracone, ale powściągnij swą rozpacz, albowiem Król Rivański powróci".

Nie były identyczne, ale bardzo podobne. Przypatrywałem się obu fragmentom z

zamierającym sercem. Jawił mi się raczej przerażający widok. Wiedziałem już jak nadać sens zapisom z Kodeksu Mrińskiego, ale na samą myśl o ogromie pracy robiło mi się słabo. W obu dokumentach znajdowały się pasujące do siebie fragmenty. Kodeks Mriński pozbawiony był poczucia czasu, ale w Kodeksie Darińskim ono występowało. Wystarczyło porównać podobne fragmenty, by umiejscowić w czasie wydarzenia z Kodeksu Mrińskiego.

Potem przeczytałem następny wiersz w Kodeksie Mrińskim. "Mam do ciebie pełne zaufanie, Prastary i Ukochany, wiedząc bardzo dobrze, iż wpadniesz na rozwiązanie - w końcu".

To doprawdy było obraźliwe, choć potwierdzało moje odkrycie. Konieczność znała przeszłość, terażniejszość i przyszłość, dlatego wiedziała, że w końcu złamię szyfr. Ta dowcipna uwaga miała jedynie zwrócić moją uwagę na ten fakt, sprawić, bym go nie przegapił. Najwyraźniej uważała mnie za głupca.

Przy okazji, Garionie, następnym razem, gdy twój przyjaciel złoży ci wizytę, możesz mu powiedzieć, że wykorzystałem jego sprytną sztuczkę. Po co miałbym nadwierać sobie mózg, usiłując nadać sens temu bełkotowi, jakim był Kodeks Mriński, skoro aż się w nim roilo od oczywistych znaków? Nie mam

nic przeciwko temu, by ktoś za mnie wykonał pracę. Potem możesz go zapytać, kto śmieje się ostatni. Jestem pewny, że nie przejmie się. Ma absolutnie cudowne poczucie humoru.

Wróciłem do tego miejsca w Kodeksie Darińskim, które pasowało do ostrzeżenia w Kodeksie Mrińskim, każącym nam z Pol lecieć na Wyspę Wiatrów; potem zabrałem się do pracy. Bardzo powoli posuwałem się naprzód, ponieważ faktycznie musiałem uczyć się Kodeksu Mrińskiego na pamięć. Kodeks Dariński zwykle zawierał krótkie podsumowanie jakiegoś zdarzenia, a Kodeks Mriński je rozwijał. Pewne kluczowe słowa wiązały oba opisy i gdy dopasowałem już kilka fragmentów, nabrałem nieco wprawy w znajdowaniu owych słów. Opracowałem system znaków, które umieszczałem na marginesach, aby zaznaczyć pasujące fragmenty. W ten sposób nie gubiłem raz znalezionej śladu. Im dłużej pracowałem, tym większego nabierałem przeświadczenia, że Kodeks Dariński jest po prostu mapą Kodeksu Mrińskiego. Osobno żaden z nich nie był zbyt użyteczny, ale gdy zestawiono je razem, zaczynała wyłaniać się konkretna wiadomość. To było wyrafinowane i bardzo złożone rozwiązanie, ale dawało niemal absolutną pewność, że nikt przypadkowy nie trafi na informację, która nie była dla niego przeznaczona.

Ślęczałem nad zwojami przez większą część roku, potem do Doliny wrócił Beldin.

- Zaprowadziłeś Alornów tam, gdzie ich miejsce? - zapytałem, gdy wkuśtykał po

schodach do mej wieży.

- W końcu - powiedział. - Miałeś rację co do Kultu Niedźwiedzia. Rzeczywiście chcieli zostać na Południu. Lepiej miej oko na Valcora. Nie jest jeszcze prawdziwym wyznawcą, ale skłania się ku temu. Jednakże Radekowi i Cho-Ramowi udało się wreszcie przemówić mu do rozsądku.

- Fanatycy są pozbawieni rozsądku, Beldinie.

- Nie są jednak samobójcami. Radek i Cho-Ram skuli łańcuchami wszystkich wyznawców w swych szeregach i ruszyli do

domu. Cherekowie byli wściekli, ale sami nie mogli stawić czoła legionom. Gdy Drasanie i Algarowie odeszli, Valcor nie miał innego wyboru, jak też ruszyć do domu.

- Czy Brand opowiedział się po czyjejś stronie?

- Był absolutnie zgodny z Radekiem i Cho-Ramem. W domu czekały na niego obowiązki, więc nie miał zamiaru angażować się w dalszą wojnę na Południu. - Spojrzał na zwoje na moim stole. - Robisz jakieś postępy?

- Pewne. Jednak idzie to bardzo powoli. -Wyjaśniłem sposób wyszukiwania zgodnych fragmentów.

- Sprytne - zauważył.

- Dziękuję.

- Nie ciebie miałem na myśli, Belgaracie; Konieczność.

- To nie jest wcale takie łatwe, jak się wydaje. Nie uwierzysz, jak długo trwa dopasowanie pewnych fragmentów.

- Rozmawiałeś o tym z bliźniakami?

- Są zajęci czymś innym.

- Więc niech to lepiej zostawią. Myślę, że twoja robota jest ważniejsza.

- Poradzę sobie, Beldinie.

- Zawodowa zazdrość, stary? Proroctwo nie będzie proroctwem, jeśli rozwikłasz je dopiero po fakcie. Bliźniacy praktycznie biorąc mają jeden umysł, prawda?

- Chyba tak.

- Ty musisz skakać od jednego tekstu do drugiego, oni nie muszą. Beltira może czytać Kodeks Dariński, a Belkira Mriński. Jeśli natrafią na odpowiadające fragmenty, natychmiast będą o tym wiedzieli. Potrafią zrobić w ciągu kilku chwil to, co tobie zajmuje wiele dni.

Zamrugalem oczyma.

- Rzeczywiście. Nigdy o tym nie pomyślałem.

- Oczywiście. Niech oni się do tego wezmą. Będziesz mógł wówczas zająć się czymś

pożyteczniejszym - jak rąbanie drewna lub kopanie rowów. Zaglądałeś do Pol?

- Byłem zajęty. Naprawdę cały rok zajęło ci doprowadzenie Alornów do domu?

- Nie. Wpadłem na chwilę do Mallorei, sprawdzić, czy coś się nie kroi.

- I kroi się?

- Jak na razie, nie. Być może wieść o tym, co wydarzyło się w Rivie, nie dotarła jeszcze do Toraka. Sprowadźmy Pol. Myślę, że powinniśmy się spotkać i coś zaplanować, nim na stałe osiadę w Mai Zeth.

- To niezły pomysł. Przy porównywaniu obu dokumentów znalazłem kilka wskazówek na parę następnych stuleci. Myślę, że przez jakiś czas nie wydarzy się nic znaczącego, ale lepiej wszyscy się nad tym zastanówmy. Mogłem coś przegapić.

- Ty? Niemożliwe.

- Nie sil się na dowcipy, Beldinie. Nie jestem w nastroju. Zostawmy wyszukiwanie zbieżności bliźniakom i ruszajmy do Erat porozmawiać z Pol.

Bliźniacy w mig pojęli, o co chodzi. Beldin miał rację. Mając dwie pary oczu, jedną czytającą Kodeks Mriński, a drugą Dariński, mogli pracować zdecydowanie szybciej ode mnie. Potem Beldin przybrał postać jastrzębia, którą tak lubił, ja ponownie zmieniłem się w sokoła i pofrunęliśmy na północny zachód, by złożyć wizytę Polgarze.

Jest taka stara baśń o księżniczce zamkniętej w zamku ukrytym w gęstwinie cierniowych krzaków. Rezydencja Pol na północy środkowej Sendarii bardzo go przypomina - z tą różnicą, że jest otoczona przez gęstwinę różanych krzewów. Nikt ich nie przycinał od stuleci. Gałęzie miały grube niczym pnie drzew i pokryte kolcami długimi na cztery cale, i tak splecione, że nikt nie mógł się przez nie przedrzeć, nie zdzierając sobie Przy tym całej skóry. Ponieważ jednak całkowicie skrywały dom, nikt nie miał powodu zadawać sobie takiego trudu i Pol miała zagwarantowany spokój.

Wylądowaliśmy na schodach jej domu i wróciliśmy do własnych postaci. Zastukaliśmy do drzwi, a z głębi domu odpowiedziało nam echo.

Po kilku chwilach ze środka dobiegł głos Pol.

- Kto tam?

- To ja, Pol. Otwórz.

Polgara miała na sobie fartuch, a na głowie zawój z chusty. W dłoniach trzymała miotłę okręconą pokrytą pajęczynami szmatą.

- Co robisz, Pol? - zapytał Beldin.

- Sprzątam dom.

- Własnoręcznie? Czemu nie zrobisz tego inaczej?

- To mój dom, wujku. Będę go sprzątać tak, jak mi się podoba.

Beldin pokręcił głową.

- Dziwna jesteś, Polgaro - zauważył. - Całe stulecia spędziłeś na uczeniu się wszystkich ułatwień, a potem z nich nie korzystasz.

- To kwestia zasad, wujku. Ty nie masz żadnych, więc nie zrozumiesz.

Beldin skłonił się przed nią.

- Punkt dla ciebie, Pol - przyznał. - Czy zechciałabyś zaofiarować gościnę w swym wspaniałym domu parze strudzonych wędrowców, o wielka pani?

Polgara zignorowała próbę rozbawienia jej.

- Czego chcecie? - zapytała niezbyt uprzejmie.

- Mamy w Dolinie małe rodzinne spotkanie, Pol - oznajmiłem. - Ale bez ciebie to nie to samo.

- Wykluczone.

- Nie utrudniaj, Polgaro - powiedział Beldin. - To ważne. Jesteś nam potrzebna. - Przepchnął się obok niej do środka.

- Wyrąbaliście sobie drogę prosto do moich drzwi?

- Nie - odparł. - Przylecieliśmy tu.

Rozejrzałem się. Światło było przyćmione, ponieważ wszystkie okna w domu zarosły pędami róż, ale dostrzegłem, że wejście do domu mej córki ma wypolerowaną marmurową posadzkę i błyszczące boazerie.

- Zabrałaś się właśnie za generalne porządki, Pol? - zapytałem.

- Nie. Zajmujemy się tym z Geranem od dawna. Jesteśmy już na drugim piętrze.

- Zamieniłaś następcę tronu Rivy w sprzątacza? To bardzo demokratyczne posunięcie, Pol, ale czy aby właściwe?

- To mu nie zaszkodzi ojczec. Poza tym potrzebuje ćwiczeń. Schodami ostrożnie zszedł Geran. Ubrany był w zakurzony wieśniaczy chałat. W dłoni trzymał miecz. To nie był bardzo duży miecz, ale chłopiec dzierżył go tak, jakby wiedział, jak się nim posłużyć.

- Dziadku! - zawołał na mój widok. Resztę schodów pokonał już biegiem. - Zabiłeś Salmisara? - zapytał niecierpliwie.

- Nie żyła, gdy ostatni raz ją widziałem - odparłem wymijająco.

- Zadałeś jej ode mnie cios, jak cię prosiłem?

- O tak, chłopie - pospieszył mi w sukurs Beldin. - Zadał. Geran spojrzał nieco lęklwie na pokracznego karła.

- To jest wujek Beldin, Geranie - dokonała prezentacji Pol.

- Nie jesteś zbyt wysoki, wiesz? - zauważył Geran.

- To ma swoje zalety, chłopie - odparł Beldin. - Prawie nigdy nie zawadzam głową o nisko zwisające gałęzie.

Geran roześmiał się.

- Podoba mi się, ciociu Pol.

- Bardzo szybko ci to przejdzie.

- Daruj sobie, Pol - zbeształ ją Beldin. - Pozwól chłopcu samodzielnie wyciągnąć wnioski.

- Chyba lepiej będzie sprowadzić na to spotkanie Branda - powiedziałem. - Mamy wiele do omówienia, a Brand jest tym, który strzeże Klejnotu, dlatego powinien wiedzieć, co nas czeka.

- Wiemy, co się wydarzy, ojczy? - zapytała Pol.

- Twój niewymownie bystry staruszek właśnie wynalazł sposób na doszukanie się sensu w Kodeksie Mrińskim, skarbie.

Geran zachichotał.

- Naprawdę go lubię, ciociu Pol.

- Obawiałam się tego - westchnęła.

- Wrócisz razem z Pol do Doliny - rzekłem Beldinowi. - Wspólnymi siłami potraficie stawić czoło wszystkiemu po tej stronie Toraka, który śpi jak kamień w Ashabie. Ja sprowadzę Branda i zabierzemy się do roboty. - Potem wyszedłem na dwór, przybrałem pióra i poleciałem w kierunku Wyspy Wiatrów.

Podróż z Wyspy do Doliny zajęła nam około trzech tygodni, głównie dlatego, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wędruje przez Ulgołand. Po przybyciu stwierdziliśmy, że zaczęli bez nas. Bliźniacy rozpoczęli pracę tam, gdzie ja skończyłem. Udało im się z grubsza naszkicować przebieg kilku następnych stuleci.

- Zdaje się, że niewiele się wydarzy, Belgaracie - podsumował Beltira. - Naszym zdaniem proroctwa koncentrują się na wydarzeniach w Mallorei. Jesteście głodni? Możemy z Pol przygotować wam coś do jedzenia.

- Jakąś przekąskę. Byle przetrwać do kolacji.

Pol wstała i przeszła do części kuchennej. Rozejrzałem się za księciem Geranem. Siedział spokojnie na krześle w kącie. To charakterystyczna cecha, którą obserwowałem u kolejnych członków jego rodziny. Niektóre dzieci zawsze chcą być w centrum uwagi. Jednakże chłopcy z długiej linii potomków Gera-na potrafili tak usuwać się w cień, że ledwie ich zauważałeś. Przyglądali się i słuchali, ale buzie trzymali zamknięte. To była bardzo dobra

cecha. Rzadko nauczysz się czegoś, gdy usta ci się nie zamykają. Geran ubrany był bardzo zwyczajnie. Polga-ra starała się, aby Spadkobiercy Rivańskiego Tronu wzbudzali swym wyglądem jak najmniejsze podejrzenia.

- Aha, coś jeszcze - dodał Belkira. - Trzecia skończyła się. Mamy teraz Czwartą. Najwyraźniej Dal udał się do Ashaby i w chwili, gdy spojrział na Toraka, skończyła się Trzecia Era.

- No i dobrze - odparłem.

- Dlaczego?

- To znaczy, że w końcu otrzymaliśmy wszystkie instrukcje. Trzecia Era była Erą Proroctwa. Jej koniec oznacza, że już nam powiedziano, co się wydarzy i co mamy czynić. Nie wydarzy się nic, co mogłoby zagmatwać sytuację. A co ciekawego dzieje się w Mallorei?

Belkira podniósł kopię Kodeksu Mrińskiego, spojrział w spis i rozwinął zwój do miejsca, w którym znajdował się odpowiedni znak.

- Kodeks Dariński mówi po prostu, że jeden człowiek zdobędzie panowanie nad całą Malloreą. A oto, co mówi o tym Kodeks Mriński: "I zdarzy się, iż dzieci zostaną wymienione w Królestwach Wschodu i jedno z nich wstąpi na tron królestwa poprzez małżeństwo i zdobędzie dominację nad innymi pod groźbą użycia siły. I uczyni jedno z tego, co kiedyś było dwoma. I połączenie tych dwóch oczyści drogę dla WYDARZENIA, które będzie miało miejsce na ziemiach Boga-Byka". Dotąd udało nam się na razie dojść.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytałem.

- Ten, o którym mowa, to młody Angarak imieniem Kal-lath - wyjaśnił Beldin. - Głośno o nim w Mallorei. Angarako-wie i Melceni od dawna próbowali nawiązać współpracę. - Angarakowie mają więcej ludzi, ale Melceni dysponują jazdą na słońiach. Żadna ze stron nie chciała wojny. Ta wymiana dzieci była pomysłem Melcenów. Miała doprowadzić do większego zrozumienia pomiędzy obiema rasami. Gdy Kal-lath miał około dwunastu lat, wysłano go na wyspę Melcenów, by dorastał w domu ministra spraw zagranicznych przy cesarskim dworze. Tam poznał córkę cesarza Melcenów i ożenił się z nią. To praktycznie uczyniło go spadkobiercą tronu.

Był ambitny i był Angarakiem, więc innym kandydatom zaczęły się przydarzać śmiertelne wypadki. Był również najmłodszym członkiem angarackiego naczelnego dowództwa w Mai Zeth i Głównym Gubernatorem Okręgu Delchin we wschodniej Mallorei. W Maga Renn, które przypadkiem znajdowało się tuż przy granicy z Melceną, miał coś w rodzaju stolicy i bazy. Jeśli ktoś potrafi zjednoczyć całą Malloreę, to właśnie Kallath.

- Najwyraźniej to właśnie się stało - zauważył Brand.

- Przepraszam - odezwał się grzecznie ksiązę Geran. - Co ma się wydarzyć w Arendii?
- WYDARZENIE, wasza wysokość - odparł Beltira.
- Jakiego rodzaju wydarzenie?
- Kodeks Mriński używa tego słowa, gdy mówi o spotkaniu Dziecka Światła z Dzieckiem Mroku.
- Bitwa? - Oczy młodego Alorna rozbłysły.
- Czasami tak jest - powiedziałem - ale nie zawsze. Brałem udział w jednym z owych WYDARZEŃ i było tam tylko dwóch ludzi.
- Polgara pracowała w kuchni, ale najwyraźniej nie roniła nic z naszej rozmowy.
- Osobliwe, że ten Kallath pojawił się tak niedawno - myślała głośno, wycierając ręce w fartuch. -To chyba nie jest przypadek?
- Prawdopodobnie, Pol - powiedziałem.
- Wybaczcie mi raz jeszcze, proszę - wtrącił ksiązę Geran nieśmiało. - Skoro my wiemy o nadejściu jednego z tych WYDARZEŃ, to czy Torak również o nim wie?
- Niechybnie - mruknął Beldin.
- Nie możemy go zatem zaskoczyć, prawda?
- Nie - oświadczył Beltira. - Wszyscy kierujemy się w mniejszym lub większym stopniu instrukcjami.
- Wiecie, co myślę? - kontynuował Geran. - Nie sądzę, aby to, co przydarzyło się mojej rodzinie, miało coś wspólnego z Klejnotem, tym, gdzie jest czy kto go strzeże. Ten Kallath robił coś, czego pragnął Torak. Pewnie staralibyśmy się przeszkodzić Kallathowi, toteż Torak wysłał Zedara, aby odwrócił naszą uwagę. Wszyscy pognaliście do Nyissy ukarać Salmissarę za wymordowanie mojej rodziny, a to dało Kallathowi - czy komukolwiek, kto po nim przyszedł - wolną rękę w realizacji pragnień Toraka. Wymordowanie mojej rodziny było... - Przerwał, szukając odpowiedniego słowa.
- Odwróceniem uwagi - pomógł mu Belkira. - Wiesz, Bel-garacie, myślę, że chłopiec trafił w sedno. Wszyscy znamy Zedara i on zna nas. Dokładnie wiedział, jak zareagujemy na zamordowanie Goreka i jego rodziny. W Mallorei działo się coś przełomowego, a ty, Beldin i Alornowie byliście w tym czasie w Nyissie. Mieliśmy w głowie tylko jedno i Torak wraz ze swym ludem wykorzystał to.
- Beldin zaklął.
- To pasuje, Belgaracie - zauważył. - To pasuje do Toraka i pasuje do Zedara. Jak mogliśmy być na tyle głupi, by tego nie widzieć?
- Naturalne skłonności, zdaje się - odparłem posepnie. -Pewnie mieliśmy być na tyle

głupi. Gratulacje, książę Geranie. Znalazłeś odpowiedź, której my, waląc od tygodni głowami w mur, szukaliśmy. Jak udało ci się wpaść na nią tak szybko?

- Nie ma w tym mej zasługi, dziadku - odparł skromnie chłopiec. - Nim Nyissanie wymordowali moją rodzinę, zacząłem pobierać lekcje historii. Nauczyciele opowiadali mi o wydarzeniach w Tolnedrze. Jak zrozumiałem, Vorduvianie byli dobrzy w tego rodzaju rzeczach, podobnie jak Honetho-wie.

- Cóż za umysł ma ten chłopiec! - podziwiał Beltira. -W mgnieniu oka poskładał wszystko do kupy!

- I będziemy musieli chronić ten umysł - i tych, którzy przyjdą po nim - powiedziała Polgara ze stalowym błyskiem w oczach. - Zedar miał nadzieję, że za sprawą morderstwa wygaśnie rivańska linia, ale Wyrocznia Ashabińska najwyraźniej powiedziała Torakowi co innego.

- Czy to oznacza, że mój książę będzie musiał pozostawać w ukryciu? - zapytał Brand.

- Na to wygląda - odparł Beldin.

- Kto będzie go ochraniał?

- To moje zadanie, Brandzie - oświadczyła Polgara, zdejmując fartuch.

Wówczas stało się coś niezwykłego.

- Azali dobrowolnie przyjmujesz tę odpowiedzialność, moja córko?

To był głos Aldura. Wszyscy odwróciliśmy się szybko, ale nie było go, jedynie głos i osobliwe błękitne światło.

Polgara natychmiast zrozumiała konsekwencje pytania. Element świadomego wyboru zawsze grał istotną rolę w naszych poczynaniach. Przyznaję, że czasami błdziłem, ale zawsze przychodziła chwila, gdy musiałem dokonać wyboru. Polgara podeszła i położyła dłoń na ramieniu Gera-na.

- Dobrowolnie, Mistrzu - odpowiedziała zdecydowanie. -Od tej chwili będę chronić rivańską linię i kierować nią.

W chwili gdy to rzekła, poczułem w głowie jedno z owych osobliwych kliknięć. Wybór Pol był jedną z tych rzeczy, które miały się wydarzyć. Nie jestem pewny dlaczego, ale poczułem ochotę, by podskoczyć z okrzykiem triumfu.

Spoglądając na to teraz, uświadomiłem sobie, że wybór Polgary był jednym z WYDARZEŃ, o których rozmawialiśmy. Doprowadził ostatecznie do Gariona, a Garion z kolei doprowadził do Erionda. W owym czasie wszyscy uważaliśmy, że nasza Konieczność musiała coś poświęcić, godząc się na rozdzielenie Gerana i Klejnotu. Myślę, że myliliśmy się. To rozdzielenie było zwycięstwem, nie niepowodzeniem.

Nie kłopotcie się. Wyjaśnię wam to - wszystko w swoim czasie.

Po dobrowolnym przyjęciu odpowiedzialności, Polgara zaczęła wydawać rozkazy. Robi to cały czas.

- Mistrz mnie powierzył to zadanie, panowie - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Nie potrzebuję żadnej pomocy i żadnego wtrącania się. Ukryję Gerana i podejmę konieczne decyzje. Nie kręćcie się koło mnie i nie próbujcie mi mówić, co mam robić. I, proszę, nie wytrzeszczajcie na mnie oczu. Po prostu trzymajcie się z dala. Zgoda?

Oczywiście zgodziliśmy się. Co innego mogliśmy zrobić?

ROZDZIAŁ TRZECI

Bez wątpienia zakaz Polgary był sensowny, więc przez następne pięć wieków nie widywałem jej zbyt często - a przynajmniej ona tak myślała. Choć co jakiś czas zmieniała miejsce pobytu, udawało mi się ją śledzić. Jej strategia polegała głównie na znikaniu wśród miejscowej ludności - zwykle w Sendarii. Sendaria jest wspaniałym miejscem na zachowanie anonimowości, ponieważ różnice rasowe nic tam nie znaczą, a Sendarowie są zbyt dobrze wychowani, aby wypytywać ludzi o pochodzenie. Ale nawet w najgrzeczniejszym Sendarze znacznie wzbudzać ciekawość ktoś, kto się nie starzeje, więc Pol rzadko zostawała w tym samym miejscu dłużej niż dziesięć lat.

Ten zwyczaj dostarczał mi rozlicznych rozrywek. Odszukanie kogoś, kto nie chce być znalezionym, nie jest najłatwiejszym zadaniem, a Pol nabrała dużej wprawy w zostawianiu mylnego tropu. Jeśli mówiła swym sąsiadom, że "pilne sprawy rodzinne" wzywają ją do Darine, to niemal z całą pewnością kierowała się do Muros lub Camaar. Raz, w czterdziestym trzecim wieku, wytropienie jej zajęło mi osiem lat. Jej nieuchwytność nie zmartwiła mnie zbyt. Jeśli potrafiła ukryć się przede mną, to z pewnością potrafi ukryć się przed każdym.

Poleciła mi trzymać się z dala, dlatego nabrałem niezłej wprawy w maskowaniu się, choć nie musiałem polegać na skrzydłach i sztucznym nosie. Człowiek, który potrafi zmienić się w wilka czy sokoła, nie ma wielkich trudności ze zmianą twarzy czy postaci.

Zwykle, gdy udało mi się ją wytropić, wpadałem do miasteczka czy wsi, w której właśnie mieszkała, węszyłem trochę i oddalałem się, nawet z nią nie rozmawiając.

Tolnedrański system traktów zawsze budził we mnie wielki podziw: znacznie ułatwiał podróżowanie, a ja musiałem wiele podróżować w pierwszych wiekach piątego tysiąclecia. Nie pochwalałem jednakże pertraktacji Rana Horba z Murgami, które doprowadziły do otwarcia Południowego Szlaku Karawan.

Początkowo handel Tolnedran z Murgami był interesem jednostronnym. Kupcy tolnedrańscy wyruszali szlakiem karawan do Rak Goska, załatwiali swoje sprawy, a potem wracali do domów z sakiewkami pękającymi w szwach od czerwonego złota pochodzącego z kopalni Cthol Murgos.

Jednakże po alornskiej inwazji na Nyisę Murgowie zapalali namiętnością do handlu. Nie minął wiek, a co krok w Tolnedrze, Arendii czy Sendarii natrafiałem na poznaczone bliznami twarze Murgów.

Tolnedranie mówili o "normalizowaniu stosunków" i "cywilizacyjnym wpływie

handlu", ale ja wiedziałem swoje. Murgowie przybywali na zachód, ponieważ Ctuchik im kazał i handel nie miał nic do tego. O tym, że linia Rivańskich Królów nadal nie została przerwana, dość wyraźnie mówiły wszystkie proroctwa. Ctuchik wysłał Murgów w poszukiwaniu Polgary i spadkobierców, których ochronie się poświęcił.

W końcu doszło do punktu kulminacyjnego. Polgara przebywała w Sulturn, w centralnej Sendarii, z kolejnym dziedzicem i jego żoną. Tak się składało, że młodzieniec miał na imię Darion.

Z pewnością zauważyliście podobieństwo. To wina Polgary i jej przywiązania do tradycji. Upstrzyła rivańską linię powtórzeniami i wariacjami pół tuzina imion. Polgara potrafi być pomysłowa, ale chyba nie lubi.

Darion był stolarzem meblowym i to całkiem dobrym. Miał w pobliżu jeziora, przy bocznej uliczce, dobrze prosperujący warsztat, nad którym mieszkał wraz z żoną i swą ciotką.

Czy to nie brzmi znajomo?

Byłem w Val Alorn, gdy dotarła do mnie wieść o śmierci starego Gorima Ulgosów i o tym, że w jaskiniach pod Proglu zamieszkał nowy Gorim. Uznałem, że dobrze będzie wybrać się do Ulgolandu i poznać go. Zawsze lubiłem pozostawać w dobrych stosunkach z Ulgosami. Są trochę dziwni, ale ich lubię.

Jesień była już w pełni, gdy usłyszałem ową wiadomość. Musiałem się spieszyć, jeśli nie chciałem ugrzęznąć w górach w śniegu, więc wsiałem na pierwszy statek, który wypływał z Val Alorn do Sendarii - statek, który "przypadkiem" kierował się do stołecznego miasta Sendaru, a nie do portu w Dari-ne. Pewnie mógłbym to uznać za zbieg okoliczności, ale miałem co do tego wątpliwości.

Pogoda była sztormowa, toteż minęły cztery dni, nim pewnego szarego, pochmurnego popołudnia przybiliśmy do kamiennych nabrzeży Sendaru. Kupiłem konia i ruszyłem tolnedrańskim traktem na południowy wschód, do Muros. W połowie drogi pomiędzy Sendarem i Muros trakt "przypadkowo" przebiegał przez Sulturn. Chwilami mam już dość tego wodzenia za nos. Czasami działania przyjaciela Gariona wręcz rzucały się w oczy.

Skoro już jednak tam byłem i skoro siodło zaczynało mi się dawać we znaki, postanowiłem zamaskować się i poświęcić kilka dni na węszenie. Wjechałem do zagajnika na wzgórzu tuż za Sulturn, zsiadłem z konia, utworzyłem w myślach wizerunek postaci możliwie najbardziej różnej od mojej i wcieliłem się w nią. Koń wyglądał na nieco zaskoczonego. Jego nowy właściciel był dość wysoki, miał czarne jak węgiel włosy i krzaczastą brodę tego samego koloru.

Wjechałem do Sulturn, wynająłem pokój w walącym się zajeździe w zachodniej części

miasta i węszyłem do wieczora. Zadawałem niewinne pytania i czujnie rozglądałem się dookoła. Pol i jej rodzina nadal tu przebywali. Wydawało się, że wszystko jest normalnie, zatem wróciłem do zajazdu na kolację.

Wspólną izbę stanowiło niskie pomieszczenie o czarnym belkowanym suficie. Stoły i ławy były proste, nie lakierowane, a palenisko dymiło. Siedziało tam pewnie z kilkunastu ludzi. Kilku miejscowych piło piwo z drewnianych, okutych miedzią kufli, a paru podróżnych jadło nieapetyczny gulasz, standardową potrawę we wszystkich zajazdach Sendarii, od Camaar po Darine. W Sendarii uprawia się sporo rzepy, a gulasz z rzepy nie należy do moich ulubionych dań.

Zaraz po wejściu spostrzegłem wśród obecnych Murgo. Ubrany był na zachodnią modłę, ale skośne oczy i poznaczone bliznami policzki wszystko zdradzały. Siedział w pobliżu paleniska z podpitym Sendarem i rozmawiał z nim przy piwie o pogodzie.

Ponieważ nie mogłem mnie rozpoznać, podszedłem i usiadłem przy sąsiednim stoliku. Kazałem dziewczce przynieść coś na kolację.

Po wyczerpaniu pogodowych tematów, Murgo przeszedł do sprawy.

- Zdaje się, że dobrze tu wszystkich znasz - powiedział do swego podpitego kompana.

- Wątpię, aby w całym Sulturn znalazło się dziesięciu ludzi, których bym nie znał - odparł skromnie Sendar, opróżniając kufel.

Murgo postawił mu następny.

- Zdaje się zatem, że znalazłem właściwego człowieka -kontynuował, próbując się uśmiechnąć. Murgowie tego nie potrafią, więc wyraz jego twarzy bardziej przypominał grymas bólu. - Mój ziomek przejeżdżał tędy w zeszłym tygodniu i pewna kobieta wpadła mu w oko.

Murgo, który choćby spojrział na niemurgoską kobietę? Absurd!

- Mamy tu, w Sulturn, parę prawdziwych piękności - przyznał Sendar.

- Mój przyjaciel spieszył się i nie miał czasu bliżej poznać owej damy, ale gdy usłyszał, że ja się tu wybieram, ubłagał mnie, bym się dowiedział o niej wszystkiego, co będę mógł - gdzie mieszka, jak się nazywa, czy jest zamężna i tak dalej.

- Opisał ci ją? - zapytał Sendar. Co za osioł! Nawet jeśli oczywiste zmyślenia Murgo były prawdą, to musiał mieć rysopis. Jednakże tym razem nie było problemu. Ctuchik pewnie wrył mu portret Polgary na gałkach ocznych.

- Powiedział, że była dość wysoka i bardzo piękna.

- Ten opis pasuje do wielu dam z Sulturn, przyjacielu. Nie dał ci żadnych szczegółów?

- Ma bardzo ciemne włosy - powiedział Murgo - ale także charakterystyczne białe

pasernko włosów na skroni.

Sendar roześmiał się.

- To proste - odparł. - Twojego przyjaciela oczarowała pani Pol, ciotka Darina, stolarza meblowego. Nie jemu pierwszemu to się przytrafiło, ale możesz przekazać, żeby lepiej gdzie indziej poszukał szczęścia. Pani Pol nie interesują mężczyźni i dokłada wszelkich starań, żeby ludzie o tym wiedzieli. Swoim ujadaniem potrafiłaby okorować drzewo z odległości pół mili.

Zakląłem w duchu. Będę musiał porozmawiać o tym z Pol. Po co się ukrywa, skoro nie zmienia swego imienia, wyglądu ani temperamentu?

Nie musiałem dłużej zostawać. Murgo dostał już, czego chciał, ja również. Odsunąłem misę wodnistego gulaszu z rzepy, wstałem i wyszedłem.

Ulice Sulturn były wyludnione. Zza rogów solidnych, kamiennych domów wiał zimny, porywisty jesienny wiatr. Ciężkie chmury przesłaniały księżyc, a nieliczne pochodnie, które miały oświetlać ulice, migotały i przygasały w podmuchach wiatru.

Nie zwracałem jednak zbytnej uwagi na pogodę. Bardziej interesowało mnie, czy nie śledzi mnie jakiś Murgo. Kilka razy zawracałem, krążyłem po wąskich, ciemnych uliczkach i do warsztatu Dariona doszedłem od tyłu.

Było już po zmroku, toteż warsztat był zamknięty, ale światła w oknach części mieszkalnej świadczyły o tym, że Darion i jego rodzina znajdowali się w domu. Nie zapukałem do drzwi. Nie było potrzeby niepokoić sąsiadów. Poradziłem sobie z zamkiem, wszedłem do środka i odszukałem w ciemności schody. Wbiegłem na górę, przeskakując po dwa stopnie, po omacku odszukałem drzwi i uporałem się z kolejnym zamkiem.

Drzwi prowadziły do kuchni. Poznałbym, że należy do Polgary, nawet gdyby znajdowała się na księżycu. Była przytulna i ciepła, urządzona w taki znajomy sposób. Polgara zawsze podobnie urządzała swoje kuchnie. Pol i jej rodzinka jedli właśnie kolację przy kuchennym stole, gdy wśliznąłem się do środka.

- Pol! - syknąłem ostro. - Musimy się stąd wynosić! Polgara poderwała się na nogi z błyskiem w oczach.

- Co tu robisz, starcze? - zapytała z wyrzutem. Na tyle zdało się moje przebranie.

Darion wstał. Nie widziałem go od czasu, gdy był dzieckiem. Wyrósł od tamtych dni, a jego muskularne ramiona przywodziły mi na myśl Drasa o Byczym Karku.

- Kim jest ten człowiek, ciociu Pol? - zapytał.

- Moim ojcem - odparła krótko.

- Święty Belgarath? - W jego głosie brzmiało zdumienie.

- Nad tym "świętym" można by dyskutować - powiedziała Pol sucho. - Mówiłam, żebyś

trzymał się ode mnie z dala, ojciec.

- To nagły wypadek, Pol. Musimy natychmiast opuścić Sulturn. Nie myślałaś nigdy o ukryciu tego białego loku? Okropnie się rzuca w oczy, wiesz?

- O czym ty mówisz?

- W zajeździe, pół mili stąd, jest pewien Murgó. Wypytuje o ciebie. A co gorsza, dostaje odpowiedzi. Dokładnie wie, gdzie jesteś. Zbierz potrzebne rzeczy i wynośmy się stąd. Nie wiem, czy jest sam, czy nie, ale nawet jeśli, to niedługo.

- Czemu go nie zabiłeś? Darion wytrzeszczył oczy.

- Ciociu Pol! - wykrzyknął.

- Ile wie? - zapytałem, wskazując na Dariona.

- Tyle, ile trzeba.

- To wymijająca odpowiedź, Pol. Czy wie, kim jest?

- Mniej więcej.

- Myślę, że czas na kilka szczegółów. Nie pakuj zbyt wiele. Resztę możemy kupić w Kotu.

- W Kotu?

- W Sendarii węższy za dużo Murgów. Czas, abyś przeniosła się do jednego z królestw Alorii. Zbierz trochę rzeczy, ja tymczasem wyjaśnię sytuację Darionowi i jego żonie.

- Nadal uważam, że powinienes zabić Murga.

- To jest Sendaria, Pol, nie Cherek. Tutaj zwłoki zwracają uwagę. Gdy tylko będziesz gotowa, pójdę kupić konie.

- Lepiej postaraj się o wóz, ojciec. Selena jest w ciąży. Nie pozwolę, by podskakiwała w siodle.

- Moje gratulacje, wasza wysokość - powiedziałem do Dariona.

- Co powiedziałeś?

- Gratulacje.

- Nie, to drugie - to o "waszej wysokości".

- Och, Polgaro! - rzuciłem poirytowany. - To istna kpina! O ilu jeszcze rzeczach mu nie powiedziałaś? Zaczynj pakowanie, a ja mu wszystko wyjaśnię. - Odwróciłem się do Dziedzica Rivańskiego Tronu. - Dobrze, Darionie, słuchaj mnie uważnie - ty również, Seleno. Nie mam czasu powtarzać. - Wyjaśniłem im pobieżnie kilka spraw. Jak pewnie spostrzeżliście, to bardzo długa historia. Jednak po piętnastu minutach Darion i jego żona wiedzieli przynajmniej, że był on spadkobier-

cą tronu Rivy o Żelaznej Dłoni i dlaczego powinien unikać Murgów.

- Nie mogę tak po prostu zostawić swego warsztatu, Prastary - zaprotestował.

- Wprowadzę cię ponownie do interesu, gdy dotrzemy do Kotu. Obawiam się jednak, że ten będziesz musiał porzucić.

- Idź po wóz, ojcie - powiedziała Pol.

- Gdzie ja kupię wóz o tej porze?

- To go ukradnij. - Jej oczy przybrały kamienny wyraz.

- Mam dwukołowy wóz - powiedział Darion. - Używałem go do dostarczania mebli. Jest trochę rozklekotany, ale ma dwa dyszle. Zdaje mi się, że moglibyśmy jakoś doczepić do nich konia. Może będzie trochę ciasno, ale chyba zmieścimy się na nim we czwórkę.

- Bardzo stosowne - przyznałem ze śmiechem.

- Nie rozumiem.

- Mój stary przyjaciel zwykł podróżować na rozklekotanym dwukołowym wozie. - Wtem wpadłem na pomysł. Bardzo dobry, mimo iż sam tak mówię. - Ogień mógłby nam tu pomóc - zasugerowałem.

- Ogień?

- I tak musicie zostawić wszystko, Darionie, możemy więc to wykorzystać. Płonący dom wywołuje sporo zamieszania i przyciąga tłumy gapiów. To może odwrócić uwagę Murga na tyle długo, byśmy zdążyli uciec.

- Tam są wszystkie moje rzeczy! - zaprotestowała Selena. - Wszystkie meble, pościel, ubrania!

- To przyjemna strona opuszczania w pośpiechu miasta, drogie dziecko - powiedziałem jej wesoło. - Dostaniesz wszystko nowe, gdy przybędziemy na miejsce. Kupię ci wszystko, co zechcesz, po przybyciu do Kotu. Prawdę powiedziawszy, spaliłbym całe miasto, gdyby to pomogło nam wymknąć się temu Murgowi.

- Wątpię, aby to się udało, Prastary - odezwał się z powątpiewaniem Darion. - Dobrze mnie znają w Sulturn i ktoś z pewnością zobaczy, jak wyjeżdżam.

- Ukryję was na tyłach wozu - oznajmiłem. - Ludzie zobaczą jedynie zabawnego staruszka na rozklekotanym wozie.

- Czy to się uda?

- W przeszłości zawsze się udawało. Pójdę po swojego konia, a wy skończcie pakowanie. - Wróciłem do zajazdu. W drodze do stajni przystanąłem na chwilę, aby rzucić okiem na wspólną izbę. Mój Murgo nadal tam był i dalej rozmawiał z podpitym Sendarem. Najwyraźniej nie zamierzał przed świtem pójść tropem informacji, które zdobył.

Pod moją nieobecność Polgara ulepszyła plan. Musiała działać bardzo delikatnie, skoro nic nie słyszałem, a jeśli ja jej nie słyszałem, to z pewnością ten Murgo - lub Grolim, lub kimkolwiek był - też jej nie słyszał. Trzy ludzkie szkielety tuliły się do siebie przy jednym z okien.

- Miły dodatek, Pol - pogratulowałem.

- Trochę dodatkowego zamętu dla twego Murgo, ojczy. Jeśli uwierzy, że Darion, Selena i ja zginęliśmy w płomieniach, to nie będzie nas szukał.

- Jestem pewny, że Ctuchik z zadowoleniem przyjmie te nowiny, dopóki nie zacznie ponownie czytać proctw. A wówczas pewnie wywróci Murga na lewą stronę.

- A to dopiero byłby skandal!

Umieściłem ich na tyłach wozu i przykryłem kocami, a potem wyprowadziłem wóz na pustą ulicę. Ze wznieceniem pożaru odczekałem, aż niemal dotarliśmy do północnej bramy. Nie rozpałem dużego ognia, jedynie malutki na tyłach warsztatu. Leżały tam sterty drewna, a w kątach stosy wiórów, więc mój malutki ognek miał po dostatkim pożywienia. Trochę to trwało, ale w końcu urósł.

Bramy Sulturn nie były strzeżone. Sendarowie nie byli szczególnymi zwolennikami środków ostrożności, więc mogliśmy opuścić miasto nie zauważeni. Byliśmy już daleko za miastem, na drodze ku jezioru Medalia, gdy nagły snop dymu oznajmił, że dziecięcy ognek w końcu osiągnął dojrzałość i przebił się przez dach domu Dariona.

Jak już wspominałem, jesień była w pełni. W pochmurną, wietrzną noc jechałem wozem na północ, ku Medalii i dalej, do Darine, gdzie będziemy mogli wsiąść na statek płynący do Kotu w Drasni.

To jeszcze jedno z powtórzeń, Garionie. Pamiętasz tę noc, w którą opuściliśmy farmę Faldorna? Nie licząc rzepy, wszystko było identyczne.

Dotarcie do Darine zajęło nam dwa tygodnie, przede wszystkim dlatego, że trzymaliśmy się z dala od głównych dróg i specjalnie się nie spieszyliśmy. Nauczyłem się tego od swego Mistrza. Jeśli nie chcesz wzbudzać podejrzeń, nie spiesz się. Wielokrotnie używał tego przebrania i wątpię, aby ktokolwiek pamiętał o nim dłużej niż dziesięć minut.

Po dotarciu do Darine, Darion sprzedał konia i wóz. Potem na sendarskim statku handlowym popłynęliśmy do Kotu.

W Drasni nie było Murgów, ale handel wzdłuż Północnego Szlaku Karawan został wznowiony - gdy już Nadrakowie odzyskali siły po fatalnej przygodzie na pograniczu w dwudziestym piątym wieku - więc w Kotu spotykało się czasami nadrackich kupców. Nadrakowie nie niepokoiili mnie tak jak Murgowie, ale mimo to starałem się być ostrożny.

Darion protestował, gdy urządziłem go jako drzeworytnika, a nie stolarza meblowego. Musiałem więc mu to wyjaśnić.

- Ten gość, na którego natknąłem się w Sulturn, pewnie opowiedział swym przyjaciółom wszystko, czego dowiedział się o tobie, więc wiele nieprzyjaznych oczu będzie zaglądać do każdego warsztatu stolarskiego w królestwach Zachodu. Dla bezpieczeństwa twego, twej żony i twej cioci Pol czas, abyś zmienił zajęcie.

- Pewnie masz rację, Prastary - przyznał chmurnie.

- Dostrzeż dobre strony tej zmiany, Darionie - powiedziałem. - Dobre rzeźby możesz sprzedać niemal tak drogo jak meble, a nie będziesz musiał kupować tyle drewna.

Zmieniłem również ich imiona i skłoniłem Pol, by trochę ufarbowała ten swój podejrzany lok, aczkolwiek na niewiele się to zdało.

W końcu uznałem, że czas, bym opuścił Kotu. Nie potrafiłem nawet dobrze ostrugać kija, przeto trudno byłoby wyjaśnić moją obecność w warsztacie rzeźbiarskim. Pożegnałem się i po-żeglowałem z powrotem do Darine, potem udałem się do Muros i przeczekałem tam zimę, nim wyprawiłem się do Ulgolandu. Nadal chciałem spotkać się z nowym Gorimem, choć nie aż tak, bym miał ochotę brnąć przez zasy dla przyjemności jego towarzystwa.

Następnej wiosny, aby uniknąć rozmaitych potworów z Ulgolandu, jak zwykle przybrałem postać wilka i ruszyłem w drogę. Zapewne mogłem polecieć jako sokół, ale nie spieszyło mi się szczególnie, a pewniej czułem się w wilczej skórze.

Po dotarciu do ruin Prolgu - aczkolwiek Prolgu nie było w rzeczywistości zrujnowane, a jedynie opuszczone - udałem się do pewnego domu i oznajmiłem swe przybycie. Ulgosi zaprowadzili mnie na dół, do swych rozjaśnianych przyćmionym światłem jaskiń i domu nowego Gorima. Tradycyjnie dom Go-rima Ulgosów znajdował się w jednej z mrocznych jaskiń. To dziwnie ścięta, piramidalna budowla, stojąca na małej wysepce pośrodku płytkiego jeziora. Spływały do niego z góry strużki wody, rozbrzmiewając w tej wielkiej jaskini melancholijnym echem wiecznego żalu. Myślę, że to żal samego Ula. Ulgosi żyli w ciemnościach od tak dawna, że światło dzienne budziło w nich lęk, a słońce jest zabójcze dla ich oczu. Wyspa ze swymi marmurowymi kolumnami i zacienionymi brzegami wydawała się bardziej odpowiednia na zgromadzenia duchów niż ludzi.

Przy tym jeszcze Ulgosi mówili szeptem, aby nie budzić wszechobecnego echa. Toteż wizyta w Ulgolandzie bardziej przypominała wycieczkę do mauzoleum.

Polubiłem nowego Gorima. Był łagodnym, świątobliwym człowiekiem. Dobrze się rozumieliśmy. Jak się jednak okazało, nie byłem jedynym gościem w Prolgu. Krótko przede mną przybył Horban, członek korpusu dyplomatycznego Tolnedry. W Tol Honeth u władzy

była Druga Dynastia Horbitów, a uporczywe plotki, że w Ulgołandzie oprócz potworów żyją ludzie, obudziły ciekawość Rana Horba XVI. Wysłał więc swego kuzyna, Hor-bana, by zbadał sprawę i możliwość nawiązania kontaktów handlowych. Wiecie, jacy są Tolnedranie.

- On jest fatalnie niedouczony, Belgaracie - powiedział Go-rim. - Nie ma absolutnie pojęcia o tym, co dzieje się na świecie. Dasz wiarę, że nawet nie wiedział o istnieniu Ula, gdy tu przybył?

- Tolnedranie to światowi ludzie, Święty Gorimie - wyjaśniłem. - Ich Nedra jest najbardziej świeckim ze wszystkich bogów.

Gorim westchnął

- To prawda - przyznał. - Co mamy zrobić z tym człowiekiem, Belgaracie? Potrafi jedynie mówić o wymianie bezużytecznych błyskotek. Nazywa to "handlem" i zdaje się, że to część ich religii.

Roześmiałem się.

- Lepiej mu trochę ustąpić, Gorimie. W przeciwnym razie nigdy nie zaznacie spokoju. Pozwól Tolnedranom przybyć do tej doliny u podnóża góry, a potem raz na jakiś czas pozwól swym ludziom pójść tam i wymienić kilka błyskotek. Jeśli dobrze odczytałem proroctwa, to nadejdzie czas, gdy wszyscy będziemy walczyć z Angarakami. Legiony tolnedrańskie też wezmą w tym udział, więc lepiej niech oswoją się z myślą o waszej tu obecności. Odkrycie nie wykorzystanego rynku mogłoby odciągnąć ich uwagę od spraw większej wagi.

- Aha - powiedział Gorim - żeby nie zapomniał, mam dla ciebie wiadomość.

- Wiadomość?

- Od Wyroczeni z Kell. - Uśmiechnął się nieco z przymusem. Myśleliśmy, że wszystkie więzy z naszymi kuzynami z Dali zostały zerwane dawno temu, ale Dalowie nie są tacy jak inni ludzie. Wieki minęły od naszego ostatniego kontaktu, oni jednak nadal nie zapominają, że jesteśmy rodakami.

- Chcesz powiedzieć, że jedna z Prorokiń przybyła do Prol-gu? Kell jest pół świata stąd.

Gorim pokręcił głową.

- To była iluzja, Prastary. Prorokinie posiadają zdolności, których nie potrafimy pojąć. Pewnego ranka obudziłem się i ujrzałem człowieka z zawiązanymi oczami. Siedział przy moim stole, a za nim majaczyła ogromna milcząca postać. Ten z zawiązanymi oczami powiedział, aby przekazać ci, że zjednoczenie Mallorei niemal dobiega końca. Cesarz jest Angarakiem, jego tron znajduje się w Mai Zeth, ale kontynentem zarządzają głównie melceńscy biurokraci. Nawet Dalowie zainteresowali się rozwojem wydarzeń w Cesarstwie Mallorei. Prorokini powiedziała mi, bym cię przestrzegł, iż zbliża się czas, gdy Torak opuści

swą samotnię, by odzyskać dawną władzę.

Kiwnąłem głową.

- Sami już na to wpadliśmy. Dobrze jednak mieć potwierdzenie. Zbiło nas z tropu, gdy Torak nie zaatakował zaraz po zamordowaniu Rivańskiego Króla, ale Jednooki Bóg najwyraźniej wybiegał myślami w przyszłość. Czeka na swój czas w Ashabie, pozwalając cesarzom angarackim umacniać swą władzę w Mallorei. Gdy do tego dojdzie, przejmie dowodzenie i zorganizuje inwazję.

- Czynisz przygotowania?

- Przyjacielu, przygotowuję się na przyjęcie Toraka od dnia, gdy rozłupał świat. Mam dla niego w zanadrzu kilka niespodzianek.

- Prorokini powiedziała również, bym cię ostrzegł, że Ctu-chik opuścił Rak Cthol. Co też on zamierza?

- Szuka Polgary. Jego Murgowie od stuleci przetrząsają w jej poszukiwaniu cały Zachód. Najwyraźniej stary pies zamierza sam spróbować. Wiesz o jego poczynaniach, prawda?

Gorim skinął głową.

- Ul mnie informuje.

- Tak też myślałem. - Zmarszczyłem brwi. - Czemu nagle Dalowie przyszli nam z pomocą? Od początku czasu zachowywali całkowitą neutralność.

- Musimy założyć, że to ze względu na pomoc przy realizacji ich zadania. W jakiś sposób będą zaangażowani w rozstrzygające WYDARZENIE.

Pokiwałem posępnie głową.

- Tylko tego mi trzeba, żeby jeszcze ktoś mącił wodę. Już i tak jest wystarczająco mętna.

Zostałem w Prolgu około miesiąca, a potem wybrałem się do Arendii, by rzucić okiem na kilka rodzin, których doglądałem od wieków. Znalismy treść proroctwa i pewnie nie musiałem się martwić, ale zawsze lubiłem sam wszystkiego dopilnować. Nawet najlepsza maszyna czasami się psuje, a jestem w okolicy jedynym mechanikiem, który wie, jak ją naprawić.

Po zniszczeniu Vo Astur księżę Mimbratów okrzyknął się królem całej Arendii, choć w rzeczywistości niewiele to znaczyło. Mimbrańscy "monarchowie" byli ledwie marionetkami, którym politykę zagraniczną dyktowano z Tol Honeth i których trakty patrolowały tolnedrańskie legiony. Nie mieli jednak zbytnio czasu zastanawiać się nad tym. Chociaż wioski i miasta zostały zniszczone, to asturska szlachta i chłopci nie wyginęli, aczkolwiek ich

szeregi uległy znacznemu przeredzeniu. Wrócili po prostu do swoich lasów i zajęli się łucznictwem - dla rozrywki i korzyści. Strzelali do drzew, do jeleni, ale główny cel stanowili mimbrańscy poborcy podatkowi. Jelenie zjadali, ale Mimbratów zostawiali tam, gdzie padli. Jak można się

było spodziewać, rodzina Wildantora z entuzjazmem w tym uczestniczyła.

Porozglądałem się trochę, a gdy stwierdziłem, że rodzina Lelldorina była na właściwym miejscu i robiła, co do niej należało, kupiłem konia i pojechałem na południe, w kierunku Vo Mandor.

Było wczesne lato i gdy tylko wydostałem się poza pas mrocznego lasu pokrywającego północną Arendię, podróżowanie zrobiło się przyjemne. Wielki Trakt Zachodni ogromnie upraszczał wędrówkę. Pomocni Tolnedranie nawet zbudowali most na rzece Mallerin, więc mogłem przekroczyć ją, nie mocząc stóp.

Arendzki Wielki Jarmark znajdował się na skrzyżowaniu Wielkiego Traktu Zachodniego z głównym szlakiem, który biegł zachodnim krańcem Ulgolandu. Jarmark znajdował się tam od czasu Pierwszej Dynastii Horbitów, a to, że odbywał się pośrodku Wielkiego Traktu Zachodniego, oznaczało, iż chroniły go tol-nedrańskie legiony, które nie dopuszczały do rozlewu krwi. Tolnedranie nie pozwalali, aby cokolwiek przeszkadzało w handlu, nawet wojna domowa. Uznałem, że dobrze będzie zatrzymać się tam na kilka dni, by dać wytchnienie koniowi i zebrać trochę informacji.

Arendzki Wielki Jarmark był chaotycznym skupiskiem kolorowych namiotów. Odbywał się prawie od tysiąca lat i był konkurencyjnym ośrodkiem handlu dla targu bydła w Muros, w Sendarii. A skoro potrzebowałem informacji, udałem się na poszukiwanie Drasan.

Tak, nawet wówczas. Do utworzenia drasańskiej służby wywiadowczej doszło wkrótce po alornskiej ekspedycji do Nyissy i, podobnie jak dzisiaj, jej szeregi zasilali głównie kupcy. Gdy spotkacie drasańskiego kupca poza granicami Drasni, możecie spokojnie założyć, że ma jakieś powiązania z wywiadem. Oczywiście jest zainteresowany robieniem pieniędzy, ale interesuje się również zbieraniem informacji. Królowie Drasni sprytnie podkreślali fakt, że zbieranie informacji jest patriotycznym obowiązkiem każdego obywatela, toteż na ogół szpiedzy w Boktorze nawet nie musieli za nie płacić. To bardzo wygodne rozwiązanie, gdy przychodzi czas zbilansowania budżetu.

Pod wieloma względami jarmark ten przypominał miasto. Miał własne sklepy, tawerny, a nawet zajazdy dla tych kupców, którzy nie chcieli kłopotać się przywożeniem własnych namiotów. Układem również przywodził na myśl miasto. Miał błotniste ulice i, podobnie jak w Muros, kilka dzielnic. Tolnedranie pilnujący porządku na jarmarku byli na tyle mądrzy, by

oddzielić od siebie poszczególne rasy. Robienie interesów z kimś, kogo się nienawidzi, to jedna sprawa, ale obozowanie obok niego to już co innego.

Enklawa Drasan znajdowała się w północno-wschodniej ćwiartce, więc tam się udałem. Nie wyglądałem na kupca, toteż zdawali się mnie ignorować, ale nic nie umknie uwadze prawdziwego Drasanina. Oczywiście mógł tu być pomocny fakt, że rzucałem znaki rozpoznawcze, niczym druhna płatki róż na ślubie.

W końcu niewysoki kupiec, o bystrej twarzy i długim, spiczastym nosie wyszedł ze swego namiotu z fałszywym wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Grath! - zawołał. - Czy to naprawdę ty? Nie widziałem cię od dziesięciu lat! Co robisz w Arendii? - Jego palce zajęte były mówieniem mi, że był zawodowym szpiegiem i nazywał się Khaldan.

Wstrzymałem konia.

- Niech osłepnę, jeśli to nie mój stary przyjaciel Khaldan! - powiedziałem z pewnym entuzjazmem. Nigdy nie spotkałem się z nim osobiście, ale znałem jego ojca, gdyż miałem pewne plany względem tej rodziny. Ostatecznie połączenie małżeńskimi więzami rodziny Khaldana z panującym domem Drasni do-

prowadzi do przyjscia na świat drobnego człowieczka o spiczastym nosie, obdarzonego szczególnymi talentami. Gdy teraz o tym myślę, ten szpiczastonosy facet bardzo przypomina Khal-dana - co pewnie nie jest przypadkowe.

- Wejdz do środka - zaprosił mnie. - Wychylimy kilka kufli i opowiesz mi, co porabiałeś przez te wszystkie lata.

Zsiadłem z konia i wszedłem za nim do namiotu.

- Grath? - zapytałem ze zdziwieniem. - Skąd dowiedziałeś się o tym imieniu?

Drasanin szelmowskim gestem dotknął palcem nosa - najwyraźniej to rodzinne.

- Tajemnica państwowa - odparł. - Wywiad dużo o tobie wie, Prastary. W czym mogę ci pomóc?

- To nic konkretnego, Khaldanie - odparłem. - Udaję się na południe, to wszystko, i po prostu zatrzymałem się, żeby sprawdzić, czy nie wydarzyło się tu coś, o czym powinienem wiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- W Arendii nie dzieje się nic nadzwyczajnego, Prastary. Spojrzałem znacząco na odchyloną połę namiotu.

- Nie przejmuj się, Caracie - zapewnił mnie. - Nikt niepożądany nie zbliży się do mego namiotu. Możemy bezpiecznie rozmawiać.

- Być może, ale nie szafuj zbyt tym "Prastarym". Czy do granicy tolnedrańskiej nic szczególnego się nie dzieje?

- Może lepiej, abyś objechał baronię Vo Mandor - zasugerował. - Baron właśnie posprzeczał się z jednym ze swych sąsiadów.

Zakląłem.

- O co chodzi?

- Z nim właśnie chciałem się zobaczyć.

- A zatem zostań tu parę tygodni. Zakończenie tej sprzeczki nie potrwa długo. Rodzina Mandora cieszy się tu, w Mimbri, niezłą reputacją. Pojęcie ostrożności jest im zupełnie obce, ale

na szczęście, na razie nie trafili na nic, z czym nie potrafiliby sobie poradzić.

- Wiem - przyznałem - i niewiele się zmieni w dającej się przewidzieć przyszłości. Czy na jarmarku jest wielu Murgów?

- Zabawne, że o to pytasz. Właśnie sam miałem o tym powiedzieć. Kilka dni temu przyjechał tu wysoko urodzony Murg. Musi zajmować dość wysoką pozycję, ponieważ inni Murgowie robili wszystko, co kazał, bez słowa sprzeciwu.

- Dowiedziałeś się przypadkiem, jak mu na imię?

- Tak, i nie był to przypadek. Jestem zawodowcem, przyjacielu. Nazywał siebie Achakiem, ale węższą tu podstęp.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, szczuplejszy od większości Murgów, miał białe włosy i długą, poźółkłą brodę. Nie jest wielkim czyściochem. Z tego, co słyszałem, okropnie cuchnie.

- No, no - powiedziałem. - Jak to dobrze się składa. Nie będę go musiał szukać.

- Znasz go?

- Znam go od stuleci. Gorim powiedział mi, że opuścił Rak Cthol. Ciekaw byłem, co robi.

- Rak Cthol? Chcesz powiedzieć, że ten Achak to Ctuchik, prawda?

- No cóż, tego jeszcze nie powiedziałem, ale na to wygląda.

- A to ci dopiero gratka. - Oczy mu pojaśniały. - Chcesz, bym go zabił?

- Zapomnij o tym, Khaldanie. Nie udałoby ci się wysłać w jego pobliże zabójcy. Poza tym później może być mi jeszcze potrzebny. Czy coś robi - poza terroryzowaniem wszystkich Murgów?

- Odbywa długie narady - z Murgami, Nadrakami, a nawet kilkoma Thullami. O co mu chodzi?

- Czegoś szuka.

- Tak? Czego?

Szelmowskim gestem dotknąłem nosa.

- Tajemnica państwowa - odwzajemniłem się jego własnym wykrętem. - Gdzie jest enklawa Murgów? Chyba utnę sobie jeszcze jedną pogawędkę z uczniem Toraka.

- Poślę kilku ludzi, aby cię strzegli.

- To nie będzie konieczne. Ctuchik nie przybył tu dla konfrontacji - a przynajmniej nie ze mną. Gdy tylko dowie się, że tu jestem, pewnie wróci do Rak Cthol, gdzie jego miejsce. Czy jest tu sam?

- Nie. Ma z sobą kapłana, Grolima - najwyraźniej pochlebcę. Jeśli Ctuchik wpadnie w wojowniczy nastrój, obu będziesz miał na karku, więc lepiej bądź ostrożny.

- Ilość niewiele dla mnie znaczy, Khaldanie. Gdzie jest enklawa Murgów?

- Na zachodnim krańcu jarmarku. Mieszkają w czarnych namiotach, więc ich nie przegapisz

- Dobrze. - Wstałem. - Wrócę niedługo. - Wyszedłem z namiotu, dosiadłem konia i pojechałem przez jarmark do enklawy Murgów. - Hej, ty tam - krzyknąłem do pierwszego napotkanego Murga. - Muszę rozmawiać z Achakiem. Gdzie go znajdę?

- Achak nie rozmawia z obcymi - odparł wyniośle.

- Ze mną będzie. Idź mu powiedz, że Belgarath chce się z nim zobaczyć.

Wyraźnie poblądł i spiesznie oddalił się w kierunku dużego namiotu. Po chwili wrócił, a jego maniery uległy wyraźnej poprawie.

- Zobaczy się z tobą - oznajmił.

- Tak właśnie myślałem. Prowadź, przyjacielu.

Uczył to, choć niechętnie. Miałem wrażenie, że wolał nie znajdować się w pobliżu namiotu Achaka, gdy tam wejść.

Ctuchik nie był sam. Grolim, o którym wspomniał Khaldan, kręcił się z tyłu ze służalczym wyrazem twarzy.

- Okropnie miło znów cię widzieć, stary - powiedział Ctuchik z bladym uśmiechem przyklejonym do zbyt chudej twarzy. - Minęło wiele czasu, nieprawdaż? Już zaczynałem myśleć, że cię czymś obraziłem.

- Obrażasz mnie już samym swym istnieniem, Ctuchiku. Co skłoniło cię do zejścia ze szczytu? Czyżby w końcu smród twej świątyni zaczął przyprawiać cię o mdłości?

- Błuznierstwo! - krzyknął Grolim.

- Czy on służy do czegoś? - zapytałem, wskazując kciukiem na Grolima.

- To terminator, Belgaracie. Wprowadzam go w nasze sprawy.

- Czy ty się aby nadto nie wywyższasz, stary? Bierzesz już sobie uczniów? Torak może tego nie pochwalić.

- On jest służącym, Belgaracie, nie uczniem, a Torak pozwala nam robić, na co mamy ochotę. Pomyśl o tym, gdy następnym razem Aldur wyśle cię z jakimś głupim zadaniem. Jeśli masz ochotę zmienić Mistrza, mogę się za tobą wstawić.

- Jedna czarna owca w rodzinie wystarczy, Ctuchiku, a poza tym nie zamierzam zmieniać strony, gdy wygrywam.

- Wygrywasz, Belgaracie? Dziwne, że tego nie zauważyłem. Lepiej zapoznaj się z mym służącym. Myślę, że od dziś będziesz go często widywał. - Spojrzał na Grolima. - Chamdar, to jest Belgarath, pierwszy uczeń Boga Aldura. Nie daj się zwieść jego głupiemu wyglądowi. Czasami potrafi być nieznośny.

- Staram się, jak mogę - powiedziałem z uśmiechem. Przyjrzałem się uważnie Grolimowi. Miał poznaczone bliznami policzki jak Murgowie, ale różnił się od nich. Było w nim pewne zuchwalstwo, a w oczach płonęła ambicja, z której chyba Ctuchik nie zdawał sobie sprawy. - Tracisz czas, Ctuchiku. Nie znajdziesz mojej córki, choćbyś nie wiem ilu Murgów słał na zachód i z pewnością sam też jej nie odszukasz. O czymś takim byłoby w naszych instrukcjach.

- Zobaczymy - odparł z rezerwą. - Okropnie miło, że wpadłeś, stary. Mogłem pokazać Chamdarowi twój portret, ale tak jest znacznie lepiej.

Roześmiałem się.

- Wysyłasz chłopca do męskiej roboty, Ctuchiku - orzekłem. - Nie zaprowadzę twojego sługi nawet w pobliże Połgary.

- To się okaże. Wcześniej czy później wydarzy się coś, co skłoni cię do pójścia do niej.

- Nigdy nie spotkałeś mej córki, Ctuchiku. Wierz mi, potrafi się o siebie zatroszczyć. Zabierz swego Grolima i wracaj do domu. Pogromca Boga nadchodzi i nic na to nie możesz poradzić.

- To WYDARZENIE nie zostało jeszcze postanowione.

- Ale tak będzie, stary, i nie sądzę, aby spodobały ci się rezultaty. Idziesz, Chamdarze?

- Iść? - zapytał zbity z tropu. - Dokąd?

- Nie bądź dziecinny. Gdy tylko wyjdę z namiotu, twój Mistrz każe ci mnie śledzić. Będzie nam obu łatwiej, jeśli odjedziemy razem.

- O tym zdecyduje mój Mistrz - odparł chłodno.

- Jak sobie chcesz. Pojadę stąd na południe. Gdybyś przypadkowo zgubił trop, za kilka

tygodni będę w Tol Honeth. Rozpytaj o mnie, gdy tam dotrzesz. Wskaż mi drogę.

Potem odwróciłem się i opuściłem namiot.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Polgara uważała stulecia, które musiała spędzić w królestwach porywczych Alornów, za czas wygnania. Pol lubiła pojedynczych Alornów, ale jako rasa doprowadzali ją do szewskiej pasji. Tęskniła za powrotem do Sendarii. Sendarowie nie wydają się tak dworni jak wacuńscy Arendowie, ale są uprzejmymi, dobrze wychowanymi ludźmi, a dobre wychowanie jest dla mojej córki bardzo ważne.

W ciągu owych lat sporo czasu poświęciłem na zapewnienie rozrywek ambitnemu Chamdarowi. Raz po raz opuszczałem Dolinę, wybierałem na chybił trafił jakąś zapadłą wioskę w Sendarii lub północnej Arendii i zabijałem tam kilku Murgów. Chamdar oczywiście dochodził do wniosku, że zgładziłem ich, ponieważ za bardzo zbliżyli się do Polgary. Pędził na miejsce wypadku i przez pięć, sześć lat podążał różnymi fałszywymi tropami, które dla niego zostawiłem. Potem okazywało się, że ślady prowadzą donikąd i zaczynaliśmy wszystko od nowa w innym miejscu. Jestem pewny, że dobrze wiedział, co robię, ale nie miał innego wyboru. Musiał reagować na moje posunięcia. Fakt, że nie starzał się z biegiem stuleci, świadczył o pewnym jego statusie w społeczności Grolimów. Nie był uczniem w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zajmował bardzo zbliżoną pozycję.

Polgara w tym czasie przebywała bezpieczna - choć może niezadowolona - w Chereku, Drasni lub Algarii. Miała zwyczaj oddawania młodego dziedzica w termin do jakiegoś rzemieślnika, a kiedy osiągnął wiek męski, otwierała mu własny warsztat - tak było i z Darionem w czterdziestym piątym wieku. Nigdy nie dowiedziałem się, skąd zdobywała pieniądze na te wszystkie przedsięwzięcia. Niezmiennie podawała się za członka rodziny młodego człowieka, starszą siostrę, kuzynkę, bardzo często ciotkę, a kilka razy nawet za matkę młodzieńca. Rodziny, które w ten sposób tworzyła, były tak zwyczajne, że przypadkowi podróżni - lub pierwszy lepszy Angarak - nawet nie zwracali na nich uwagi. Jestem pewny, że nudziło ją to, z własnej woli przyjęła jednak na siebie trud ukrywania spadkobierców, a odznaczała się wyjątkowo silnym poczuciem odpowiedzialności.

Mój wkład - trzymanie na dystans Chamdara - miał pomniejsze znaczenie, ale lubiłem myśleć, że byłem chociaż trochę pomocny. Doglądałem również regularnie wszystkich rodzin, których przyszłością manipulowałem i raz po raz zapuszczałem się do Cthol Murgos, aby sprawdzić, co zamierza przeciwnik.

Spółeczność Murgów nie podobna jest do żadnej innej, głównie dlatego, że opiera się na wojskowych zasadach. Zamiast księstw mają tam okręgi wojskowe, każdy z własnym

generałem. Z powodu obsesji Murgów na tle czystości rasowej, ich kobiety pozostawały w domach, więc na ulicach widywało się jedynie mężczyzn w kolczugach. W ciągu stuleci korona przechodziła na różnych dowódców wojskowych, były więc Dynastie Goska, Cthan, Hagga i ostatnio Dynastie Urga. Tak naprawdę nie miało znaczenia, kto zasiadał na tronie w Rak Goska, ponieważ Ctuchik zawsze rządził Cthol Murgos ze swej wieży w Rak Cthol.

Bliźniacy kontynuowali prace nad indeksem, a Beldin nadal prowadził obserwacje w Mallorei. Wszystko toczyło się utartym szlakiem, aż do połowy czterdziestego dziewiątego wieku. Był to jeden z tych spokojnych okresów, które zdarzają się co jakiś czas w historii świata. Potem, wiosną 4850 roku, doszło do całkowitego zaćmienia słońca. Zaćmienie nie jest niczym wyjątkowym, dlatego nie przywiązywaliśmy do niego większej wagi - przynajmniej początkowo. Okazało się jednak, że było dość szczególne. Zdaje się, że pociągnęło za sobą znaczną zmianę klimatu. Dacie wiarę, że padało niemal bez przerwy przez dwadzieścia pięć lat? Prawie nie widywaliśmy słońca.

Kilka miesięcy po zaćmieniu Beldin wrócił z Mallorei z wiadomościami, na które wszyscy czekaliśmy. Ociekając wodą wkuśtykał po schodach do mej pracowni.

- Paskudna pogoda - mruknął. - Od trzech miesięcy nie byłem suchy. Masz coś do picia? Przemarzę do szpiku kości.

- Chwilowo nie - powiedziałem. - Zajrzyj do bliźniaków.

- Może później. - Osunął się na krzesło przy kominku i zdjął przemoczone buty. - Nareszcie stało się, Belgaracie - powiedział, kurcząc palce u nóg.

- Co?

- Stara Spalona Gęba nareszcie opuścił Ashabę.

- Dokąd się udał?

- Do Mai Zeth. A gdzież by indziej? Usunął obecnego cesarza i przejął osobistą kontrolę nad Cesarstwem Mallorei. - Kichnął. - Jesteś ekspertem od starego angarskiego języka. Co znaczy słowo "Kal"?

- Król i Bóg. Grolimowie dość powszechnie używali tego określenia w Korimie. Zdaje się, że poszło w zapomnienie - pewnie dlatego, że Torak na ostatnie trzy tysiąclecia zaszył się w Ashabie.

- A zatem Spalona Gęba ma dobrą pamięć. Nazywa teraz siebie "Kal Torak" i dokłada starań, aby wszyscy w Mallorei rozpoznawali owo imię.

- Przeprowadza mobilizację?

- Jeszcze nie. Na razie zajęty jest desekularyzacją Mallorei. Ponownie wprowadza rozkosze religii. Urvon ma dzień wypełniony po brzegi. Jego Grolimowie zarzynają każdego,

kto

wpadnie im w ręce. Świątynie od Camat po Gandahar toną we krwi.

- Chodźmy porozmawiać z bliźniakami. Trzeba sprawdzić, co mówi o tym Kodeks Mriński.

- Ty szybko przystroj się w piórka i ruszaj na północ ostrzec Alornów.

- Za chwilę. Najpierw chcę rzucić okiem na Kodeks Mriński.

- Nie mam dużo czasu, Belgaracie. Muszę wracać do Mal-lorei. Nie chcę, aby Kal Torak chyłkiem najechał kraj z kilkoma milionami Mallolean.

- Jestem pewny, że usłyszę jego nadejście.

- Gdzie jest teraz Pol?

- W Brodzie Aldura, w północnej Algarii.

- Powiedz jej, żeby wracała do domu.

- Zobaczmy. Nie zrobię niczego, dopóki nie dowiem się, co mówi o tym Kodeks Mriński.

Bliźniaków ogarnęło wielkie podniecenie, gdy Beldin oznajmił im, że Torak nareszcie opuścił Ashabę. Natychmiast zabrali się do pracy. Beldin kuśtykał tam i z powrotem z coraz większą niecierpliwością.

- Proszę, bracie - zwrócił się do niego Belkira, unosząc głowę znad swojej kopii Kodeksu Mrińskiego - usiądź gdzieś. Usiłujemy się skoncentrować. - Tylko kilka razy zdarzyło się, aby któryś z bliźniaków okazał choćby odrobinę zdenerwowania.

Po godzinie Belkira triumfalnie poklepał Kodeks Dariński.

- Oto jest! - zawołał. - Wiedziałem, że pamiętam.

- O czym mówi? - dopytywał się Beldin.

- To jest ten fragment o zaćmieniu. Mówi: "Słuchajcie! Słońce pochłonie ciemność a niebiosy płakać będą bez końca i to będzie znak, że Król powrócił i Bóg również".

- Ten kawałek o płaczącym niebie całkowicie się sprawdził - zauważył Beldin.

- Źle to odczytaliśmy - przyznał Beltira. - Ten fragment mówi tylko o jednym z nich, nie o obu.

- Czy zechciałbyś mówić bardziej do rzeczy? - wybuchnął Beldin.

- Rozpatrywaliśmy to ze złego punktu widzenia - wyjaśnił Beltira. - Myśleliśmy, że ten fragment oznacza, iż Rivański Król pojawi się ponownie i w tym samym czasie Torak opuści Ashabę. To jednak nie ma nic wspólnego z Rivańskim Królem. Mówi jedynie o Toraku, jako że on jest zarówno Bogiem, jak i królem dla Angaraków. Zaćmienie i podła pogoda ostrzegały nas przed tym, ale spadkobierca Żelaznopalcego ma już ponad pięćdziesiątkę, więc

zlekceważyliśmy tę możliwość. Przykro nam, Belgaracie.

- Ja też pewnie bym to przegapił, Beltiro. Nie wiń siebie. Gdzie jest odpowiedni fragment w Kodeksie Mrińskim?

Belkira sprawdził w swym indeksie, wziął trzeci zwój Kodeksu Mrińskiego, rozwinął go i odszukał odpowiedni znaczek.

- Tutaj - powiedział, podając mi zwój i wskazując na znaczek.

- „Słuchajcie! - przeczytałem głośno. -W dzień, w którym słońce zgaśnie w południe, a niebiosa zapłaczą, ponownie pojawi się król i zasiądzie na tronie, i odsunie tego, kto go zastępował”.

- Wiem, czemu mylnie go odczytaliście, bracia - zwrócił się Beldin do bliźniaków. - Jest tak niejasny, że równie dobrze mógł dotyczyć Rivańskiego Króla. Co mówi dalej, Belgaracie?

- “I narodzi się ze swymi lennymi królami - czytałem dalej - instrukcji im udzieli, co czynić mają. W godzinie przeznaczenia zbierze swe siły i wyruszy, by stanąć twarzą w twarz z drugim Dzieckiem. I jedno z nich Bogiem będzie, a drugie z nich na podobieństwo Boga, i Klejnot zdecyduje o tym, co będzie na ziemiach dzieci Boga-Byka”.

- Arendia? - Beldin zapytał. - Dlaczego Arendia?

- Już poprzednio czyniono do tego aluzje - powiedział Beltira. - Coś ważnego wydarzy się w Arendii.

- Co jeszcze mówi? - zapytał mnie Beldin.

Przeczytałem następną linijkę i zacząłem kłać.

- O co chodzi? - dopytywał się Beldin.

- Tu się urywa. Teraz mówi o “Matce Wymarłej Rasy”.

- Beltira i ja pracujemy jeszcze nad tym - rzekł Belkira.

- Wiemy dość na początek, Belgaracie - stwierdził Beldin. - Obaj mamy co robić, a bliźniakom lepiej się będzie pracowało, gdy nie będziemy im siedzieć na karku. Wracam do Mallo-rei. Ty lepiej ostrzeż Alornów i znajdź bezpieczne miejsce dla Polgary. W Brodzie Aldura jest tylko rzeka i dużo stepów.

Chrząknąłem i wstałem.

- Pewnie masz rację - przyznałem. - Wolałbym, co prawda, odczytać jeszcze kilka wskazówek, ale chyba nic z tego.

- Będziemy w kontakcie - obiecał Beltira. - Damy znać tobie lub Pol, gdy tylko trafimy na coś ważniejszego.

- Serdeczne dzięki, bracie - odparłem.

Odleciałem z Doliny na północ, do Twierdzy Algarów, i dowiedziałem się od doglądających ją ludzi, że Cho-Ram XIV, obecny Wódz Wodzów Klanów Algarii, przebywa w okolicach jeziora Atun, w pobliżu granicy z Drasnią.

Jestem pewny, że to imię zabrzmiało wam znajomo. Rodziny królewskie zwyczajowo nadają te same imiona. To głupie, ale przynajmniej nie nadweręza niczyjej wyobraźni.

Odszukanie czternastego Cho-Rama zajęło mi tylko dwa dni. Wódz był młodym mężczyzną, zgodnie z tradycją nosił ubranie z końskich skór i miał ogoloną głowę - z wyjątkiem kosmyka zwisającego mu z tyłu głowy jak koński ogon. Przypominał bardzo adoptowanego syna Cho-Haga, Hettara.

- Najwyższy czas. - To wszystko, na co się zdobył, gdy opowiedziałem o nadejściu Toraka. Niezaprzeczalnie był prawdziwym potomkiem oszczędnego w słowach Algara Chyżonogiego.

- Nie przybywa z towarzyską wizytą - odparłem kwaśno.

- Wiem. - Uśmiechnął się.

Alornowie!

- Zbierz swoje klany - poradziłem.

- Ile mamy czasu?

- Nie jestem pewny. Malloreia jest duża i trochę czasu zajmie Torakowi zgromadzenie sił. Jest tam Beldin, więc da nam znać.

- Czy trzeba nam czegoś więcej? Zwołam klany i udamy się do Twierdzy. Będę tam, gdybyś mnie potrzebował.

- Czy Khalan jest nadal królem Drasni?

- Nie. Zmarł zeszłej jesieni. Jego syn, Rhodar, nosi koronę.

- Ruszę więc lepiej do Boktoru i porozmawiam z nim. Obserwuj uważnie Wschodni Szaniec. Coś ważnego wydarzy się w Arendii i Murgowie mogą zejść z urwiska, by trochę nadwerężyć wasze siły przed nadejściem Toraka. Stoicie mu na drodze.

- Dobrze.

- Dobrze? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie będę musiał go szukać.

- Czy twoja babka nie była przypadkowo Arendką?

- Belgaracie! Jak możesz coś takiego sugerować!

- Nieważne. Zabieraj się do pracy. Ja ruszam rozmówić się z Rhodarem, a potem do Val Alorn zobaczyć się z Eldrigiem.

Zauważcie, że w tym momencie bardzo pochopnie obrałem ścieżkę wiodącą do

mylnego wniosku. Zarówno Mishrak ac Thull, jak i Algaria były krainami stepowymi, Torak zaś będzie prowadził wielką armię. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby przeprowadzić całe wojsko przez Puszcę Nadrału.

Rhodar I z Drasni nie był tak korpulentny jak jego imiennik pięć wieków później, ale i tak szczyił się okazałą tuszą. W końcu był potomkiem Drasa o Byczym Karku. W ciągu następnych dwudziestu lat zadaliśmy o to, by stracił większość sadła. Ostrzegłem go przed tym, co działo się w Mallorei. Zaczął układać plany obrony z generałami, a ja poleciałem do Val Alorn.

Król Chereku, Eldrig, był prawdziwym przedstawicielem swej rasy. Po pierwsze, jego kufel częściej wypełniała woda niż piwo, a po drugie, odebrał stosowne wykształcenie. Pod tym względem przypominał bardzo Anhega. Różnili się jedynie tym, że Anheg od czasu do czasu lubił wypić.

- Arendia? - zapytał, gdy powiedziałem, co ma się wydarzyć.

- Tak mówi Kodeks Mriński.

- Jesteś pewny? Torak przybywa na zachód, aby zdobyć Klejnot, prawda? Klejnotu nie ma w Arendii, jest w Rivie.

- Bliźniacy nadal pracują nad Kodeksem Mrińskim. Może dogrzebią się wyjaśnienia. Jak na razie wiemy tylko, że do WYDARZENIA dojdzie na ziemiach dzieci Boga-Byka. Jeśli nic się nie zmieni, oznacza to Arendię.

Eldrig podrapał się po siwej głowie i utkwiał spojrzenie w mapie.

- Torak może przejść przez Mimbre, a potem skręcić na północ, na Przylądek Arendii, by dostać się na Wyspę od południa. Jeśli akurat będziemy na jego drodze, może dojść do konfrontacji.

Ja również spojrzałem na mapę.

- Nie ma potrzeby tam gnać, dopóki Torak nie wykona ruchu - stwierdziłem. - Daj znać Brandowi. Powiedz mu, że przybędę na Wyspę trochę później. Najpierw muszę załatwić parę spraw.

- Uważasz, że powinienem wprowadzić blokadę Wyspy? - zapytał.

- Ostatecznie trzeba to będzie zrobić, ale nie drażnijmy na razie Tolnedran, każąc im zamykać stragany na plaży. Będę potrzebował legionów, więc wolę, by Ran Borune nie popsuł nam szyków. Starczy nam czasu, gdy Torak ruszy, aby zapęłnić Morze Wiatrów okrętami wojennymi. Beldin nas o tym wcześniej uprzedzi.

- Żałuję, że nie mamy nic więcej do roboty.

- Ja również, ale jak na początek wystarczy. Czy mógłbyś ostrzec również Ormika z

Sendarii?

- Nie mówisz poważnie!

- Sendarowie również tu żyją, Eldrigu.

- Na niewiele przydadzą się w walce hodowcy kapusty.

- Być może, ale jeśli wszystko przybierze taki obrót, jak myślę, to prawdopodobnie co jakiś czas będziemy musieli przejść przez Sendarię, dlatego lepiej mieć Ormika po swojej stronie.

- Będzie, jak mówisz, Prastary. - Usiadł wygodniej w swym fotelu. Król Eldrig miał siwe włosy, ale uśmiech, który nagle rozjaśnił mu twarz, był zaskakująco młodzieńczy. - Na to czekaliśmy, prawda, Belgaracie?

- Przypuszczam, że faktycznie to jedno z tych WYDARZEŃ. Myślę, że będą jeszcze inne.

- Jedno na razie wystarczy. Nie jestem zachłanny. To jest to WYDARZENIE, na które czekaliśmy od czasów Chereka.

- O tym, jaki z ciebie szczęściarz, pogadamy po wojnie, Eldrigu. Ostatnia nie była zbyt przyjemna, o ile sobie przypominam. Rozpocznij przygotowania i sięgnij do swego skarbcza, by wynająć budowniczych okrętów. Być może będę potrzebował więcej statków.

Eldrig skrzywił się.

- Może zaciągnąłbym pożyczkę u Rana Borune.

- Osobiście nie radziłbym ci, musiałbyś dobrze uważać na jego procenty. Bierz się do roboty, Eldrigu. Będę z tobą w kontakcie.

Z Val Alorn poleciałem na południowy wschód, do Brodu Aldura w północnej Algarii, by porozmawiać z Polgarą. Jej dom stał przy samym brodzie, więc ruszyłem wolno przez miasto w kierunku rzeki. Nie licząc Twierdzy, Bród Aldura jest jedynym miastem w Algarii. Algarowie mieli dość nikłe pojęcie o tym, jak powinno wyglądać miasto. Idea wytyczonych prosto

ulic nie przyjęła się i mieszkańcy Brodu Aldura budowali swe domy, gdzie popadło. Toteż odnalezienie drogi było prawdziwym wyzwaniem.

W końcu odszukałem dom Pol i zapukałem do drzwi. Otworzyła niemal natychmiast. Jak zwykle była ubrana na niebiesko i powitała mnie ze swą zwykłą uprzejmością.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała z wyrzutem. - Czekam na ciebie już od dwóch tygodni.

- Musiałem porozmawiać z paroma Alornami. - Zajrzałem w głąb jej kuchni. Przy stole siedział jedenastoletni chłopiec. Nietrudno było go rozpoznać, jako że wszyscy potomkowie

Rivy wyglądali bardzo podobnie. Miał jasne włosy i ten sam poważny wyraz twarzy. Obok niego ciemnowłosa Algarka łuskała groszek. Nigdy nie byłem pewny, ile Polgara wyjawiała kolejnym wychowankom, więc uznałem, że lepiej porozmawiać z nią na osobności. - Przejdźmy się trochę, Pol - zaproponowałem. - Musimy podjąć bardzo ważne decyzje.

Polgara obejrzała się, skinęła głową, schwyciła szal i wyszła.

- Co się stało z jego ojcem?

- Umarł - odparła krótko, a w jej głosie dał się słyszeć ten sam stary smutek.

- Jak chłopcu na imię?

- Garel. Jest dziedzicem.

- To rzuca się w oczy.

Widziałem, że nie miała ochoty rozmawiać, więc szliśmy w milczeniu. Brzegiem rzeki oddaliliśmy się poza ostatnie domy. Chmury, które od miesiący bez przerwy pokrywały niebo, rozstały się i na krótko zaświeciło słońce. Lekki wietrzyk marszczył powierzchnię wody. Spojrzałem na drugą stronę szerokiej rzeki i poczułem szczególny dreszcz. Byłem niemal pewny, że to na tamtym brzegu zabawny staruszek na rozklekotanym wozie udzielił mi wskazówek na temat podziału Alorii, gdy dwadzieścia dziewięć stuleci temu wracałem z Cthol Mishrak z Cherekiem i jego chłopcami.

- O co chodzi? - zapytała z ciekawością Pol.

- Nic ważnego - odparłem, wzruszając ramionami. - Już tam byłem, to wszystko.

Domyślam się, że wiesz, co się wydarzyło?

Polgara kiwnęła głową.

- Bliźniacy mi powiedzieli. Nie mogli cię zlokalizować, więc poprosili, bym przekazała ci kilka rzeczy.

- Słucham.

- Udało im się wydobyć trochę więcej informacji z Kodeksu Mrińskiego. Brand będzie Dzieckiem Światła w tym WYDARZENIU.

- Brand?

- Tak mówi Kodeks Mriński. W odpowiednim fragmencie czytamy: "Niechaj ten, który miast Strażnika stoi, spotka się z Dzieckiem Mroku we włościach Boga-Byka". To chyba oznacza Branda, prawda?

- Trudno, aby znaczyło kogoś innego. Najwyraźniej zasady zostaną złagodzone, w każdym razie na tyle, by Brand mógł wziąć miecz Rivy.

- Bliźniacy nic nie mówili. Zdaje się, że nadal pracują nad tą częścią proroctwa. Coś znajdują.

- Przynajmniej powinni. Podaj mi dłoń, Pol. Chciałbym porozmawiać z bliźniakami, a oboje powinniśmy słyszeć ich słowa.

Kiwnęła głową i wyciągnęła do mnie rękę. Przez te wszystkie lata rzadko dotykaliśmy się z Pol, a jeszcze rzadziej łączyliśmy swe umysły, aby coś wspólnie zrobić. Kolejny raz zaskoczyła mnie głębia umysłu mojej córki oraz jego subtelność. Najbardziej uderzał mnie jednak jej głęboki smutek. Zdaje się, że wszyscy przeoczyliśmy fakt, iż zadanie, które dobrowolnie na siebie wzięła, wiązało się z wychowaniem wielu chłopców, przyglądaniem się, jak dorastali, żenili się, a potem starzeli i umierali. W jej umyśle rozbrzmiewało echo nie słabnącego smutku, którego nic nigdy nie ukoj.

Połączyliśmy swe umysły i wysłaliśmy wspólne wołanie.

- Bracia!

- Belgarath?- dotarł do nas w odpowiedzi głos Beltiry. -Gdzie jesteś?

- W Brodzie Aldura. Jest ze mną Pol. Moglibyście wyjaśnić nam kilka rzeczy?

- Oczywiście.

- Czy dowiedzieliście się już, jak Brand ma użyć Klejnotu?

- Nie. To bardzo trudne, Belgaracie. Myślę, że to będzie ważne WYDARZENIE. Kodeks Mriński zawsze robi się bardzo niejasny, gdy mowa o jednym z nich.

- Są jakieś wskazówki, co ja mam robić?

- Ty i Pol macie udać się do Rivy na spotkanie z alornski-mi królami. Jest coś jeszcze. Przed udaniem się do Rivy macie zabrać spadkobiercę Żelaznopalcego do Twierdzy.

- Nie ma mowy! - przekrzyczała mnie Pol. - Twierdza znajduje się dokładnie na trasie przemarszu Toraka.

-Ja wam przekazuję tylko zdania z Kodeksu Mrińskiego, Pol - odparł Beltira. - "A Strażnik winien schronić się w Twierdzy Ludu Koni, albowiem cała potęga Dziecka Mroku nie zwycięży jej murów". Pewnie masz słuszność. Torak będzie oblegać Twierdzę, ale jej nie zdobędzie.

- Nie podoba mi się to - oświadczyła gniewnie.

- To ma sens, Pol - powiedziałem głośno. - My musimy udać się do Rivy, która jest bezpiecznym miejscem dla Gare-la i jego matki. W ciągu tych ośmiuset lat przede wszystkim trzymaliśmy Klejnot z dala od kolejnych dziedziców. Jeśli zabierzemy Garela do Rivy, to będzie musiał wziąć miecz, a jest jeszcze za młody. - Potem ponownie wysłałem swe myśli ku bliźniakom. - Czy udało wam się ustalić ramy czasowe owych WYDARZEŃ?

- Z Kodeksu Mrińskiego? Wiesz przecież, że tam nie istnieje pojęcie czasu.

- Mieliście wieści od Beldina?

- Raz czy dwa. Torak nadal jest w Mai Zeth i ma przy sobie Zedara i Uruona.

- A zatem powinniśmy zdążyć.

- Zobaczymy. Będziemy dalej nad tym pracować, ale wy lepiej ruszajcie.

Wróciliśmy z Pol brzegiem rzeki ku Brodowi Aldura.

- Nie podoba mi się to, ojczy - powtórzyła.

- Mnie również. Gramy w grę Pol, a jeszcze nie znamy wszystkich zasad, więc chyba musimy zdać się na wiarę. Musi- my wierzyć, że Cel wie, co robi.

- Nadal mi się to nie podoba.

- Czasami musimy robić rzeczy, których nie lubimy, Pol. Za to nam płacą.

- Płacą?

- To taka przenośnia.

Garel i jego matka nie wiedzieli zbyt wiele o swej prawdziwej sytuacji i uznaliśmy z Pol, że tak będzie lepiej. Wszyscy Dziedzice Tronu Rivy byli, jak to nazywaliśmy, "utalentowani" - jedni bardziej, inni mniej - a nie jest zbyt bezpiecznie, by cza-rodziej-nowicjusz wiedział zbyt wiele. Garion, który jest bardziej niż trochę utalentowany, z pewnością pamięta, jak w dzieciństwie, które spędził na farmie Faldorna, wielokrotnie z Pol zręcznie wykręcaliśmy się od odpowiedzi na jego pytania. Oczywiście to Pol postanowiła, aby tak robić, ale gdy się trochę nad tym zastanowiłem, całkowicie poparłem jej decyzję. Dzięki temu uniknęliśmy różnego rodzaju nieprzyjemnych sytuacji.

W Brodzie Aldura jak zwykle puściliśmy w obieg historię o "nie cierpiących zwłoki sprawach rodzinnych". Dzień później spakowaliśmy Garela i Adane i wyruszyliśmy do Twierdzy. Po przybyciu porozmawiałem z Cho-Ramem i we troje pojechaliśmy do Rivy.

Pogoda na Wyspie Wiatrów zwykle jest okropnie paskuda, więc ledwie zauważaliśmy ową gruntowną zmianę klimatu, którą przyniosło zaćmienie. Nad portem szalała ulewa. Schody wio-

dące do Cytadeli przypominały wodospad, a z okapów, pokrytych łupkiem kamiennych domów, spływały na brukowane ulice potoki wody. Wszystko sprawiało dość przygnębiające wrażenie.

Eldrig i Rhodar jeszcze nie przybyli, więc spotkaliśmy się z Brandem i Cho-Ramem w jednej z wież majaczących nad Cytadelą. Przez ostatnie kilka lat włączyłem się trochę, toteż nie znałem zbyt dobrze obecnego Strażnika Rivy. Choć pozycja Strażnika nie jest dziedziczna, to jednak kolejnych mężczyzn, którzy ją zajmowali, cechowało pewne podobieństwo charakterów.

Rivanie nie posunęli się tak daleko jak Nyissanie, ale przy wyborze Branda postępowali

dość podobnie. Wszyscy Rivańscy Strażnicy byli solidnymi, wrażliwymi mężczyznami, na których można było polegać. Ten jednakże był prawdziwie wyjątkowy. Przypuszczalne Dziecko Światła było potężnym mężczyzną. Alornowie na ogół są wysocy. Tolnedranie, będący raczej drobnej budowy, próbowali rozpowszechnić stare tolnedrańskie przysłowie przeciwstawiające fizycznym rozmiarom zdolności umysłowe. Sam nie jestem zbyt wysoki, ale nieraz czułem się mały przy spotkaniu z tymi olbrzymami. Obecny Rivański Strażnik był inteligentny i miał niski, głęboki, spokojny głos. Polubiłem go od samego początku, a w miarę upływu lat nieubłaganie zbliżających nas do spotkania w Arendii, lubiłem go coraz bardziej.

- Pewny jesteś, że król Garel będzie bezpieczny w Twierdzy? - zapytał.

- Tak mówi Kodeks Mriński - odparłem.

- Nie martw się, Brandzie - zapewnił go Cho-Ram. - Nikt nie przedrze się przez mury.

- Mówimy o królu, Cho-Ramie - powiedział Brand. - Nie mam zamiaru rzucać na szalę jego bezpieczeństwa.

- Udam się tam osobiście, Brandzie, przez dwadzieścia lat będę stał na murach i niech sobie Torak rzuca przeciwko mnie całe swoje siły.

- Nie, tego nie uczynisz, Cho-Ramie - oświadczyłem zdecydowanie. - Nie pozwolę, byś zamknął się w Twierdzy. Byle pułkownik potrafi obronić to miejsce. Ja muszę mieć wszystkich królów Alorii pod ręką.

- Czułbym się jednak lepiej, gdyby mój pan, Garel, był tutaj - rzekł Brand.

- To nie jest dobry pomysł. Jeśli znajdzie się w pobliżu Klejnotu, Torak zaraz będzie o tym wiedział. Jeśli zostanie w Twierdzy, nadal będzie anonimowy i Torak nawet nie będzie wiedział, że on tam jest.

- W końcu będzie musiał tu przybyć, Belgaracie.

- Tak? A to dlaczego?

- Po swój miecz. Jeśli ma stawić czoło Torakowi, będzie go potrzebował.

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Brandzie - odezwała się Polgara. - Garel nie jest tym, który stawi czoło Torakowi w Arendii.

- On jest Rivańskim Królem, Polgaro. To jego przeznaczenie.

- Nie tym razem.

- A zatem, jeśli nie on, to kto? - Ty.

- Ja? - Co trzeba mu zaliczyć na plus, nie dodał owego nieuniknionego "Dlaczego ja?"

Jednakże wzrok miał trochę błędny.

Zacytowałem mu stosowny fragment Kodeksu Mrińskiego.

- Wygląda na to, że zostałeś wybrany, Brandzie - dodałem.
- Nawet nie wiedziałem, że kandydowałem. Co mam robić?
- Nie jesteśmy pewni. Będziesz wiedział, gdy nadejdzie czas. Gdy staniesz twarzą w twarz z Jednookim, Konieczność przejmie pałeczkę. Zawsze to robi.
- Czułbym się jednak o wiele pewniej, gdybym wiedział, co się wydarzy.
- My również, ale nic z tego. Nie martw się, Brandzie. Poradzisz sobie.

Eldrig i Rhodar dołączyli do nas miesiąc później i zaczęliśmy opracowywać strategię. Beldin zapewniał nas, że Torak nie spieszył z wymarszem na zachód. Zamiast tego koncentrował się na umacnianiu swej władzy nad podbitymi narodami Mallorei. Nie lękałem się żadnych niespodzianek, Torak był zbyt arogancki, by zakraść się do nas chyłkiem. Chciał, byśmy wiedzieli, że nadchodzi.

Po kilku spotkaniach zaprosiliśmy do nas króla Ormika z Sendarii. Urodziła go Alornka, więc włączenie Ormika do naszego grona było jak najbardziej na miejscu. To, iż spędzaliśmy na Rivie wspólnie sporo czasu, nie uszło uwagi innych. Wywiad Rana Boruna nie był tak dobry jak Rhodara, ale nawet najbardziej tępy szpieg nie mógł nie zauważyć, że coś wisiało w powietrzu.

Torak kilkanaście lat spędził na umacnianiu swej absolutnej władzy w Mallorei - zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że Garel w 4860 roku ożenił się z algarską dziewczyną, Ara-vino, która tego samego roku urodziła mu syna, Gelana. Jesienią 4864 roku Murgowie i Nadrakowie zamknęli szlaki karawanowe na wschód. Echa zbolątych zawodzeń z Tol Honeth rozbrzmiewały od dżungli Nyissy po polarne pustkowia Morin-dlandu. Ran Borune wysłał noty protestacyjne do Rak Goska i Yar Nadrak, ale zignorowano je. Król Murgów z Rak Cthoros i Yar Lek Thun Nadraków otrzymywali rozkazy od Ctuchika i żaden z nich nie miał zamiaru wchodzić w drogę chodzącemu trupowi z powodu urażonych uczuć Rana Boruna. Nie wiem, czy Ctuchik pofatygował się, aby powiedzieć Gethelowi Mardu, władcy Thullów, o planowanej inwazji na Zachód, jako że Ge-thel pewnie nie wiedział nawet, gdzie znajdował się zachód.

Zamknięcie traktów handlowych było wyraźnym sygnałem, że Torak zamierza ruszać, więc Brand oznajmił, iż zamyka port Rivy w związku z "remontem", a okręty Eldriga wprowadziły jego słowa w czyn. Sprawy przybierały zdecydowanie niekorzystny obrót dla handlowych magnatów z Tol Honeth.

Po zamknięciu portu Rivy zebraliśmy się raz jeszcze w Cytadeli.

- Sprawy zaczynają dojrzewać, ojczy - zauważyła Polgara. - Myślę, że czas, byś porozmawiał z Ranem Borunem.

- Pewnie masz rację - przyznałem ponuro.

- Skąd ta ponura mina, Belgaracie? - zapytał Brand.

- Spotkałeś kiedyś Rana Boruna?

- Nie miałem tej przyjemności.

- To nie jest najlepsze określenie, Brandzie. Borunowie są uparci, swarliwi i absolutnie sprzeciwiają się wierze we wszystko, co choćby trochę wykracza poza zwyczajność.

- Czy nie powinniśmy uprzedzić również Arendów? - zaproponował ubrany w skóry Cho-Ram.

- Jeszcze nie - odparłem. - Chyba trochę za wcześnie. Zapomną, że Torak nadciąga, jeśli będzie dalej niż dwa dni drogi od ich wschodnich granic.

- Arendowie nie są aż tak głupi, ojciec - zaprotestowała Pol.

- Doprawdy? Cho-Ramie, postaraj się zawiadomić Gori-ma Ulgosów o tym, co się święci, a ty, Ormiku, może przesunąłbyś swoje składy na północny brzeg rzeki Camaar? Jeśli będziemy mieć w Arendii wojnę, będzie nam potrzebne zaopatrzenie.

- Rola nas wyżywi, jeśli będzie trzeba - powiedział Rhodar.

- Oczywiście, może przez tydzień. Potem będziemy zjadać własne buty, ale ciebie już to nie będzie obchodzić.

Do Tol Honeth wyruszyłem następnego ranka i przybyłem na miejsce dwa dni później. Ran Borune IV był młodzieńcem, który na imperialnym tronie zasiadał od kilku lat. Trzecia Dynastia Borunów dopiero raczkowała i Borunom nie udało się jeszcze pozbyć wszystkich Honethów i Vorduvian z rządu. Zamknięcie szlaków handlowych ze Wschodem i "remont" portu Rivy szczególnie zdenerwowały Honethów. Dzień bez zysku jest dla nich dniem żałoby, więc nieprzerwany strumień petentów, wysokiej i niskiej rangi, dobijał się do drzwi Rana Boruna, żądając, by coś w tej sprawie zrobił. W rezultacie minęło kilka dni, nim udało mi się z nim zobaczyć.

W ciągu stuleci imperialne rody z Tol Honeth wierzyły tylko w to, co chciały. Rozsądnie zapewniali jedni drugich, że imiona "Belgarath" i "Polgara" są dziedzicznymi tytułami. Przyjęcie innego tłumaczenia nie wchodziło w rachubę, więc nie zamierzałem z Ranem Borunem dyskutować o takich drobiazgach.

- Czy wasza wysokość słyszał o wydarzeniach w Mallorei? - zapytałem.

- Rozumiem, że mamy nowego cesarza. - Podobnie jak wszyscy członkowie jego rodziny, Ran Borune był niski. Prawdopodobnie odziedziczył to po Driadach. Imperialny tron Tolne-dry został zaprojektowany tak, by robił wrażenie. Był pokaźnych rozmiarów i przybrany cesarską purpurą. Ran Borune przypominał na nim dziecko siedzące na fotelu, do

którego jeszcze nie dorosło.

- Ile wiesz o tym nowym cesarzu w Mai Zeth? - zapytałem.

- Nie tak znów wiele. Mallorea daleko, a bliżej domu mamy źródła zmartwień.

- Lepiej zacznij się martwić Kal Torakiem, ponieważ nadciąga.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Mam źródła informacji, do których ty nie masz dostępu, Ranie Borunie.

- Znowu te nudne stare bzdury, Belgaracie? To może robić wrażenie na Alornach, ale z pewnością nie na mnie.

Puściłem uwagę mimo uszu.

- Nie o tym mówię, Ranie Borunie. Te informacje pochodzą od szpiegów Rhodara. Nic nie ukryje się przed drasańskim szpiegiem.

- Czemu Rhodar mnie nie powiadomił?

- Powiadamia cię. Właśnie po to tu jestem.

- Od razu trzeba było tak mówić. Wyślę emisariuszy do Mai Zeth, aby zapytać, jakie intencje ma cesarz Mallorei.

- Nie trać czasu, Ranie Borunie. Prawdopodobnie za kilka miesięcy stanie u twoich drzwi, więc zapytasz go osobiście.

- Jaki on jest? I czemu wybrał właśnie takie imię?

- Jest arogancki, nieugięty i zżera go ambicja. Słowo "Kal" znaczy Król i Bóg w starożytnym języku Angaraków. Coś ci to mówi?

- Szaleniec? - Ran Borune wyglądał na zaskoczonego.

- On pewnie za takiego się nie uważa, a już z pewnością nie biorą go za takiego jego Angarakowie. Przekonał ich, że jest naprawdę Torakiem, głównie dzięki temu, że Grolimowie wy-pruli flaki wszystkim, którzy nie wierzyli. Torak przybywa na Zachód i pędzi przed sobą całą Mallorę.

- Najpierw będą musieli przejść przez ziemie Murgów, a ci nie cierpią Mallorean i z pewnością nie pokłonią się przed cesarzem Mallorei.

- Murgowie zrobią, co im każą Grolimowie, Ranie Borunie, a oni uznali tego Kal Toraka za prawdziwego Toraka.

Ran Borune zaczął obgryzać paznokcie.

- Zdaje się, że możemy mieć problem - przyznał. - Czy szpiegzy Rhodara dowiedzieli się już, dlaczego chce nas najechać?

- Pewnie, by rządzić światem - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Nie wiemy dokładnie dlaczego, ale wydaje się, że jego celem jest Arendia.

- Arendia? To zupełnie bez sensu!

- Wiem, ale takie informacje zebrał wywiad drasański. Jeśli nie zrobimy czegoś, by go powstrzymać, to bardzo duża, nieprzyjazna armia rozbije obóz u twojej północnej granicy.

- Będzie musiał przejść przez Algarię, aby dostać się do Arendii.

- My też tak przypuszczamy.

- Czy Algarowie są przygotowani na jego przyjęcie?

- Algarowie przygotowywali się na angaracką inwazję przez ostatnie trzy tysiąclecia. Podobnie jak Cherekowie i Drasanie, Alornowie i Angarakowie w ogóle się nie zmienili.

- Słyszałem. Chyba postawię legiony w stan pogotowia.

- Posunąłbym się dalej niż "stan pogotowia", Ranie Boru-nie. Po drodze tutaj przyjrzałem się kilku twoim legionom. Lepiej trochę zahartuj żołnierzy. Są w żalostnej kondycji. Ja wracam teraz do Rivy. Myślę, że czas wzmocnić obronę Algarii. Zawiadomimy cię, jeśli szpiegzy Rhodara dowiedzą się czegoś więcej. - Potem skłoniłem się i wyszedłem.

Wielokrotnie korzystałem z tego wybiegu w kontaktach z Tolnedranami. Rzekoma wszechwiedza drasańskich szpiegów bywa czasami użyteczna. Łatwiej skłamać, niż powiedzieć, skąd naprawdę pochodzą moje informacje.

Wiosną 4865 roku Kal Torak poprowadził swych Mallorean lądowym przejściem do Morindlandu, a potem ruszył na południe wzdłuż wybrzeża. Po minięciu gór Gar og Nadrak, cała jego armia zniknęła w rozległych prastarych lasach porastających Północ.

Brałem udział już w wielu wojnach i być może dlatego błędnie oceniłem posunięcia Toraka. Ludzki generał wybrałby krótszą, łatwiejszą drogę, by dotrzeć na pole bitwy. Nie chciałby marnować swych sił. Nie chciałby, aby żołnierze byli wyczerpani, gdy nadejdzie czas walki. Torak jednakże zdecydowanie nie był ludzkim generałem. Życie żołnierzy nic dla niego nie znaczyło i miał sposoby, aby zmusić ich do walki, bez względu na stopień wyczerpania.

W każdym razie byliśmy wraz królami Alorii do tego stopnia przekonani o tym, że Torak pójdzie dalej wzdłuż wybrzeża do Mishrak ac Thull, iż kompletnie nas zaskoczył, gdy sprowadził swą armię z gór w zachodnim Gar og Nadrak, a potem, wczesnym latem 4865 roku, powiódł na mokradła wschodniej Drasni.

Sam Torak podróżował w żelaznym pawilonie przypominającym zamek, któremu nie brakowało nawet bezużytecznych wieżyczek i okazałych murów. Pawilon miał koła, ale i tak trzeba było stada koni i około tysiąca Grolimów, aby go ciągnąć. Dreszcz przebiegał mnie na myśl o trudzie, jaki kosztowało oczyszczenie drogi przez lasy Gar og Nadraku dla tego idiotycznego pojazdu.

Prawie natychmiast stało się jasne, że Kal Torak nie przybył jako zdobywca, ale jako niszczyciel. Nie był zainteresowany okupowaniem Drasni i niewoleniem ludzi. Chciał ich wszystkich zabić. Każdy pojmany Drasanin był bezzwłocznie składany w ofierze przez kapłanów Grolimów.

Patrząc na to z perspektywy czasu, rozumiem, o co mu chodziło. Oczywiście musiał dotrzeć do Arendii, ale zostawił sobie dość czasu na wyniszczenie Drasan, nim przejdzie do Algarii czy Chereku, by tam zrobić to samo. Arendia zajmowała drugorzędne miejsce w jego myślach. Przed dotarciem tam pragnął zetrzeć z powierzchni ziemi Alornów.

Błędna ocena jego prawdopodobnej strategii poważnie ograniczyła nasze działania i w rezultacie hordy Toraka zniszczyły Boktor, zanim zdążyliśmy zgromadzić na północy wystarczające siły, by stawić mu opór. Ponieważ byliśmy w beznadziejnej mniejszości, nawet nie udawaliśmy, że prowadzimy wojnę. Pognaliśmy na północ z ekspedycją ratunkową, zbierając wszystkich uchodźców, których udało nam się znaleźć. Okręty Eldriga przewoziły tłumy przerażonych Drasan z wysepek w delcie rzek Aldura i Mrin, algarska jazda zgarniała tych, którzy uciekli w kierunku jeziora Atun i eskortowała ich do względnie bezpiecznej Twierdzy. Wielka kolumna uciekinierów z Boktoru dokonała zdumiewającego czynu, docierając ze swego płonącego miasta do doliny rzeki Dused, która była granicą pomiędzy Drasnią i Półwyspem Chereku. Pozostalej ludności pozostawała jedynie ucieczka na bagna. Tylko nieliczni przeżyli.

Gdy już stało się jasne, że nie możemy stawić czoła armii, którą rzucił przeciwko nam Kal Torak, uznaliśmy Drasnię za straconą. Musiałem dokonać kilku brutalnych posunięć, aby uratować ze wspianiałej drasańskiej armii, ile się dało. Nawet nie próbowałem dyskutować z pograżonym w smutku Rhoda-rem. Po prostu odciągnąłem go wraz z jego pikinierami na południe, na stepy Algarii. Byłem przekonany, że będę ich później potrzebował.

I tak oto wczesnym latem 4866 roku Drasnia została zniszczona. Gdy wróciliśmy tam po wojnie, nie mogliśmy znaleźć nawet jednego całego domu, a na bagnach ukrywało się kilka tysięcy ocalałych ludzi.

Po zniszczeniu Drasni, Torak zatrzymał się, aby przegrupować siły. Naszym problemem było odgadnięcie, którądy pójdzie dalej. Czy ruszy na północ i najedzie Cherek? Czy też pójdzie na południe, by dotrzeć do Arendii przez Sendarię? A może poprowadzi swe hordy na południe, do Algarii? Najbardziej przerażająca była myśl, że biorąc pod uwagę rozmiary jego armii, mógł po prostu podzielić siły i iść w trzy strony.

Taką strategią by nas pokonał. Jestem naprawdę zaskoczony, że o tym nie pomyślał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Król Chereku, Eldrig, starzec o posiwiałych włosach i długiej białej brodzie, stał przy oknie i spoglądał na siekane deszczem wody zatoki portowej Rivy. Minęły dwa tygodnie od zabrania z Drasni ostatnich ocalałych mieszkańców.

- Znasz go, Belgaracie - powiedział. - O czym on myśli? Co zamierza zrobić?

- Zdaje się, że pytasz niewłaściwego człowieka, Eldrigu - powiedział z goryczą Rhodar.
- Świętobliwy Belgarath nie miał ostatnio zbyt wiele szczęścia w swych domysłach.

- Dość tego, Rhodarze - powiedział stanowczo Brand swym głębokim spokojnym głosem. - Nie jesteśmy tu po to, by rozdrapywać stare rany. Musimy zdecydować, co teraz robić, nie co powinniśmy byli zrobić w zeszłym miesiącu. - Odkrycie, że Brand będzie Dzieckiem Światła w tym WYDARZENIU, znacznie podniosło jego autorytet i alornscy królowie automatycznie uznali jego zwierzchność.

- Wiemy, że ostatecznie wyląduje w Arendii - powiedział Ormik z Sendarii. Ormik był najbardziej zwyczajnie wyglądającym człowiekiem ze wszystkich mi znanych ludzi. Nawet ci, którzy go widywali na co dzień, pewnie nie zauważyliby go w tłumie. - Czy to oznacza, że skręci na południe po przegrupowaniu sił?

- I zostawi odsłonięte tyły? - zapytał drwiąco Eldrig. - To niezbyt prawdopodobne. Uważam, że nim minie miesiąc, stanie pod bramami Val Alorn.

- Nie spodziewaj się po nim racjonalnych działań - ostrzegłem. - Myślę, że najlepszym dowodem na to są wydarzenia w Drasni. Nie miał interesu w przedzieraniu się przez puszcę Nadraku, a jednak to uczynił. On nie myśli jak ludzki generał.

- Czemu zniszczył Drasnię? - zapytał Rhodar ze łzami w oczach.

Wzruszyłem ramionami.

- Prawdopodobnie z zemsty. Drasanie zupełnie starli z powierzchni ziemi Nadraków podczas pamiętnej bitwy w trzecim tysiącleciu.

- To było blisko dwadzieścia pięć wieków temu, Belgaracie - zaprotestował Rhodar.

- Torak ma bardzo dobrą pamięć.

- Teraz zasadniczym pytaniem jest to, czy podzieli swoje siły, czy nie - doszedł do wniosku Cho-Ram. Algaraski wódz spokojnie ostrzył swoją szablę.

Zęby mi zgrzytały na dźwięk przesuwanej po stali osełki.

- To nie leży w jego charakterze - oświadczyłem - ale tym razem nie możemy mieć

pewności.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał się Cho-Ram, odkładając szablę i oselkę na stół przed sobą.

- Torak uwielbia mieć pełną kontrolę nad swym ludem. Jeszcze w czasach Wojny Bogów Angarakowie byli najściślej pilnowanym ludem na ziemi. Od tego czasu trochę się zmieniło. Torak ma teraz uczniów, którym pozostawia wiele spraw. Ctu-chik może zasugerować podział sił, Zedar z pewnością by to uczynił.

- Czy Torak ich posłucha? - zapytała Polgara.

- Nie jestem pewny. Nie spodoba mu się ten pomysł, ale może dostrzeże konieczność takiego posunięcia. - Spojrzałem przez pokrytą kroplami deszczu szybę. -To jedynie przeczucie - przyznałem - ale nie sądzę, żeby podzielił swą armię. Jeśli miałby taki zamiar, zrobiłby to po wyjściu z gór na wrzosowiska Drasni. Logicznie rzecz biorąc, był to odpowiedni czas na wysłanie kolumny na południe do Algarii, ale on zrobił coś innego. Jego myśli biegną chyba tylko w jednym kierunku. Tak zachowują się ogarnięci obsesją ludzie, być może bogowie również. Po prostu myślę, że nie podzieli swych sił. Bez względu na to, jaką obierze drogę, pociągnie z sobą wszystkich ludzi. Tak naprawdę on nie jest tu po to, aby wygrywać bitwy. Przybył, by niszczyć, a do tego trzeba znacznych sił.

- A zatem jedynym pytaniem pozostaje, kto będzie następny - podsumował Eldrig. - Myślę, że zaatakuje Cherek.

- Po co? - zapytał Cho-Ram. - Wszyscy twoi ludzie są na okrętach i ich nie dostanie. Myślę, że teraz uderzy na Algarię. Ma w Arendii umówione spotkanie, a to oznacza, że najpierw musi przejść przez moje ziemie.

- Lub moje - dodał cicho Ormik - a mój lud nie bardzo zna się na wojaczce. Jeśli będzie mu się spieszyło do Arendii, pójdzie przez Sendarię.

- Czy to wszystko nie jest trochę niegodziwe? - zapytał zgryźliwie Rhodar. - Widzieliście, panowie, co stało się z moim królestwem, a teraz wszyscy wynajdujecie powody, dla których powinniśmy zgromadzić nasze siły na terytorium któregoś z was.

- Aloria jest jedna, Rhodarze - powiedział Eldrig. - Wszyscy smucimy się tym, co wydarzyło się w Drasni.

- Gdzie zatem byliście, gdy was potrzebowałem?

- To była moja wina, Rhodarze - oświadczyłem. - Jeśli chcesz w kogoś rzucać kamieniami, rzucaj we mnie i nie mieszaj w to bratnich królów. Kodeks Mriński mówi, że w końcu Torak będzie oblegał Twierdzę. Nie informuje, czy przedtem uda się gdzie indziej.

- Kiedy przybędzie do Arendii? - zapytał Eldrig.

- Nie wiemy - odparłem szorstko.

- A on wie?

- Prawdopodobnie. Tym razem ruch należy do niego. My wykonujemy kontrposunięcia. Gdy wyprawiliśmy się z Chere-kiem i jego chłopcami do Cthol Mishrak, wiedzieliśmy, kiedy mamy tam dotrzeć. Torak nie orientował się, że nadciągamy. Wówczas to my mieliśmy przewagę. Tym razem on ją ma.

- A zatem możemy jedynie czekać - zauważył Brand. - Musimy go obserwować i czekać w pogotowiu, i natychmiast odpowiedzieć na każdy jego ruch.

- To żadna strategia, Brandzie - zaprotestował Cho-Ram.

- Z radością wysłucham innych propozycji.

- Możemy zrobić coś jeszcze - odezwała się Polgara. - Myślę, że czas już włączyć do tego inne królestwa, szczególnie Tol-nedrę. Będą nam potrzebne legiony.

- Ran Borune nie lubi Alornów, Polgaro - wyjaśnił Eldrig. - Nie sądzę, aby zechciał choćby wysłuchać naszych dyplomatów.

- Możliwe, ale myślę, że wysłucha mnie i mego ojca. Porozmawiamy również z Arendami i Nyissanami.

- Nie traciłbym czasu na Nyissan - rzucił pogardliwym tonem Cho-Ram. - Przez większość czasu są tak odurzeni narkotykami, że nie będzie z nich żadnego pożytku w walce.

- Nie byłbym taki pewny, Cho-Ramie - powiedziałem. -Gdyby jednemu dobremu nyissańskiemu trucicielowi udało się dostać w pobliże kuchni wojsk Toraka, to zabiłby więcej Angaraków niż cały tolnedrański legion.

- Belgaracie! - zawołał Cho-Ram. - To okropne!

- Tak jak to, co wydarzyło się w Drasni. Torak ma nad nami przewagę liczebną, musimy więc znaleźć sposób na wyrównanie sił. - Wstałem. - Bądźcie w pogotowiu, panowie. Ja z Polgarą udaję się na jakiś czas na południe.

Ponad tydzień zabrało nam odszukanie obozowiska asturskiego księcia i jego ubranych na szaro łuczników. Po części winna była temu pogoda. Nie kończący się przekłety deszcz spowijał drzewa na podobieństwo mgły, przesłaniając wszystko na ziemi. Nawet gdy na krótko wracaliśmy do własnych postaci, Pol pachniała jak wór mokrego pierza, a ja pewnie cuchnąłem jak zmokły pies. Żadne z nas nie dało nic po sobie poznać, ale każdego wieczoru siadaliśmy po przeciwnych stronach ogniska.

Waham się użyć tego słowa, ale jedynie przypadkiem znaleźliśmy asturski obóz. Deszcz przestał na chwilę padać, mgła rozwiała się, wiatr ustał i Pol dostrzegła dym, unoszący się z obozowych ognisk.

Asturski książę nazywał się Eldallan. Był szczupłym mężczyzną o młodzieńczym wyglądzie, odzianym, podobnie jak jego ludzie, na szaro. Ukrywający się w lasach zwykle wybierają ten kolor. Obozowisko było dość rozległe. Stało tam kilka namiotów, ale większość łuczników mieszkała w prymitywnych szałasach, przypominających chaty chłopów pańszczyźnianych. Zdaje się, że była w tym pewna sprawiedliwość. Łucznicy Eldallana wywodzili się głównie ze szlachty i spanie w lepiankach dawało im okazję do przekonania się, jak żyła druga część społeczeństwa.

Eldallan nie był skory do współpracy - przynajmniej początkowo. Jego ludzie zbudowali mu prymitywny fotel, na którym zasiadał niczym na tronie. Obok bawiła się jego ośmioletnia córeczka, Mayaserana.

- To problem Alornów - odrzekł na naszą prośbę. - Moim problemem są Mimbraci. - Prawdopodobnie w próbie odróżnienia się od ziomków z południa Asturowie pozbyli się owych "waści" i "azaliz".

- Jestem pewny, że zmieniłbyś zdanie, gdyby rozciągnięto cię na ołtarzu, a Grolimowie wyrwaliby ci serce, wasza miłość - powiedziałem bez ogródek.

- To tylko bajki, Belgaracie - szydził. - Nie jestem tak naiwny, żeby wierzyć alornskiej propagandzie.

- Może pozwolisz mnie z nim porozmawiać, ojcze? - zaproponowała Pol. - Znam Arendów o wiele lepiej od ciebie.

- Chętnie - zgodziłem się. - Ten skrajny sceptycyzm działa mi na nerwy.

- Proszę wybaczyć memu ojcu, wasza miłość - zwróciła się do księcia ze słodyczą w głosie. - Dyplomacja nie jest jego najmocniejszą stroną.

- Nie jestem bardziej skłonny tobie uwierzyć w te przerażające historie, lady Polgaro. Dobrze znane są twoje wcześniejsze związki z wacuńskimi Arendami. Masz powody, by kochać Asturów.

- Nie zamierzam ci opowiadać przerażających historii, wasza miłość. Pokażę ci, co Angarakowie zrobili z Drasnią.

- Złudzenia - odrzucił jej propozycję ze wzruszeniem ramion.

- Nie, wasza miłość. Rzeczywistość. Mówię jako księżna Erat, a żaden prawdziwy dżentelmen nie poda w wątpliwość słowa szlachcianki. A może pomyliłam się zakładając, iż w Asturii są dżentelmeni?

- Wątpisz w mój honor?

- A ty kwestionujesz mój? Wzruszył ramionami.

- Dobrze, wasza miłość - przystał niechętnie. - Jeśli dasz słowo honoru, że to, co

proponujesz pokazać, naprawdę się wydarzyło - zgoda.

- Wasza miłość jest zbyt uprzejmy - mruknęła. - Cofnijmy się zatem w czasie i do północnej Drasni. Oto co naprawdę wydarzyło się, gdy Kal Torak zszedł na wrzosowiska.

Usłyszałem, a może poczułem przyływ Woli i Pol wykonała nieznaczny, osobliwy gest przed jego twarzą.

Naturalnie ja niczego nie zobaczyłem, ale księżę tak.

- Co się stało, ojczy? - zapytała dziewczynka, gdy zapłakał przerażony.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Polgara unieruchomiła go na jakieś ćwierć godziny. Jego oczy robiły się coraz szersze z przerażenia, a twarz trupio pobladła. Po kilku minutach zaczął błagać Pol, aby przerwała.

Ale nie uczyniła tego.

Księżę rozplakał się, a córka przypatrywała się mu ze zdumieniem. Jestem pewny, że pragnął przesłonić oczy dłońmi, ale nie mógł się poruszyć. Jęczał. Nawet kilka razy krzyknął, ale Polgara nie dawała się ubłagać. Nie pozwoliła mu się ruszyć, dopóki nie obejrzał wszystkich okropieństw.

Gdy go w końcu uwolniła, spadł z fotela i leżał na ziemi, nie mogąc się powstrzymać od szlochu.

- Co zrobiłaś memu tacie, zła pani? - zapytała z wyrzutem dziewczynka.

- Za kilka minut wróci do siebie, kochanie - powiedziała łagodnie Pol. - Miał po prostu zły sen, to wszystko.

- Ale przecież jest dzień, a on nawet nie spał.

- To się czasami zdarza, Mayaserano. Nic mu nie będzie. Pół godziny zajęło Eldallanowi odzyskanie panowania nad sobą, a gdy mu się to w końcu udało, gotów był słuchać.

- Nie zamierzam nalegać na bezpośrednie spotkanie pomiędzy tobą a królem Mimbratów - powiedziałem. - To byłoby zbyt wiele.

- On nie jest królem - poprawił mnie niemal bezwiednie Eldallan.

- Myśli, że jest, ale nie o to chodzi. Udam się ze swą córką do Vo Mimbri i porozmawiamy z nim. Opracujemy warunki rozejmu pomiędzy wami i postaramy się o kilku Sendarów, którzy wystąpią w roli emisariuszy. Sendarzy są neutralni. To ludzie honoru, więc nie musicie obawiać się oszustwa. Powiedz swoim łucznikom, aby przestali marnować strzały na Mimbratów. Będziesz potrzebował każdej strzały, gdy nadejdą Angarakowie.

- Będzie, jak powiedziałeś, Prastary. - Nagle zrobił się bardzo ugodowy. Zdecydowanie

nie chciał, by Polgara jeszcze coś mu pokazała.

Udaliśmy się z Pol do miasta o złotych murach, Vo Mimbre. Poeci mimbrańscy wypisywali różne bzdury o swym Złotym Mieście, ale prawda była taka, że w okolicznych kamieniołomach

wydobywano złoty kamień budowlany. Nie było w tym nic mistycznego czy choćby znaczącego.

Po zniszczeniu Vo Astur, w 3822 roku, książęta mimbrańskich Arendów zaczęli tytułować siebie "królami całej Arendii", ale to była fikcja. Władza tronu z Vo Mimbre kończyła się na krańcach Puszczy Arendzkiej.

Arendowie pręcej są skłonni zaakceptować niektóre sprawy niż Tolnedranie. Po dotarciu do Vo Mimbre przedstawiliśmy się i zostaliśmy niezwłocznie zaprowadzeni do sali tronowej "króla" Aldorigena XII. Aldorigen był nieco starszy od księcia Eldallana i znacznie potężniejszej budowy. Mimbrańscy Arendowie zaczynają nosić pełną zbroję jeszcze w dzieciństwie i dźwigając jej morderczy ciężar, wyrabiają sobie mięśnie. Niestety nie wpływa to zauważalnie na objętość ich mózgow.

Kolejny raz powstrzymam się od użycia słowa "zbieg okoliczności". Po prostu "zdarzyło się", że Aldorigen również miał ośmioletnie dziecko - syna, imieniem Korodullin. Czy to nie interesujące?

Aldorigen był nie mniej uparty od Eldallana, więc Polgara musiała powtórzyć swe przedstawienie. Król zmienił nastawienie równie szybko jak jego asturski ziomek. Asturcy i mimbrańscy Arendowie zawsze utrzymywali, że kompletnie się różnią. Jednak prawdę mówiąc, nigdy nie potrafiłem ich odróżnić, mimo iż Mimbraci nadal posługiwali się archaiczną mową, a Asturowie nie.

Gdy już Polgara nastawiła odpowiednio Aldorigena, porozmawiałem z ambasadorem Sendarii. Wkrótce odbył on kilka podróży tam i z powrotem, przenosząc informacje pomiędzy Mimbre i Asturią. Potem ja i Pol wyruszyliśmy do Tol Honeth.

Sceptycyzm Rana Boruna co do intencji Toraka wyparował po wydarzeniach w Drasni. Przynajmniej skłonny był nas wysłuchać.

- Przyjmuję, że Alornowie mają jakiś plan - powiedział, gdy wyjaśniliśmy mu sytuację.
- Tymczasowy - odparłem. - Inwazja Kal Toraka na Dra-snię nauczyła nas nie trzymać się kurczowo podjętych ustaleń. Wiemy, że wszystko rozstrzygnie się gdzieś w Arendii, ale nie mamy pewności, jaką drogę wybierze Torak, aby tam dotrzeć. To, co zrobił w Drasni, pozwala przypuszczać, że przed podbiciem Arendii, zechce zetrzeć z powierzchni ziemi Alornów. Eldrig spodziewa się, że zaatakuje Cherek, ale ja nie jestem o tym przekonany.

Wiemy, że będzie oblegał Twierdzę Algarów, ale nie jesteśmy pewni, co zrobi przedtem. Może nawet zaatakować Wyspę Wiatrów. To jego ostateczny cel i być może spróbuje dostać się tam i przejąć Klejnot Aldura przed udaniem się do Arendii.

- Myślałem, że potrafisz zobaczyć przyszłość, Belgaracie.

- W pewnym sensie - odparłem, robiąc kwaśną minę. - Jest kilka proroctw, ale są bardzo mgliste.

- Czy twoi Alornowie będą potrzebowali pomocy na północy?

- Myślę, że sobie poradzą. Jeśli Torak postanowi ruszyć na Wyspę, to natknie się na flotę Chereku i całą wojnę można będzie załatwić na Morzu Wiatrów. Jeśli tak potoczą się sprawy, to wiem, kto wygra. Żadna flota na ziemi nie dorówna wojennym okrętom Eldriga.

- Czy ty i lady Polgara planujecie pozostać tu dłużej?

- Tak długo jak będzie trzeba.

- Chcę porozmawiać ze swymi generałami, trzeba będzie skoordynować nasze działania. Czy mógłbym zaoferować wam gościnę w pałacu?

- Wysoko cenimy sobie twoje zaproszenie, Ranie Borunie - powiedziała Polgara - ale mogłyby z tego wyniknąć problemy. Honethowie i Vorduvianie podniosą pewnie wielkie halo z powodu faktu, że zadajesz się z "pogańskimi czarodziejami".

- Ja tu jestem imperatorem, lady Polgaro, i będę zadawał się, z kim mam ochotę.

- Czyż on nie jest rozkoszny? - zapytała Polgara.

- Ona ma rację, Ranie Borunie - zwróciłem się do cesarza.

- Dość już mamy kłopotów z Kal Torakiem. Lepiej nie rozdrabniać się na walki z innymi wielkimi rodami. Zostaniemy w ambasadzie Chereku. Ambasador ma okręt wojenny do swej dyspozycji, a ja muszę przesłać alornskim królom raport o swoich postępach w Arendii. Kto jest obecnym ambasadorem Nyissy?

- Gość o gadzim wyglądzie, niejaki Podiss - odparł Ran Borune z wyraźnym niesmakiem.

- Z nim również muszę porozmawiać - oświadczyłem. -Chcę powiadomić Salmisare, że przybywamy.

- Po co mieszać ją w to wszystko?

- Ona ma pewne środki, których mogę później potrzebować. Dam ci znać, jeśli coś ustalę.

Na twarzy imperatora pojawił się nikły uśmiech

- Moje drzwi zawsze stoją przed wami otworem, Belgaracie.

Udaliśmy się z Polgarą do ambasady Chereku i przygotowałem przesyłkę, którą statek

kurierski miał zawieźć na Rivę. Potem poszedłem na drugi koniec miasta, do ambasady Nyissy.

Po powrocie zjadłem z Pol kolację i udaliśmy się na spoczynek. Właśnie miałem kłaść się do łóżka, gdy dobiegł mnie głos Beltiry.

- Belgaracie! - Wydawał się podniecony.

- Słucham. Co się stało?

- Torak wykonał ruch! Rusza na Algarię!

- Zabrał całe swe siły?

- Najwyraźniej. W Drasni została mała armia okupacyjna

- głównie, by strzec jego tyłów, jak myślimy, ale reszta oddziałów maszeruje na południe.

Odetchnąłem z wielką ulgą. Możliwość, że Torak wybierze inne rozwiązanie trochę mnie niepokoiła.

- Jak daleko już zaszedł?

- Do jeziora Atun. Posuwa się wolno. Algarska jazda mocno mu dokucza.

- To dobrze. Obserwuj go i daj mi natychmiast znać, gdyby zmienił kierunek. Nie chcę angażować naszych oddziałów, dopóki nie będę miał pewności, że to nie zmyłka.

- Nie sądzę, aby tak było, Belgaracie. Mieliśmy wieści od Beldina. Mówił, że armia, która najechała Drasnię, to tylko połowa sił Toraka. Zgromadził ogromną flotę w Dal Zebra, na zachodnim wybrzeżu protektoratów dalasiańskich. Urvon sprawuje tam władzę. Beldin jest przekonany, że zamierza przeprowadzić tę armię przez Morze Wschodu, by pomaszerować przez południowe Cthol Murgos i zaatakować nas od tamtej strony. Nadciągają dwie armie.

Zakląłem. Torak jednak podzielił swe siły, ale uczynił to jeszcze przed opuszczeniem Mallorei.

- Odezwę się jeszcze do ciebie - powiedziałem Beltirze. - Lepiej pójdziemy z Pol do pałacu i powiadomimy Rana Boruna, co się święci.

Poszedłem korytarzem pod pokój Pol i zapukałem do drzwi.

- To ja, Pol - powiedziałem. - Wpuść mnie.

- Właśnie się kąpię, ojczy. Odejdź.

- Możesz to zrobić później. Torak najechał Algarię. Usłyszałem plusk, a chwilę później Pol otworzyła drzwi.

Narzuciła szatę, ale z włosów nadal jej kapała woda.

- Co zrobił? - dopytywała się.

- Słyszałaś. Torak ruszył i zdążył na południe.

- Garel jest w Twierdzy, ojcze. Lepiej go zabiorę stamtąd.

- Jest tam bezpieczny, Pol. Wiemy przecież, że Twierdza nie upadnie, a Torak nie może tkwić tam wiecznie. Ma umówione spotkanie w Arendii. Ale są jeszcze inne złe wieści. Beldin powiedział bliźniakom, że Urvon dowodzi drugą malloreańską armią. Przeprowadzą się przez Morze Wschodu. Zajądą nas od południowego Cthol Murgos. Torak chce pochwycić nas w kleszcze. Lepiej chodźmy do pałacu ostrzec Rana Boruna.

- Ubiorę się.

Była prawie północ, gdy dotarliśmy do pałacu. Trochę zajęło nam skłonienie służby do obudzenia imperatora. Ran Bo-rune był zaspany i rozczochrany, gdy w końcu wpuszczono nas do jego prywatnych apartamentów.

- Czy wy kiedykolwiek sypiacie? - zapytał gderliwym tonem.

- Tylko wtedy, gdy nie ma nic lepszego do roboty, wasza wysokość - powiedziałem. - Torak najechał Algarię.

To go obudziło na dobre.

- Natychmiast wyślę legiony na północ.

- Wstrzymałabym się z tym, Ranie Borunie - zasugerowała Pol. - Myślę, że będą nam potrzebne gdzie indziej.

Powiedziałem mu o drugiej armii zgromadzonej w Dal Ze-rba. Imperator zaklął, co Borunom zdarzało się niezmiernie rzadko.

- Ilu ludzi ma ten szaleniec? - zapytał.

- Wielu, nie bez racji zwą ją Bezgraniczną Malloreą - odparłem.

- Co zrobimy?

- Myślę, że nadal mamy jeszcze trochę czasu - rzekłem. - Urvon nie zdoła przeprowadzić przez Morze Wschodu całej armii w jeden dzień, a i przez południowe Cthol Murgos daleka droga.

- A co z Kal Torakiem? Może w ciągu tygodnia stanąć na mojej wschodniej granicy.

- To mało prawdopodobne, Ranie Borunie. Najpierw musi przejść przez ziemie Algarów.

- Drasnia nie bardzo spowolniła jego marsz.

- Pomiędzy Drasnia i Algarią jest zasadnicza różnica - oświadczyła Pol. - Algarowie nie muszą bronić miast, to po pierwsze, a po drugie, mają najlepsze konie na świecie. Kal Torak przekona się, że wycieczka do Algarii to bardzo kosztowna sprawa.

- Rozumiecie chyba, że z powodu drugiej armii malloreańskiej nie będę wam mógł pomóc w Arendii. Będę musiał skierować swoje legiony na południowe granice.

- Byliśmy pewni, że tak postanowisz - mruknęła Pol. Podrapałem się po brodzie.

- Ale to jeszcze nie katastrofa - powiedziałem. - Legiony przydałyby się nam pewnie w Arendii, ale wolę, aby nie dopuściły drugiej armii malloreańskiej na pole bitwy. Jak już mówiłem, zostało nam jeszcze trochę czasu. Urvon nie dotrze tutaj w ciągu nocy, a Kal Torak będzie miał własne kłopoty w Algarii. Chyba będzie lepiej, jeśli wybierzemy się z Pol do Sthiss Tor i porozmawiamy z królową. Nie chcemy, aby otworzyła granice przed Urvonem i pozwoliła mu przemaszerować. Mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pokrzyżować Kal Torakowi plany.

- Powodzenia - powiedział imperator. - Wezwę generałów. Musimy sporo zaplanować.

- A ja i Pol ruszamy do Nyissy. Sprawdzimy, jak tam wygląda sytuacja.

Dwa dni później dotarliśmy do Sthiss Tor, o wiele prędzej niż wiadomość od ambasadora Nyissy, zatem z pewnym opóźnieniem wprowadzono nas do sali tronowej Salmisary. Królowa Wężowego Ludu zareagowała na nasze informacje bez szczególnego entuzjazmu.

- Czemu miałabym się mieszać do waszej wojny z Angarakami? - zapytała, nie odrywając nawet oczu od lustra.

- To nie jest tylko nasza wojna, Salmisaro - powiedziała Pol. - Dotyczy wszystkich.

- Mnie nie. Jedna z moich poprzedniczek przekonała się, jaką głupotą jest mieszanie się do prywatnych waśni pomiędzy Alornami i Angarakami. Nie mam zamiaru popełnić tego samego błędu. Nyissa pozostanie neutralna.

- Nie masz wyboru, Salmisaro - rzekłem. - Wkrótce armia Urvona stanie na twojej południowej granicy, a Nyissa znajdzie się na drodze do Tolnedry.

- I co z tego?

- Urvon przemaszeruje prosto przez twe ziemie. Salmisara wzruszyła ramionami.

- Pozwolę mu. Nie zrobię niczego, aby mu przeszkodzić, więc nie będzie miał powodu zrobić w Nyissie tego, co Kal To-rak zrobił w Drasni.

- Ależ jak najbardziej będzie miał - nie zgodziła się Polga-ra - Issa uczestniczył w Wojnie Bogów, nieprawdaż? Torak ma bardzo dobrą pamięć, długo chowa urazę. Armia Urvona nie przemaszeruje tak po prostu przez twoje ziemie. Po drodze zniszczy Nyissę. Jesteś służką Issy, więc wyobrażam sobie, że Urvon zada sobie szczególny trud znalezienia cię, aby Grolimo-wie mogli wyrwać ci serce.

W bezbarwnych oczach Salmisary pojawił się niepokój.

- Nie uczyni tego, jeśli nie będę stawiać oporu.

- To twoje serce, Wężowa Kobieto - odparła Pol z mrozącą obojętnością.

- To, co uczynisz, jest twoją sprawą, Salmisaro - podsumowałem. - Powiedzieliśmy ci, co się święci. Radź sobie z tym wedle własnego uznania. Jeśli jednak zdecydujesz się na walkę, możesz skontaktować się z Ranem Borunem. To on skorzysta na trzymaniu Urvona z dala od jego południowych granic, więc może pożyczy ci kilka legionów.

- Zrobiłby to?

- Co szkodzi zapytać? A teraz wybacz, ale ja i moja córka mamy pewne sprawy do załatwienia w Maragorze.

Okazało się jednak, że była to kompletna strata czasu. Poleciliśmy z Pol do Mar Amon w nadziei, że wieści o inwazji To-raka wyrwą Marę z okowów smutku. Myślę, że płaczący Bóg nawet nas nie słyszał. Właściwie nie chciał słyszeć, a jego płacz odbijał się echem od gór otaczających nawiedzony Maragor.

W końcu daliśmy za wygraną i udaliśmy się do Prolgu, by porozmawiać z Gorimem.

- Będzie musiał zahaczyć o Ulgoland, by dotrzeć do Aren-

dii, Przenajświętszy - oświadczyłem starcowi po wyjaśnieniu mu całej sytuacji. - Wiem, że twój lud jest głęboko religijny i może sprzeciwiać się rozlewowi krwi, ale to szczególna sytuacja.

- Poradzę się Świętego Ula - obiecał. - Być może okoliczności skłonią go do zmiany stanowiska.

- To już zależy tylko od niego, Gorimie - powiedziałem, uśmiechając się nieznacznie. - Zdecydowanie nie mam zamiaru mówić Ułowi, co ma robić. Będziemy cię informować o wydarzeniach. Jeśli postanowisz nie mieszać się, ostrzeżemy cię wystarczająco wcześniej, byś mógł zamknąć wejścia do waszych jaskiń.

- Doceniam to, Prastary.

Potem wróciliśmy z Pol przez jaskinie do ruin Prolgu.

- Co teraz? - zapytała. Zastanowiłem się chwilę.

- Skoro już jesteśmy tak blisko, to może przed powrotem polecimy zobaczyć, jak daleko udało się dojść Torakowi? Chciałbym mieć pojęcie o rzeczywistej wielkości jego armii.

- Jak sobie życzysz, ojczu.

Zawsze czułem lekki niepokój, gdy Pol zgadzała się ze mną bez dyskusji.

Nad Algarią było pochmurnie, ale przynajmniej nie padało. Nie macie pojęcia, jak trudno jest latać z mokrymi piórami, a do tego ja nigdy nie czułem się zbyt dobrze jako kaczka. Zapewne kaczki nie są głupsze od innych ptaków, ale wyglądają tak komicznie.

Beltira mówił, że Torak dotarł nad jezioro Atun w północnej Algarii. Jednakże to było prawie tydzień temu. Teraz posunął się już znacznie dalej na południe. Przekroczył Rzekę

Aldura od strony Brodu Aldura i jego armia rozlała się po stepach środkowej Algarii. Łatwo ją znaleźliśmy. Była wielka.

Wojownicy nie posuwali się jednak za szybko. Dostrzeżliśmy z Pol w dole kilka potyczek. Tak jak Beltira powiedział, od-

działy algarskiej jazdy szarpały flanki ogromnej armii, a ich ataki były dokuczliwsze od zwykłego nękania. Algarzy są najlepszymi jeźdźcami na świecie, a długie stulecia cierpliwej hodowli doprowadziły do powstania wspaniałych koni. Poza Mal-loreanami w armii Toraka służyli również Murgowie, Nadrakowie i Thullowie i właśnie na ich oddziały spadł ciężar odpierania ataków Algarów.

Z tego, co widziałem, nie radzili sobie zbyt dobrze. Alga-owie byli dla nich po prostu za szybcy. Centralna Algaria jest pofałdowana, dużo tam wzgórz i trawiastych dolinek, które zapewniają osłonę oddziałom jazdy. Na ogół Angarakowie nie widzieli zbliżających się Algarów, aż było za późno. Armia Toraka posuwała się wolno na południe, zostawiając za sobą ziemię zasłaną trupami. Oczywiście Kal Torak zupełnie się tym nie przejmował, choć chyba niepokoiło to jego generałów. Nie posuwali się zbyt szybko. Całe plutony zwiadowców jechały przodem i wzdłuż skrzydeł. Zwiadowcy owi nie przynosili swym generałom zbyt wielu informacji. Podobnie jak wszystkie oddziały jeźdźców, Algarowie, oprócz lancy i szabli, dzierżyli krótkie łuki. Łuki te nie miały zasięgu długich łuków asturskich Arendów, ale człowiek na szybkim koniu nie potrzebuje ciężkich łuków o dużym zasięgu. Może podjechać dostatecznie blisko, by wykonać zadanie. Niewielu angarskich zwiadowców powracało.

W efekcie to, co działo się w dole, było nieustanną bitwą, i to z wyraźną przewagą jednej ze stron. Torak ponosił przerażające straty, ale zdecydowanie parł dalej. Oprócz zwiadowców armia wysyłała również zaopatrzeniowców, którzy szukali bydła do wykarmienia tej hordy. Mieli jeszcze gorzej niż zwiadowcy, ponieważ w każdym stadzie bydła ukrywali się algarscy łucznicy. Algaowie zabawiali się również przepędzaniem stad przez szeregi Mallolean, co jeszcze bardziej spowalniało ich marsz.

Wiele czasu zajmie Kal Torakowi dotarcie do Twierdzy.

Wpędzanie ogarniętego paniką bydła pomiędzy szeregi wojska było bardzo skutecznym środkiem, zapewniam was, ale w końcu zmusiło generałów Toraka do podjęcia akcji, która w efekcie doprowadziła kraje Zachodu do katastrofy ekonomicznej. Początkowo żołnierze pędzili bydło, by dostarczało im mięsa. Jednakże po kilku akcjach przepędzania bydła przez szeregi wroga, żołnierze zaczęli zabijać wszystkie napotkane zwierzęta. Jeszcze wiele lat po wojnie liczebność algarskich stad stanowiła jedynie ułamek ich poprzedniej wielkości. Przez lata wołowina należała na Zachodzie do rzadkości.

Gdy już napatrzeliśmy się do woli na wolno przesuwającą się bitwę, zawróciliśmy i poleciliśmy ku Sendarii i wybrzeżu. Chciałem wrócić na Rivę, aby porozmawiać z Cho-Ramem. Kodeks Mriński wyraźnie mówił, że Twierdza nie padnie, ale ostrożności nigdy nie za wiele. W końcu w tej fortecy był

Garel.

W Rivie padało. To ci dopiero niespodzianka. Paskudna pogoda sprowadzona przez zaćmienie wszędzie była niezwykła, ale na Rivie zawsze padało.

Ran Borune powiadomił alornskich królów o armii Urvona. Bardzo ich wieść owa zaniepokoiła.

- Gdzie są teraz? - zapytał Rhodar, gdy Pol i ja dołączyliśmy do nich w sali narad.

- Nie jestem pewny - odparłem. - Trochę z Pol podróżowaliśmy. Bliźniacy zawsze są w Dolinie, więc Beldin zwykle im składa raporty. Później z nimi o tym porozmawiam, teraz musimy przedyskutować pewne sprawy i podjąć kilka decyzji. Potem chcę sprawdzić fortyfikacje Twierdzy.

- Twierdza jest bezpieczna, Belgaracie - zapewnił mnie Cho-Ram. - Nie musisz tam jechać.

- Zwykle środki ostrożności, Cho-Ramie. Jakie siły tam zgromadziłeś?

- Są tam trzy klany i drasańscy pikinierzy, których udało nam się uratować. Starczy ludzi, by ją utrzymać. Poza tym mury są wysokie na trzydzieści stóp i żadna drabina oblężnicza nie sięgnie ich szczytów.

- Myślę, że o to właśnie chodziło Algarowi, gdy projektował to miejsce - powiedziałem.

- Wiemy, że Twierdza nie padnie, ale Torak pewnie przez kilka lat będzie się do niej dobijał, nim w końcu da za wygraną. W ten sposób zyskamy trochę czasu na przygotowanie się do jego następnego posunięcia. Kodeks Mriński mówi, że ostateczna bitwa rozegra się gdzieś w Arendii, więc może nie od rzeczy będzie przeniesienie naszych posiadzeń do Tol Honeth.

- Dlaczego do Tol Honeth? - zapytał Brand.

- Po pierwsze, jest bliżej pola bitwy, a po drugie, tam są tolnedrańscy generałowie.

- Z Tolnedran nie będzie wielkiego pożytku, Belgaracie - zaprotestował Eldrig. - Ran Borune skoncentruje swoje siły na południowej granicy. Nie przyśle legionów do Arendii.

- Planujemy kampanię, Eldrigu, a generałowie tolnedrańscy wiedzą wszystko na temat strategii i taktyki. Ich rady mogą być pomocne.

- Nie jesteśmy zupełnie do niczego, Belgaracie - zaprotestował ponownie. - Jak na razie wygrywaliśmy każdą wojnę, w której braliśmy udział.

- To była kwestia zwykłego szczęścia, Eldrigu. Nie chciałbym urazić twych uczuć, ale wy, Alornowie, macie zwyczaj prowadzić swe wojny bez planów. Do tej zabierzmy się profesjonalnie - choćby dla odmiany.

Trochę czasu zajęło nam przekonanie alornskich królów, aby udali się do Tol Honeth, by zasięgnąć rady Naczelnego Dowództwa Tolnedry. Potem opuściliśmy z Pol Wyspę i pofrunęliśmy przez Sendarię, nad Ulgołandem, do algarskiej Twierdzy. Tym razem nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy przybrać postacie kaczek.

Nazwałem Twierdzę górą wzniesioną przez ludzi i to określenie dobrze do niej pasuje. Z zewnątrz przypominała wyglądem warowne miasto, ale nim nie była, gdyż w środku nie postawiono żadnych budynków. Algarowie zbudowali komnaty, sale i korytarze wewnątrz samych murów. Przestrzeń pomiędzy murami była po prostu labiryntem.

Doszło jednak do pewnego nieszczęścia. To był jeden z tych głupich wypadków, które zdarzają się co jakiś czas. Garel, Dziedzic Rivańskiego Tronu, pojechał na konną przejażdżkę. Jego koń potknął się; potomek Rivy spadł i skręcił sobie kark. Idiotyzm! Na wszystkich siedmiu Bogów, co on robił na koniu?

Na szczęście miał już następcę; ród nie wygasł, choć Gelane miał tylko pięć lat. Ale to nie szkodzi. Każdy w końcu dorasta.

Porozmawiałem z chłopcem i stwierdziłem, że podobnie jak wszyscy jego poprzednicy, jest wyjątkowo rozsądny. Na szczęście. Gdyby głupota zakradła się do rodu Rivy, wpadlibyśmy w niezłe tarapaty.

- Czy mogę coś zrobić, dziadku? - zapytał mnie z powagą chłopiec. - W końcu to na mnie spoczywa odpowiedzialność. - Tą uwagą zaskoczył mnie.

- Co mu powiedziałaś, Pol? - zapytałem podejrzliwie.

- Wszystko, ojciec - odparła spokojnie. - Ma prawo wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- To całkowicie zbędna informacja, Pol! Myślałem, że się co do tego zgadzamy.

Wzruszyła ramionami.

- Zmieniłam zdanie. On jest Rivańskim Królem, ojciec. Jeśli wszystkie nasze plany zawiodą, będzie musiał chwycić za miecz.

- To tylko dziecko, Pol. Nie potrafiłby nawet unieść tego miecza.

- Mamy czas, ojciec. Torak jeszcze nawet nie zaczął oblężenia.

- Kodeks Mriński mówi, że Brand stawia czoło Torakowi. Gelane nie będzie w to zamieszany.

- Kodeks Mriński jest bardzo niejasny, ojcze, a sprawy czasami przybierają inny obrót.
Wolę być przygotowana na każdą ewentualność

- Naprawdę uważam, że poradziłbym sobie, dziadku - zapewnił mnie Gelane. - Mój algarski przyjaciel uczy mnie władania mieczem.

Westchnąłem i na chwilę ukryłem twarz w dłoniach.

W Twierdzy poza czekaniem na Toraka nie było zbyt wiele do roboty. Mogliśmy w każdej chwili ją opuścić, ale wolałem mieć pewność, że Jednooki ponownie nie zmieni kierunku marszu. Inwazja na Drasnię zaskoczyła mnie kompletnie i nie chciałem pozwolić, by ponownie tak się stało. Pragnąłem upewnić się, że Twierdza rzeczywiście była jego celem. Chciałem również zobaczyć, jak obrońcy odpierają pierwsze ataki, aby mieć absolutną pewność, że wiedzą, co robią.

Co jakiś czas przyjeżdżali posłańcy z najświeższymi wiadomościami od pozostających na zewnątrz klanów. Torak nadal posuwał się naprzód i nie wykazywał chęci zmiany kierunku.

Potem, pewnego wczesnego ranka, gdy świt zaczął srebrzyć deszcz, obudził mnie z niespokojnego snu głos Polgary.

- Myślę, że lepiej, abyś tu przyszedł, ojcze.

- Gdzie jesteś?

- Nie rozumiem cię, ojcze. Po prostu wyjdź na mury od północnej strony. Powinieneś się czemuś przyjrzeć.

Pogderałem trochę, ale wstałem z łóżka i ubrałem się. O co jej chodziło? Fakt, iż mnie dobrze nie rozumiała, dobitnie świadczył o tym, że zmieniła postać. Wyszedłem na oświetlony pochodniami korytarz. Potem nie kończącymi się schodami na szczyt Twierdzy.

Na mokrych od deszczu murach siedziała sowa śnieżna.

- Prosiłem, żebyś tego nie robiła, Pol - przypomniałem jej. Sowa zamigotała i Pol wróciła do swej postaci.

- Przepraszam, ojcze. Nie zrobiłam ci tego na złość. Postępuję zgodnie ze wskazówkami. Spójrz lepiej na to - rzekła, wskazując na północ.

Spojrzałem za mury. Brudnoszare chmury nad głową znaczył już świt. Deszcz nieco osłabł, nie tworzył już tak nieprzeniknionej zasłony, jak w ciągu kilku ostatnich tygodni. Początkowo niczego nie mogłem dostrzec. Wtem przyciągnął mój wzrok jakiś ruch na tej przesłoniętej deszczem równinie. Przyjrzałem się uważniej. Wówczas z mgły powoli wyłoniła się ludzka masa, ogromny, bezimienny tłum, który rozciągał się jak okiem sięgnąć.

Kal Torak dotarł do Twierdzy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jesteś pewny, że Torak jest z nimi? - zapytałem, nadal wpatrując się w wolno posuwającą się armię.

- Tak, ojczu. Byłam tam, widziałam go. Jego żelazny pawilon znajduje się w samym środku tłumu.

- Co zrobiłaś? Polgaro, tam jest Torak! Teraz wie, że tu jesteś!

- Nie denerwuj się, staruszku. Kazano mi. Nie ma sposobu, by Torak dowiedział się o mojej obecności. Przebywa wewnątrz swego pawilonu, a Zedar jest razem z nim.

- Od jak dawna?

- Odkąd opuścił Malloreę. Chyba. Chodźmy zaalarmować Algarów, a potem będziemy mieli czas na zjedzenie śniadania. Całą noc nie spałam i konam z głodu.

Późnym przedpołudniem Angarakowie zakończyli okrążanie Twierdzy. W południe po raz pierwszy spróbowali zaatakować. Algarowie i drasańscy pikinierzy pozostawali w ukryciu i to chyba rozdrażniło trochę generałów Toraka. Przyciągnęli maszyny oblężnicze i próbowali zbombardować miasto głazami. Nie bardzo im się to udało, ponieważ mury były za wysokie. Widziałem, jak ich inżynierowie gorączkowo usiłowali poprawić ustawienie katapult, by zmienić tor strzałów.

Potem, chyba bardziej po to, aby zmusić obrońców do jakiejś reakcji, niż w nadziei na sukces, natarli na frontową bramę. Przytoczyli tarany, ale okazały się niepotrzebne. Brama nie była zamknięta. Pierwsi do Twierdzy wpadli Thullowie. W angarackiej społeczności Thullowie zawsze byli od brudnej roboty.

Nie jestem pewny, czy Thullowie zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka za bramą. Jak już mówiłem, Twierdza nie była miastem w zwykłym tego słowa znaczeniu. Te ogromne mury nie kryły za sobą domów i budynków użyteczności publicznej, a jedynie labirynt wąskich korytarzy o wysokich ścianach bez sufitu. Thullowie wpadli do środka i trafili na geometryczną zagadkę. Znaleźli korytarze biegnące po liniach prostych i krzywych, tak zawiłych, że zdawały się zawracać i znikać w niewyobrażalnych wymiarach. Obrońcy pozwolili Thullom przez godzinę pokręcić się po labiryncie. Wyszli na wysokie na dwadzieścia stóp mury i zlikwidowali intruzów. Malloreańscy generałowie i królowie narodów zachodnich Anagarków nadal nie zobaczyli żadnego z obrońców. Nie zobaczyli również już więcej Thullów, których kilka tysięcy wysłali za bramę i z których żaden nie powrócił - a przynajmniej nie przez bramę.

Dopiero nocą ponownie ujrzeli tych, których posłali do Twierdzy. Algarowie zbombardowali obóz Anagaraków ciałami poległych. Trudno spać pod gradem Thullów.

Następnego dnia doszło do drugiego ataku. W Twierdzy przebywały trzy klany Algarów. Pozostali znajdowali się na zewnątrz. Kal Torak otoczył Twierdzę, a potem algarska jazda otoczyła jego siły. Algarowie nie zajęli jednak określonych pozycji ani nie okopali się zwyczajem oblegających, ponieważ jazda nie walczy w ten sposób. Wojownicy pozostawali w ciągłym ruchu i generałowie Toraka oraz posłuszni mu królowie nigdy nie wiedzieli, gdzie i kiedy ponownie uderzą. Żołnierze Toraka poza murami byli równie mało bezpieczni, jak wewnątrz Twierdzy.

Po kilku dniach uznałem, że taktyka przyjęta przez Cho-Rama sprawdza się całkiem dobrze. Pożegnaliśmy się więc z Gelanem, jego matką oraz wodzami klanów. Potem odlecieliśmy na zachód w deszczowym, smaganym wiatrem mroku. Mieliśmy jeszcze inne sprawy do załatwienia.

Dzięki temu, że Torak skutecznie został zatrzymany w Algarii, mieliśmy trochę czasu na dopracowanie naszych planów. Przenieśliśmy narady z Rivy do Tol Honeth, dzięki czemu mogliśmy zasięgać opinii Imperialnego Kolegium Wojny oraz Naczelnego Dowództwa Tolnedry. Uznałem współpracę z zawodowymi żołnierzami za pewną odmianę. Pomimo swej przerażającej reputacji Alornowie są jedynie uzdolnionymi amatorami, głównie dlatego, że stanowisko zajmowane w armii jest u nich dziedziczne. Człowiek, który urodził się generałem, nie ma pojęcia o wiedzy, jaką musiał zdobyć ten, który sam torował sobie drogę na szczyty. Tolnedrańscy oficerowie zawsze mają jakiś zapasowy plan na wypadek zaskoczenia. Alornowie zaś po prostu dawali się ponieść walecznej pasji i niszczyli wszystko w zasięgu wzroku - włączając w to drzewa i krzaki.

Ran Borune zaczął - aczkolwiek bardzo niechętnie - wierzyć, że Pol i ja możemy mieć pewne zdolności, których istnienia nie przyjmował do wiadomości. Pomimo to staraliśmy się w trakcie narad trzymać na uboczu.

- Nie trzeba zbijać z tropu twoich generałów - powiedziałem imperatorowi - opowiadaniem rzeczy, na których przyjęcie nie są przygotowani. Jeśli oznajmimy, że mam siedem tysięcy lat na karku, to gotowi będą poświęcić cały czas na dowiedzenie nam kłamstwa, zamiast skupić uwagę na tym, czym rzeczywiście powinni się zająć. Powiedzmy im po prostu, że ja i Pol jesteśmy Rivanami, i już.

Najbardziej niepokoił nas fakt, że Urvon nie ruszał. Rzeczywiście przeprowadził swą armię przez Morze Wschodu, ale potem usadowił się w Militarym Okręgu Hagga, na południowym wybrzeżu Cthol Murgos, jakby planował zapuścić tam korzenie. W końcu

powiadomiłem bliźniaków, że muszę porozmawiać z Beldinem w cztery oczy. Nie wszystko daje się załatwić na odległość.

Mój brat przybył kilka dni później. Przyszedł do mego pokoju w ambasadzie Chereku. To nie było szczególnie obszerne pomieszczenie, ale ja nie należę do wymagających osób, więc nie potrzebowałem luksusowej kwatery. Moje pierwsze pytanie było dość proste.

- Co go powstrzymuje?

- Murgowie - odparł Beldin. - Cóż by innego? Oni i fakt, że od Spalonej Gęby nie otrzymał jeszcze rozkazu wymarszu.

- A w czym tkwi problem Ctuchika?

- Nie lubi Urvona.

- A kto go lubi? Myślę, że nawet Torak za nim nie przepada. Ale Urvon wypełnia rozkazy, a Torak pewnie wyrwie Ctu-chikowi serce z cherlawej piersi, jeśli ten będzie się wtrącał.

- Nie słuchałeś, Belgaracie - rzekł mój krępy brat. - Nie powiedziałem, że Ctuchik blokuje posunięcia Urvona. To Murgowie - a mówiąc dokładnie, Grolimowie Murgów.

- Co za różnica? Ctuchik sprawuje władzę w Cthol Murgos, prawda?

- Owszem, bracie, ale w tej chwili co innego zaprzęta jego uwagę. Spróbuję wyjaśnić. Jeśli Urvon dotrze do Arendii ze swą armią, Torak prawdopodobnie awansuje go na Ulubionego Ucznia czy coś w tym rodzaju. Ctuchik nie chce, aby tak się stało, ale nie śmie się wtrącać - a przynajmniej nie otwarcie. Oczywiście i tak knuje za plecami. Całe stulecia spędził na wpajaniu Murgom obsesji na punkcie czystości rasowej, a Malloreanie nie są przecież czystej krwi Angarakami. Przeciętny Malloreanin jest po części Angarakiem, Karandem, Melcenem z domieszką odrobiny Dala. Murgowie uważają Mallorean za kundli i nie wahają się tego mówić.

- Tak, wiem o tym, ale Murgowie są posłuszni rozkazom Grolimów, a żaden żyjący Grolim nie urazi swym czynem To-raka.

- Widzę, że tak naprawdę nie wiesz o nim zbyt dużo. Grolimowie prowadzą bardzo zawiłą politykę. Bez względu na to,

co myśli Torak, w religii Angaraków panuje wielki rozłam. U jego podstaw leży nienawiść pomiędzy Ctuchikiem i Urvonem. Ctuchik dał to i owo do zrozumienia swoim Grolimom po wylądowaniu Urvona w Hagge i jego kapłani zaczęli w całym południowym Cthol Murgos rozpowszechniać niestworzone opowieści o pijanych malloreńskich żołnierzach, wdzierających się do murgoskich domów i gwałcących murgoskie kobiety. Takie opowieści gwarantują wybuch gniewu Murgów. Oficjalnie Ctuchik dostarcza wszelkiej

możliwej pomocy armii Urvona, ale jego Grolimowie rozpowiadają wśród żołnierzy okropne historie. Generałowie murgoscy za dnia są bardzo uprzejmi wobec malloreańskich oficerów - ale każdej nocy bandy prostych wojaków wyruszają ze swych baraków i zarzynają wszystkich Mal-lorean, którzy wpadną im w łapy. Ctuchik siedział pobożnie w Rak Cthol i udawał, że nic nie może na to poradzić. Urvono-wi pozostawało jedynie tkwić w Rak Hagga i załamywać ręce nad dziesiątkowaną przez bandy Murgów armią. Wiem, że to może zabrzmieć trochę dziwnie, ale w tej sytuacji Ctuchik może okazać się naszym najcenniejszym sprzymierzeńcem.

- To wszystko skończy się jednak, gdy Torak wyda Urvono-wi rozkaz wymarszu.

- Wątpię, Ctuchik prawdopodobnie posłusznie poleci swym południowym Murgom dołączyć do armii Urvona, ale to jedynie umożliwi Murgom zbliżenie się do Mallorean - z nożami. Wędrówka przez południowe Cthol Murgos może okazać się bardzo interesująca. Urvon będzie miał szczęście, jeśli choć regiment dotrze do południowej granicy Tolnedry.

- Cóż za piękna wizja.

- Pomyślałem, że ci się spodoba.

- Może zabrałbym cię do pałacu i przedstawił tolnedrań-skim generałom, byś i przed nimi mógł roztoczyć tę kuszącą perspektywę? Nie powiedzieliśmy im z Pol, kim naprawdę jesteśmy. Ciebie przedstawię jako drasańskiego szpiega, tak będzie lepiej. Po co drażnić generałów.

Beldin wzruszył ramionami.

- Jeśli tak chcesz - zgodził się.

Oficer dowodzący tolnedrańskim naczelnym dowództwem nazywał się Cerran i należał do rodu Anadile z południowej Tolnedry. Ród Anadilów nigdy nie miał wystarczająco dużo ziemi i władzy, aby ubiegać się o imperialny tron, więc zwykle jego męscy członkowie wstępowali do armii. Tradycyjnie sprzymierzali się z Borunami, więc gdy Borunowie byli na tronie, generał z rodu Anadilów znajdował się w dowództwie armii. Generał Cerran był bezkompromisowym zawodowcem po pięćdziesiątce, Tolnedraninem, nie dorównywał wzrostem Alornom, ale miał krzepę, szerokie bary i duże dłonie. Bardzo dobrze rozumiał się z Brandem.

Nie jestem zbyt biegły w sekretnym języku .Drasan, ale udało mi się uprzedzić Pol i Rhodara, że Beldin udaje drasań-skiego szpiega. Rhodar powitał go więc gorąco oraz przedstawił jako "jednego z najcenniejszych agentów". Potem Beldin powtórzył to, co powiedział mi wcześniej.

- Ile według ciebie zajmie Urvonowi przemaszerowanie przez południowe Cthol

Murgos, panie Beldinie? - zapytał generał Cerran, gdy mój brat skończył swe sprawozdanie.

Beldin wzruszył ramionami.

- Przynajmniej pół roku. Przypuszczam, że często będzie musiał robić postoje dla uśmierzenia zamieszek.

- A zatem wiemy już jedno. Twój przyjaciel i jego córka powiedzieli nam, że ten Kal Torak z Mallorei ma dotrzeć do Arendii w określonym czasie. O ile zrozumiałem, ma to coś wspólnego z religią Angaraków.

- Chyba można tak powiedzieć. I co z tego?

- My nie wiemy, kiedy to ma się stać, ale Kal Torak wie. Będzie chciał, aby Urvon znalazł się na swoim miejscu w odpowiednim czasie, więc gdy tylko Urvon ruszy, dowiemy się, że mamy około roku na przygotowanie się do spotkania z Angara-kami w Arendii.

- To trochę mało precyzyjne, Cerranie - zaprotestował Bo-rune.

- To jest o wiele dokładniejsze niż wszystko, do czego na razie doszliśmy, wasza wysokość - odparł Cerran. - Król Cho-Ram zapewnia nas, że jego Twierdza jest nie do zdobycia, więc Kal Torak będzie powoli tracił nerwy, w miarę jak zbliżać się będzie czas spotkania w Arendii. W końcu przerwie oblężenie i pomaszeruje na zachód. Angarakowie bardzo poważnie traktują swe religijne obowiązki. - Cerran wstał z fotela i podszedł do dużej mapy wiszącej na ścianie. - Żadna armia wielkości armii Kal Toraka nie będzie poruszać się zbyt szybko - zauważył. - Szczególnie po wejściu w góry Ulgolandu. Od Twierdzy do środkowej Arendii jest około stu pięćdziesięciu lig. Przy dziesięciu milach dziennie, zajmie to im czterdzieści pięć dni. Po dodaniu kolejnych piętnastu dni na przegrupowanie otrzymamy około dwóch miesięcy. Dla nas pierwszym sygnałem będzie wymarsz Urvona. Drugim, odstąpienie Kal Toraka od oblężenia. Czegóż więcej trzeba? Murgowie będą lub nie będą próbowali zatrzymać Mallorean Urvona, ale my wręcz musimy. Zdaje mi się, że ten generał Urvona spóźni się do Arendii. Kal Torak jest cudzoziemcem, dlatego nie wie zbyt dużo o legionach. Mam zamiar wyedukować go w tym względzie. Zatrzymam Urvona na południowej granicy Tolnedry.

Teraz widzicie, czemu nalegaliśmy z Pol na współpracę z tolnedrańskimi generałami.

Znaki ostrzegawcze już znaleźliśmy, skierowaliśmy więc teraz swą uwagę na kampanię w Arendii. Sztab generała Cerra-na starannie przygotował plany obrony niemal każdego miejsca w tym kraju. Rozmawiałem o tym z Brandem na osobności. Tylko nieliczne bitwy wygrywano z pozycji obronnej. Jednak metodyczni Tolnedranie porównali liczebność armii Toraka z naszą i doszli do wniosku, że absolutnie nie może być mowy o przejściu do ofensywy bez wsparcia legionów, a te będą zajęte gdzie indziej

Tolnedrańscy generałowie nie wiedzieli, czemu alornscy królowie uznawali zwierzchność Branda, ale nie byli w ciemną bici. Wyczuwali, komu należy się szacunek, a po kilku miesiącach narad i wspólnego wypracowywania strategii dostrzegli również taktyczny geniusz Branda. Tolnedranie zwykle nie poważają zbyt Alornów, ale Brand był wyjątkiem. Jego geniusz polegał na umiejętności oceny mocnych i słabych punktów armii, która miała stawić czoło Kal Torakowi w ostatecznej bitwie.

Rozsądnie uznaliśmy, by nie mówić tolnedrańskim generałom, że wiele decyzji podejmujemy na podstawie bełkotu szaleńca. Tolnedranin nerwowo reagował nawet na najmniejszą wzmiankę o rzeczach nadprzyrodzonych. Oczywiście czasami wiedzieliśmy, że pewne rzeczy się wydarzą, ale nie mogliśmy powiedzieć Tolnedranom, skąd mamy owe informacje. Na ogół brał to na siebie Rhodar. Umiejętności drasańskiego wywiadu były legendarne, a po kilku latach generałowie uwierzyli, że armia angaracka aż roi się od drasańskich szpiegów. Za każdym razem, gdy pojawiała się owo nieuniknione "Skąd to wiesz?", Rhodar rzucał chytre spojrzenie, wyciągał kawałek papieru i kładł go na stole z wyrazem nieskrywanego zadowolenia na twarzy. Wnioski były oczywiste.

W końcu jednak i to tłumaczenie wydało się mocno naciągane. Oblężenie Twierdzy ciągnęło się już sześć długich lat, gdy wreszcie bliźniacy odnaleźli w Kodeksie Mrińskim fragment mówiący o miejscu ostatecznej bitwy. Wzmianka była bardzo mało precyzyjna, ale to normalne w przypadku Kodeksu Mriń-skiego. Mówiła jedynie, że "Dziecko Światła i Dziecko Mroku spotkają się pod murami złotego miasta". Kluczowym słowem w tym fragmencie jest "złote miasto". Ci z was, którzy widzieli żółte mury Vo Mimbre, wiedzą, skąd się wzięło.

W każdym razie musieliśmy delikatnie nakierować generała Cerrana i jego kolegów na podjęcie właściwej decyzji. Rhodar, udając, że otrzymał informacje od swych szpiegów, na-

kreślił prawdopodobną trasę inwazji Toraka. My zaś wynajdowaliśmy najróżniejsze powody do wyeliminowania innych potencjalnych miejsc bitwy. W końcu Cerran uderzył palcem w mapę.

- Tutaj - oznajmił. - Powinniście przygotować swoje siły do spotkania z Kal Torakiem pod Vo Mimbre.

- To chyba dość dobry teren - powiedział król Eldrig, starając się, by w jego głosie znać było nutę wątpliwości

W tym miejscu ja wkroczyłem do akcji.

- Ależ tam jest paskudnie płasko - zaprotestowałem. - Lepiej chyba mieć przewagę, jaką daje wzniesienie?

- Nie potrzebujemy jej, Prastary - powiedział Cho-Ram. -Samo miasto jest położone wystarczająco wysoko, aby spowolnić armię Kal Toraka. Przybędą doliną rzeki Arend i zajmą pozycje wokół Vo Mimbre, przygotowując się do kolejnego oblężenia. A wówczas my uderzymy ze wszystkich stron i rozgnieciemy ich na murach. Generał Cerran ma rację. To idealne miejsce do tego rodzaju bitwy, jaką chcemy stoczyć.

Eldrig i ja wysunęliśmy jeszcze kilka słabych kontrargumentów, potem jednak Brand i Rhodar poparli Cho-Rama i to ostatecznie przesądziło sprawę. Nie był to najwygodniejszy sposób na załatwianie spraw, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Kilka nocy później zaszła do mnie Pol. Siedziałem nad kopią Kodeksu Mrińskiego i mamrotałem pod nosem przekleństwa.

- O co chodzi, ojcze? - zapytała. - Przez ostatni tydzień byłeś w morderczym nastroju.

Walnąłem pięścią w Kodeks Mriński.

- To przez to! - wrzasnąłem. - To nie ma w ogóle sensu!

- Nie powinno mieć. Czyż nie na tym polegał cały pomysł? Powinno brzmieć jak bełkot. Powiedz mi, w czym problem, ojcze. Może będę mogła pomóc.

Wziąłem głęboki oddech.

- Dobrze. Brand jest Dzieckiem Światła - przynajmniej

w tym szczególnym WYDARZENIU, prawda? Jeśli dobrze to odczytałem, będzie musiał być w kilku miejscach naraz.

- Przeczytaj mi to, ojcze - poprosiła cierpliwie. - Trudno doszukać się sensu w twoim podnieconym bełkocie.

- Dobrze, zobaczymy, co z tego zrozumiesz. - Rozwinąłem zwój, odszukałem odpowiedni znacznik i przeczytałem jej ten przeklęty fragment. - "I Dziecko Światła zdejmie Klejnot z jego zwykłego miejsca i sprawi, by dotarł do Dziecka Światła przed bramami złotego miasta". To w oczywisty sposób prowadzi do paradoksu. A paradoksy po prostu się nie zdarzają.

- Spójrzmy na to inaczej, ojcze. Jak długo potrwa jedno z tych WYDARZEŃ?

- Jak długo będzie trzeba, tak sądzę.

- Może całe wieki? Lata? Dni? A może będzie to kilka minut lub nawet jedna chwila? Ile czasu zabrało ci uspianie Zeda-ra w Morindlandzie? Przecież to było jedno z owych WYDARZEŃ, prawda? Ile to naprawdę zajęło ci czasu, ojcze?

- Zdaje się, że niezbyt wiele. Do czego zmierzasz, Pol?

- Mam silne przeczucie, że WYDARZENIA trwają mgnienie oka. Konieczności są po prostu zbyt potężne, by te konfrontacje trwały dłużej niż kilka sekund. Każda następna

sekunda mogłaby rozerwać wszechświat na strzępy. Proroctwa mówią, jak mamy się przygotować, co może zająć całe wieki. Jednak samo WYDARZENIE jest czymś tak prostym jak decyzja - czy pojedyncze słowo. "Tak" lub "nie". Kodeks Mriński mówi, że charakter ostatecznej konfrontacji zostanie określony na drodze wyboru, a wybór zajmuje jedynie chwilę. Myślę, że ostatecznie WYDARZENIE nie jest jedynym, które wiąże się z wyborem. Myślę, że tak jest ze wszystkimi. Gdy spotkałeś Zedara w Morindlandzie, postanowiłeś go nie zabijać. Myślę, że to właśnie było WYDARZENIEM. Wszystko poza tym - jedynie przygotowaniem do niego.

Teraz rozumiecie, co miałem na myśli, mówiąc o przenikliwości Polgary? Rozumowanie było może nieco naciągane, ale postanowiłem uznać jej wyjaśnienia i tym samym obróciłem naszą pogawędkę w WYDARZENIE. Znaczyło to również, że WYDARZENIE nie zawsze wiązało się ze spotkaniem twarzą w twarz reprezentantów dwóch Konieczności. Takie myślenie zdecydowanie gwarantuje ból głowy.

- Będę musiał wybrać się do Rivy - powiedziałem.

- Po co?

- Muszę zabrać miecz Rivy. Brand będzie go potrzebował, gdy nadejdzie czas. Kodeks Mriński mówi, że Klejnot będzie decydującym czynnikiem, a to oznacza miecz.

- Sądzisz zatem, że z tego, co mi przeczytałeś, wynika, iż to ty będziesz Dzieckiem Światła, które ma przynieść Klejnot Brandowi?

- Nie pierwszy raz mnie to spotka. - Wzruszyłem ramionami. - Jeśli się mylę, to nie będę mógł zdjąć go ze ściany. To jedna z tych miłych rzeczy, gdy ma się do czynienia z Klejnotem. Nie pozwoli ci zrobić nic niewłaściwego.

Postanowiłem nie rozpowiadać wszystkim o swym zamiarze. Nie, to nie był jeden z tych wyborów, o których mówiła Pol. Pragnąłem jedynie uniknąć kłopotliwej sytuacji. Jeśli okazałoby się, że nie mogę zdjąć miecza ze ściany, znalazłbym się w głupim położeniu, wcześniej obwieszczając swe zamiary. Próżność prowadzi do śmieszności, ale każdy z nas czasem jej ulega.

Porozmawiałem z ambasadorem Chereku i zorganizowałem sobie podróż następnym statkiem kurierskim do Rivy. Pewnie mogłem dotrzeć tam własnym sposobem, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, w drodze powrotnej będę miał ze sobą coś ciężkiego.

To nie była miła podróż. Po pierwsze, nie lubię okrętów wojennych Chereku, a paskudna pogoda, która nękała nas przez te wszystkie lata, nie polepszała sprawy.

Przycumowaliśmy do nabrzeża Rivy. Wspiąłem się po stromych, ociekających wodą schodach do Cytadeli.

W czasie nieobecności ojca władzę sprawował najstarszy syn Branda, Rennig. Stanowisko Strażnika Rivy nie jest co prawda dziedziczne, ale tym razem było niemal pewne, że zostanie przekazane Rennigowi. Był równie solidny i godny zaufania jak ojciec.

Jakież było jednak jego zdumienie, gdy wpuszczono mnie do gabinetu Branda.

- Dzięki Bogom! - powiedział, wstając. - Dostałeś moją wiadomość!

- Jaką wiadomość?

- Chcesz powiedzieć, że nie dostałeś? Czemu zatem przybyłeś?

- Mam tu coś do załatwienia. Co się stało, Rennigu? Nie widziałem cię tak podnieconego od czasu, gdy byłeś chłopcem.

- Lepiej chodź i sam zobacz, Prastary. Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział. Poślę po strażników, którzy widzieli, co się wydarzyło. Z pewnością zechcesz z nimi porozmawiać.

Wyprowadził mnie na korytarz i udaliśmy się do Dworu Ri-vańskiego Króla. Sala tronowa nie była zbyt często używana od czasu zabójstwa Goreka. Było w niej wilgotno, mrocznie i pachniało stęchlizną. Rennig wziął jedną z pochodni wiszących przy wrotach. Weszliśmy do środka i pomaszzerowaliśmy obok palenisk ku tronowi. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem miecz Ri-vy. Wisiał na ścianie ostrzem w dół, ale było z nim coś przeraźliwie nie w porządku.

Na rękojeści nie było Klejnotu mego Mistrza.

- Co tu się dzieje, Rennigu? - dopytywałem się. - Gdzie jest Klejnot?

- Tam, Prastary - powiedział i wskazał na ogromną okrągłą tarczę. Stała oparta o ścianę około dziesięciu stóp na prawo od tronu. To była zwykła alornska tarcza. Duża, okrągła, ciężka, opasana grubymi metalowymi taśmami. Zdecydowanie niezwykle było jednak to, że Klejnot Mistrza osadzono pośrodku.

- Kto to zrobił? - zapytałem z drzeniem głosu.

- Nie wiemy. Strażnicy, którzy byli tu tej nocy, nigdy przedtem jej nie widzieli.

- Jej? Zrobiła to kobieta? Rennig skinął głową.

- Sam miałem pewne wątpliwości, Belgaracie, ale znam ich obu od dzieciństwa. To uczciwi ludzie, nigdy nie skłamałoby w tak ważnej sprawie.

- Nikt nie może dotknąć Klejnotu z wyjątkiem... - Przerwałem. W głowie zabrzmiały mi słowa fragmentu w Kodeksie Mrińskim. - "I Dziecko Światła zdejmie klejnot z jego zwykłego miejsca..." Sądziłem, iż oznacza to, że Dziecko Światła zdejmie miecz i dostarczy

go Brandowi. Uwierzyłem nawet, że ten fragment był instrukcją dla mnie - że to ja jestem tym, który powinien zdjąć go ze ściany i zabrać do Tol Honeth. Ale ten fragment nie mówił o mieczu. Ta kobieta, kimkolwiek była, zdjęła Klejnot i osadziła go w środku tarczy. Pol miała rację. Skoro nikt nie mógł dotknąć Klejnotu z wyjątkiem Dziecka Światła, znaleziono inne wyjście z tej sytuacji - ale kobieta?

Po chwili do sali weszło dwóch strażników. Byli po służbie i zbliżali się do nas z pewnym wahaniem. Chyba będę musiał w końcu coś zrobić ze swą paskudną reputacją.

- Podejdźcie tu - powiedziałem krótko. - Nie ugryzę was. Nie byliście w stanie jej powstrzymać. Kiedy to się stało?

- Jakiś tydzień temu, Prastary - odparł wyższy z nich. Jakże dogodnie - i przewidująco. Niemal w tym samym

czasie, gdy postanowiłem udać się do Rivy.

- To były czary, Przenajświętszy - zapewnił drugi ze strażników. - Tej nocy, gdy trzymaliśmy straż przed wrotami, korytarzem nadeszła kobieta.

- Wiedzieliśmy, że dzieje się coś dziwnego - dodał wyższy ze strażników, szczególnie że otaczały ją płomienie.

- Płomienie?

- Ściśle mówiąc, jarzyła się. Wydobywało się z niej jasne, błękitne światło.

To mnie zaintrygowało.

- Była piękna - wtrącił drugi strażnik. - Chociaż lepiej by wyglądała, gdyby cała nie płonęła na niebiesko. Otworzyła wrota sali i weszła do środka. Poszliśmy za nią do tronu. Gdy do niego doszła, wyciągnęła rękę i powiedziała: "Chodź do mnie". Jakby przyzywała swojego pieska.

- To wszystko wydawało się dość dziwne - powiedział pierwszy - ale rozmawialiśmy o tym. Obaj widzieliśmy, co się wydarzyło potem. Kamień z rękojeści miecza po prostu spłynął do jej dłoni. On także się rozjarzył. Później niewiasta podeszła do tarczy - nigdy wcześniej nie widziałem tam tej tarczy - i umieściła kamień na środku, a on jakby wtopił się w stal.

- Czy potem odeszła? - zapytałem.

- Najpierw coś powiedziała.

- Tak? Czy powiedziała, kim była?

- Powiedziała tylko: "Ktoś przybędzie i będzie wiedział, co z tym zrobić". Następnie uśmiechnęła się i wróciła do wyjścia. Poszliśmy za nią, ale gdy znaleźliśmy się na korytarzu, jej już nie było. To wszystko, co widzieliśmy, Prastary. Nic nie mogliśmy zrobić, aby ją powstrzymać.

- Dobrze się spisaliście - pochwaliłem ich. - Nikt nie mógłby jej przeszkodzić.

Oburącz dźwignąłem ciężką tarczę.

- Ten "duch" co do jednego się nie mylił. Wiem, co z tym zrobić.

- To jest Klejnot, Świątobliwy Belgaracie - zaprotestował Rennig. - Powinien pozostać tu, na Wyspie.

- Tak - odparłem - dopóki nie jest nam potrzebny. A jeśli moje przewidywania są słuszne, twój ojciec wkrótce będzie go potrzebował.

W drodze powrotnej do Tol Honeth rozmyślałem nad faktem, iż Klejnot był teraz częścią tarczy, nie miecza. To w oczywisty sposób znaczyło, że Brand nie zabije Toraka. Tarcza ze swej natury służy do obrony. Zaczynałem zmieniać opinię o strategii, jaką tolnedrańscy generałowie przyjęli dla bitwy, która miała się rozegrać pod Vo Mimbre. Być może mogliśmy zwyciężyć z pozycji obronnej.

W czasie podróży powrotnej powiadomiłem bliźniaków o zmianie miejsca pobytu Klejnotu. Zdecydowanie będą mi potrzebne wskazówki.

Oblężenie Twierdzy ciągnęło się jeszcze przez następny rok. Potem, wczesną wiosną 4874 roku, z południowego Cthol Murgos wrócił Beldin. Doniósł nam, że Urvon zgromadził swą armię na równinach Hagga i rozpoczyna marsz na zachód. Jeśli wyliczenia generała Cerrana były poprawne, mieliśmy jeszcze około roku do ostatecznej bitwy. Całkowitą pewnością zdobędziemy, gdy Torak przerwie oblężenie Twierdzy i również ruszy na zachód.

Prawie całe lato ponaglałem ludzi wokół. Chciałem upewnić się, że wszystko będzie gotowe. Co jakiś czas nieuchronnie dochodziło do walk pomiędzy wrogimi ugrupowaniami w Aren-dii i musieliśmy śpieszyć z Polgarą z Tol Honeth na północ, aby przywrócić porządek.

Bliźniacy ciężko pracowali, jednak nie doszukai się w Kodeksie Mrińskim zbyt wielu wskazówek. Niepokoiło mnie to bardzo, dopóki w końcu nie zdałem sobie sprawy, że przebieg walki pomiędzy Brandem i Torakiem absolutnie nie zależy ode mnie. Do tego wniosku doszedłem wczesną jesienią. Wtedy to zauważyliśmy istotną zmianę w zachowaniu Branda.

- Mogę zamienić z tobą słowo, Belgaracie? - zapytał mnie pewnego deszczowego popołudnia po naradzie z tolnedrańskimi generałami.

- Oczywiście - odparłem.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował. - Powinniśmy porozmawiać na osobności. Nie chcę, aby któryś z tolnedrańskich szpiegów doniósł Ranowi Borunie, o czym mówiliśmy. To dobry człowiek, jak sądzę, ale robi się nerwowy na widok rzeczy, których nie rozumie.

Uśmiechnąłem się. "Nerwowy" to było bardzo delikatne określenie. Wyszliśmy z

Brandem z koszar i ruszyliśmy przez mokry trawnik imperialnej warowni.

- Bywałeś już w przeszłości narzędziem Konieczności, prawda? - zapytał, gdy upewniliśmy się, że nikogo nie było w pobliżu.

- Nie jestem pewny, czy cię dobrze rozumiem, przyjacielu

- odparłem. - Całe życie spędziłem na wypełnianiu zadań, które mi stawiała.

- Mam na myśli coś bardziej konkretnego. Zdaje mi się, że ty i Konieczność byliście związani ze sobą podczas wyprawy z Cherekiem i jego chłopcami do Cthol Mishrak.

- Tak. Co z tego?

- Czy rozmawiała z tobą?

- Owszem.

- Cieszę, że to mówisz. Myślałem już, że tracę zdrowy rozum. Ma osobliwy sposób mówienia, prawda?

- Ma spaczone poczucie humoru. Co ci mówi?

- Nic szczególnego. Byłem nieco zdenerwowany tym, co mam zrobić pod Vo Mimbre. Ona jednak powiedziała mi, abym nie przejmował się zbytnio. - Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Czy ty wiedziałeś, co zrobisz, nim to zrobiłeś? To znaczy, czy wiedza o tym, jak zareagować, po prostu pojawiła ci się w głowie, w chwili gdy coś się wydarzyło?

Kiwnąłem głową.

- Tak to się odbywa - odparłem. - Przyjaciel, którego masz w głowie, zwykle nie kłopotce się wyjaśnianiem rzeczy, on po prostu wbudowuje w twój umysł prawidłowe reakcje. Nawet nie musisz o tym myśleć. Co każe ci teraz zrobić?

- Mam przekonać Tolnedran, że armia Urvona wcale nie jest taka groźna. Urvon i Ctuchik popełnią błąd. Nawet nie dotrą do Nyissy.

- Jaki błąd?

- Nie mam pojęcia. Problem w tym, że Cerran przekona się o tym dopiero, gdy Torak prawie dotrze pod Vo Mimbre. Nie będziemy mieć czasu, by przeprowadzić jego legiony z południowej Tolnedry na pole bitwy.

- Nie będą wcale musieli maszerować - powiedziałem.

- Jak zatem dostaną się tutaj?

- Przewiozą ich okręty Chereku.

- Skąd to wiesz? Skrzywiłem się.

- Nasz wspólny przyjaciel umieścił ten pomysł w moim mózgu kilka tysięcy lat temu.

- Chcesz powiedzieć, że cały czas o tym wiedziałeś?

- Ale nieświadomie. Przyzwyczaisz się do tego, Brandzie. Wskazówki nie pojawiają się, dopóki ich nie potrzebujesz. Myślę, że to część umowy pomiędzy Koniecznością naszą i Toraka. Gdy tylko powiedziałeś mi o tym "błędzie", który mają popełnić Urvon i Ctuchik, od razu wiedziałem, jak sprowadzimy legiony pod Vo Mimbre.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Zdaje się, że to ma dość szczególny sens. Najwyraźniej nasz przyjaciel nie chce zaśmieszać naszych umysłów tymi sprawami, dopóki absolutnie nie będziemy musieli o nich wiedzieć. Mam tylko nadzieję, że nie spóźni się ze wskazówkami, gdy Torak i ja zaczniemy.

- Oby tak było. Czy domyślasz się może, dlaczego Klejnot jest teraz osadzony w tej tarczy zamiast na głowni miecza?

- Wiem tylko, że nie mam uderzyć nim Toraka. Ktoś inny to zrobi. Ja mam jedynie pokazać go Torakowi.

- Pokazać? Widział go już, Brandzie.

- Dobra, Belgaracie, nie wtykaj do tego nosa. - Oczywiście poznałem ten głos. - Ty rób swoje i pozwól Brandowi robić, co do niego należy.

Zaskoczony wyraz twarzy Branda dobitnie świadczył, że on także słyszał słowa naszego przyjaciela.

- Czy on zawsze tak się do ciebie zwraca? - zapytał. Skinąłem ponuro głową.

- Cały czas. Coś go najwyraźniej we mnie drażni. Zaczniemy lepiej przekonywać generała Cerrana, by na wszelki wypadek opracował dodatkowe plany.

- A czemu po prostu nie powiedzieć mu, kim naprawdę jesteś? I skąd bierzemy nasze instrukcje?

- Nie, Brandzie, jeszcze nie teraz. Wolę, by sprowadził swe legiony pod Vo Mimbre, nim zaskoczę go jakimiś niespodziankami. Cerran to dobry, solidny człowiek, ale mimo wszystko Tol-nedranin. Powiemy mu, że flota Chereku będzie czekała u ujścia Leśnej Rzeki, na wypadek gdyby jej potrzebował. Będzie wiedział, co zrobić, gdy nadejdzie czas.

Była wiosna 4875 roku, gdy Torak w końcu rozłożył zde gustowany ręce, przerwał oblężenie Twierdzy i ruszył na zachód z tym, co pozostało z jego armii. Algarowie i mściwi Drasanie podgryzali mu tyły. Za każdą armią ciągną zwykle maruderzy, ale tym razem nigdy nie dogonili głównych sił.

Gdy Torak dotarł do Ulgolandu, sprawy przybrały dla niego jeszcze gorszy obrót. Każdej nocy Ulgosi wychodzili ze swych jaskiń, niczym koty na polowanie, i wyłapywali wartowników rozstawionych wokół angarackiej armii. Często udawało im się zapuścić nawet w głąb obozowiska i zabić wielu żołnierzy Toraka. Torak starał się ignorować te

nieprzyjemności, ale w jego oddziałach zapanowała bardzo nerwowa atmosfera i większość żołnierzy w ogóle przestała sypiać.

Okaleczony Bóg Angaraków posępnie parł naprzód, ponosząc po drodze straszliwe straty. W końcu dotarł do głównego biegu rzeki Arend.

Rozmieściliśmy nasze siły wokół Vo Mimbre, gdy tylko bliźniacy powiadomili mnie, że Torak ruszył. Wszyscy czekali w pogotowiu, brakowało tylko legionów tolnedrańskich.

Torak zatrzymał się, by przegrupować siły, ale my nadal nie mieliśmy żadnej wieści o tym, co działo się w południowym Cthol Murgos. Jeśli coś się tam nie wydarzy, i to szybko, będziemy musieli walczyć bez pomocy legionów. Nie wyglądało to zachęcająco.

W końcu, późną nocą, gdy właśnie zapadłem w niespokojny sen, obudził mnie głos Beldina.

- Belgaracie! - zarechotał. - Możesz przestać martwić się Urvonem! On tam nie dotrze!

- Co się stało?

- Murgowie wyrzynają jego armię w pień i szuka otwartego pola, by stoczyć z nimi walkę. Poszedł na Wielką Pustynię Araga, a Murgowie podążyli za nim.

- Niszczą się nawzajem? - zapytałem rozbawiony.

- Nie, ktoś robi to za nich. Czy tam u was nadal pada?

- Beldinie, pada niemal nieprzerwanie od 4850 roku. Nigdy nie przestanie.

- Teraz pewnie przestanie. Powód właśnie przeszedł przez Pustynię Araga. Przez ostatnie pięć lat lało na tym pustkowiu. Urvona i Murgów, którzy go gonili, przywaliły zwały błota. Nikt stąd nigdzie nie pójdzie. Torak będzie musiał walczyć tymi siłami, którymi dysponuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poszedłem do kwatery Pol, obudziłem ją i przekazałem wieści od Beldina.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności - zauważyła, zaparzając sobie herbatę. Ja nigdy nie przepadałem zbytnio za herbatą, ale Pol zasmakowała w niej podczas lat spędzonych w Vo Wacune.

- To chyba coś więcej, Pol - nie zgodziłem się. - Paskudna pogoda, którą musieliśmy znieść przez ostatnie ćwierć wieku, była przygotowaniem do tej ulewy, więc trudno nazwać to szczęśliwym trafem. Co więcej, Urvon nie zapędziłby się na pustynię i nie dał się schwytać w pułapkę, gdyby nie knucia Ctuchika.

- Czy to duża pustynia?

- Wielka Pustynia Araga? Jest wielkości Algarii. Nie ma mowy, aby Urvon przekopał się przez nią wystarczająco szybko, by odegrać jakąś rolę pod Vo Mimbre.

- Chyba że Torak postanowi zaczekać na niego.

- Nie może. WYDARZENIE musi dojść do skutku w określonym czasie.

- Nadal jednak mamy problem.

- Tak? Z mojego punktu widzenia sprawy przybierają całkiem dobry obrót.

- Nie ciesz się tak, ojcze. Wiemy, że Urvon jest pogrzebany pod błotem, ale jak przekonamy Rana Boruna i generała Cerrana, że ich południowe granice są już bezpieczne? My przywykliśmy do manipulacji pogodą, ale oni nie. Ta burza na nic się nie zda, jeśli nie zwolni legionów z posterunku.

Polgara wszystko potrafi pozbawić blasku. Chwilę wpatrywałem się chmurnie w podłogę.

- Lepiej porozmawiajmy z Rhodarem - postanowiłem. -Może sprawę załatwi rzekoma wieść od jednego z jego szpiegów.

- Ten wybieg jest już nadużywany, ojcze. Ran Borune i Cerran wiedzą, że chcielibyśmy mieć legiony pod Vo Mimbre. Wiadomość, która "przypadkiem" przyszła w samą porę, wzbudzi ich podejrzliwość. Czemu nie powiedzieć im prawdy? Pokaż im kopie Kodeksu Mrińskiego i wskaż wszystkie wydarzenia w przeszłości, kiedy miał rację.

- Nie sądzę, aby to zdało egzamin, Pol. Możemy przekonać Rana Boruna. Wystarczająco wiele widział już w ciągu minionych pięciu lat, by zdawać sobie sprawę z tego, że dzieje się tu coś, czego nie można racjonalnie wytłumaczyć. Staraliśmy się jednak tak usilnie, by generałom wszystko rozsądnie wyjaśnić, że nagle odkrycie prawdy zupełnie

wytrąciłoby Cerrana z równowagi. Przekonanie go zajęłoby całe miesiące, a my nie mamy tyle czasu. Torak maszeruje już w dół rzeki Arend, w kierunku Vo Mimbre. Przewiezienie legionów na północ, do Arendii, zajmie Cherekom trochę czasu. Wypróbujmy najpierw stary sposób, nim chwycimy się czegoś nowego. Chcę mieć te legiony pod Vo Mimbre i nie mam czasu na udzielanie nauk Naczelnemu Dowództwu Tolnedry.

- To nie armie zdecydują o wyniku tej bitwy, ojciec. Brand i Torak wezmą udział w pojedynku i to jest WYDARZENIE, na które czekamy. Całe te manewry stanowią jedynie przygotowanie.

- Owszem, ale są niezbędne. Torak uzyska przewagę liczebną, jeśli nie dołączą do nas legiony. Nie będzie miał żadnego powodu, aby przyjąć wyzwanie Branda, chyba że obudzimy jego wątpliwości. Będziemy musieli utrzeć mu trochę nosa, nim przez myśl przejdzie mu opuszczenie tego żelaznego pawilonu i pojedynk z Dzieckiem Światła. Torak może jest szalony, ale nie na tyle głupi, by ryzykować, jeśli go do tego nie zmusimy.

- Nadal pozostaje jeszcze kwestia generała Cerrana.

- Wiem. Zabierzmy Rhodara i chodźmy do pałacu.

Jak się spodziewałem, Ran Borune skłonny był zaakceptować historyjkę Rhodara o wiadomości z południa. Imperator Tolnedry był na tyle sprytny, by zdawać sobie sprawę, że mamy z Pol sposoby zdobywania informacji, których on nie potrafi w pełni pojąć, ale dopóki nie stawialiśmy go w kłopotliwym położeniu i zachowywaliśmy pozory, chętnie z nami współpracował. Generał Cerran stanął okoniem.

- Przykro mi, wasza wysokość - przepraszał cesarza - ale po prostu nie mogę zgodzić się na pozostawienie naszych południowych granic bez obrony, dopóki nie sprawdzę tej wiadomości. Proszę nie poczytać tego za obrazę, królu Rhodarze, ale z pewnością jego wysokość rozumie moje stanowisko. Mamy tu jedynie zaszyfrowaną wiadomość, której nie potrafię nawet odczytać, od człowieka, którego nawet nie znam. Jego depesza może zawierać przesadzone wieści lub mogło się zdarzyć, że został pojmany i zmuszony do jej wysłania. Nic nie uradowałoby Urvona bardziej niż skłonienie nas podstępem do zabrania legionów z południa. Jeśli ta wiadomość nie jest prawdziwa, Urvon rozbije obóz na ulicach Tol Borune, nim ponownie zajmiemy swoje pozycje.

- Ile zajmie ci sprawdzenie tej wiadomości, Cerranie? - zapytał Ran Borune.

- Przynajmniej kilka tygodni, wasza wysokość - odparł generał. - Mam trzy legiony na północnym brzegu Rzeki Borgasa w południowej Nyissie. Pełnią funkcje zwiadowcze, abyśmy wiedzieli, gdy Urvon dotrze do granicy Nyissy. Jeśli przekażę im rozkaz, to konny patrol może przedostać się przez południowo-zachodni kraniec Goska na pustynię i wrócić w

ciągu tygodnia lub dziesięciu dni. - Rozłożył bezradnie ręce. - Przykro mi, wasza wysokość, ale to najlepsze, co mogę w tej sytuacji zrobić. Informację można przekazać jedynie tak szybko, jak człowiek na dobrym koniu potrafi ją przenieść. To zawsze stanowiło problem w trakcie szeroko zakrojonych kampanii. Chciałbym, aby był szybszy sposób, ale nie ma.

Oczywiście mylił się. Jest szybszy sposób, ale nie mogłem mu tego wyjaśnić - w każdym razie nie w zrozumiałych dla niego terminach.

- Myślę, że znalazł się pan w nieco kłopotliwym położeniu, generale Cerran - powiedziała Pol. - Jeśli raport Rhodara nie jest dokładny, to Urvon nadal może zająć was od południa, ale jeśli Kal Torak zwycięży pod Vo Mimbre, to stanie na waszej północnej granicy i od Tol Honeth odgradzać go będzie jedynie garstka nie uzbrojonych wieśniaków. W tym wypadku będziesz miał do czynienia z powtórką tego, co wydarzyło się w Drasni.

To go trochę zaniepokoiło, a Rana Boruna nawet jeszcze bardziej. Przebiegły imperator myślał nad tym przez chwilę.

- A co byście powiedzieli na kompromis? - zapytał w końcu.

- Zamieniam się w słuch, Ranie Borunie - powiedział Rhodar.

- A może wysłać połowę legionów do Arendii, a drugą połowę zostawić tam, gdzie jest?

- Czy to wystarczy, Belgaracie? - zapytał Rhodar.

- Połowiczne rozwiązanie - odparłem z powątpiewaniem

- Czy to decyzja jego wysokości? - zapytał Cerran swego imperatora. - Będą osłonięte obie granice, ale... - Zawiesił głos.

- Nie mamy wielkiego wyboru, Cerranie. Musimy zabezpieczyć się z obu stron.

- Nie cierpię wojny na dwóch frontach - mruknął Cerran. Przez chwilę wpatrywał się pośepnie w sufit. - Przewaga liczebna to głównie kwestia wrażenia - zastanawiał się głośno. - Na ogół udział w walce bierze mniej niż połowa oddziałów. Pozo-

stałe trzymane są w rezerwie - zwykle tam, gdzie generałowie przeciwnika mogą je widzieć.

- Tak się to zwykle odbywa - przyznał Rhodar.

- Ja mam do dyspozycji dodatkowe siły - powiedział Cerran. - Nie są to zbyt dobrze wyćwiczeni żołnierze ani w zbyt dobrej kondycji i nie gwarantuję, że potrafią dobrze walczyć, ale mogą zrobić na Toraku wrażenie.

- Skąd wytrzasnąłeś tę widmową armię, Cerranie? - zapytał Ran Borune.

- Mamy tu, w Tol Honeth, w imperialnym garnizonie, osiem legionów, wasza wysokość. Są tłuści i leniwi, w większości to Honethowie. Nikomu jeszcze nie udało się zrobić prawdziwych żołnierzy z Honethów, ale mogą zasilić nasze szeregi pod Vo Mimbre.

- Początek już jest - przyznał Rhodar.

- Myślę, że mogę posunąć się jeszcze dalej - dodał Cerran. - W okolicy Tol Honeth znajduje się dwanaście obozów treningowych legionów i siedem w pobliżu Tol Vordue. Ci rekruci pewnie nawet nie potrafią jeszcze maszerować w szeregu, ale są umundurowani. Mogą udawać dodatkowe dwadzieścia siedem legionów wzmacniających nasze rezerwy. Jeśli ściągniemy połowę regularnych oddziałów z południowej granicy i wzmocnimy je tamtymi pseudożołnierzami, Kal Torak ujrzy ponad siedemdziesiąt pięć legionów - i wojaków króla Eldriga - na swym lewym skrzydle. Myślę, że to zwróci jego uwagę.

- Jesteś geniuszem, generale Cerranie! - wykrzyknął Ran Borune.

- Wiesz, Belgaracie - powiedział Rhodar - to może się udać. Kal Torak może i jest szalony, ale Ad Rak Cthoros z Cthol Murgos nie jest, podobnie jak Yar Lek Thun Nadraków. Nie pozwolą unicestwić swych armii, dopóki Mallorealanie znajdują się na tym kontynencie. Mogą przed Kal Torakiem chylić czoło, ale nie są na tyle głupi, by mu ufać. Jeśli zaczną wyglądać, że zdecydowanie górujemy nad nimi liczebnością, to myślę, że będą

próbowali zdezerterować. Porozmawiam o tym z Cho-Ramem. Jeśli Murgowie i Nadrakowie zatęsknią za domem, nie powinniśmy ich chyba zatrzymywać, gdy ruszą na wschód.

- A co z Thullami? - zapytał go Cerran.

- Thullowie nie potrafią znaleźć drogi do domu bez psów przewodników, generale - odparł ze śmiechem Rhodar. - Mają bardzo ograniczone poczucie kierunku, można powiedzieć, a także bardzo ograniczone pojęcie niemal o wszystkim. Przeciętnemu Thullowi potrzeba pół dnia na zawiązanie butów.

- Zdajecie sobie, panowie, sprawę, że przyszłość świata uzależniacie od powodzenia zawilego podstępu? - zapytała Polgara.

- To jest gra, lady Polgaro - przyznał z zadowoleniem Rhodar - ale czasami to dobra zabawa, a im wyższa stawka, tym bardziej jest podniecająca.

Polgara westchnęła, ale nic nie powiedziała.

- To najlepsze, co możemy zrobić, Belgaracie - przeproszał Ran Borune. - Legiony rozproszone są wzdłuż Leśnej Rzeki. Generał Cerran może sprowadzić te znajdujące się najbliżej wybrzeża do ujścia Leśnej Rzeki i czekającej w pogotowiu flotyli Chereku. Tym, którzy znajdują się dalej na wschód, i tak zbyt wiele czasu zajęłoby dotarcie do wybrzeża, by na coś się przydały pod Vo Mimbre.

- Osobiście obejmę dowództwo naszych sił w Arendii - dodał Cerran. - Może uda mi się przekonać Honethów, aby zarobili na swój żołądek.

- No cóż - powiedziałem - jeśli to najlepsze, co możemy zrobić, to będzie musiało wystarczyć. - Udawałem lekkie zwątpienie, ale tak naprawdę byłem całkiem zadowolony z obrotu sprawy. Sztucznie rozdęta armia Cerrana może przekonać Kal Toraka do przyjęcia wyzwania Branda, gdy nadejdzie czas.

Torak nie poruszał się zbyt szybko. Pogoda nie wróciła jeszcze do normy i jego armia brnęła przez głębokie na stopę błoto. Zatrzymywał się również, by zburzyć każdy ufortyfikowany

dom, każdy zamek i każdą wieś, którą napotkał. Jeńców przekazywał oczywiście Grolimom. Spowalniało ich również coś jeszcze - a raczej ktoś - mianowicie Algarowie, Drasanie, Ulgosi i asturscy łucznicy. Górny odcinek rzeki Arend był gęsto zalesiony, więc świetnie zakładało się tam zasadzki. Mówiąc szczerze, miałem trochę wątpliwości co do zapachu Asturów. Kal Torak w końcu atakował Mimbre. Ale gdy łucznicy Eldallana zobaczyli okrucieństwa, jakich dopuszczali się Angarakowie, celność ich strzałów poprawiła się na tyle, że nie sposób było się ukryć przed asturskimi strzałami. Kal Torak z Mallorei ponosił straszliwe straty w trakcie marszu na zachód ku Vo Mimbre.

Beldin poleciał z Pustyni Araga na północ i był z królem Eldrigiem w ujścia Leśnej Rzeki. Legiony tolnedrańskie nadciągały, ale odniosłem wrażenie, że nie spieszyło im się zbyt. Nie poruszyłem jednak tej kwestii z generałem Cerranem. Potrzebowałem go, więc nie chciałem zaognić sytuacji.

Eldrig znajdował się na południu ze swą flotą, gdy do Tol Honeth przybyli bliźniacy z dodatkowymi wskazówkami, które znaleźli w Kodeksie Mrińskim. Nadal spotykaliśmy się w ambasadzie Chereku. To było jedyne miejsce w Tol Honeth chroniące od wścibskich oczu i uszu szpiegów Rana Boruna. To, o czym mieliśmy rozmawiać, nie było jego sprawą. Poza tym lubiłem ambasadę Chereku w Tol Honeth. To było przytulne miejsce, dające miłe wytchnienie po tolnedrańskim marmurowym przepychu. Fotele wyciosano z drewna i przykryto skórą, a na palenisku wiecznie płonął ogień, nawet latem. Cherekowie są przekonani, że odkryli ogień, więc płonące kominki to dla nich rodzaj religijnego obrzędu.

Gdy już zebraliśmy się w typowej alornskiej komnacie rady i ambasador rozesał swych krzepkich chłopców, by wypłoszyli z budynku wszystkich szpiegów, przystąpiliśmy do sprawy. Beltira wyjął z futerału jeden ze zwojów Kodeksu Mrińskiego i przeczytał nam jego fragment.

- "Baczie! - czytał. - Stanie się, iż Bóg-Smok zajęty będzie pod murami złotego miasta przez trzy dni, a potem Dziecko Światła wyzwanie mu rzuci. I trzeciego dnia wszystko zdecyduje się podczas WYDARZENIA".

- Przynajmniej nie będzie długiego oblężenia - zauważył Cho-Ram.

- A już miałem taką nadzieję - powiedziałem. Podeszedłem do mapy i zmierzyłem kilka odległości. - Myślę, że powinniśmy zaprzestać podgryzania tyłów Toraka i nieco wycofać te oddziały. Jeśli dalej będziemy go tak naciskać, może nie zatrzymać się dla przegrupowania. Pogna prosto na równinę wokół Vo Mimbre i zacznie oblężenie miasta. Czy nam się to podoba, czy nie, będzie to początek trzydniowej bitwy, o której mówił Kodeks Mriński, a ja wolałbym, aby Eldrig i Cerran byli o wiele bliżej, nim sprawy zajdą tak daleko.

- On może i tak iść dalej i zaatakować, Belgaracie - zauważył Rhodar. - Ma kalendarz wydarzeń, więc wie, kiedy ma tam dotrzeć. My tego nie wiemy. Jeśli czas go goni, nie stanie.

- Logika podpowiada, że zostawił sobie pod dostatkiem czasu, Rhodarze - nie zgodziła się Poi. - Wiele rzeczy musi się wydarzyć przed WYDARZENIEM i Torak o tym wie - pewnie nawet lepiej od nas. Określone rzeczy muszą znaleźć się na swoim miejscu, nim Brand będzie mógł rzucić wyzwanie. Jeśli Torak w jakiś sposób temu przeszkodzi, będziemy mieli do czynienia z całkowicie innym WYDARZENIEM - takim, o jakim Kodeks Mriński czy Wyrocznia Ashabińska pewnie nawet nie wspominają. W takim wypadku nikt nie będzie wiedział, co się wydarzy.

- Moglibyśmy po prostu rzucić wszystkie nasze siły przeciwko niemu - zaproponował Rhodar. - To powinno go trochę opóźnić.

- Ale tym samym bitwa odbędzie się gdzie indziej, nie pod Vo Mimbre - zaprotestował Brand - a WYDARZENIE tam musi mieć miejsce.

- No cóż, ojczu - zwróciła się do mnie Poi. - Jeszcze raz trzeba będzie zdać się na wiarę.

- Zdaje się, że tak. Chyba trzeba wybrać się do Vo Mimbre i udzielić Aldorigenowi kilku rad. Nie chcę, aby mimbrańscy rycerze poczuli się zbyt silni i niepokonani. Jeśli ruszą do ataku, nim legiony i Cherekowie dotrą pod Vo Mimbre, to zostaną starci z powierzchni ziemi. Myślę, że tym razem będziemy mieli tylko jedną szansę, więc od razu postępujemy jak należy. Tutaj zrobiliśmy już wszystko, co było w naszej mocy, zatem, panowie, lepiej opuśćcie Rana Boruna i wracajcie do swoich wojsk. Wszyscy znamy sygnały i wiemy, co robić, gdy nadejdą. Poi i ja udamy się do Vo Mimbre i weźmiemy Aldorigena na smycz. Potem będziemy siedzieć i czekać na flotę Chereku. Nie prowokujcie żadnych starć i nie dajcie się też Torakowi wywabić z waszych kryjówek.

Wszyscy wstaliśmy.

- Powodzenia, panowie - powiedziała poważnie Poi. Spotkanie dobiegło końca. Królowie udali się przez miasto

do imperialnego pałacu, by powiadomić Rana Boruna o swoim odjeździe. Cho-Ram i

Rhodar ruszyli na zachód, by objechać lewe skrzydło Toraka i dołączyć do swych armii w górach. Tymczasem Brand i Ormik z Sendarii pojechali na północ, by dołączyć do wojsk czekających na skraju Puszczy Arendzkiej.

Ja z Poi zmarudziłem jeszcze chwilę, ponieważ chciałem zamienić kilka słów z bliźniakami.

- Postarajcie się pilnować, aby Ran Borune nie popadł w histerię - powiedziałem. - Będziemy w kłopotach, jeśli w tej sytuacji puszcza mu nerwy. - Potem opuściliśmy z Poi ambasadę, przeszliśmy północnym mostem przez Nedrane i weszliśmy w brzozowy zagajnik, by zmienić postać.

- Muszę zrobić coś, co ci się nie spodoba, ojcze - powiedziała Poi. - Mam używać postaci mamy. Postępuję zgodnie ze wskazówkami, więc nie trać czasu na protesty.

- Postaram się panować nad sobą - odparłem. O tym, o co w tym wszystkim chodziło, wiedziałem o wiele więcej niż Ran Borune, ale i tak działo się wiele rzeczy, o których nie wiedziałem. Pewnie z tego samego powodu. Jeśli wiedziałbym wszystko, to popadłbym w histerię.

Pogoda zaczynała się poprawiać - powoli. Przynajmniej już bez przerwy nie padało. Moce, które zbierały siły, odkąd Kal Torak opuścił Ashabę, osiągnęły swój punkt szczytowy podczas burzy, która pogrzebała Urvona, ale potrzeba było jeszcze czasu, nim wszystko wróci do normy. Niebo na północną Tolnedrą i południową Arendię nadal zasnuwały chmury i choć zaczęło się już lato, nie ocieplilo się zbyt.

Dotarliśmy do Vo Mimbri w środku nocy i wylądowaliśmy na murach otaczających pałac Aldorigena. Oczekaliśmy, aż zakuty w stal strażnik odmaszerował z chrzestem zbroi, następnie wróciliśmy do własnych postaci i zeszliśmy do sali tronowej. Panował w niej półmrok.

- Może pozwoliłbyś mnie się tym zająć, ojcze? - zaproponowała Pol. - Znam Arendów o wiele lepiej od ciebie i potrafię wyjaśnić Aldorigenowi sprawę w sposób, który go nie obrazi. Ty tylko staraj się robić dobre wrażenie, a ja zajmę się rozmową.

- Chętnie - przystałem. - Rozmawianie z Arendami przyprawia mnie o ból głowy.

- Ależ ojcze!

Dziwne, powiedziała to niemal z przekonaniem.

Świt zaczynał zaglądać już w okna sali tronowej, gdy wielkie wrota się otworzyły. Weszli Aldorigen i jego siedemnastoletni syn, Korodullin. Siedzieliśmy z Pol w rogu sali, więc nie od razu nas spostrzegli.

- To niegodziwiec, sire - mówił z zapalem Korodullin - wyrzutek wyjęty spod prawa.

Jego obecność tutaj sprofanuje najświętsze miejsce w całej Arendii.

- Wiem, że łotr z niego i hultaj, Korodullinie, ale słowo swe mu dałem. Nie będziesz mu zatem mową swą uwłaczał ani też żadnych impertynencji prawil, dopóki w murach Vo Mimbre się znajduje. Jeśli zaś nie potrafisz gniewu swego powściągnąć, w komnatach swoich pozostań i czekaj, aż wyjedzie. Przybędzie tu przed południem i muszę omówić z nim różnorodne kwestie dotyczące zbliżającej się bitwy. Będzie znajdował się tutaj pod ochroną i żaden człowiek - nawet ty - nie splami mego honoru nierozważnym słowem lub uczynkiem. Ślubujesz mi to lub będę musiał cię uwięzić.

Korodullin wyprostował się. Był przystojnym diablęcikiem, muszę to przyznać, ale na twarzy malował mu się gniew i nie przejawiał choćby najmniejszych oznak zdrowego rozsądku.

- Będzie, jak mój król rozkaże - zgrzytnął przez zaciśnięte zęby.

Co tu się działo?

Podśluchiwałbym jeszcze trochę dłużej, ale Polgara już podchodziła do podwyższenia, na którym obaj stali.

- Dzień dobry, wasza wysokość - pozdrowiła Aldorigena, dygając wdzięcznie. - Mój sędziwy ojciec i ja właśnie przybyliśmy z Tol Honeth i choć wspaniałość tego najprzesławniejszego z miast wszystko przyćmiewa, przybyliśmy tutaj naradzić się z tobą, panie, i przekazać ci pewne informacje o tym, co wydarzyć się ma, a co ciebie, panie, i twego królestwa szczególnie dotyczy.

Jak jej się udało zmieścić to wszystko w jednym zdaniu? Aldorigen skłonił się przed nią głęboko.

- Twa obecność zaszczytem jest dla mego skromnego miasta, boska lady Polgaro - odparł - albowiem ty, niczym słońce samo, sprowadzasz jasność i radość na wszystkich, na których spojrzysz. - Jeśli dać Arendom czas, to bez końca będą wymieniać coraz bardziej zawile komplementy. Gdy tylko Polgara przeszła na owe "zaiste" i "albowiem", jej zdrowy rozsądek ulotnił się i stała się Arendką do szpiku kości. Wiedziałem, że próby ponaglenia ich byłyby jedynie stratą czasu. Wyciągnąłem więc spod tuniki mały, ciasno zwinięty zwój, usiadłem na fotelu w pobliżu podwyższenia i udałem bardzo zajętego.

Po półgodzinie, w ciągu której moja córka i tak zwany król Arendii przyrównywali się do słońc, księżyców, tęcz, letnich poranków, gwiazd, orłów w locie, ryczących lwów i delikatnych gołębi, Polgara przeszła do rzeczy. Wbiła po prostu do głowy nierozsądnemu Aldorigenowi konieczność oczekiwania na sygnał do ataku, powtarzając mu to wielokrotnie i za każdym razem używając innego porównania lub metafory. Stopniowo w jego oczach

zaczął pojawiać się przebłysk zrozumienia.

- Proszę cię, mój królu - zaprotestowała - nie ośmieliłabym się udzielać pouczeń najwspanialszemu ze wszystkich monarchów tego świata... - I tak przez następne pół godziny oboje prześcigali się w okazywaniu swej nadmiernej pokory. W końcu Pol okrężną drogą dobrnęła do zapytania go, o co sprzeczał się z synem po wejściu do sali tronowej.

- Niegodziwy Astur, Eldallan, ubłagał mnie, abym zagwarantował mu bezpieczeństwo, byśmy mogli czas jakowys naradzać się nad sprawami materii różnorodnej niepokojącymi nas w obliczu nadciągającej bitwy. Zważcie jednakowoż, iż czuć nikły swąd podstępny w jego prośbie. Nasze plany bitwy jasne są i nieskomplikowane. Spotkanie to zatem nie jest konieczne.

- Szelma korzysta z okazji, by wyszpiegować naszą obronę - zapewnił żarliwie Korodullin. - To Astur, przeto niegodziwiec z definicji. Jeśli bitwa wyczerpie nasze siły, Eldallan całymi swoimi siłami przypuści szturm na Vo Mimbre. Nadto, jako iż to Astur, wielce prawdopodobne, że zawarł jakowys potajemny pakt z Kal Torakiem, by zdradzić nas w krytycznym momencie bitwy.

Skontaktowałem się w myślach ze swoją córką.

- Lepiej natychmiast połóż temu kres, Pol. Cały sojusz chwieje się w posiadach.

- Dobrze - odparła. Spojrzała na nich z udawanym zdziwieniem. - Nie wierzę swym uszom - rzekła do nich. - Azali w istocie jesteście aż tak bojaźliwi? Czyżby z legendarnej odwagi Mimbratów wstyd jeno pozostał? Czyżby wrogość kilku asturskich wyrzutek tak wielce was niepokoiła? Fe, panowie, wstyd! Owa babska podejrzliwość wstyd wam obu przynosi!

Prawie mnie zatkało. Ja nie załatwiłbym tego w ten sposób. Jeśli to był wedle Pol najlepszy sposób załagodzenia sprawy, to będę z nią musiał odbyć dłuższą rozmowę.

O dziwo jednak poskutkowało. Polgara łajała ich dalej, aż w końcu nie mogli sobie znaleźć miejsc, niczym para zawstydzonych uczniów, wówczas dała spokój.

Książę Eldallan przybył punktualnie w południe i zabrał ze sobą swą córkę, Mayaseranę. Płynące z tego wnioski były całkiem oczywiste. Czynił z siebie i swej córki zakładników na dowód swej dobrej woli. O dziwo, Aldorigen pojął to w lot. Maya-serana znacznie wyrosła, odkąd widziałem ją po raz ostatni. Miała prawie osiemnaście lat i była zdumiewająco piękna, co Korodullin natychmiast zauważył. Jej urodę nieznacznie tylko psuło spojrzenie ogromnych, ciemnych, twardych niczym agaty oczu.

- Przejdę od razu do rzeczy, Aldorigenie - powiedział dziarsko Eldallan, gdy w otoczeniu licznej straży wprowadzono ich do sali tronowej. - Obaj szczególnie nie

przepadamy za sobą, więc nie ma co tego przeciągać. Dałem słowo jej miłości, księżnej Erat, że przybędę ci z pomocą, gdy Kal Torak przypuści szturm na miasto, i uczynię to. W zamian jednakże chciałbym, byś przysiągł, że po skończeniu bitwy moi ludzie będą mogli wrócić do Asturii nie molestowani przez mimbrańskich rycerzy.

- Asturia już nie istnieje - zapewnił Korodullin.

- Powiedz to po wjechaniu do naszego lasu, głupi chłopaku - powiedziała Mayaserana. - Mimbrańskie kości pod każdym krzakiem porastają mchem. Jeszcze jedno nie uczynią większej różnicy.

Dogadywali się po prostu wspaniale.

W tym momencie Polgara wkroczyła do akcji i zmusiła El-dallana i Aldorigena do wymiany przysięg. Eldallan przysiągł zająć swoje miejsce pomiędzy Rivanami i Sendarami na północnym skrzydle Toraka, a Aldorigen ślubował, że mimbrańscy rycerze nie przeszkodzą w powrocie Asturów do domu. Oczywiście całą sprawę można było załatwić przez sendarskich mediatorów, ale Eldallan miał jeszcze inny powód przybycia do Vo Mimbre. Wyjawiał go, gdy wymienili z Aldorigenem przysięgi.

- Przyszło mi do głowy, że nadarza nam się doskonała okazja do załatwienia sprawy, Aldorigenie - powiedział wyniosłym tonem.

- Wysłucham twych słów, Eldallanie. - Ton głosu Aldorigena był zimny i obraźliwie wyniosły.

- Całe pokolenia pewnie przeminą, nim władcy Mimbre i Asturii ponownie znajdą się w tak dogodnej bliskości, nie sądzisz?

Aldorigenowi rozbłysły oczy.

- Bardzo wnikliwe spostrzeżenie, panie - odparł. Po raz pierwszy któryś z nich zwrócił się do drugiego z cieniem szacunku.

- Czemu by nie ustalić dnia, panie? - zaproponował Eldallan. - Gdy już pozbędziemy się kłopotów z Kal Torakiem, moglibyśmy, ty i ja, udać się w jakieś ustronne miejsce i omówić sporne kwestie, dokładnie. - Znacząco położył dłoń na rękojęści schowanego w pochwie rapiera. - Jestem pewny, że uznasz moje argumenty za bardzo ostre.

Na twarzy Aldorigena pojawił się niemal dobroduszny uśmiech

- Jakaż wspaniała propozycja, panie - powiedział ciepło.

- A zatem bywaj, panie - powiedział Eldallan z głębokim ukłonem.

- Trzymaj się od tego z dala, Pol! - powiedziałem ostro w myślach. - To powinno się wydarzyć!

Odpowiedź, jaką mi w myślach przesłała, nie nadaje się do powtórzenia.

- A ty, zuchowaty młodziku, trzymaj się z dala, gdy nasi ojcowie się spotkają - powiedziała do Korodullina Mayaserana. - Jestem Asturką i moje ręce stworzone są do łuku. Twoje kości równie dobrze mogą zmurszeć w Mimbre, co w Asturii.

- Nie zbliżaj się na strzał z łuku do mego ojca ty wyjęta spod prawa dziewczko - odparował - jeśli z głowy swej chcesz jeszcze potem użytek czynić.

Potem Eldallana i jego wojowniczą córkę wyprowadzono pod eskortą.

- Teraz moje życie pełne się stało! - wykrzyknął uradowany Aldorigen. - Gdyby to tak nienaturalne nie było, to gotów bym wyściskać tego durnego nikczemnika, Eldallana!

Arendowie, westchnąłem, zwijając swój zwój.

Dotarcie na odległy kraniec ogromnej równiny wokół Vo Mimbre zajęło Kal Torakowi następny tydzień. Zatrzymał się tam w celu przegrupowania sił i rozesłania zwiadowców. Zacząłem się robić coraz bardziej niespokojny.

- Co cię zatrzymuje? - wysłałem Beldinowi myśl.

- Jeszcze dziesięć legionów ciągnie w dół rzeki - odparł.

- Beldinie, Torak siedzi mi niemal na karku! Nie możesz przysłać tych, które już masz pod ręką ?

- Przecież postanowiliśmy inaczej. Nie zastraszymy zbytnio Toraka legionami, jeśli będziemy je cedzić na pole bitwy. Całe siły muszą przybyć jednocześnie.

- Kiedy będziesz w stanie odpłynąć?

- Za kilka dni. Eldrig ma zgarnąć w Tol Honeth Gwardię Imperialną i te legiony szkolone w Tol Vordue. Daj nam tydzień.

- Jeśli Torak rozpocznie atak podczas najbliższych dni, to dotrzecie tu już po wszystkim. Kodeks Mriński mówi, że bitwa będzie trwać trzy dni. Pierwsze dwa zlecą pewnie jedynie na potyczkach, ale trzeciego koniecznie musisz już tu być.

- A zatem wyznaczyłeś już sobie zadanie. Musisz trzymać

go z dala od murów Vo Mimbre przez pięć dni. Potem przez dwa dotrzymaj mu pola. Ja przybędę trzeciego dnia i zabierzemy się do roboty.

- Nie spóźnij się.

- Zaufaj mi.

Podszedłem do drzwi swej komnaty w pałacu Aldorigena.

- Potrzebna mi duża, aktualna mapa południowej Arendii - powiedziałem do strażnika patrolującego korytarz.

- W tej chwili, Świątobliwy Belgaracie - odparł, wałąc się pięścią w stalowej rękawicy po napierśniku. Mimbraci są tacy hałaśliwi!

Kiedy wrócił z mapą, rozpostarłem ją na stole i zabrałem się do pracy. W głowie zaczynał mi świtać pewien plan.

- Polgaro - wezwałem bez słów swą córkę. - Potrzebuję cię. Dotarcie do mych drzwi zajęło jej jedynie kilka minut.

- Słucham, ojcze? - zapytała.

- Chcę, abys porozmawiała z Eldallanem - wyjaśniłem. -Potrzebuję około tysiąca jego łuczników. Beldin ciągle jeszcze jest jakiś tydzień drogi stąd, więc przez pięć dni musimy opóźniać Toraka.

- Nie sądzę, aby tysiąc łuczników sobie z tym poradziło, ojcze.

- Poradzą sobie, jeśli będą celować w naprawiających mosty. - Pokazałem jej mapę. - Rzekę Arend zasila kilkanaście dopływów - wskazałem - a dwadzieścia pięć lat nieustannych deszczów napełniło je wodą po brzegi. Rozkażę, by Aldorigen wysłał swych mimbrańskich rycerzy, aby zniszczyli mosty. Chcę, aby łuczniczy zajęli pozycje na zachodnich brzegach tych dopływów. Pod gradem strzał bardzo trudno skoncentrować się na budowaniu mostów. W ten sposób moglibyśmy opóźnić pochód Toraka o pięć dni.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić. Potrafisz być bardzo paskudnym staruszkim, gdy się o to postarasz.

- Staram się. - Przez chwilę przypatrywałem się mapie. -

Będziesz musiała zostać z tymi łucznikami - oznajmiłem. - Ja będę z Mimbratami. Trzeba koordynować działania obu sił, a lepiej unikać bezpośredniego kontaktu pomiędzy Mimbratami i Asturami. Zaczynamy, Pol. Pójdę wyjaśnić plan Aldorigenowi.

Okazało się, że dowódcą asturskich łuczników, których Pol sprowadziła na wschodni kraniec równiny Mimbre, był poryw-czy młody szlachcic, baron Wildantor, rycerzem zaś, który prowadził moich mimbrańskich niszczycieli mostów, był baron Vo Mandor. Przyjaciel Gariona potrafił czasami poczynać sobie w bardzo ostentacyjny sposób. Dokładaliśmy z Pol wielu starań, by trzymać przodków Mandorallena z dala od przodków Lelldorina. Poświęciłem obu rodzinom wiele czasu, więc wołałem uniknąć wszelkich wypadków.

Nasza strategia nie była zbyt wyrafinowana. Posuwaliśmy się na wschód, dopóki nie natknęliśmy się na zwiadowców Kal Toraka. Rycerze mimbrańscy trатовali ich i parliśmy dalej, przechodząc co kilka mil przez mosty. Gdy napotykałiśmy bardziej zdecydowany opór, łuczniczy zasypywali przeciwników strzałami, a potem nacierali Mimbraci.

Nie był to zbyt skomplikowany plan, ale pozwalał Pol i mnie zachować nadzieję. Co i rusz musiałem chodzić pomiędzy szeregami mimbrańskich rycerzy, zwracając im uwagę, że powinni atakować Angaraków, nie Asturów. W tym samym czasie Pol przypominała swoim

łucznikom, że nie powinni strzelać do Mimbratów.

W końcu dotarliśmy do szerokiego dopływu, na którego wschodnim brzegu obozowało kilka tysięcy Murgów. Wezwałem Pol i obu baronów, aby omówić plan działania.

- Dotarliśmy już tak daleko na wschód jak trzeba - rzekłem. - Zniszczmy zachodni koniec mostu przerzuconego przez tę rzekę i cofnijmy się do następnego strumienia.

- Opóźnię ich pościg - ofiarował się Wildantor.

- Nie, nie uczynisz tego - oświadczyłem zdecydowanym to-

nem. - Wstrzymasz się z tym, dopóki nie przekroczymy jeszcze dwóch rzek.

- Przysięgłem ich opóźnić! - Młody baron miał rude włosy i wszelkie cechy charakteryzujące rudzielców.

- Wysłuchaj mnie uważnie, panie baronie - powiedziałem. - Nie chcę, aby Murgowie już wiedzieli, że tu jesteśmy, Mim-braci Mandora zniszczą ten most; potem cofniemy się do poprzedniej rzeki i ponownie zniszczymy most. Później powtórzymy to jeszcze po raz trzeci na kolejnej rzece. Murgowie powinni do tego czasu odkryć zasadę naszego działania. Pognają całą gromadą naprzód, ciągnąc z sobą drewno do naprawy mostów. Gdy dotrą do czwartej rzeki, będziemy mieli w wodzie całe mnóstwo celów. Chcę, by powierzchnia wody pokryła się ciałami martwych Murgów. Gdy ich towarzysze dotrą do rzeki, będą już bardzo ostrożni.

Baron zmarszczył czoło i zamyślił się. Trwało to dobrą chwilę. Potem jego oczy pojaśniały, a na twarzy ponownie pojawił się szeroki uśmiech.

- Podoba mi się! - wykrzyknął.

- Aczkolwiek wielce nienaturalne zdaje mi się to, baronie Wildantorze - powiedział baron Vo Mandor - zaczynasz sympatię mą budzić. Wylewność twa zaraźliwa mi się wydaje.

- Sam nie jesteś najgorszy, Mandorze - przyznał Astur. - Może gdy będzie po wszystkim, przestaniemy się zabijać?

- Azali nie będzie to pogwałceniem zasad naszej religii? - zapytał Mandor z absolutnie poważną miną, co wywołało u Wildantora wybuch wesołości.

To nie było wiele, ale pierwszy krok został zrobiony.

Mój plan działał zaskakująco dobrze - choć biorąc pod uwagę ograniczenia umysłowe Murgów, nie wiem, czemu byłem tym zaskoczony. Uspokojeni brakiem jakichkolwiek przeszkód w odbudowie mostów, Murgowie, tak jak przewidziałem, rzuci-

li całe regimenty dźwigających drewno żołnierzy na wschodni brzeg czwartej rzeki. Wildantor trzymał swych łuczników w pogotowiu, dopóki Murgowie nie dotarli z budową mostu na środek rzeki. Wówczas zadał w róg, dając sygnał ukrytym łucznikom.

Asturskie strzały zamigotały nad głowami niczym rozwijana tęcza, a Murgowie niemal

dosłownie spłynęli ze swego na wpół ukończonego mostu, wypełniając rzekę ciałami.

Potem Wildantor i jego ludzie przyczaili się, wykazując zdumiewające opanowanie jak na Arendów.

Pozostali na brzegach Murgowie podczołgali się bojaźliwie do przodu, osłaniając tarczami głowy.

Wildantor nadal czekał.

W końcu Murgowie uznali, że łucznicy wycofali się i ponownie przystąpili do pracy.

Wówczas druga tęcza zmiotła mosty do czysta.

Ocaleli Murgowie zebrali się na wschodnim brzegu, miotając przekleństwa na nadal niewidocznych łuczników.

Wówczas to baron Wildantor dał wrzeszczącym Murgom pokaz niesamowitego zasięgu asturskich długich łuków. Trzecia tęcza uformowała sterty martwych Murgów na wschodnim brzegu rzeki, szerokiej w tym miejscu na dwieście kroków.

- Wspaniale! - krzyknął zachwycony Mandor. - Kapitalnie!

Potem ponownie odeszliśmy, wycofując się do piątego dopływu rzeki Arend. Wildantor i jego łucznicy pilnowali tyłów, przystając co kilkaset kroków, by razić goniących nas Murgów długimi na jard strzałami, tym samym dając mimbrańskim rycerzom czas na zburzenie wszystkich mostów z wyjątkiem jednego. Wówczas asturscy Arendowie zalali Murgów gradem strzał, zwinęli interes i wycofali się po jedynym ocalałym moście.

Jak można się było spodziewać, Wildantor trzymał straż na wschodnim krańcu mostu, dopóki wszyscy jego ludzie nie przeszli bezpiecznie na drugą stronę. Wypuszczał strzałę za strzałą

prosto na nacierających Murgów z taką szybkością, że prawie nie było widać ruchów jego rąk. Gdy skończyły mu się strzały, odwrócił się, i ruszył pędem przez most.

Rycerze mimbrańscy poluzowali belki mostu tak, że wystarczył dobry podmuch, aby cała konstrukcja się rozpadła. Wówczas, gdzieś w górach na północnym wschodzie, przyjaciel Gariona kichnął. Chłodny podmuch, jedno z ostatnich tchnień ćwierćwiecznej ulewy, wypełnił każdy strumień i potok falą rwącej wody, wysoką na dziesięć stóp.

Most rozpadł się pod nogami Wildantora.

Rzuciłem się na zachodni brzeg, zbierając swą Wolę.

- Nie wtrącaj się, ojcze! - rzuciła mi Pol.

- Ale...

- Już się tym zajęto.

Baron Vo Mandor spiął ostrogami swego konia, pogalopował do następnego mostu,

zeskoczył z siodła, głośno podzwaniając zbroją. Podbiegł po zgruchotanym moście na sam jego chwiejny koniec, ukląkł, wyciągnął rękę ku spienionej wodzie.

- Wildantorze! - zawołał głosem, który pewnie było słyszeć w Vo Mimbre. - Do mnie!

Rudowłosego Astura zносиło w dół rzeki z przeraźliwą szybkością, ale udało mu się zakreślić pod prąd i gdy przepływał obok zdruzgotanego końca mostu, wyciągnął ramię. Ręce obu mężczyzn spotkały się z głośnym kłaśnięciem. Mimbrat odchylił się do tyłu, dosłownie wrywając Astura z rwącej wody. Potem schwycił go za tunikę na plecach i wyciągnął w bezpieczne miejsce.

Wildantor leżał chwilę twarzą do ziemi, wymiotując, kaszląc i wypluwając błotnistą wodę. Potem podniósł głowę z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Masz krzepę, Mandorze - stwierdził. - Pewnie mógłbyś kruszyć kamienie bez użycia młota. - Usiadł, masując sobie dłoń, którą Mimbrat niemal zgniótł i rozejrzał się. - Lepiej ustawie swych łuczników na miejsca - powiedział, jakby nic się

nie stało. - Powstrzymamy Murgów, gdy ty i twoi rycerze będziecie burzyć kolejne mosty.

- Dobrze - zgodził się Mandor. Wstał, zachrząścił, podciągnął Wildantora na nogi i wrócił do swego konia.

Żaden z nich nigdy nie mówił już o tym wydarzeniu, ale dźwięk owego głośnego kłaśnięcia, gdy ich dłonie się spotkały, zdaje się nadal dźwięczeć w mej głowie i pozwala mi z niejaką nadzieją myśleć o przyszłości.

Kontynuowaliśmy nasz powolny odwrót. Po piątym dopływie, gdzie łucznicy Wildantora pobrali straszliwe myto od nacierających Murgów, król Ad Rak Cthoros z Murgodomu znalazł jakieś pilne zajęcie dla swych żołnierzy i na Thullów spadł cały trud odbudowy mostów. Nie była to żadna nowość w angarackiej społeczności.

Nasze manewry nie były zbyt wymyślne, to prawda, ale opóźniły pochód Kal Toraka o wymagane pięć dni. Zawsze szukajcie najprostszego rozwiązania każdego problemu. Gdy zaczyna się za dużo kombinować, sprawy przybierają zły obrót.

Tego dnia, gdy Thullowie skończyli naprawiać mosty, chmury zaczęły się rozpraszać. Uznaliśmy z Pol, że dalsze tracenie, ludzi przy próbach powstrzymania pochodu Angaraków nie ma już sensu. Opóźniliśmy Toraka, ile było trzeba, toteż zgromadziliśmy siły w Vo Mimbre i zamknęliśmy bramy.

Zachód słońca tego wieczoru był wspaniały i dawał nadzieję, że pierwszego dnia bitwy pod Vo Mimbre niebo będzie pogodne.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Południowe mury Vo Mimbre wyrastały wprost z rzeki Arend. Deszcze padające przez ostatnie ćwierć wieku wypełniły ją wodą po brzegi. To czyniło atak od tej strony mało prawdopodobnym, więc pozostawały nam do obrony jedynie trzy strony.

Chodziłem po złocistych murach w mroku zapadającym nad Vo Mimbre. Przed udaniem się na spoczynek chciałem sprawdzić stan gotowości obronnej. Jestem pewny, że Mimbra-ci wiedzieli, co robią, ale nigdy nie zaważdzi się upewnić, szczególnie jeśli ma się do czynienia z Arendami. Obu baronów, Mandora i Wildantora, znalazłem na parapecie nad główną bramą. Stali, spoglądając posępnie na stopniowo ciemniejącą równinę.

- Czy Jednooki w ogóle posuwa się naprzód? - zapytałem.

- Tylko kilka oddziałów czołowych - odparł odziany w zieloną tunikę Wildantor. - Pewnie poczeka do zapadnięcia zmroku z zajęciem pozycji. Gdyby księżyc świecił jasno, moi łucznicy mogliby utrudnić mu działanie.

- Oszczędzaj swe strzały - poradziłem. - Celów będzie pod dostatkiem, gdy wszędzie słońce.

- Mamy mnóstwo strzał, Belgaracie. Mandor kazał swym zbrojmistrzom zaopatrzyć nas w pełne beczki.

- Spostrzegłem, iż strzały asturskie są o wiele dłuższe od naszych z powodu wyjątkowej długości asturskich łuków - dodał Mandor, poprawiając zbroję. - A że czasowo sojusz nas łączy, przezornie zaopatrzyłem naszych przyjaciół obficie.

- Miły z niego chłopak, co? - powiedział Wildantor, posyłając swemu przyjacielowi zaraźliwy uśmiech.

Mandor roześmiał się. Zdawało się, że zuchwały, rudowłosy młodzieniec oczarował go do tego stopnia, że Mandor gotów był puścić w niepamięć dwa tysiąclecia rodowych waśni. Pochwalałem to. Ich przyjaźń dobrze wróżyła przyszłym sprawom.

- Wy, panowie, również możecie się trochę przespać - powiedziałem. - Jutro będzie długi dzień. - Potem zostawiłem ich i zszedłem na dół, do swej komnaty.

Polgara siedziała przy kominku. Czekwała na mnie.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

- Sprawdziałem przygotowania do obrony - odparłem ze wzruszeniem ramion.

- Mimbraci przygotowywali się do oblężenia tego miasta ponad dwa tysiące lat, ojcze. Wiedzą, co robić. Pójdę się trochę rozejrzeć.

- Bądź ostrożna

- Oczywiście. Idziesz do łóżka?

- Po co zawracać sobie tym głowę? Nie będę mógł zasnąć. Zresztą i tak chciałem porozmawiać z Beldinem. Tylko nie siedź poza domem całej nocy. - Ilu ojców już to mówiło?

Nieco sztywno kiwnęła głową i wyszła.

- Beldinie - wysłałem myśl - poczyniłeś jakieś postępy?

- Jesteśmy w Tol Honeth - odparł. - Rano ruszymy w dół rzeki. A jak tam mają się sprawy ?

- Udało nam się opóźnić Toraka. Teraz jesteśmy w mieście. Spodziewam się, że skoro świt spróbuje złożyć nam wizytę. Dotrzesz na czas?

- Nie powinno z tym być problemu. To tylko czterdzieści lig w dół rzeki i kolejne czterdzieści do Tol Vordue. Powinniśmy dotrzeć do ujścia rzeki Arend gdzieś pojutrze.

- Nie będziesz mógł liczyć na przychylny wiatr, płynąc w górę rzeki.

- To będziemy wiosłować. Po to wynaleziono wiosła. Wyświadcz mi grzeczność i nie wpuszczaj Toraka do miasta. Program jest bardzo napięty, więc nie będę miał czasu odbijać miasta. Nie zawracaj mi więcej głowy, Belgaracie. Jestem zajęty.

Chrząknąłem i powędrowałem porozmawiać z bliźniakami. Nie miałem im w zasadzie nic ważnego do powiedzenia, ale byłem zdenerwowany i potrzebowałem towarzystwa.

Było dobrze po północy, gdy wróciła Polgara.

- Podciąga swe maszyny oblężnicze - poinformowała nas.

- Sądzisz, że mury wytrzymają? - zapytał mnie Beltira.

- Prawdopodobnie - odparłem. - Vo Mimbre nie jest tak niezdobyte jak Twierdza Algarów, ale niewiele jej ustępuje. Myślę, że jest bezpieczne dopóty, dopóki Torak nie zacznie swoich sztuczek. Gdyby zechciał, potrafiłby rozbić górę.

- To jest zabronione - zapewnił mnie Belkira. - Konieczności są w tym względzie zgodne.

- Myślę, że jeśli o to chodzi, jesteśmy stosunkowo bezpieczni, ojcze - powiedziała Pol. - Jeśli miałby rozbijać góry, to obróciłby w gruzy Twierdzę. A on nawet nie opuścił tego żelaznego pawilonu, odkąd jego armia pokonała przejście lądowe.

- Skąd o tym wiesz? - zapytałem.

- Tego wieczoru rozmawiał o tym z Zedarem, a ja podsłuchiwałam. - Przez twarz przemknął jej nikły uśmiech. - Zdecydowanie nie chciałabym być w skórze Urvona ani Ctuchika. Obaj naprawdę rozgniewali Toraka. On rzeczywiście bardzo liczył na drugą armię Urvona. Jednakże Zedar wydaje się całkiem z siebie zadowolony. Teraz, gdy Urvon i Ctuchik

popadli w niełaskę, on wodzi prym. - Zamyśliła się na chwilę. - Myślę, że lepiej uważać na Zedara, ojciec. Torak może dotrzymać zakazu, ale Zedar nie musi. Jeśli sprawy przybiorą dla nich zły obrót, Zedar prawdopodobnie złamie kilka zasad.

- Mój brat i ja będziemy go mieć na oku - obiecał Beltira.

- O czym jeszcze rozmawiali? - zapytał Pol.

- Przez większość czasu o swych instrukcjach - odparła. - Najwyraźniej Wyrocznia Ashabińska dostarczyła Torakowi o wiele więcej szczegółów, niż nam dał Kodeks Mriński. Na przykład, Torak wie, że Eldrig sprowadza legiony, i wie, że niewiele może na to poradzić. Wie również, że WYDARZENIE ma mieć miejsce trzeciego dnia. Wiedział o tym od dawna. Nie chce spotkania z Brandem. Najwyraźniej Wyrocznia ma dla niego złe wieści w tej sprawie. Gdy przeszedł lądowym przejściem i zgromadził zachodnich Angaraków, w żaden sposób nie mogliśmy dorównać mu liczebnością armii, ale kampanię w Drasni i Algarii, a potem wędrówkę przez Ulgołand przypłaciła życiem przynajmniej połowa armii. Podejrzewam, że Zedar sprawdził liczebność wojsk. Jeśli legiony przybędą na czas, nasze armie będą porównywalnej wielkości. W tej sytuacji Torak nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć wyzwanie Branda.

- To doprawdy interesujące - powiedziałem.

- Nie ciesz się przedwcześnie, ojciec. Torak rozkazał Zeda-rowi rzucić wszystkie siły na Vo Mimbre. Jeśli uda im się zdobyć miasto, szalał przechyli się na jego stronę i zignoruje wyzwanie Branda. Gdy zaś trzeci dzień minie, będziemy mieć do czynienia z całkiem innym WYDARZENIEM. Torak wie, z jakim, my nie. Wydaje się jednak, że byłby z tego zadowolony.

- To pozwala przypuszczać, że zwycięży, jeśli bitwa przeciągnie się na czwarty dzień - wtrącił Belkira.

- A z tego wynika, że my zwyciężymy, jeśli WYDARZENIE będzie miało miejsce trzeciego dnia - dodał Beltira, po czym zmarszczył brwi. - Czy rozmawiali w ogóle o próbach opóźnienia okrętów wojennych płynących w górę rzeki, Pol?

- Zedar to zaproponował - odparła - ale Torak się nie zgodził. Nie ma zamiaru dzielić swych sił. Pragnie zdobyć Vo Mimbre, a do tego potrzebuje wszystkich ludzi. Ile jeszcze zostało do świtu?

- Trzy, cztery godziny - oznajmiłem.

- A zatem mam czas na kąpiel. Zatem wybaczcie mi panowie, ale pójdę się tym zająć.

Noc zdawała się ciągnąć bez końca. Dręczony niecierpliwością chodziłem po murach i wpatrywałem się w ciemność. Gwiazdy jasno świeciły nad głowami, ale księżyc nie było.

Poeci rozpisują się na temat światła gwiazd, ale niewiele przy nim widać.

W końcu, gdy zdawało się, że minęła już cała wieczność, na wschodnim horyzoncie pojawiła się słaba plamka światła. Rosła i stopniowo zaczynała swym nieugiętym blaskiem przyćmiewać gwiazdy. Początkowo na rozpościerającej się za murami równinie widziałem jedynie ciemną masę. Daleko na obrzeżach armii Toraka migotliwe ogniska jarzyły się niczym świetliki. Generałowie Toraka właśnie przebyli Ulgołand, gdzie obdarzeni kocim wzrokiem Ulgosi bardzo ich niepokoiли.

Dołączyłem do Mandora i Wildantora, stojących nad masywną główną bramą, i czekaliśmy razem.

- Wygląda na to, że będziemy mieć dobrą pogodę - zauważył Wildantor cichym głosem, jakim ludzie mówią zwykle wcześniej rano.

- Jeśli nie będzie padać - dodał Mandor. Nie myślę, aby starał się być zabawny, ale jego uwaga pobudziła Wildantora do śmiechu.

Robiło się coraz jaśniej. W świetle poranka zaczęły wyłaniać się szczegóły. Machiny oblężnicze, o których wspominała Pol, przypominały bardzo swym wyglądem ogromne, wrzecionowate, czarne owady o chudych odnóżach; długich, łukowato wygiętych karkach; i małych, przypominających czerpaki, głowach. Otoczyły miasto w odległości stu pięćdziesięciu kroków od murów, a ciemne, krępe postacie Thullów, którzy je obsługiwali, tłoczyły się wokół nich niczym chmara much.

Wildantor zachichotał.

- Co w tym zabawnego? - zapytałem.

- Nie myślę, by Thullom było do śmiechu - odparł. Ustawili swe maszyny oblężnicze w zasięgu naszych łuków. Zdaje się, że nie potrafią wyciągać nauki ze swych doświadczeń. W czasie przemarszu w dół doliny trafialiśmy ich z odległości większej o połowę. Rzeknij tylko słowo, Belgaracie, a moi łucznicy udzielą im kolejnej lekcji. Rozważyłem to.

- Powstrzymajmy się jeszcze chwilę - postanowiłem. - Gdy zaczną miotać w nas kamieniami, ich oddziały oblężnicze prawdopodobnie zaczną gromadzić się za machinami. To znacznie utrudni odwrót Thullom obsługującym maszyny i spowoduje spory zamęt.

Niebo stopniowo zaczynało nabierać kolorów. Teraz na wschodzie, nad górami Ulgołandu, było błękitne.

- Na co oni czekają? - zapytał Mandor.

- Czas jest częścią WYDARZENIA, przyjacielu - wyjaśniłem. - Torak czeka z rozpoczęciem ataku na określony moment. Pierwszy gład, który w nas ciśnie, rozpocznie bitwę, a jeśli następne jej nie zakończą, przegra.

- Myślę, że i tak przegra - powiedział Mandor.

- Miejmy nadzieję.

Wtem, gdy górna krawędź słonecznej tarczy wzniosła się ponad Góry Świętego Ulgo, głęboki dźwięk rogu dobiegł z czarnego, żelaznego pawilonu, punktu dowodzenia Kal Toraka z Mallorei. Machiny oblężnicze wyprężyły się niczym atakujące węże i chmura ogromnych głazów pomknęła łukiem ku złocistym murom Vo Mimbre.

Bitwa się rozpoczęła.

Było wiele zamieszania, oczywiście - ludzie krzyczeli, miotali przekleństwa i biegiem szukali schronienia. Spora część głazów spadła wewnątrz miasta, ale to był jedynie przypadek i pewnie wynik złego celowania. Torak nie próbował za pomocą machin zabijać ludzi; usiłował zburzyć mury. Po kilku pierwszych strzałach jego inżynierowie skorygowali ustawienie machin. Teraz ogromne głazy z łomotem uderzały w mury. Było

przy tym sporo hałasu, ale niewiele osiągnięto. Olbrzymie ściany wytrzymały.

Jak się spodziewałem, oddziały z taranami, wieżami i drabinami zaczęły tłoczyć się za katapultami, przygotowując się do ataku na mury. Było wczesne przedpołudnie, bombardowanie trwało już prawie od czterech godzin, gdy zwróciłem się do Wildantora.

- Myślę, że już czas, abyś dał naszym thullskim przyjaciołom pojęcie o zasięgu twych łuków - zasugerowałem.

- Myślałem, że już nigdy o to nie poprosisz.

Fakt, że asturscy łucznicy strzelali ze szczytów bardzo wysokich murów, znacznie powiększał zasięg ich łuków. Strzały czyniły prawdziwe spustoszenie wśród Thullów obsługujących maszyny oblężnicze. Bombardowanie natychmiast ustało. Cały ranek w kierunku murów pędziły głazy. Teraz przestrzeń tę przecinała migotliwa tęcza smukłych strzał, niknących w przeciwnym kierunku. Ocaleli spośród obsługi katapult rzucili się do ucieczki, wpadając prosto w ramiona oddziałów oblężniczych zgromadzonych za nimi. Strzały bezlitośnie ich goniły. Armia Kal Toraka cofnęła się o ćwierć mili. Maszyny oblężnicze zostały przykryte stertami martwych Thullów.

- Jak uważasz, co będzie ich następnym posunięciem, Prastary? - zapytał Mandor.

- Będą musieli wycofać te maszyny - rozważałem. - Nie zburzą murów gołymi rękoma.

- I ja tak sądzę - przyznał. Potem uniósł róg, który zawsze nosił u boku i zadął weń przeraźliwie.

Główna brama otworzyła się i wypadło z niej kilka tysięcy zbrojnych rycerzy mimbrańskich na ogromnych koniach.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnąłem.

- Angarakowie wycofują się w okropnym zamieszaniu, Świątobliwy - wyjaśnił w rozwścieczające rozsądny sposób. - Ich maszyny stoją bez obsługi i straży. Toteż, uważam, iż należy wykorzystać okazję do ich zniszczenia.

Nie mogłem odmówić słuszności jego rozumowaniu, ale wolałbym, aby powiedział mi o tym planie przed otwarciem bram. Starzałem się, moje nerwy nie były już takie jak dawniej.

Mimbrańscy Arendowie uzbrojeni w topory bitewne posuwali się od bramy niczym dwie wielkie kosy, jedna tnąca na lewo, druga na prawo. Nie porąbali co prawda angarackich machin na drzazgi, ale i tak niewiele z nich zostało. Potem zatoczyli koło i zawrócili, z łoskotem i głośnymi okrzykami przejechali wzdłuż murów, wjechali do miasta i bramy się za nimi zatrzęsły.

- Dobra robota, Mandorze - Wildantor pochwalił przyjaciela.

Mandor uśmiechnął się ze stosowną skromnością.

Kal Torak zapewne jednak się nie śmiał. Jego żelazny pawilon stał w odległości mili od nas, ale wściekle wrzaski słyszeliśmy całkiem wyraźnie.

- Co teraz zrobi? - zapytał Wildantor.

- Najprawdopodobniej coś głupiego - odparłem. - Kal Torak nie myśli zbyt trzeźwo, gdy jest wściekły.

Strata machin oblężniczych prawie do zera zredukowała szansę Toraka na zburzenie murów Vo Mimbre. Rzeczywiście w tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak tylko spróbować frontalnego ataku na główną bramę. Przyciągnięto tarany. Wysokie, kołyszące się wieże do zdobywania murów ruszyły chwiejnie w naszym kierunku. Hordy Murgów, Nadraków i Mallolean biegły ku murom z drabinami. Asturscy łucznicy kładli ich całe gromady. Gdy zaś napastnicy podeszli bliżej, do Asturów dołączyli Mimbraci ze swymi krótkimi łukami. Zrzucaliśmy na głowy Angaraków kamienie i wylewaliśmy wrzącą smołę. Płonące strzały wypuszczone w smołę powiększyły jeszcze zamieszanie.

Ten poranek wiele kosztował Kal Toraka z Mallorei. Jego armia wycofała się, gdy niebo na zachodzie ozdobił zadymiony zachód słońca.

Przetrwaliśmy pierwszy dzień. Kal Torak stracił tysiące ludzi i nadal nie wdarł się na mury.

Ułożyliśmy sterty suchego chrustu i gałęzi na szczycie murów, polaliśmy wszystko naftą i podpaliliśmy. Dym nie był zbyt przyjemny, ale pierścień ognia wokół miasta gwarantował, że w nocy nic nas nie zaskoczy.

Potem wszyscy zebraliśmy się w sali tronowej. Król Aldorigen nie posiadał się z radości.

- Jakież owocny dzień! - radował się. - Cześć oddaję ci, panie baronie Wildantorze. Twoi łucznicy dzień dla nas uratowali.

- Dziękuję, waszej miłości - odparł Wildantor, kłaniając się skromnie - ale większość zasług memu przyjacielowi Man-dorowi przypisać trzeba. Moi ludzie jedynie odpędzili Angara-ków od machin. Mandor wysłał swych ludzi z toporami, by porąbali je na drzazgi.

- Dla każdego wystarczy zasług, panowie. - To był Mergon, tolnedrański ambasador przy dworze Vo Mimbre. Był chudym, drobnym człowieczkiem, którego niska postura sugerowała bo-ruńskie pochodzenie, co potwierdzał obsyty srebrem płaszcz. Tolnedranie mają szczegółowo opracowany kod kolorów, pozwalający rozpoznawać członków różnych rodów. - Reasumując, mogę powiedzieć, że to był bardzo udany dzień - dodał.

- To dopiero pierwszy dzień bitwy, Mergonie - przestrzegłem go. - Nie dam się ponieść radości, dopóki nie przetrwamy jutra. - Rozejrzałem się dokoła. - Gdzie jest Polgara?

- Opuściła nas tuż po zachodzie słońca - rzekł Belkira. -Uznała, że dobrze będzie posłuchać Toraka i Zedara tego wieczoru.

- Z murów można słuchać Toraka, bracie - powiedziałem. - Zachowuje się bardzo głośno, gdy jest zły. Słyszeliśmy go z odległości dziesięciu mil, gdy wraz z Cherekiem wybraliśmy się do Cthol Mishrak i wykradliśmy Klejnot Aldura.

Na twarzy Mergona pojawił się wyraz bólesci.

- Proszę, nie mów takich rzeczy, Belgaracie - błagał. -Wiesz, że przysłuchiwanie się temu jest sprzeczne z mą religią.

Wzruszyłem ramionami.

- To nie słuchaj.

- Czego możemy spodziewać się jutro? - zapytał mnie Wildantor.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznałem. - Poczekajmy lepiej, aż Pol wróci z informacjami, zamiast tracić czas na domysły.

Polgara wróciła krótko po północy. Ponownie zebraliśmy się w sali tronowej, aby wysłuchać jej relacji.

- Zdaje się, że Zedar popadł w niełaskę - oznajmiła z lekkim uśmiechem. - Miał wczoraj zdobyć miasto i Torak powiedział mu wiele bardzo niepoehlebnych słów na temat jego niepowodzenia.

- To nie była tylko wina Zedara, lady Polgaro - oświadczył Mergon. - W końcu my też mieliśmy w tym swój udział.

- Torak nie słynie z dobrego serca, wasza ekscelencjo - dorzucił Beltira. - Ma skłonności do chowania urazy.

- O tak - dodała Pol. - Nie szczędził mu wyrzutów z powodu tego, że Zedar zawiódł go już poprzednio. Przypomniał, że Zedar zawinił w Morindlandzie, co umożliwiło ojcu odzyskanie Klejnotu, a to przecież zdarzyło się prawie trzy tysiące lat temu.

- To bardzo długi czas, jak na chowanie urazy - zauważył Wildantor.

- Torak już taki jest - wyjaśniłem. - Dowiedziałaś się może, co nas jutro czeka, Pol?

- Torak niczego konkretnego nie powiedział, ojczy, ale mogę chyba pokusić się o kilka przypuszczeń. Powiedział Zedarowi, że przed zapadnięciem nocy ma znaleźć się wewnątrz murów i w tym celu użyć wszelkich środków.

- Czarów? - wysunął przypuszczenie Mandor.

- Nie powiedział tego wprost, ale tym się pewnie skończy.

Możemy się spodziewać, że Zedar odwoła się do swego daru, by dostać się do środka. Jutro ma ostatnią szansę. Jeśli znowu zawiedzie, Torak pewnie go spopieli.

- Mnie specjalnie nie przeraża ta perspektywa - powiedziałem, po czym spojrzałem na Beltirę. - Czy aby Zedar nie pogwałci zasad tego WYDARZENIA, jeśli spróbuje użyć czarów?

- To nie jest do końca jasne - odparł. - Torakowi nie wolno, ale Kodeks Mriński nie mówi nic na temat jego uczniów.

- Jeśli zakaz jest absolutny, Zedara czeka przykra niespodzianka - dodał Belkira. - Nie wiem, co się stanie, gdy bez skutku wymówimy Słowo uwalniające Wolę. Wolałbym jednakże tego nie sprawdzać.

- Zedar jest chyba tak zdesperowany, że spróbuje - doszła do wniosku Polgara. - Torak postawił mu ultimatum. - Zmarszczyła brwi. - Znamy dobrze Zedara i wiemy, że sam raczej nie nadstawi karku. Ma od tego Grolimów. Może rozkazać, by spróbowali użyć przeciwko nam Słowa i Woli. Jeśli kilku z nich obróci się w kamień, Zedar będzie miał przynajmniej wymówkę, gdy Torak zechce się z nim porachować.

- Całą noc możemy snuć domysły - powiedziałem. - Dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy przyjąć, że spróbują użyć czarów, i to z dobrym skutkiem. Jeśli nie, dobrze; jeśli tak, lepiej bądźmy przygotowani.

Mergon miał zboliałą wyraz twarzy.

- My jedynie mówimy o sprawach natury zawodowej, wasza ekscelencjo - powiedziała do niego Pol. - To sprawy rodzinne, ciebie nie dotyczą. Jestem pewna, że Nedra nie będzie miał ci za złe, jeśli przypadkowo słyszałeś rzeczy, których nie powinienes.

- Jednakże mój kuzyn mógłby mieć - odparł.

- Ran Borune nie jest do reszty pozbawiony rozsądku, Mergonie - wyjaśniłem. -

Ostatnio wydarzyło się wiele rzeczy, których nie rozumiał. Kilka więcej nie wytraci go z równowagi. -Rozejrzałem się. - Myślę, że wszystko już omówiliśmy - rzekłem. - Możemy się trochę przespać. Jutro wszyscy powinniśmy rachować czujność.

Oczywiście sam nie posłuchałem swej rady. Nauczyłem się obywać bez snu, gdy miałem coś do zrobienia. Dogoniłem Pol w mrocznym korytarzu za salą tronową.

- Chyba czas ruszyć ludzi - postanowiłem. - Pójdę powiedzieć Cho-Ramowi i Rhodarowi, by zaczęli zamykać lukę pomiędzy wschodnim skrzydłem Toraka. Potem odszukam Branda i Ormika i każę im ruszyć od północy. Chciałbym, aby żołnierze zajęli swoje miejsca i wypoczęli, zanim Beldin dotrze tu pojutrze.

- Wolałbyś, żebym ja to zrobiła? - zapytała.

- Nie. Sam się tym zajmę. I tak nie mogę spać. Miej tu na wszystko oko, Pol. Być może Zedar postanowi wcześniej zacząć.

- Zajmę się tym, ojczu. Czy obraziłbyś się za radę?

- To zależy od rady.

- Użyj postaci sowy. Ten twój sokół nie widzi zbyt dobrze w ciemnościach, a Zedar mógł ostrzec strażę, by wypatrywały

wilka.

- Przemyślę to. Postaram się wrócić rankiem, ale jeśli mi się nie uda, będziesz musiała przez jakiś czas wszystkim pokierować. Nie pozwól Mandorowi ponownie otworzyć bram.

- Zadbam o to. Miłego lotu, ojczu.

Myślę, że Polgara jest jedyną osobą, która potrafi powie-dzieć coś takiego i nie brzmi to niedorzecznie.

Posłuchałem jej rady, ale nie przyjąłem ulubionej postaci Poledry. Wykorzystałem postać zwykłej sowy. Jednakże gdy tylko minąłem armię Angaraków, zmieniłem się w wilka. Sowy nie latają zbyt szybko, a mnie się spieszyło.

Obudziłem Cho-Rama i Rhodara, a oni posłali po Ulgosa, Brasa, który dowodził siłami Gorima.

- Nie nawiązujcie kontaktu z armią Kal Toraka - ostrzegłem. - On wie, że tu jesteście, ale nie zrobi niczego, dopóki go nie zmusicie.

- Czy Vo Mimbres się utrzyma? - zapytał Rhodar.

- Myślę, że tak. Kodeks Mriński mówi, że Torak będzie pod złotym miastem przez trzy dni. Nie wspomina, by dostał się do środka.

- To zależy pewnie od interpretacji, Belgaracie - zaprotestował Cho-Ram.

- Niemal wszystko zależy w Kodeksie Mrińskim od interpretacji, Cho-Ramie, ale

myślę, że byłaby o tym wzmianka, gdyby Vo Mimbre miało paść. To byłoby WYDARZENIE, a Kodeks Mriński nie pomija ich zbyt wiele. Zbierzcie swych ludzi, panowie. Ruszajcie o brzasku, ale trzymajcie się przynajmniej pięć mil od lewego skrzydła wroga. Mimbraci będą musieli wytrwać jeszcze jeden dzień.

Z ich obozowiska udałem się na północny zachód. Ranek był już blisko, gdy znalazłem Rivan, Sendarów i asturskich łuczników.

- Czas ruszać, panowie - powiedziałem do Branda, Ormika i Eldallana. - Chcę, byście do wieczora znaleźli się na strzał z łuku od tyłów Kal Toraka. Jednak nie wszczynajcie walki. Będę potrzebował każdego człowieka, gdy minie jutrzejszy dzień.

Brand trzymał tarczę z osadzonym pośrodku Klejnotem Mistrza i prawdopodobnie nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, gładził jarzący się Klejnot jak maskotkę.

- Nie baw się nim, Brandzie - przestrzegłem go. - Jeśli zbyt długo będziesz trzymał na nim dłoń, dziwne rzeczy może zrobić z twym umysłem. Czy twój przyjaciel powiedział ci już, co powinieneś zrobić?

Brand pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Przypuszczam, że uczyni to, gdy przyjdzie po temu czas.

- Podchodzisz do tego bardzo spokojnie - zarzucił mu Ormik.

- Nerwy nic nie dają. - Brand spojrzał na mnie. - Ty nieraz bywałeś już Dzieckiem Światła, prawda, Belgaracie? - zapytał.

- Raz - powiedziałem. - Przynajmniej tak mi się zdaje, co nie znaczy, że w przeszłości twój przyjaciel nie wykorzystał mnie jeszcze kilkakrotnie, nic mi o tym nie mówiąc. Czemu pytasz?

- Czy czułeś... jakby tu powiedzieć... rodzaj dystansu do tego, co się działo? Ja od kilku dni czuję się trochę wyobcowany. Jakbym nie miał osobiście brać udziału w spotkaniu z Tora-kiem.

- To działanie Konieczności. Po części masz rację: gdy już do czegoś dojdzie, twój przyjaciel w pewien sposób przejmie kontrolę.

- A przyjaciel Toraka przejmie kontrolę nad nim?

- Tego nie jestem pewny, Brandzie. To różne Konieczności i różnie mogą podchodzić do sprawy. Nasza po prostu wkracza do akcji i przejmuje dowodzenie. Toraka może postępować inaczej. On nie należy do tych, którzy przypatrywaliby się z boku. Może dowiemy się tego, gdy WYDARZENIE przeminie. Ruszajcie ze swymi ludźmi na południe, panowie. Ja wrócę do Vo Mimbre i sprawdzę, co Zedar kombinuje.

Zedar najwyraźniej nie próżnował. Lecąc z powrotem do miasta, dostrzegłem

kilkanaście katapult, które już miały ogromne głazy w mury. Same stały poza zasięgiem asturskich strzał. Katapulty były wielkości małych domów i potrafiły miotać tysiãcfuntowe głazy na wielkie odległości. Poprzedniego dnia nie było tych olbrzymów pośród innych machin, nagle pojawienie się ich tego ranka wyraźnie świadczyło o tym, że Zedar miał pracowitą noc. Nie rzucił Woli i Słowa bezpośrednio przeciwko miastu lub jego obrońcom, więc nie byłem pewny, czy złamał zasady. Jednakże z całą pewnością nagiął je do granic możliwości. To podsunęło mi pewien pomysł. Jeśli on mógł to robić, nie eksplodując przy tym, zatem mogłem i ja.

Wylądowałem na murach, wróciłem do własnej postaci i poszedłem poszukać bliźniaków.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytałem.

- Tuż przed świtem - odparł Beltira. - Czynią sporo zniszczeń, Belgaracie. W kilku miejscach fundamenty zaczynają pękać. Lepiej coś zrobimy, i to szybko.

- Właśnie do tego zmierzam. Czy słyszeliście, jak Zedar pracował w nocy?

- Całkiem wyraźnie - przytaknął Belkira. - Śpieszył się, więc nawet nie próbował ukrywać faktu, iż posługiwał się Wolą. Co zrobimy?

- To samo. On sobie z tym poradził, więc i my możemy, tak przynajmniej myślę. Zbudujmy kilka własnych katapult.

- Wiele czasu zajmie ich ustawienie, Belgaracie - zaprotestował Beltira. - A tysiãcfuntowe głazy nawet nam trudno poruszyć.

- Jednakże z tysiãcem jednofuntowych kamieni powinniśmy sobie poradzić - powiedziałem. - My będziemy strzelać do załóg obsługujących katapulty, nie do solidnych murów. Skoro chcemy jedynie zasypać gradem kamieni Tullów obsługujących katapulty Zedara, to nie musimy zbyt dokładnie mierzyć. Zatem gdy tylko ustalimy odpowiedni zasięg, będziemy mogli miotać płonąca smolą. Myślę, że to ostudzi ich zapał do bombardowania miasta. Zabierajmy się do pracy.

Targały mną rozterki podobne do tych, jakie miał Belsam-bar w czasie Wojny Bogów. Nie podobał mi się pomysł palenia ludzi żywcem, ale musiałem unieszkodliwić maszyny wroga. Jeśli mury Vo Mimbre legną w gruzach, Torak znajdzie się w mieście przed nastaniem nocy i zwycięży. Nie mogłem do tego dopuścić.

Zbudowanie katapult nie zajęło nam wiele czasu. Maszyny Zedara były doskonale widoczne, więc po prostu je skopiowaliśmy. Wycelowanie ich też nie stanowiło szczególnego problemu. Poza innymi zdolnościami, Belsambar miał również talent matematyczny. Przez kilka stuleci udzielał bliźniakom lekcji w tej dziedzinie. Tylko piętnaście minut zajęło im

wyliczenie kątów, trajektorii, właściwego napięcia i ciężaru pocisków. Nasz pierwszy strzał zwałił pół tony kamieni wielkości pięści prosto na jedną z machin Zedara. Po drugim cała stanęła w płomieniach.

Czy wiedzieliście o tym, że płonący ludzie niemal zawsze biegają? Oczywiście, to im nie pomaga, ale mimo to biegają. Płonący Thullowie rzucili się z powrotem pomiędzy szeregi oddziałów Toraka, wywołując wielkie zamieszanie. Po godzinie pozbyliśmy się problemu. Zedar zmarnował całą noc. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak przygotować kolejny frontalny atak. Wiedziałem, że coś szykuje, ponieważ czułem, jak wzbierała jego Wola, gdy oddziały przeciwnika stawały w szturmowym szyku. Gdy ją uwolnił, huraganowy wichur uderzył w mury Vo Mimbre.

Nie, on nie usiłował zdmuchnąć nas ze szczytu murów. Starał się odchylić kierunek lotu naszych strzał. Dreszcz mnie przeszedł na myśl o wysiłku, jaki kosztował go ten wichur. Poruszanie tak ogromnych mas powietrza jest pracą równie wielką, jak podnoszenie góry.

Bliźniacy podjęli odpowiednie kroki, nawet się ze mną nie konsultując. Pracując razem, wzniesli barierę z czystej Woli milę od murów. Zgrabnie rozdzielili wichurę Zedara na dwa strumienie z obu stron owiewające miasto. Powietrze wokół Vo Mimbre zastygło w kompletnym bezruchu, dzięki czemu asturscy łucznicy powalili całe bataliony szturmujących Mallolean. Atak zachwiał się, zatrzymał, a potem zamienił w odwrót.

Późnym rankiem dołączyła do nas Pol.

- Wasza trójka miała pełne ręce roboty - zauważyła. - Robicie tak wiele hałasu, że nie słyszę nawet własnych myśli. Zedar jest skrajnie wyczerpany.

- To dobrze - powiedziałem. - Zabawy z nim zaczynają mnie nużyć.

- Nie ciesz się jeszcze, ojczu. Zedar nie jest sam, wiesz o tym. Wyczuwani obecność wielu innych umysłów przy pracy. Wezwał Grolimów do pomocy.

- Domyślasz się, czego spróbuje następnym razem, droga siostrze? - zapytał Belkira.

- Nie bardzo - odparła. - Zdaje się, że oni myślą o ziemi.

- Ziemi? - zawołał Belkira. - A co ma tu do rzeczy ziemia? Tam jest tylko błoto.

- Oni je osuszają. Zedar kazał swym Grolimom skoncentrować się na pozbawieniu tej równiny ostatnich śladów wilgoci.

- Po co u licha?

- Nie wtajemniczono mnie w to, wujku - odparła. - Wyobraź sobie, że Zedar mi się nie zwierzył.

- Zawsze był skryty - stwierdził Belkira. - Nie chcę urazić twych uczuć, Belgaracie, ale

ja nigdy zbyt go nie lubiłem. Na pewno nie pominąłeś czegoś w trakcie jego nauczania?

Beltira nigdy by tego nie powiedział. Odkryłem, że moi bracia nie byli identyczni. Bardzo łatwo przeoczyć owe subtelne różnice. Bliźnięta wyglądają tak samo, ale nigdy nie ma dwóch ludzi całkowicie identycznych.

Lewa brew Pol uniosła się, nim jeszcze na mnie spojrzała.

- Słucham? - zapytała. - O co chodzi?

- Nieważne - powiedziałem. Nigdy nie miałem pewności, jak głęboko Polgara potrafi czytać w mych myślach, i sędzę, że wolałbym nie wiedzieć. Durnik nie ma przed Pol żadnych sekretów, ale ja mam tajemnice, których nawet sam nie chciałbym oglądać. Jeśli chcecie zachować odrobinę szacunku do samych siebie, powinniście pewne sprawy zachować w tajemnicy.

Późnym popołudniem dowiedzieliśmy się, dlaczego Zedar poświęcał tak wiele czasu i wysiłku na osuszanie ziemi. Huragan, który wywołał wcześniej tego dnia, by zmylić lot asturskich strzał, nadal owiewał miasto, nie czyniąc szkód. Teraz jednak nagle zmienił kierunek i nadleciał, wirując, nad wysuszoną na pieprz równinę. W niebo wzbily się ogromne tumany pyłu i po kilku minutach niczego nie można było dostrzec. Kurz najwyraźniej miał ukryć kolejny atak. Łucznicy Wildantora będą musieli strzelać na ślepo, a to nie jest szczególnie efektywne.

- Lepiej zróbmy coś, Belgaracie! - zawołał Beltira, przekrzykując wycie wichru.

- Pracuję nad tym - odparłem, ale choć starałem się ze wszystkich sił, nic nie przychodziło mi do głowy.

Polgara jednak już mnie uprzedziła.

- Tam mamy rzekę, ojciec - powiedziała - a Zedar ledwo dyszy po wywołaniu tej wichury. Nic ci nie wpada do głowy?

- Nic szczególnego. A tobie?

- Ależ, ojciec, czyżby twój mózg poszedł spać?

- Nie daj się prosić, Pol. Mów.

- Chcemy, aby cały pył opadł, prawda? Nie sądzisz, że trąba wodna by sobie z tym poradziła?

- Pol, to znakomite! Weź bliźniaków do pomocy. Oni w czasie Wojny Bogów manipulowali pogodą.

- Twoja pomoc też by się nam przydała, ojciec.

- Otrzymasz ją, Pol.

- Tak?

- Myślę, że bratu Zedarowi przydałaby się krótka lekcja dobrych manier.
- Masz zamiar wyciągnąć rękę i zatrzymać bicie jego serca?
- Nie. Tego mi nie wolno. Ale mogę mu trochę podokuczać. Myślę, że nie naruszę zasad, przysparzając mu niewygody.

- Dobrej zabawy - powiedziała, po czym wraz z bliźniakami udała się na drugą stronę murów, tę od strony rzeki.

Rozważyłem kilka możliwości i ostatecznie wybrałem jedną, która nie tylko mu dokuczy, ale również poniży go. Ruszyłem w myślach na poszukiwanie przeciwnika. Odnalazłem go na szczycie wzgórza odległego o pięć mil. Zedar, jeśli mógł, wołał trzymać się z dala od walki. Zebrałem Wolę, a potem uwolniłem ją pomału. Nie chciałem, by zorientował się, co robię, dopóki nie będzie za późno.

Zedar przyglądał się burzy pyłowej z wyrazem satysfakcji na twarzy.

Bezwiednie podrapał się po nosie.

Potem energicznie zaczął drapać się pod pachą. Następnie przeszedł do innych części ciała. Drapał się z coraz większym zapamiętaniem, nawet gdy Polgara i bliźniacy rozbili wicher i posłali powietrzne wiry w dół rzeki Arend.

W przeblysku diabolicznej pomysłowości sprawiłem, by swędziały go nawet paznokcie u nóg. Po kilku minutach tańczył i tak mocno się drapał, że w kilkunastu miejscach zaczął krwawić.

Wicher, który Pol z bliźniakami sobie pożyczyli, wrócił wirując w górę rzeki Arend, przynosząc ze sobą tony wody, o wiele więcej niż trzeba było do spłukania pyłu, który Zedar całe godziny pracowicie suszył.

Siły szturmowe, skradające się pod osłoną pyłowej burzy, składały się w większości z Murgów. Po chwili łucznicy Wildan-tora ich zobaczyli. A wkrótce potem król Ad Rak Cthoros przeprowadził odwrót o wiele mniejszej armii, byle wydostać się poza zasięg strzał.

Krótką ulewą przeszła. Zachodzące słońce migotało w mokrej trawie, a Torak nadal był poza murami.

Przetrwaliśmy kolejny dzień i jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro zobaczymy, czym to się skończy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z pewnością zauważyliście, że drugiego dnia działania Ze-dara nie przyniosły oczekiwanych efektów. Zawsze uważałem, że planowanie było jego mocną stroną, ale w krytycznych sytuacjach przejawiał skłonność do pochopnego działania. Często chwycił się pierwszego pomysłu, jaki mu przyszedł do głowy. Jeśli dodać do tego, że Torak zostawił mu we wszystkim wolną rękę, ale oczekiwał odpowiednich rezultatów, to zrozumiecie istotę problemu. Zedar, gdy wywierano na niego presję, popełniał błędy.

W każdym razie przetrwaliśmy dwa pierwsze dni bitwy. Vo Mimbre wytrzymało również ataki Angaraków. Jeśli dobrze odczytaliśmy Kodeks Mriński, sprawy powinny teraz przybrać korzystny dla nas obrót.

Za panowania Aldorigena przebywał na jego dworze arendzki poeta, znany jako Davoul Chromy. Od dziesięciu lat pracował już nad epicką opowieścią, "Historia współczesna rodu Mimbre". Inwazja Toraka dała mu możliwość włączenia do dzieła wielkich tematów, toteż gdy dyskutowaliśmy, zawsze znajdował się w pobliżu i gorączkowo notował. Nie zwracałem na niego szczególnej uwagi. Był uważany za nadwornego poetę i to chyba uderzyło mu do głowy. Jego opowieść, pisana górnolotnym stylem, była napuszona i sporo jej brakowało do wielkiej literatury. Mimbraci jednak przepadali za takim stylem i nawet dziś, przy każdej nadarzającej się okazji, cytowali długie fragmenty opowieści Davoula. Mam jej kopię, gdyby ktoś chciał pożyczyć, ale na waszym miejscu nie traciłbym czasu.

Wieczorem drugiego dnia bitwy wszyscy byli już na swoich miejscach. Czekaliśmy jedynie na Beldina. Trzeciego dnia, tuż przed świtem, Pol poleciała się rozejrzeć. Wróciła z wieścią, że rzeką nadpływają wojenne okręty Eldriga. Rzeka Arend wezbrała z powodu deszczów. Prąd zdecydowanie spowalniał ruch płynących w górę rzeki okrętów.

Uznaliśmy z Pol i bliźniakami, że nie było już sensu tkwić w mieście. Mimbraci wiedzieli, co mają robić, i nie potrzebowali przewodników. Beltira udał się na wschód, by maszerować wspólnie z Algarami, Drasanami i Ulgosami, Belkira zaś ruszył w gęste lasy rozpościerające się na północy, by dołączyć do Branda.

Nie traćcie czasu na szukanie tych lasów. Już ich nie ma. Wycięliśmy je zaraz po bitwie. Nie pochwalam takiego postępowania, ale potrzebowaliśmy dużo drewna na ogień.

Nadal nie mieliśmy pewności, jak surowe były ograniczenia, które nałożyły na nas Konieczności, toteż postępowaliśmy raczej ostrożnie. Przypuszczaliśmy, że nie wolno nam zamienić wszystkich Angaraków w żaby, ale wyglądało na to, że to, co naprawdę nam

potrzebne, nie było zakazane. Dopóki jednak mogłem porozumiewać się z bliźniakami i Beldinem, koordynowaliśmy nasze działania i to wystarczało. Trzeci dzień miał się rozstrzygnąć na ziemi, nie zachodziła więc potrzeba wprowadzania zamieszania pokazem naszych umiejętności.

Poleciliśmy z Pol na północ. Przysiedliśmy na drzewie na skraju lasu Branda, by mieć na oku Angaraków. Czekaliśmy, aż się rozwidni. Świt piął się powoli na wschodni firmament i coraz wyraźniej widziałem wojska przeciwnika. W ciągu nocy Ze-dar przegrupował oddziały. Torak wiedział, co się wydarzy, i Ze-dar czynił odpowiednie przygotowania.

Ad Rak Cthoros, zwalisty, ponury król Cthol Murgos, stał teraz na lewym skrzydle. Jego żołnierze nosili kolczugi takie same jak Murgowie, więc Ad Rak Cthoros rozkazał swym ludziom pomalować je na czerwono, by się nie mylili z wrogiem podczas starcia. Wyglądali przez to jak unurzani we krwi, ale przynajmniej można ich było rozpoznać.

Mallorean, którzy stanowili najliczniejszą grupę w armii Kal Toraka, zgrupowano w centrum. Dowodzili nimi generałowie z Mai Zeth, choć to Zedar wydawał wszystkie rozkazy, które wszakże pochodziły od Toraka. Torak lubił o sobie myśleć jak o militarnym geniuszu, ale przy przewadze liczebnej, jaką dysponował, nie musiał mieć ani krztyny oleju w głowie.

Yar Lek Thun z Gar og Nadrak i Gethel Mardu z Thullo-mu trzymali prawe skrzydło. Ja tak bym tego nie rozwiązał. Od tej strony nadejdą legiony i Cherekowie Eldriga. Nadraków, w sumie dość dobrych wojowników, cechuje popędliwość. Z kolei na Thullach nie można zbyt po polegać na polu walki.

- Może byś wszystkich obudził, ojczy? - zaproponowała

Pol.

- Tak, chyba już możemy - przyznałem. - Belkiro! - zawołałem w myśli - Zaczynamy. Powiedz Brandowi, żeby zadął w róg.

Belkira nie trudził się odpowiadaniem, ale byłem pewny, że odebrał wiadomość. Po chwili róg Branda odezwał się przeciągle i przenikliwie. Po minucie odpowiedziała ze wschodu srebrzystym dźwiękiem trąbka Cho-Rama. Następnie róg Man-dora zaśpiewał zza murów Vo Mimbire. Nasłuchiwalismy z Pol uważnie przez kilka minut, ale Beldin nie odpowiedział. Nie dotarł jeszcze na miejsce.

Pewien uczonec z uniwersytetu w Tol Honeth napisał kiedyś długą rozprawę o mitycznym znaczeniu tego dęcia w rogi, ale tak naprawdę one jedynie oznajmiały, że nasze siły stały w pogotowiu. Czekaliśmy na odpowiedź Beldina. Z całą pewnością nie mieliśmy zamiaru zaczynać bez niego.

Jestem pewny, że Zedar wiedział, co znaczyło dęcie w rogi. Tych samych sygnałów

używaliśmy w czasie Wojny Bogów. Jednak dźwięki, które rozległy się o świcie, zaniepokoiły dowódców angarackich sił. Malloreanie zaczęli walić mieczami w tarcze i wydawać okrzyki wojenne. Zdaje się, że cały ten jazgot miał dodać im otuchy. Mnie jednak wydał się trochę rozpaczliwy. Dźwięki rogu są tradycyjnym sygnałem do ataku, ale nikt nie atakował. Nic dziwnego, że niektórych to zdenerwowało, nie sądzicie?

Odczekaliśmy jeszcze pół godziny. Potem, gdy właśnie wschodziło słońce, zawałałem do Belkiry.

- Niech znowu spróbuje, bracie!

Brand ponownie zadał w róg, a Cho-Ram i Mandor odpowiedzieli mu. Czekaliśmy. Nadal żadnego odzewu od Beldina. Mogłem go zawałać, ale Zedar z pewnością by mnie usłyszał i, co o wiele ważniejsze, usłyszałby odpowiedź mego brata, a tym samym zlokalizował jego pozycję. Jeśli nadal mieli kilka lig do przejścia, to Zedar mógłby zaatakować ze wschodu lub północy, rozpoczynając bitwę, nim będę gotów.

Nadrakowie, jak już wspominałem, są wyjątkowo skorzy do walki. Napięcie Yar Lek Thuna sięgnęło punktu, w którym absolutnie musiał się dowiedzieć, co się działo. Wysłał konnicę w kierunku lasów na północy. Jeźdźcy wpadli między drzewa o pół mili od miejsca, w którym czekaliśmy z Pol.

Po chwili większość koni wróciła, ale bez Nadraków. Wjeżdżanie do lasu, w którym kryją się asturscy łucznicy, nie było najlepszym pomysłem.

Potem, zapewne, by nie wyjść na gorszych, gdyż Murgowie nie dbają wiele o Nadraków, Ad Rak Cthoros także wysłał zwiadowców. Murgowie wjechali pomiędzy wzgórze na wschodzie.

Oni również nie wrócili. Jazda prosto w ramiona algarskiej konnicy jest równie głupim pomysłem, jak pchanie się między drzewa, gdzie skrywali się Asturowie.

Nadal czekaliśmy. Minęło kolejne pół godziny. Spróbowałem ponownie.

- Każ mu znowu zafiukać, Belkiro - przesłałem myśl.

- Zafiukać? - Belkira wydawał się lekko urażony, ale Brand zadał ponownie.

Cho-Ram i Mandor odpowiedzieli natychmiast, a potem, po chwili, która zdawała się trwać cały rok, na zachodzie zagrzmiały prawdziwe fanfary. W skład legionów wchodziły kompanie reprezentacyjne garnizonu z Tol Honeth i zdaje się, że wśród nich było kilka doborowych orkiestr wojskowych.

Na to czekałem.

- Siedz mocno, Pol - powiedziałem do córki. - Lecę się rozejrzeć. Nie chcę zaczynać, dopóki sam nie zobaczę, że Beldin jest na miejscu.

- Wracaj szybko, ojcze. Ranek wstaje, a nie chcemy chyba, aby Brand rzucił swe wyzwanie po zachodzie słońca.

Rozłożyłem skrzydła i runąłem w dół, by nabrać rozpędu. Potem ruszyłem w górę, energicznie machając skrzydłami.

Wzbiłem się na kilkaset stóp. Teraz widziałem już prawie wszystko. Okręty wojenne Eldriga przybiły do północnego brzegu rzeki Arend kilka mil od Vo Mimbre. Wysoka woda spowolniła co prawda ich ruch w górę rzeki, ale pozwoliła również na przebycie na wiosłach płycizn na zachód od miasta. Beldin, gdyby chciał, mógłby podплыnąć pod same południowe mury Vo Mimbre.

Legiony rozwinęły imponujący szyk i w doskonałym porządku maszerowały w kierunku Nadraków i Thullów. Wypolerowane napierśniki błyszcząły w porannym słońcu. Zapaleńcy Eldriga nie maszerowali, tylko biegli przed legionami. Chere-kowie nie lubili dzielić się dobrą walką z kimkolwiek.

- W porządku, Belkiro - przesłałem myśl. - Powiedz Brando-wi, aby dał sygnał.

Tym razem Brand zadął w swój róg dwukrotnie. Cho-Ram odpowiedział w ten sam sposób. Mandor zaś niemal wypluł płuca. Dźwięk jego rogu brzmiał i brzmiał.

Potem bramy Vo Mimbre otworzyły się z hukiem i z Twierdzy wypadli rycerze.

Szarża mimbrańskich Arendów jest zapewne najśłynniejszą szarżą jazdy w historii, więc nie muszę jej chyba ze szczegółami opisywać.

Zresztą i tak nie zrobiłbym tego zbyt dobrze, ponieważ właśnie wówczas coś innego przyciągnęło mój wzrok. Czarny, żelazny pawilon Kal Toraka stał pośrodku jego wojsk. Nagle dostrzegłem kruka wznoszącego się w powietrze. Zedar chciał na własne oczy zobaczyć atak Mimbratów lub podobnie jak ja uznał, że najlepsze miejsce do kierowania bitwą znajduje się w górze.

Czekała go jednak niespodzianka. Wysoko ponad polem bitwy krążyła pojedyncza biała plamka. Na widok kruka runęła ku niemu. To bardzo niezwykła forma ataku jak na sowę śnieżną, pomijając fakt, że żadna zwykła sowa nie powinna polować w ciągu dnia...

Oba ptaki przesłoniła chmura czarnych piór. Po chwili Zedar uciekł, poskrzekując w przerażeniu.

Malloreanie Kal Toraka byli dobrymi żołnierzami, muszę im to przyznać, ale nikt nie potrafi stawić czoła szarzy rycerzy Mimbrate. Ocenilem, że było ich około dziesięciu tysięcy. Przednie szeregi natarły z opuszczonymi kopiami. Z ogłuszającym hukiem uderzyły w Mallolean. Pierwsze szeregi Mallore-an legły pokotem.

Całe miesiące dyskutowaliśmy nad tą taktyką w Imperialnej Akademii Wojennej w Tol

Honeth. Atak Mimbratów miał jeden cel: zatrzymanie Mallolean, aby nie mogli pospieszyć z pomocą wojskom na skrzydłach. Mimbraci byli jednak zapaleńcami. Wydawało się, że Mandor, który przewodził szarzy, zamierza dojechać do pawilonu Kal Toraka i załomotać do jego drzwi.

Oczywiście wśród rycerzy również były ofiary, ale o wiele mniej niż oczekiwano. Pełna zbroja dowiodła tu swych zalet. Pomijając to, już sama dzikość ataku nadszarpnęła morale malloreańskich żołnierzy. Przede wszystkim był niespodziewany. Vo Mimbre przez dwa dni niczym skała opierało się zaciętym atakom i nie było powodu przypuszczać, by ten dzień miał być inny. Element zaskoczenia był częścią naszych planów. Zaskoczeni Malloleanie ustępowali z drogi pędzącym prosto na nich Mimbratom, ale i tak szarża zebrała obfite żniwo.

- Ojczy! - rozbrzmiał w mej głowie głos Polgary. - Zedar próbuje czegoś innego! Ponownie wyszedł z pawilonu!

- W którą stronę idzie?

- Na zachód. Przybrał postać jelenia.

- Zapędzę go z powrotem.

Skierowałem się ku szeregom Murgów. Zedar biegł szybko pomiędzy żołnierzami w czerwonych zbrojach. Nigdy nie zrozumiałem, czemu wybrał tę właśnie postać. Wiedział, w co ja najchętniej się zamieniam i przybranie postaci jelenia nie było najlepszym wyborem. Wyprzedziłem go, wylądowałem na ziemi pomiędzy wzgórzami i przybrałem postać wilka. Zedar, niosąc wieniec rozłożystych rogów na głowie, co sił w nogach zbliżał się do miejsca, w którym się zacząłem. Pędził w górę zbocza. Gdy wyszedłem zza krzaków, warcząc, zatrzymał się gwałtownie. Próbował mnie ominąć, ale mu się nie udało. Byłem za blisko. To nie był jego szczęśliwy dzień.

Nie próbowałem go zabić, choć pewnie mogłem. Ugryzłem go kilka razy w pewne czułe miejsce. Zawrócił i pognął w kierunku szeregów Murgów. To nie najlepszy pomysł odwracać się tyłem do wilka. Rzuciłem się za nim, gryząc go bezlitośnie w zad. Jak wróci do własnej postaci, długo nie będzie mógł siedzieć. Zadbalem o to.

Pościg przerwałem około stu jardów od szeregów Murgów, po czym wróciłem truchtem pomiędzy wzgórzami.

- Beltiro - zawołałem bliźniaka, który był z Cho-Ramem i Rhodarem. - Mimbraci zaangażowali już całe siły. Przybywajcie tu lepiej i odciągnijcie Murgów.

- Skoro sobie życzysz - odparł i po chwili trąbka Cho-Rama dała sygnał do ataku.

Algarska jazda z głośnym dudnieniem kopyt pokonywała odległość dzielącą ją od szeregów Murgów. Schroniłem się pomiędzy głazami i obserwowałem, jak Cho-Ram

galopuje na czele swych jeźdźców w dół zbocza, by związać walką Murgów.

Taktyka Algarów była zdecydowanie odmienna od taktyki Mimbratów. Ciężka jazda pędzi, by stratować przeciwnika, ale lekko zbrojni ścierają się z nim. Ad Rak Cthoros oczywiście też miał oddziały jazdy, lecz nie mogły się one równać z Algarami. Wkrótce przed frontem Murgów rozgorzała bitwa, w której nasi przeciwnicy wypadali zdecydowanie gorzej. Potem, gdy w szeregach wroga zapanował już spory nieład, przybył Rhodar ze swymi pikinierami i sprytnie ukrytymi pomiędzy nimi Ulgo-sami Brasa. To była bardzo szczęśliwa kombinacja. Doprawdy trudno zbliżyć się do człowieka z długą na dwadzieścia stóp piką. Całą uwagę trzeba skupić na tym, by nie posiekał cię na kawałki. Ulgosi są krępi i bardzo szybcy, jak miało się okazję tego dnia przekonać wielu Murgów. Na broń Ulgosów składa się wiele niemiłych przyrządów. Sporo między nimi haków i ostrzy do cięcia. W szeregach Murgów rozległy się przeraźliwe krzyki, gdyż noże Ulgosów nie były przeznaczone do natychmiastowego zabijania. Ulgosi nienawidzili Angaraków pewnie jeszcze mocniej niż Alornowie, więc nie zabijali Murgów zbyt pośpiesznie. Martwi Murgowie byli jedynie, można rzec, efektem ubocznym ich działania. Bras polecił bowiem swym ludziom przejść linię Murgów i tam zająć się Grolimami. Zaopatrzyliśmy Ulgosów w czarne szaty z kapturami, co pozwalało im bez przeszkód poruszać się wśród wrogów. Zdesperowany Zedar zapewne wezwie kapłanów Toraka, aby asystowali mu w łamaniu przyjętych zasad. Bras miał zadbać o to, by na wezwanie Zedara nie odpowiedziało zbyt wielu Grolimów.

Obserwowałem bitwę ze szczytu skalnego wypiętrzenia. Gdy spostrzegłem, że Murgowie w pełni zaangażowali się w bi-twę, posłałem myśl w poszukiwaniu Beldina.

- Gdzie jesteś? - zawołałem.

- Jakieś pół mili od linii Nadraków - odparł. - Cherekowie już się nimi zajęli.

- Możesz również wprowadzić do akcji legiony Cerrana. Mimbraci przyszpilili Mallolean, a Cho-Ram i Rhodar całkowicie związali siły Murgów. Czas uderzyć na Nadraków i Thullów. Zobacz, czy Cerran nie przebiłby się z kilkoma legionami. Myślę, że Mimbratom przydałaby się odrobina pomocy.

- Zaraz się do tego wezmę.

- Polgaro! - zawołałem następnie w myślach. - Jestem zajęta, ojczu. Nie przeszkadzaj mi.

- Co robisz? Mówiłem, abys trzymała się od tego z dala. - Jestem w pawilonie Toraka. Musimy wiedzieć, co on i Zedar planują.

- Wynoś się stamtąd, Pol! To zbyt niebezpieczne!

- Wiem, co robię, ojczu. Nie denerwuj się. Co zrobiłeś Zedarowi? Kuleje i jęczy.

- Uszczypnąłem go kilka razy. Czy żałuje tego, co robi?

- Nie. Usiłuje przekonać Toraka, aby wyszedł i sam objął dowodzenie armią. Jednak bez większego powodzenia. Torak odmawia opuszczenia swego pawilonu.

- Zapewne czeka na wyzwanie Branda. Przypuszczam, że W żaden sposób nie przekonam cię, abyś się stamtąd zabrała?

- Nic mi nie jest, ojczu.

- Torak pewnie cię słyszy, Pol.

- On niczego nie słyszy, zadbano o to. Nie widzi mnie i nie słyszy. Dam ci znać, gdy postanowi wyjść.

Zakląłem pod nosem, choć tak naprawdę bez specjalnego przekonania. To, że Polgara znajdowała się praktycznie w tym samym pomieszczeniu co Torak i Zedar, dawało nam ogromną

przewagę. Wbiegłem pomiędzy głazy i ponownie zmieniłem się w sokoła.

Nie uwierzycie, jak dobrze można kierować bitwą, gdy fruwa się nad polem walki. Atakowaliśmy teraz siły Toraka ze wszystkich stron - z wyjątkiem północy. Nie chciałem psuć Ze-darowi niespodzianki, dopóki nie rzuci do bitwy swych rezerw. Chciałem, żeby angaracka armia całkowicie włączyła się w walkę, nim wprowadzę Rivan, Sendarów i Asturów. Sytuacja sił Toraka była groźna, ale robi się rozpaczliwa, gdy legiony Cerra-na przebijają się przez szeregi Nadraków i Thullów, by zaatakować Mallorean z prawej flanki.

W trakcie boju zawsze jest sporo zamieszania, a to była pewnie największa bitwa w historii. Lata naszego planowania i przygotowań teraz zaczynały przynosić efekty. Wśród Angara-ków panowało zamieszanie, ale my dokładnie wiedzieliśmy, co robimy i co będziemy robić. Angarakowie mogli jedynie usiłować odpowiadać na nasze działania.

- Belgaracie! - To był Beltira. - Ad Rak Cthoros padł.

- Nie żyje?

- Jeszcze nie, ale niewiele mu brakuje. Ma w brzuchu ulgoski nóż.

- Dobrze. Siedź na karku jego Murgom. Chciałbym, aby załamali się i uciekli, jeśli możesz to załatwić. - Spojrzałem na zachód. Legiony metodycznie wyrąbywały sobie drogę przez Nadraków, a Thullowie już uciekali. - Legiony przedzierają się - doniosłem Beltirze. - Jeśli uda ci się złamać Murgów, to Zedar będzie musiał wezwać rezerwy, a na to właśnie czekamy.

Chyba nie jestem najlepszym dowódcą, ale pod Vo Mimbrem miałem pewną przewagę. Znajdowałem się kilkaset stóp nad polem bitwy, więc widziałem wszystko. Utrzymywałem również stały kontakt z braćmi. Na dokładkę Polgara informowała mnie o zamierzeniach Kal

Toraka i Zedara. Przy takiej przewadze byle sierżant mógłby dowodzić bitwą pod Vo Mimbre. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, zwyciężyliśmy to starcie jeszcze w Im-

perialnej Akademii Wojennej w Tol Honeth, na długo zanim nasze siły wyruszyły do boju. Planowanie, oto czemu tak naprawdę zawdzięczamy sukces. Pamiętajcie o tym, nim komuś wypowiecie wojnę. Całe stulecia usiłowałem to wbić w zakute alornskie pały.

Szarża rycerzy Mimbrate straciła już swój impet. Malloreanie ochłonęli z początkowego przerażenia i stawiali teraz bardziej zdecydowany opór. Ponownie zwarli szeregi i otoczyli rycerzy. Ta część bitwy nieubłaganie zmieniała obrót. Mimbraci byli teraz otoczeni, a ich konie bliskie wyczerpania. Kopie dawno już zamieniły się w drzazgi i rycerze puścili w ruch miecze i bojowe topory. Liczba Mimbratów stopniowo topniała i Mandor musiał ustawić swych ludzi w krąg, który zwykle jest oznaką początku tego, co romantycznie zwie się "walką do ostatniej kropli krwi". Arendzcy poeci wprost uwielbiają opisywać tę fazę bitwy. Mogą wychwalać niewysłowioną odwagę i przesadnie wyolbrzymiać czyny poszczególnych rycerzy. Rezultat jest jednak zwykle ten sam. Broniących się ostatecznie zalewa rój napierających ze wszystkich stron wrogów. To do-bry temat dla wzruszającego wiersza, ale z taktycznego punk-tu widzenia działanie takie jest niepotrzebnym marnowaniem

-Beldinie! - krzyknąłem w myślach. - Potrzebuję tych legionów! Mimbraci otoczeni! Jeśli oni padną, ugrzęźniesz po uszy wśród Mallorean!

- Nadchodzimy, Belgaracie! Pióra do góry!

Nigdy w pełni nie rozumiałem znaczenia pewnych taktycz-nych posunięć tolnedrańskich legionów. Często odnosiłem wra-żenie, że ich zmiany szyku bardziej pasowały do placu defilad niż pola bitwy. Cerran nadciągał szerokim frontem z jakimiś Czterdziestoma legionami. Wydał kilka komend, które przekazali dalej sierżanci o gromkich głosach. Jego oddziały pospiesz-nie połączyły się, tworząc zwarte kliny. Szeregi Nadraków rozciągnięto, by stawili czoło frontalnemu atakowi. Legioniści, ze zwartymi tarczami, posuwali się truchtem, wrzynając się w szeregi Nadraków, niczym gorący nóż w masło. Po przedarciu się przez szeregi Nadraków legioniści znaleźli się na tyłach Mallorean skupionych wokół rycerzy Mandora. Po chwili dotarli do sprzymierzeńców.

Tego dnia nie walczone do ostatniej kropli krwi.

By uczynić sytuację Kal Toraka jeszcze bardziej rozpaczliwą, Cherekowie wykorzystali korytarz, który Cerran wyrąbał przez oddziały Nadraków, i wzmocnili nasze siły w samym centrum malloreańskiej armii. Na lewym skrzydle Toraka szeregi Murgów zaczęły pękać.

W tej sytuacji Zedar nie miał innego wyjścia, jak tylko ściągnąć oddziały trzymane w rezerwie. Tego nam właśnie było trzeba. Oczekałem jeszcze kwadrans, aby angarskie

odwoływały czas na pospieszne opuszczenie pozycji na północy pola bitwy. Chciałem, aby tyły Toraka miały jedynie słabą obronę, a także zamierzałem zostawić czas pikinierom Rhodara na przebicie się przez idące w rozsypkę oddziały Murgów i połączenie z głównymi siłami. Śmierć Ad Rak Cthorosa złamała ducha Murgów. Ich opór słabł. W końcu Drasanie przebili się, a algaraska jazda nie pozwalała Murgom zewrzeć za nimi szeregow.

- W porządku, Belkiro - wysłałem myśl. - Teraz możesz do nas dołączyć.

Brand zadał przeciągle w róg. Czekałem z pewnym niepokojem, muszę przyznać. Wtem skraj lasu na północnym krańcu równiny nagle zaroił się od Rivan, Sendarów i asturskich łuczników. Nadchodzili bardzo szybko. Po tej stronie równiny nie było żadnych angarskich sił, by im przeszkodzić

- Ojczy! - Głos Polgary brzmiał nieco piskliwie. - Torak wychodzi!

- Oczywiście, Pol - odparłem. - O to chodziło. Powiedziałem to całkiem spokojnie, jakbym nigdy nie miał

co do tego żadnych wątpliwości. Oczywiście, to była tylko poza.

Byłem dostatecznie wysoko nad polem bitwy, by nie mogła mnie dostrzec - a przynajmniej nie na tyle wyraźnie, by widzieć moje radosne pikowania i pętle. Jestem również przekonany, że nie słyszała moich triumfalnych krzyków. Nasza strategia zadziałała!

Posiłki Zedara jeszcze nie włączyły się do walki i po chwili zamieszania zawróciły, desperacko próbując biec z powrotem,

by bronić swych poprzednich pozycji. Wówczas jednak Asturo-wie byli już na tyle blisko, by odgrodzić ich zwartą ścianą strzał, a Rivanie i Sendarowie pędzili im na spotkanie.

Pierwotna strategia Kal Toraka zakładała zmiążdżenie nas pomiędzy dwoma armiami. Teraz zgrabnie pobiliśmy go jego własną bronią. Malloreanie byli w pułapce, Thullowie uciekli, duch walki Murgów i Nadraków znacznie osłabł i w większości byli oni wyłączeni z walki. Miałem go! Nagle wiedziałem, co muszę uczynić.

- Dobrze, Pol -zawołałem do córki. - Wynoś się stamtąd. Czas, byśmy dołączyli do Branda.

- Co takiego?

- Powinniśmy być razem z nim w czasie WYDARZENIA.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Nie wiedziałem o tym. Nie trać czasu, Polgaro. Chyba nie chcemy się spóźnić?

Poleciałem na północny kraniec pola bitwy, wylądowałem i wróciłem do własnej postaci. To wyraźnie zdumiało pluton Sendarów. Nie miałem czasu na wyjaśnienia, toteż przez następnych pięć stuleci krążyły po Sendarii o tym zdarzeniu niestworzone opowieści.

Trochę zajęło mi odszukanie Branda. Polgara już przy nim była.

- Wiesz, co masz zrobić? - zapytałem Strażnika Rivy.

- Tak - odparł.

- I wiesz, kiedy to zrobić?

- Będę wiedział, gdy przyjdzie czas.

Spokojne, niemal obojętne zachowanie każdego Dziecka Światła zawsze działało mi na nerwy. Pewnie było całkiem zrozumiałe, skoro Konieczność czuwała, ale wydawało się trochę nienaturalne. Garion powiedział mi, że czuł się podobnie owej straszliwej nocy w Cthol Mishrak, gdy w końcu spotkał się z Torakiem. Jednakże, o ile pamiętam, ja tak nie przeżywałem mojego spotkania z Zedarem w Morindlandzie. Wówczas jednak żywiłem osobistą niechęć do Zedara i być może to miało wpływ.

Nagle zmienił się wyraz twarzy Branda. Spokojna obojętność ustąpiła miejsca niemal nadludzkiemu zdecydowaniu. Wyprostował się, a gdy przemówił, głos jego brzmiał inaczej niż zwykle, język zaś, którym się posługiwał, z pewnością nie był mową Rivan.

- W imię Belara, wyzywam cię, Toraku, okaleczony i przeklęty - rozpoczął. Jego głos wcale nie wydawał mi się donośny, później dowiedziałem się, że było go słychać w Vo Mimbre. -W imię Aldura - ciągnął - ciskam ci swą pogardę w twarz. Zaprzestaśmy rozlewu krwi i spotkajmy się - człowiek przeciwko bogu - bym zatriumfował nad tobą. Rzucam ci rękawicę. Podejmij ją lub objaw się jako tchórz przed ludźmi i bogami!

Tymi słowami sprowokował Toraka.

Bóg uzbroił się przed wyjściem ze swego osobliwego żelaznego zamku. Miał na sobie tę samą archaiczną zbroję, którą nosił podczas Wojny Bogów. Ogromną tarczę przymocował do okaleczonego lewego ramienia, hełm z wysokim pióropuszem i przyłbicą zakrywał wypolerowaną maskę, zasłaniającą jego oszpeconą twarz. W prawej dłoni ścisnął czarny miecz, który zwał Cthrek Goru. Obrażliwe wyzwanie Branda rozwścieczyło go tak, że musiał roztrzaskać mieczem kilkanaście głazów, nim odzyskał panowanie nad sobą. Angarakowie z jego otoczenia cofnęli się kilkaset jardów. Zedar czmychnął niczym królik.

- Kto ze śmiertelnych w głupocie swej śmie wyzwać Króla Świata? - ryknął Torak. - Kto spośród was stawia czoło bogu?

Spryt Konieczności, która przemówiła ustami Branda, był godny podziwu. Torak z wielką niechęcią odnosił się do pojedynku z Brandem, ale wściekłość przyćmiła rozsądek. Torak, zawsze pełen pogardy egocentryk, zdecydowanie musiał odpowiedzieć na te zniewagi.

- Jam jest Brand, Strażnik Rivy - odparło Dziecko Światła - i rzucam wyzwanie tobie, ohydny i okaleczony bożku, i całej twej cuchnącej hordzie. Przywołaj swą potęgę. Przyjmij

me wyzwanie lub wyność się i nigdy już nie stawaj przeciwko królestwom Zachodu.

To już było kuszenie losu. Torak nadal był bogiem i pomimo wszelkich zakazów słowa te mogły popchnąć go do straszliwych czynów. Miałem już przed oczami wizję powtórki z rozłupania świata. Na szczęście nie zrobił tego, choć roztrzaskał swym mieczem jeszcze kilka głązów.

- Baczcie! - ryknął głosem, od którego pewnie popękały szyby w Tol Honeth. - Jam jest Torak, Król Królów i Pan Panów! Nie lękam się żadnego śmiertelnika ani nikłych cieni dawno zapomnianych bogów! Wystąpię i zniszczę tego gadatliwego rivańskiego głupca, a wrogowie moi umkną przed moim gniewem i Cthrag Yaska znowu będzie mój i także świat cały!

Pomimo wszystkich ostrzeżeń Torak przyjął wyzwanie Branda.

Po tych słowach na polu bitwy zapadła cisza. Po obydwu stronach żołnierze moi stali sparaliżowani dźwiękiem gromkich głosów. Walki ustały. Słyszeć było jedynie jęki rannych i umierających. Teraz bój mieli toczyć Brand i Torak.

Torak postąpił na północ, a jego Malloreanie umykali mu z drogi. Brand, równie zdecydowanym krokiem, pomaszerował na południe, na spotkanie Torakowi. Zmieniłem się w wilka i pobiegłem u jego boku. Ponad nim szybowała sowa śnieżna.

Brand był wysokim mężczyzną o potężnych barach i mocarnych ramionach. Pod wieloma względami bardzo przypominał Drasa o Byczym Karku, choć nie był aż tak wysoki. Tarczę

miał umocowaną do lewego ramienia. Zadał sobie sporo trudu, aby przymocować do niej szary rivański płaszcz, który osłaniał Klejnot Aldura. Jego miecz nie dorównywał wielkością orężowi Rivy, ale był na tyle wielki, że nie miałbym ochoty nim wywijać.

Torak miał na sobie swą antyczną czarną zbroję. Idąc, wymachiwał Cthrek Goru. Umowa pomiędzy Koniecznościami nie pozwalała mu na przybranie ogromnych rozmiarów, jak uczynił w Cthol Mishrak, gdzie spotkał się z Garionem, ale był równie wysoki jak Brand. Siły zdawały się wyrównane. A skoro żaden z nich nie miał szczególnej przewagi - czy to pod względem wzrostu, czy uzbrojenia - pojedynek zapowiadał się bardzo interesująco.

Zbliżyli się do siebie na dwadzieścia jardów, po czym stanęli, najwyraźniej postępując zgodnie z instrukcjami. Wówczas Brand przemówił raz jeszcze.

- Jam jest Brand, Strażnik Rivy - przedstawił się uprzejmie. - Jam jest tym, który zmierzy się z tobą, Toraku. Strzeż się mnie, albowiem duchy Belara i Aldura są ze mną. Sam jeden bronię ci dostępu do Klejnotu, dla którego wojnę na Zachód sprowadziłeś.

Torak nie odpowiedział mu. Zamiast tego zwrócił się do mnie.

- Precz, Belgaracie! - powiedział. - Uciekaj, jeśli chcesz zachować życie. Zdaje się, że niebawem będę miał wolną chwilę, by udzielić ci od dawna obiecanej lekcji, a wątpię, byś nawet ty przetrwał moje nauki.

Nigdy nie byłem pewny, czemu zawracał sobie tym głowę. Powinien wiedzieć, jaka będzie moja odpowiedź. Obnażyłem zęby i warknąłem na niego.

Potem Torak przemówił do sowy unoszącej się nad głową Branda.

- Wyrzeknij się swego ojca, Polgaro, i chodź ze mną - rzekł dziwnie pieszczotliwym tonem. - Poślubię cię - ciągnął - i uczy-

nię królową całego świata, a twa potęga mocy mej jedynie ustępować będzie.

Propozycja tego małżeństwa spędzała Polgarze sen z powiek już od pięciuset lat. Również poważnie niepokoiła Gro-limów; zawsze bardzo ostrożnie obchodzili się z Pol. Nie chcieli obrazić wybranki Toraka. Podejrzewani, że to Wyrocznia Ashabińska naprowadziła go na ten pomysł. Zapewne ten sam fragment podsunął Zedarowi pomysł okrutnego oszukania Illessy.

Krzyk sowy jest zwykle po prostu pohukiwaniem, ale Pol w swym pohukiwaniu zawarła tyle pogardy i lekceważenia, że Torak nie mógł mieć wątpliwości, co myśli o jego propozycji.

- Zatem przygotujcie się na śmierć - ryknął Torak, rzucając się przed siebie ze wzniesionym mieczem.

Obudził tym we mnie lekki niepokój. Przed chwilą widziałem, jak roztrzaskiwał tym mieczem ogromne głazy.

Brandowi nawet nie drgnął jeden mięsień twarzy. Uniósł tarczę, by osłonić się przed potężnym ciosem.

Jeśli kiedyś widzieliście walkę pomiędzy dwoma zbrojnymi, to wiecie, jak bardzo poszczerbione i powgniatane robią się ich tarcze. Jednakżena tarczy Branda nie było znać żadnych śladów po uderzeniu Cthrek Goru. Potężny cios Toraka nawet nie naciął szarej tkaniny okrywającej lico tarczy. Najwidoczniej Klejnot Aldura zadbał o to.

Tarcza Toraka chyba jednak nie była niezniszczalna. Cios, który Brand zadał w odpowiedzi, głęboko wyszczerbił jej brzeg.

Torak uderzył ponownie, ale podobnie jak za pierwszym razem, nie odniosło to skutku.

Potem przyszła kolej na Branda. Jego oręż zostawił głębokie wgniecenie w licu tarczy Toraka.

Walczyli tak ze sobą przez jakiś czas. Młócili się ogromnymi mieczami, czyniąc przeraźliwy hałas i krzesając skry, gdy ostrza się stykały. Zataczali się w przód i w tył,

usiłując utrzymać równowagę. Brand nadal wydawał się nienaturalnie spokojny, ale Torak robił się coraz bardziej wściekły. Ryczał i coraz szybciej zadawał ciosy Rivaninowi o posępną twarz. Pomimo ogromnej wagi Cthrek Goru, Torak wywijał nim niemal tak szybko, jak algarski jeździec swą szablą. Furia, z jaką atakował, zmuszała Branda do cofania się.

Wtem Torak w ostatniej chwili zmienił kierunek uderzenia i zranił Branda w lewe ramię.

- Nareszcie! - odezwał się znajomy głos. - Już myślałem, że będą się tak okładać cały dzień. Idź, daj mu znak, Belgaracie. Kończymy z tym już.

Uczyniłem to, nawet nie myśląc. Nie musiałem myśleć. Instrukcje krążyły po mej głowie prawie od trzech tysięcy lat. Przysiadłem, uniosłem pysk i zawylem. W tym samym momencie biała sowa zahukała przesywając.

Brand uskokczył i końcem miecza przeciągnął po licu tarczy, zdzierając szarą osłonę.

Kal Torak wzdrygnął się, gdy Klejnot Aldura zajaśniał zgubnym błękitnym ogniem. Płomień jarzący się pod maską w miejscu lewego oka, nagle rozbłysł niczym małe słońce.

Torak krzyknął i Cthrek Goru wypadł mu z drżącej gwałtownie ręki. Odrzucił tarczę i usiłował zakryć twarz. Prawą dłonią przesłaniał prawe oko, ale nie miał lewej ręki, by zasłonić drugie oko.

Wówczas Brand zadał cios ostateczny w ich pojedynku. Nie było to jednak uderzenie z nad głowy, tylko pchnięcie. Ujął miecz oburącz i zrobił wypad, ale sztych nie był wymierzony w pierś Toraka, jego szyję lub brzuch, lecz prosto w płonące lewe oko.

Miecz Branda przebił przyłbicę hełmu Toraka, wydając przy tym przeraźliwy dźwięk, gdy wbijał się w płonące oko i w mózg okaleczonego Boga Angaraków.

Torak wrzasnął. Nie był to jednak krzyk bólu, ale niewysłowionej straty. Schwycił ostrze sterczące z oczodołu i wyrwał je. Po czym odrzucił hełm i zerwał stalową maskę.

Wtedy po raz pierwszy od czasu, gdy rozłupał świat, ujrzałem jego twarz. Prawą stronę oblicza nadal miał piękną i nie okaleczoną.

Lewa była odrażająca. Zemsta Klejnotu Aldura była straszliwa ponad wszelkie wyobrażenie. Rany nadal się jątrzyły, a w niektórych miejscach ciało było spalone aż do kości.

Lewe oko Toraka już nie płonęło. Płynęła z niego krew.

Opowieść Davoula Chromeego jest nie najlepiej napisana, ale niezłe oddaje nastrój, więc przytoczę tu jej fragment.

...i podniósł się, i wyrzucił swe ramiona ku niebu, i zakrzyknął ponownie. I zakrzyknął

po raz ostatni, gdy ujrział Klejnot, który zwał CthragYaska i który ponownie go poraził, a potem, niczym drzewo walące się na ziemię, Mroczny Bóg padł, a ziemia zadrżała...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oto co naprawdę wydarzyło się pod Vo Mimbre. Opisy bitwy zajmują całe biblioteki, ale z wyjątkiem kilku - w większości napisanych przez alornskich uczonych - te sensacyjne relacje pomijają naprawdę istotne wydarzenia, które doprowadziły do pojedynku pomiędzy Brandem i Torakiem. Wszystko, co robiliśmy, miało na celu zmuszenie Toraka do przyjęcia wyzwania Branda. Gdy postawiliśmy go w sytuacji bez wyjścia, rezultat był łatwy do przewidzenia.

Pokonanie ich Boga całkowicie zniszczyło morale Angara-ków; Ulgosi i inni wojownicy zabili królów i generałów, więc nie miał kto wydawać rozkazów. Angarakowie nie potrafią zbyt dobrze działać samodzielnie. Ktoś bardzo mądry powiedział kiedyś: "Bardzo dobrze jest złożyć władzę w ręce doskonałego człowieka, ale co zrobicie, gdy owego człowieka rozboli brzuch?" To główny argument przemawiający przeciwko wszelkiego rodzaju absolutyzmowi.

Oczywiście los Mallolean był przesądzony. Otaczali ich przepelnieni nienawiścią ludzie, a trudno było doszukać się przebaczenia i litości, gdy armie Zachodu spadły na nieszczęsnych najeźdźców niczym gniew całego panteonu Bogów.

Murgowie na lewym skrzydle nie widzieli żadnego powodu, by gnać na pomoc swym malloreańskim kuzynom. Po prostu nie przepadali za Malloreanami, więc obu ras nie łączyły żadne silne więzy - nie licząc braterstwa, którym zanudzał ich Torak. Tak naprawdę nie wydano żadnych rozkazów. Murgowie po prostu zawrócili, uciekli na południe, ku brzegom rzeki Arend po wschodniej stronie miasta, i usiłowali przepłynąć na drugą stronę. Prąd był tam bardzo wartki, a rzeka głęboka. Kilku Murgom udało się przedostać na drugi brzeg, ale nie było ich wielu.

Thulowie już zdążyli czmychnąć nad rzekę od zachodniej strony Vo Mimbre. Thulowie nie są inteligentni, ale za to silni i w odróżnieniu od Murgów nie dźwigali kolczug, więc zaskakująco wielu udało się przedostać na tolnedrański brzeg. Nad-rakowie próbowali pójść ich śladem, ale nie pływają zbyt dobrze, toteż w bezpieczne miejsce dotarło ich pewnie mniej niż Murgów.

Rzeź trwała aż do zmroku, potem Alornowie zapalili pochodnie i kontynuowali zabijanie Mallolean.

W końcu do Branda przyszedł generał Cerran.

- Czy nie dość już tego? - zapytał zde gustowany.

- Nie - stanowczo odparł Brand, poprawiając temblak podtrzymujący mu zabandażowane lewe ramię. - Przybyli tutaj, aby nas wyrzucić w pień. Muszę mieć pewność, że nie uczynią tego ponownie. Wyplenimy chwasty do ostatniego.

- To barbarzyństwo, Brandzie!

- Tak, podobnie jak to stało się z Drasnią.

Po północy, gdy wypaliły się już pochodnie, Ulgosi Brasa obeszlą pole bitwy i dobili wszystkich rannych. Ja, podobnie jak Cerran, nie przepadałem za tego typu barbarzyńskim postępowaniem, ale się nie wtrącałem. Teraz Brand tu dowodził, a ja nadal miałem dla niego zadania do wykonania. To były bardzo ważne sprawy i nie chciałem go sobie zrazić rozkazami, których by nie aprobował.

Świt następnego ranka wstał zamglony od dymu. Jedyni Angarakowie pozostali na polu bitwy byli martwymi Angara-kami. Malloreanie, Murgowie, Nadrakowie, Thullowie i Grolimowie w czarnych szatach leżeli pokotem na nasiąkniętej krwią ziemi. Brand zakończył pielenie.

Strażnik Rivy spał ze dwie godziny owej okropnej nocy, ale wyszedł z namiotu, gdy tylko wstało słońce, by dołączyć do mnie, moich braci i mej córki.

- Gdzie on jest? - dopytywał się.

- Kto? - zapytał krótko Beldin.

- Torak. Chcę popatrzeć na Króla Świata.

- Możesz go poszukać, jeśli chcesz - powiedział Beldin - ale go nie znajdziesz. Zedar za pomocą czarów porwał go w nocy.

- Co takiego?

- Nie powiedziałaś mu? - zapytał mnie Beldin.

- Nie musiał o tym wiedzieć - odparłem. - Gdyby wiedział, pewnie próbowałby przeszkodzić.

- Nie mógłby, ty ośle, podobnie jak ja czy ty.

- Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić? - W głosie Branda pobrzmiwała nuta rozdrażnienia.

- To część porozumienia pomiędzy Koniecznościami - zacząłem. - Te uzgodnienia bywają czasami bardzo skomplikowane i w znacznej mierze przypominają handel końmi. Zgodziły się, że wygrasz, jeśli do pojedynku dojdzie trzeciego dnia, ale nasza Konieczność zmuszona była przystać na to, że nie wolno ci będzie zatrzymać dala Toraka. To nie było ostatnie WYDARZENIE. Nie pozbyliśmy się Toraka.

- Ale on jest martwy!

- Nie, Brandzie - powiedziała Polgara. - Nie jest. Nie myślisz chyba, że twój miecz

mógłby go zabić? Tylko jeden miecz na świecie potrafi tego dokonać, a on nadal wisi na ścianie za tronem Rivańskiego Króla. To kolejna część porozumienia. Dlatego Klejnot znalazł się na twojej tarczy, a nie został na swym miejscu. Ty nie jesteś tym, który powinien użyć tego miecza.

- Niech to diabli, Polgaro! - wybuchnął. - Nikt nie przeżyje przebiccia głowy mieczem!

- Torak przeżył. Po twoim ciosie zapadł w śpiączkę, ale nadejdzie czas, gdy znowu się ocknie.

- Kiedy?

- Gdy Król Rivy powróci. On jest tym, który powinien zdjąć miecz. Gdy to uczyni, Torak obudzi się i dojdzie do następnego WYDARZENIA.

- Czy to będzie ostatnie?

- Prawdopodobnie, ale nie jesteśmy zupełnie pewni - odparł Beltira. - W Kodeksie Mrińskim jest kilka spraw, które do siebie nie pasują.

- Czy Gelane da sobie z tym radę? - zapytał Brand. - Nie wydaje mi się zbyt muskularny, a Torak to bardzo poważny przeciwnik.

- Kodeks nie mówi, że to będzie Gelane, Brandzie - poprawiłem go. - I prawdopodobnie nie będzie, jeśli poprawnie odczytuję znaki. To może być jego syn lub ktoś dwadzieścia pokoleń po nim.

Brand przygarbił się, skrzywił z bólu i położył dłoń na rannym ramieniu.

- A zatem wszystkie ofiary na próżno - westchnął.

- Tego bym nie powiedział - nie zgodziłem się. - Torak przybył po Klejnot i nie zdobył go. To już chyba coś?

- Pewnie tak - przyznał ponuro. Potem spojrzął na zasłane trupami pole bitwy. - Lepiej uprzątniemy tych wszystkich An-garaków - zaproponował. - Jest lato i jeśli ich zostawimy, zgniją i epidemia gotowa.

- Masz zamiar ich pogrzebać? - zapytał Beltira.

- Nie, sądzę, że ich spalimy. Nie przysporzyłbym sobie popularności, gdybym kazał wszystkim chwycić teraz za łopaty.

- Skąd weźmiesz tyle drewna? - zapytał Beldin.

- Północny kraniec tej równiny porasta spory las - odparł Brand, wzruszając ramionami.

- A skoro jest tak blisko, możemy go wykorzystać.

Oto co stało się z tymi lasami. Musieliśmy sprzątnąć wielu martwych Angaraków, więc potrzebowaliśmy bardzo dużych stosów pogrzebowych.

Oczyszczenie pola bitwy zajęło kilka dni. W tym czasie Aldorigen z Mimbri i Eldallan

z Asturii odbyli rozmowę na osobności, jak zaproponował przed bitwą Eldallan. Żaden z nich nie przeżył tej wymiany zdań. Symboliczne znaczenie tego bezsensownego spotkania nie uszło uwagi starszyny obu księstw. Arendzka wojna domowa ciągnęła się od tysiącleci i gdyby im pozwolić, prawdopodobnie Mimbri i Asturia ciągnęłyby ją aż do całkowitego wyniszczenia obu narodów.

Mandor i Wildantor przewodzili delegacji, która przybyła do Branda z dość zaskakującą propozycją.

- Nasza nienawiść zabrnęła za daleko, lordzie Brandzie - posępnie oświadczył Wildantor. - Mandor i ja nauczyliśmy się razem żyć, ale wyjątkowa z nas para. Doprawdy nie możemy się łudzić, że inni Arendowie zechcą pójść w nasze ślady.

- W czasie bitwy wszyscy doskonale współpracowaliście - odparł Brand. - Czy to nie budzi nadziei?

Mandor westchnął i pokręcił głową.

- Chwiejny rozejm już zaczął wykazywać oznaki napięcia, lordzie Brandzie - powiedział. - Pewne prastare właśnie zapewne ożyją, by ponownie nas poróżnić.

- Nasz problem jest całkiem prosty, panie - rzekł ze smutnym uśmiechem Wildantor. - Arendii potrzebne zjednoczenie, ale kto będzie nią władał, gdy już się połączymy? Żaden Astur nie pokłoni się przed mimbrańskim królem i żaden Mimbrat nie schyli czoła przed królem Asturów.

- Do czego zmierzacie, panowie? - zapytał Brand.

- Potrzebny nam jest król, który zjednoczyłby biedną Arendię, mój panie - odparł posępnie Mandor - i niechęć każdego z nas sugeruje, iż królem tym nie może być Arend. Toteż, po długich naradach, przybyliśmy zaoferować koronę Arendii tobie, panie.

Brand zamrugał oczami. Na szczęście był na tyle mądry, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Jestem zaszczycony, panowie, ale na Wyspie Wiatrów czekają na mnie obowiązki. Nie mogę dobrze władać Arendią z Rivy.

Mandor westchnął.

- A zatem biedna Arendia skazana jest na nie kończącą się wojnę domową - powiedział z głębokim smutkiem.

Brand podrapał się po policzku.

- Może nie - rzekł. - Czyż Aldorigen nie ma syna?

- Tak, księcia Korodullina - odparł Mandor.

- A Eldallan córki?

- Mayaseranę - powiedział Wildantor. - Teraz, gdy jej ojciec nie żyje, ona jest księżną

Asturii. Jest panną o bardzo silnym charakterze, do tego ładną.

- Czy waszym zdaniem tych dwoje jest patriotami?

- Każdy w Arendii jest patriotą, lordzie Brandzie - odparł Wildantor. - To część naszego problemu.

- Czy to nie nasuwa wam rozwiązania? Żaden król mim-brański czy asturski nie byłby w stanie sprawować władzy, ale co powiecie na wspólne rządy? Jeśli udałoby się nam przekonać tych dwoje młodych ludzi do małżeństwa i wspólnego sprawowania władzy... - Zawiesił głos.

Obaj Arendowie spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem, którym po chwili zarazili wszystkich pozostałych.

- Powiedziałem coś zabawnego? - dopytywał się Brand.

- Ty nie znasz tych dwojga, panie - odparł wesoło Wildantor. Mandor nadal krztusił się ze śmiechu.

- Propozycja twa ma pewną zaletę, panie. Małżeństwo pomiędzy Korodullinien i Mayaseraną dobrze przysłużyć by się mogło uciszeniu swarów w reszcie Arendii, mniemam jednak, iż nasza wojna domowa nadal trwać będzie, tyle że w ramach jednej rodziny.

- Jest aż tak źle?

- Gorzej, panie - zapewnił go Wildantor. - Być może nie zgładzą się nawzajem, jeśli przykujemy ich łańcuchami do przeciwległych ścian królewskiej sypialni, ale na tym koniec. Pamiętaj, panie, że ich ojcowie właśnie się pozabijali.

- Przyprawdźcie ich zatem tutaj, to z nimi porozmawiam. Może jeśli odwołam się do ich patriotyzmu, zgodzą się przystać na ten pomysł.

Wildantor spojrział sceptycznie na przyjaciela.

- Co o tym sądzisz, Mandorze? - zapytał. - Warto spróbować? Przed wprowadzeniem tutaj, przeszukamy ich dokładnie i odbierzemy broń.

- Z ochotą podejmę się wszystkiego, by uzdrowić naszą biedną Arendię - przysiągł z zapalem Mandor.

- Dzielny gość - mruknął Wildantor.

- To najbardziej niedorzeczna propozycja, jaką kiedykolwiek słyszałam! - krzyknęła Mayaserana, gdy Brand przedstawił jej i Korodullinowi swą propozycję. - Prędzej umrę, niż poślubię mimbrańskiego kata!

- Z ochotą dopomógłbym ci w zakończeniu żywota, ty ladacznico! - zaoferował się Korodullin.

Wymiana zdań szybko stawała się coraz gwałtowniejsza.

- Naprawdę uważam, że powinniście to przemyśleć - zaproponowała ze słodyczą Pol, przerywając ich wrzaski. - Musicie się oboje uspokoić i omówić to - gdzieś na osobności. Mój panie Mandorze, mniemam, iż znajdzie się tu jakowaś zaciszna komnata, gdzie młodzi mogliby kontynuować bez przeszkód dyskusję? Być może na szczycie jakiejś wieży?

- Na szczycie południowej wieży pałacu jest bezpieczna komnata, wasza miłość - odparł z pewnym powątpiewaniem. -W przeszłości często za więzienie służyła niegodziwcom szlachetnie urodzonym, których ze względu na pozycję nie można było wtrącić do lochów.

- Zakratowane okna? - zapytała - I solidne drzwi, które można zamknąć od zewnątrz?

- Są, wasza miłość.

- Może poszlibyśmy wszyscy obejrzeć tę komnatę? - zaproponowała.

- Nie zaszkodzi rzucić okiem - odparł Brand. Ująłem córkę pod ramię i odprowadziłem na bok.

- Pozabijają się, jeśli zamkniesz ich w tym samym pokoju, Polgaro - powiedziałem przyciszonym głosem.

- Nie myślę, aby posunęli się aż tak daleko, ojczy - zapewniła mnie. - Być może będą na siebie wrzeszczeć, ale nie sądzę, aby doszło do rękoczynów. W Arendii obowiązują pewne zasady, które zabraniają używania przemocy pomiędzy kobietą i mężczyzną.

- Ale pomiędzy Mimbratami i Asturami?

- Zobaczymy, ojczy. Zobaczymy.

W ten sposób Mayaserana i Korodullin zostali współwięźniami. Początkowo dużo było krzyków i wrzasków, ale nie przejmowaliśmy się. Krzyki dowodziły przecież, że nadal oboje pozostawali przy życiu.

Zawsze chciałem zapytać Polgarę, czy pomysł wspólnego uwięzienia tych dwojga był jej własny czy też autorstwa przyjaciela Gariona. Biorąc pod uwagę jego spaczone poczucie humoru, mógł wyjść od niego. Z drugiej strony Pol bardzo dobrze orientuje się w osobliwościach ludzkiej duszy. Wie, czym zwykle kończy się dłuższe pozostawienie samym sobie dwojga młodych ludzi. Polgara zaaranżowała długą serię małżeństw; jest w tym bardzo dobra.

W każdym razie po zamknięciu ich w południowej wieży pałacu zajęliśmy się innymi sprawami. Żadna wojna czy poważniejsza bitwa nie może obejść się bez długiej narady wieńczącej zakończenie walk. Ku naszemu zaskoczeniu na obrady przybył nawet Gorim z Ulgo. Gorimowie prawie nigdy nie opuszczali swych jaskiń. Rana Boruna zatrzymywały sprawy wagi państwowej, więc reprezentował go Mergon. Podiss zaś przybył na północ, by przemawiać w imieniu Salmisary.

Na naszą konferencję zajęliśmy salę tronową Aldorigena, przy czym szczególnie obstawał Mandor. Po kilku godzinach prawienia sobie uprzejmości przeszliśmy do sprawy. Ormik, król zawsze praktycznych Sendarów, pierwszy zabrał głos. Ten przysadzisty, skromny człowiek był o wiele bystrzejszy, niż na to wyglądał.

- Panowie - zaczął - i ty, lady Polgaro. Zdaje się, że nadarza się zbyt wyjątkowa okazja, by jej nie wykorzystać. Rzadko kiedy zbiera się w jednym miejscu większość władców Zachodnich Królestw. Ostatnie nieprzyjemności postawiły nas wszystkich po tej samej stronie. Czemu nie mielibyśmy wykorzystać tego czasowego zbratania dla załagodzenia drobnych, nagromadzonych przez lata niesnasek? Gdyby udało nam się opracować zestaw traktatów, to moglibyśmy nawet czuć pewną wdzięczność dla Kal Toraka. - Uśmiechnął się blado. - Czyż nie byłoby ironią, że przybywszy tu, by przynieść nam wojnę, w rezultacie ofiarował nam pokój?

- Nadal mamy jeszcze do załatwienia parę drobiazgów, Ormiku - powiedział Rhodar. - Angaracka armia okupuje Drasnię i chciałbym przekonać ich, by spakowali się i poszli do domu.

- A wokół Twierdzy nadal obozują Murgowie - dodał Cho-Ram.

Wówczas Eldrig zabrał głos. Miałem wrażenie, że dał się ponieść nastrojowi chwili.

- Aloria poradzi sobie z angarackimi niedobitkami pozostającymi nadal w jej granicach - oznajmił.

Na te słowa nastawiłem uszu. Określenia "Aloria" sam od czasu do czasu używałem, zwykle wtedy, gdy chciałem, żeby Alornowie coś zrobili. Jednakże posłużenie się przez Eldriga nazwą, która od czasów Chereka tak naprawdę nic nie znaczyła, zaniepokoiło mnie. Gdy jakiś Alorn wspomina o Alorii, to znak, że jest on wyznawcą Kultu Niedźwiedzia, a pokaźna armia Alornów obozowała właśnie na północnej granicy Tolnedry.

- Powinniśmy omówić coś znacznie donioślejszego - ciągnął sędziwy król Chereku. - Byliśmy świadkami wydarzenia, które nigdy przedtem się nie zdarzyło. Bóg został pokonany na naszych oczach. Jestem pewny, że inni Bogowie mieli w tym swój udział, a Brand był ich narzędziem. Nie wiem jak wam, panowie, ale mnie to podsunęło bardzo interesującą myśl. W mojej kopii Kodeksu Mrińskiego jest mowa o Pogromcy Boga, który zostanie Władcą Zachodu. Dobrze zatem. Na własne oczy widziałem, jak Brand zabił Toraka, i gotów jestem do zrobienia następnego kroku. Cherek uznaje zwierzchnictwo Branda. Jeśli wszyscy będziemy mieć jednego władcę, to rozbieżności, o których wspominał Ormik, znikną.

- Ma słuszość - powiedział w zamyśleniu Cho-Ram. - Mnie z Brandem całkiem nieźle się współpracuje, więc sądzę, że Algaria może dołączyć do Chereku. Ja również uznam

zwierzchnictwo Branda.

To idioci! To nie o Brandzie mówił Kodeks Mriński! To Ga-rion, ale on nawet się jeszcze nie urodził!

- Sądzę, że możemy być jednomyślni - zgodził się Rhodar.

- Dzieci Boga-Niedźwiedzia przemówią jednym głosem. Brand jest Suzeremem.

- Czy nie działamy zbyt pochopnie? - zaprotestował Ormik.

- Sam jestem w części Alornem i z wielką ochotą chciałbym zaakceptować Branda jako Suzerena. Pójdę wszędzie, gdzie mi każe, ale chciałbym najpierw usłyszeć, co ma do powiedzenia w tej sprawie Tolnedra, Ulgo, Arendia i Nyissa, nim zacznę snuć plany koronacji. Obozują tu wszystkie armie Zachodu. Jeśli ci z nas, którzy są Alornami, wpadną na zbyt osobliwy pomysł i urażą tym władców nie będących Alornami, to możemy mieć drugą bitwę pod Vo Mimbre, nim krew zdąży wyschnąć po poprzedniej.

Wtedy wstał służalczy, płaszczący się Podiss, wysłannik królowej Salmisary.

- Król Sendarii rozumnie mówi. Podziwiałem gotowość suwerennych władców do uznania zwierzchnictwa człowieka nie-królewskiego pochodzenia. Brand nie jest nawet królem Wyspy

Wiatrów. Jest jedynie opiekunem. Nawet nie muszę w tej sprawie słać po instrukcje do Sthiss Tor. Wieczna Salmisara nigdy nie złoży hołdu bezimiennemu alornskiemu zabijace.

- Wy, Nyissanie, macie dość krótką pamięć, Podissie - powiedział gniewnie Eldrig. - Jeśli nie masz z sobą podręcznika historii, to posłę po jakiś, żebyś mógł zerknąć do rozdziału, który mówi o tym, co stało się z Nyissą w 4002 roku, po tym, jak Salmisara zamordowała króla Goreka.

Wówczas wstał Mergon.

- Nie groźmy sobie, panowie. To miała być pokojowa konferencja, pamiętacie? - Umilkł zadumany. - Żadnemu z was nie ustępuję w podziwie dla Strażnika Rivy. Pozdrawiam Branda w imieniu mego imperatora i zapraszam do przybycia do Tol Honeth, aby Ran Borune mógł uhonorować go jak przystaje na pierwszego wojownika Zachodu. Jednakże nie podejmujemy nieodwracalnych decyzji pod wpływem podziwu i wdzięczności. Jestem pewny, że Brand pierwszy przyzna, że sztuka prowadzenia wojny niewiele ma wspólnego ze sztuką zachowania pokoju i rzadko kiedy idą w parze. Bitwa szybko się kończy, ale brzemię pokoju z biegiem lat staje się coraz cięższe. - Ponownie przerwał, a potem odezwał się dość zdecydowanym tonem. - Jestem zakłopotany tym gadaniem o Alorii, panowie. Słyszałem o Chereku, Drasni i Algarii, cały świat zna Wyspę Wiatrów i niezdobytą Rivę. Ale gdzie jest owa Aloria? Jakie są jej granice? Gdzie jest jej stolica? Miejsca zwanego Aloria nie było od

czasów Chereka o Niedźwiedziach Barach. Jestem zaskoczony nagłym wyłonieniem się królestwa dawno pogrzebanego w mrokach starożytności. Imperium Tolnedrańskie działa w obrębie świata doczesnego. Nie możemy wysłać emisariuszy na dwór króla z krainy bajek. Nie możemy prowadzić wymiany handlowej z cesarstwem z księżycą. Handel możemy prowadzić jedynie z ziemskimi królestwami. Mity i legendy, choćby nie wiem jak wspaniałe, nie mogą mieć wpływu na interesy imperium, w każdym razie jeśli zależy nam na zachowaniu pokoju na świecie.

Widziałem, jak twarz Eldriga robiła się coraz bardziej czerwona. Mergon zdecydowanie kusił los.

- Intryguje mnie jeszcze coś innego - ciągnął przedstawiciel Rana Boruna. - Dlaczego nagle wszyscy postanowiliście zlekceważyć dawno zawarte traktaty i porozumienia? Podpisaliście owe porozumienia z imperium, a teraz wyrzucacie je po prostu przez okno. Doprawdy, czy roztropnie jest obrażać Rana Boruna? Szczególnie mając na względzie rozmiary jego armii?

- Posłuchaj mnie, Mergonie - warknął wojowniczo Eldrig. - Aloria jest tam, gdzie mówię, że jest, a moja armia jest wystarczająco duża, aby mnie wesprzeć. Jeśli chcesz wrócić do Tol Honeth, by donieść, co tu postanowiliśmy, to ruszaj zaraz. Moje okręty wojenne są tak szybkie, że pewnie będę tam przed tobą. Jeśli będę musiał, sam wyjaśnię sytuację Ranowi Boru-nie. Potem ruszę do Sthiss Tor i to samo zrobię z Salmissarą.

- Dość tego, Eldrigu - zabrał w tym miejscu głos Gorim. - Zmierzamy właśnie wprost do drugiej bitwy pod Vo Mimbre, o której wspomniał król Ormik. Jedna całkiem wystarczy, nie sądzisz? Wy, królowie Alornów, chcielibyście uznać Branda za Suzerena Zachodu, ponieważ jest on Alornem. Tolnedra i Nyis-sa nie mają nic przeciwko uhonorowaniu go, ale nie są zainteresowane poddaniem się jego zwierzchności - również dlatego, że jest on Alornem. Lepiej zażegnajmy ten rodzący się konflikt. Udało nam się już dość ludzi posłać na śmierć. Faktem oczywistym jest, że żaden człowiek nie może władać całym Zachodem, więc lepiej od razu porzućmy tę myśl. Myślę, że znam Branda na tyle dobrze, by przypuszczać, że nie przyjąłby korony, gdybyście mu ją zaoferowali.

- Dobrze powiedziane, Święty Gorimie - przyznał żarliwie Brand. - Niechętnie cię rozczarowuję, Eldrigu, ale ja nie jestem tym Władcą Zachodu, na którego czekasz. Kogoś innego obarcz tym tytułem.

- Nie możesz tak po prostu nic nie zrobić, Brandzie! - zaoponował Eldrig. - Zabiłeś Toraka. Musimy w jakiś sposób cię za to uhonorować. Co powiesz na kontrybucję ze wszystkich naszych skarbców?

- Mogę coś zaproponować? - wtrącił Gorim. - A może oddać Brandowi za żonę księżniczkę Tolnedry? To chyba największy zaszczyt, jakim może obdarzyć Tolnedra.

- Ja już mam żonę, Przenajświętszy - powiedział Brand -a tylko szalencie chciałby mieć więcej niż jedną. Niepotrzebna mi korona; niepotrzebna mi księżniczka Tolnedry; i niepotrzebne mi skarby innych królestw. Po co Rivianinowi skarby? - Położył rękę na tarczy. - Jeśli nie zauważyliście, to przypominam, że my już jeden mamy i od dwóch tysięcy lat strześliśmy go z narażeniem życia. Chcielibyście obarczyć nas strzeżeniem jeszcze jednego skarbu? Mamy tylko jedno życie. Gorim ma rację. Nie mogę siedzieć w Rivie i rządzić światem. Jeśli coś wydarzy się gdzieś w Nyissie lub w jaskiniach Ulgo, to miesiące miną, nim o tym usłyszę. A co więcej, ja służę Belarowi. Myślę, że moglibyśmy urazić Nedrę, Issę i Chaldana, jeśli mielibyście zwierzchnika, nie wspominając już o Ulu. Jeśli rzeczywiście ma być jakiś Suzeren, to wybór powinien pochodzić od Bogów, nie od ludzi.

W tym momencie zdecydowałem się raz na zawsze położyć kres tym bzdurom. Wstałem.

- Radzi wysłuchamy rady Nieśmiertelnego - powiedział półgłosem Gorim.

- Radzi czy nie i tak ją otrzymacie - rzuciłem opryskliwie. - Co na Bogów napadło cię, aby wychodzić z tak absurdalnym pomysłem, Eldrigu? Brand nie jest tym, który będzie Suzerenem. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Eldrig wyglądał na nieco zakłopotanego

- No cóż, pokonał przecież Toraka, prawda? Pomyślałem sobie, że mogę pójść krok dalej, to wszystko. - Potem rozłożył ręce. - No dobrze, trochę przesadziłem. Przyznaję. Miałem na-

dzieję, że to będzie ostateczne WYDARZENIE. Pragnąłem, aby doszło do niego za mojego życia, więc pomyślałem sobie, że mógłbym trochę nagiąć proroctwo. Pewnie się myliłem. Przykro mi. W Kodeksie Mrińskim mogło jednak chodzić o Branda,

prawda?

- Absolutnie nie - powiedział Beltira. - Król Rivański będzie Suzerenem, nie Strażnik Rivy.

- No cóż - nieudolnie starał się bronić Eldrig - myślałem, że Brand to prawie król.

- Nie z mojego punktu widzenia - powiedział Brand.

- Zapomnijcie, że kiedykolwiek o tym wspomniałem - Eldrig dał za wygraną.

- Na to możesz liczyć - powiedziałem.

- Jednakże Suzeren nadejdzie, Belgaracie - przypomniał mi Gorim.

- Wiem.

- Czy będziesz tu, aby nim pokierować?

- Prawdopodobnie. Nie czuję jeszcze żadnych oznak nadciągającej śmierci. Pol i ja zajmiemy się wszystkim, gdy przyjdzie czas. Od dawna już się tym paramy.

- Kodeks Mriński wspomina o tym, że Suzeren poślubi księżniczkę Tolnedry

- Wiem o tym, Gorimie. To ja wprowadziłem Driady do linii Borunów, by ich do tego przygotować.

- Co to jest Kodeks Mriński, o którym w kółko mówicie? - zapytał Mergon. - Myślałem, że Mrin to rzeka w Drasni.

- To święta księga Alornów, wasza ekscelencjo - odparła Pol. - Przepowiada przyszłość.

- Przykro mi, lady Polgaro, ale nic nie przepowiada przyszłości.

- Ale do tej pory nie pomyliła się, wasza ekscelencjo - nie zgodził się Beltira.

- Zapewne dlatego, że jest tak ogólna, iż w rzeczywistości nic nie znaczy - prychnął Mergon.

- Nie, prawdę powiedziawszy, jest bardzo szczegółowa. Trudno ją odczytać, ale gdy już ją się rozwikła, to powie dokładnie, co się wydarzy.

- Jedynie jeśli w to się wierzy, mistrzu Beltiro. Widywałem święte księgi innych narodów i według mnie były absolutnie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

- To zapewne sprawka Nedry, Mergonie - rzekłem. - Nedra nie lubi żadnej formy mistycyzmu. Macie bardzo praktycznego Boga. Bierzmy się do rzeczy, panowie. Jeśli mamy opracować traktaty, lepiej zaczynamy, chyba że wolicie podpisać czysty arkusz pergaminu. Zawartość mogę dopisać później, jeśli tak wam wygodniej.

- Sprytnie, Belgaracie - zachichotał Beldin. - A co dokładnie ma być w tych traktatach? Odwróciłem się do bliźniaków.

- Wy dwaj jesteście tu ekspertami. Co mówi o tym Mrin? Co powinniśmy ustalić raz na zawsze, a jakie sprawy możemy pozostawić własnemu biegowi?

- Sądzę, że powinniśmy ustalić małżeństwo króla i księżniczki - odparł Beltira. - To należy uzgodnić zawczasu.

- I kwestię Suzerena także - dodał Belkira. - To musi być zawarte w traktatach, aby nie było żadnych wątpliwości, gdy nadejdzie czas. Rivański Król będzie musiał wydawać rozkazy i królowie innych narodów będą musieli być im posłuszni. W przeciwnym razie Torak następnym razem wygra.

- Przestańcie pleść bzdury! - wybuchnął Mergon. - Nie ma Rivańskiego Króla. Jego

linia wygasła wraz ze śmiercią króla Goreka.

- Powiedz mu, Belgaracie - odezwał się oburzony Rhodar. - Cały tydzień gotów się o to spierać, jeśli tego nie uczynisz.

- I pozwolić, by rozniósł to po całym Tol Honeth? Bądź poważny, Rhodarze.

- Jestem dyplomatą, Belgaracie - powiedział urażonym tonem Mergon. - Wiem, jak dochować tajemnicy.

- Możesz mu to powiedzieć, ojciec - wtrąciła się Polgara. -W przeciwnym razie gotów bez końca snuć uczone domysły.

Popatrzyłem po zgromadzonych królach i wysłannikach.

- Będziecie musieli przysiąc milczenie, panowie - oświadczyłem. - Ci z was, którzy są w randze ambasadorów, mogą powiedzieć swym władcom, ale nikomu więcej. - Spojrzałem na nich surowo i wymamrotali zgodę. - Mówiąc krótko - rzekłem - linia rivańska nie wygasła po zabiciu Goreka. Jeden z jego wnuków przeżył. Linia nadal jest nienaruszona i pewnego dnia spadkobierca powróci do Rivy i odzyska tron. To informacja, która nie może opuścić tej sali. Dość mieliśmy kłopotów z ochroną tych spadkobierców bez obwieszczenia o ich istnieniu.

Nie byłem przekonany, czy Mergon przyjął to do wiadomości. Eldrig i pozostali Alornowie poczuli się jednak pokrzepieni, więc ambasador zachowywał się tak, jakby uwierzył. W końcu nie miał nic do stracenia. Jeśli go okłamałem, to nigdy nie będzie żadnego Rivańskiego Króla, który miałby poślubić jedną z owych drogocennych księżniczek Imperium, ani nikt nie zostanie Suzerenem Zachodu. Przystał więc na to głównie, jak sędzę, aby uspokoić Alornów.

Podiss, jednakże, to co innego. Nyissanie byli czuli na punkcie tego, że jedynie ich królestwo było rządzone przez kobietę i każde użyczenie Salmissarze, rzeczywiste lub wymyślone, wywoływało okrzyki oburzenia. Jednakże, ujmując to dość brutalnie, Nyissa nie wzbudzała szczególnego zainteresowania wśród innych narodów. To bagnisty, słabo zaludniony zakątek, gdzie co najwyżej handluje się niewolnikami. Gdy stawało się coraz bardziej oczywiste, że traktaty nawet nie wspomną o Ny-issie, Podiss stracił panowanie.

- A co z moją królową, Wieczną Salmissarą? - zapytał z wyrzutem. - Co ona będzie miała do powiedzenia w tym ustalaniu porządku świata?

- Nie za wiele - oznajmił Eldrig. - Przynajmniej dopóki ja mam tu coś do powiedzenia. Wystarczy, że podpisze dokumenty, Podissie, i nie będzie wtykać nosa w nie swoje sprawy. -Trudno było Eldriga nazwać dyplomatą.

- Nie będę dalej w tym uczestniczył - burknął Podiss, wstając. -I nie obrażę mej

królowej, przynosząc jej te nonsensy. Zapiszcie sobie, co chcecie, panowie, ale Salmissara niczego nie podpisze.

W tym punkcie swej relacji z konferencji Davoul Chromy zupełnie stracił głowę. W jego opowieści Polgara poderwała się, zamieniła Podissa w węża, siebie w sowę i zaniósła go pod niebo. Davoul chyba nagle uświadomił sobie, iż przez całe dziesięć stron nie było żadnej magii, i to go zdopingowało. Polgara rzeczywiście uczyniła coś Podissowi, ale nikt z zebranych nie wiedział co. Pol po prostu podeszła do Podissa i postąpiła z nim tak samo jak z Eldallanem w Puszczy Arendzkiej. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co mu ukazała - w ogóle nie krzyczał - ale cokolwiek to było, sprawiło, że pobladł i zrobił się bardzo skory do współpracy.

To przekonało również Mergona, by zatrzymał swoje uwagi dla siebie.

Dokończenie traktatów z Vo Mimbre zajęło nam jeszcze jeden dzień. Kolejny dzień mimbrańscy skrybowie formułowali je w górnolotnym stylu. Ponieważ Mimbraci nas gościli, do dobrego tonu należało pozwolenie im na wyprodukowanie ostatecznej wersji. Gdy wszystko zostało skończone, Gorim wziął swoją kopię, wstał i odczytał ją.

Oto są traktaty, które uzgodniliśmy pod Vo Mimbre. Narody Zachodu przygotowują się na powrót Rivańskiego Króla, albowiem w dniu jego powrotu Torak przebudzi się i zwróci przeciw nam i tylko Rivański Król będzie mógł go pokonać i uratować nas przed haniebnym zniewoleniem. I cokolwiek Rivański Król rozkaże, wypełnić musimy. I będzie miał księżniczkę Imperium za żonę i Imperium i Dominium na Zachodzie. A jeśli kto te

traktaty złamie, wojnę mu wypowiemy, lud jego rozproszymy, miasta zburzymy i spustoszymy ziemię jego. Ślubujemy to na cześć Branda, który pokonał Toraka i w okowach snu zamknął, dopóki nie nadejdzie Ten, który zniszczyć go może. Niech zatem tak będzie.

Eldrig rozsiadł się wygodnie w swym fotelu.

- W takim razie - rzekł - to już załatwione. Zdaje się, że możemy teraz wracać do domów.

- Jeszcze nie, wasza wysokość - zaprzeczył Wildantor. - Nadal pracujemy nad królewskim ślubem.

- Niemal o tym zapomniałem - przyznał Eldrig. - Czy tych dwoje nadal na siebie wrzeszczy?

- Nie - oznajmiła Pol. - Wrzaski ucichły kilka dni temu. Gdy ostatnio podsłuchiwałam pod drzwiami, dochodziło zza nich tylko chichotanie. Najwyraźniej Mayaserana ma łaskotki.

- Ciekaw jestem, co oni mogą robić - zainteresował się Gorim.

- Nasze armie mogą już chyba maszerować do domu - wtrącił Rhodar. - Prości żołnierze

nie interesują się zbytnio królewskimi ślubami. Chciałbym przed końcem lata mieć swych pikinierów na granicy z Drasnią.

- Moje okręty mogą ich przewieźć do Kotu - zaproponował Eldrig.

- Dzięki, Eldrigu, ale Drasanie nie są zbyt dobrymi żeglarzami. Jestem przekonany, że moi pikinierzy raczej wolą iść.

Potem Brand posłał po Korodullina i Mayaseranę. Oboje rumienili się, gdy straż doprowadziła ich przed jego oblicze.

- Czy uzgodniście już różnice poglądów? - zapytał.

- Doprawdy winniśmy przeprosiny, lordzie Brandzie - powiedziała Mayaserana pełnym rozsądnej słodczy tonem i zarumieniła się ponownie. - Obydwoje początkowo odnieśliśmy się bardzo brzydko do twojej propozycji.

- Nie ma sprawy, Mayaserano - podsumował Brand. - Rozumiem, że zmieniliście zdanie.

- Rozkoszny blask rozsądku otworzył nasze oczy, lordzie Brandzie - zapewnił go Korodullin, również się czerwieniąc -i nasza powinność wobec Arendii serca nasze dotknęła i urazy wyciszyła. Aczkolwiek nadal różnice nas dzielą, to w niepamięć puścić je chcemy dla dobra naszej ojczyzny.

- Byłam niemal pewna, że tak do tego podejździecie - powiedziała Polgara z nikłym uśmiechem

Mayaserana ponownie się zarumieniła.

- A kiedy chciałbyś, byśmy wzięli ślub, lordzie Brandzie? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Brand. - Czy któreś z was ma jutro coś pilnego do roboty?

- A co złego w dniu dzisiejszym? - odparowała. Cierpliwość, jak się okazało, nie była mocną stroną Maya-

serany. Miała czymś mocno zajętą głowę.

- Chyba da się załatwić - doszedł do wniosku Brand. -Niech ktoś sprowadzi kapłana Chaldana.

- Z tym może być problem, lordzie Brandzie - odezwał się z powątpiewaniem Wildantor. - Kapłan może odmówić odprawienia tej ceremonii.

- Nie na długo, przyjacielu - zaprzeczył Mandor - jeśli ceni sobie własne zdrowie.

- Naprawdę uderzyłbyś kapłana? - zapytał Wildantor.

- Moje obowiązki wobec Arendii zmusiłyby mnie do tego - oświadczył Mandor - choć oczywiście zraniłoby to moje serce.

- Oczywiście. Chodźmy go poszukać. Ty będziesz mógł mu wszystko wyjaśnić, gdy ja

będę go tu włókł.

I tak Korodullin i Mayaserana wzięli ślub i Arendia została formalnie zjednoczona. Oczywiście nadal dochodziło do waśni pomiędzy Mimbratami i Asturami, ale otwartym bitwom położono kres.

Po ślubie rozjechali się królowie Zachodu. Wszyscy długo już byliśmy poza domem. Pol i ja pojechaliśmy z Brandem na północ, aż do Wielkiego Jarmarku Arendzkiego. Potem pożegnaliśmy się i ruszyliśmy drogą ku granicy z Ulgo.

- Zabierzesz Gelana z powrotem do Brodu Aldura? - zapytałem, gdy oddaliliśmy się kilka mil.

- Nie, ojcze. Nie sądzę, aby to był dobry pomysł. Wielu al-garskich wojaków widziało nas pod Vo Mimbre, a niektórzy z nich przybyli z Brodu Aldura. Któryś mógłby coś skojarzyć. Myślę, że lepiej zacząć wszystko gdzie indziej.

- O jakim miejscu myślisz?

- Chyba wrócę do Sendarii. Po Vo Mimbre nie trzeba będzie martwić się tam żadnymi Grolimami.

- To twoja decyzja, Pol. Ty jesteś odpowiedzialna za Gelana, więc zgadzam się na wszystko, co postanowisz.

- Och, dzięki, ojcze! - powiedziała z pewnym sarkazmem. - Jeszcze jedno.

- Słucham?

- Trzymaj się ode mnie z dala, stary wilku, i tym razem mówię to poważnie.

- Jak sobie życzysz, Pol. - Oczywiście, wcale tak nie myślałem. Ale prościej było się zgodzić, niż sprzeczać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Naturę każdego historyka cechuje osobliwa dychotomia. Mędrcy owi z pobożnymi minami zapewniają nas o prawdziwości swych opowieści, wystarczy jednak zajrzeć pod ten naukowy płaszczyk, by odkryć bazarza. A możecie mi wierzyć, że żaden bazarz nie opowie wam historii bez kilku ubarwień. Każdy z nas ma swoje poglądy polityczne i teologiczne, które również wpływają na treść tego, co piszemy. Rozumiecie zatem, że żadnej opowieści o wydarzeniach historycznych nie można bezgranicznie ufać - nawet tej. To, co opowiedziałem wam o bitwie pod Vo Mimbre, jest mniej więcej zgodne z prawdą, ale oddzielenie prawdy od fikcji pozostawiam wam. Ćwiczcie swoją spostrzegawczość.

Uzgodnienia, do których doszliśmy pod Vo Mimbre, były o wiele ważniejsze niż sama bitwa. Wojna z Angarakami była punktem kulminacyjnym pewnego ciągu wydarzeń i termin "punkt kulminacyjny" oznaczał "koniec". Traktaty z Vo Mimbre rozpoczynały nowy ciąg wydarzeń, więc w pewnym sensie można je nazywać początkiem.

Podsumowanie uzgodnień, które Gorim odczytał nam na zamknięcie narady, było właśnie dokładnie tym - podsumowaniem. Istota rzeczy natomiast leży w szczegółowych artykułach, do których spisania nie dopuściliśmy twórczych mimbrańskich skrybów. Widywałem zbyt dużo nonsensów w ustanowionych

prawach lub królewskich proklamacjach tylko dlatego, że jakiś zaspany skryba opuścił zdanie lub przekręcił kilka słów, abym chciał ryzykować coś podobnego w tym wypadku. Te uzgodnienia były zbyt ważne. Artykuły, wypracowane przez nas, dotyczyły tego, w jaki sposób Rivański Król wezwie do chwycenia za broń, w jaki sposób inni królowie powinni odpowiedzieć, i różnych organizacyjnych szczegółów. Przyznaję, że obecność Branda, który właśnie powalił Kal Toraka, co wstrząsnęło światem, znacznie ułatwiła mi przemyślenie kilku rzeczy. Wiedziałem, że zdecydowanie powinny znaleźć się w traktatach, ale dokładne wyjaśnienie dlaczego, zajęłoby mi całe lata.

Polgara podyktowała szczegóły ceremonii, która przez ostatnie pięćset lat była rytuałem. Słowa "podyktowała" użyłem tu rozmyślnie. Moja władcza córka nie chciała słyszeć o żadnych poprawkach. Mergon, ambasador Tolnedry, mało nie dostał apopleksji, gdy Polgara skończyła. Nie jestem też pewny, czy Ran Borune jej nie dostał.

- Oto jak od tej pory będzie - oznajmiła, a to nie był najlepszy sposób zagajenia konferencji pokojowej. - Począwszy od tego dnia, każda księżniczka Imperium Tolnedrańskiego winna w dniu swych szesnastych urodzin stawić się w ślubnej szacie na

Dworze Rivańskiego Króla. Będzie czekać tam przez trzy dni. Jeśli Rivański Król przybędzie po nią w ciągu tych trzech dni, zostaną sobie poślubieni. Jeśli nie, wróci do Tolnedry, a ojciec będzie mógł jej wybrać innego męża.

W tym momencie Mergon zaczął toczyć pianę z ust. Pol nie zważała na jego protesty, a alornscy królowie postraszyli go inwazją, paleniem miast, zdziesiątkowaniem ludności i innymi ekscesami. Uznałem za konieczne udać się za rok do Tol Ho-neth, by przeprosić Rana Boruna za jej zachowanie. Obecność legionów pod Vo Mimbire zmieniła bieg bitwy, a ultimatum Po-łgary załatywało niewdzięcznością. Wiedziałem, że postępowała zgodnie z instrukcjami, ale wyniosłe zachowanie sprawiało wrażenie, że to Tolnedra była pokonanym wrogiem.

Po zakończeniu konferencji pojechaliśmy z Pol na północ. Lato miało się ku końcowi, gdy dotarliśmy do granic Ulgolan-du. Tam oczekiwał nas duży oddział odzianych w skóry Alga-rów. Cho-Ram przysłał nam honorową eskortę, by przeprowadziła nas przez góry Ulgo. Nie chciałem urazić go odmową, więc posuwaliśmy się mozolnie przez góry z jego Algarami, zamiast zrobić to w inny sposób - który byłby o wiele szybszy, oczywiście. Nic pilnego jednak na nas nie czekało, a tak było uprzejmiej z naszej strony.

Po zejściu z gór na równiny Algarii, Pol i ja rozdzieliliśmy się. Ona udała się z Algarami do Twierdzy, a ja pojechałem na południe, do Doliny. Uznałem, że zasłużyłem sobie na odrobinę lenistwa. Od ćwierć wieku nie miałem chwili wytchnienia. Należały mi się wakacje.

Beldin jednak miał inny pomysł.

- Co byś powiedział na małą wycieczkę do Mallorei? - zapytał, gdy wróciłem do domu.

- Nie mam na nią najmniejszej ochoty, jeśli chcesz znać prawdę. A co takiego ważnego jest w Mallorei?

- Wyrocznia Ashabińska, mam nadzieję. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wybrać się do Ashaby i przetrząsnąć dom Toraka. Może zostawił gdzieś kopię Wyroczni. Te przepowiednie mogą się nam bardzo przydać, nie sądzisz? Zedar, Urvon i Ctuchik nie puszczą nam tego płazem, Belgaracie. Utarliśmy im nosa pod Vo Mimbire i z pewnością będą chcieli odplacić nam pięknym za nadobne. Jeśli udałoby się nam zdobyć kopię Wyroczni, to moglibyśmy dowiedzieć się, czego się po nich spodziewać.

- Możesz splądrować dom bez mojej pomocy, bracie - powiedziałem. - Nie tęsknię zbyt za odwiedzinami opustoszałego zamczyska w Górach Karandy.

- Leń z ciebie, Belgaracie.

- Dopiero teraz to zauważyłeś?

- Powiem inaczej - rzekł. - Potrzebuję cię.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie potrafię czytać starego angarackiego pisma, ty ośle!

- Skąd wiesz, że Wyrocznie są pisane w tym języku?

- Nie wiem, ale to najbardziej naturalny język dla Toraka, szczególnie że dyktował je będąc w rodzaju delirium. Jeśli Wyrocznie są spisane w staroangarackim, to nie rozpoznam ich nawet jeśli będą leżały na widoku.

- Mogę nauczyć się czytać w tym języku, Beldinie.

- A do tego czasu Urvon pierwszy dotrze do Ashaby. Jeśli mamy iść, to lepiej ruszajmy zaraz.

Westchnąłem. Wyglądało na to, że będę musiał odłożyć wakacje.

- Czyżbyś zmienił zdanie?

- Nie przeciągaj struny, Beldinie. Wpierw jednak prześpię kilka dni.

- Wy, starzy ludzie, często tak robicie, prawda?

- Po prostu zostaw mnie na jakiś czas, bracie. Muszę iść do łóżka.

W rzeczywistości spałem tylko dwanaście godzin. Możliwość, że gdzieś w Ashabie ukryto kopię Wyroczni, zaintrygowała mnie na tyle, że wstałem, przygotowałem sobie śniadanie, a potem poszedłem do wieży Beldina.

- Ruszajmy - powiedziałem.

Beldin roztropnie nie czynił żadnych uwag. Podeszliśmy do okna jego wieży, przystroiliśmy się w piórka i odlecieliśmy. Kierowaliśmy się ogólnie na północny wschód i wkrótce przelecieliśmy przez Wschodni Szaniec do Mishrak ac Thull. Thulldom został zdewastowany przez wojnę, ale to nie był nasz pomysł. Mallorealanie Kal Toraka werbowali Thullów, celowo niszcząc ich miasta i wioski oraz paląc ich zbiory. To nie pozostawiało Thul-lom wyboru. Musieli wstąpić do armii albo umrzeć z głodu. Kobiety, dzieci i starców zostawiono samym sobie w kraju bez domów i jedzenia. Nigdy nie miałem najlepszego zdania o Toraku,

ale gdy zobaczyłem sytuację Thullów, jego notowania w moich oczach spadły jeszcze bardziej.

Po dotarciu na wybrzeże Beldin skręcił na północ. Jastrzębie i sokoły są bardzo wytrzymałe, ale nie na tyle, by pokonać bezmiar Morza Wschodu jednym skokiem. Gar og Nadrak nie było tak zniszczone jak Thulldom, ale również tam odczuwano skutki wojny.

Poleciliśmy na północ, wzdłuż wybrzeży Morindlandu. Potem nad pasmem wysepek, które tworzyły lądowe przejście, przelecieliśmy do Mallorei. Następnie Beldin poprowadził

przez Barrens do Gór Karandyjskich i dalej na południe, do Ashaby.

Ashaba nie jest miastem w zwykłym tego słowa znaczeniu. To jedynie ogromny zamek z mnóstwem karandyjskich wiosek, schowanych w otaczającym go lesie. Wioski stanowiły zaplecze dla Grolimów mieszkających w pałacu. Sam Torak prawdopodobnie nie musiał jeść, ale myślę, że Grolimowie co jakiś czas głodnieli, a ziemie wokół zamku, podobnie jak wokół Cthol Mishrak, były jałowe i leżały odłogiem. Nawet ziemia odrzucała Toraka.

Zamek zbudowany był naturalnie z czarnego bazaltu, w ulubionym kolorze Toraka. Wznosił się nad urwiskiem, po wschodniej stronie jałowego płaskowyżu, na którym poza karłowatymi, szarymi porostami i trupiobladyymi muchomorami nic nie rosło. Otaczały go mury z brzydkimi, pozbawionymi wdzięku wieżami i iglicami, które wbijały się w chmury pędzące nad głowami. To była angaracka budowla, a Angarakowie wszystko otaczali murami - nawet chlewy. Najprościej byłoby wylądować wewnątrz, ale Beldin opadł przed główną bramą. Przysiadłem na ziemi obok niego w chwili, gdy wracał do własnej postaci.

Sam również zmieniłem postać.

- O co chodzi?

- Rozejrzyjmy się trochę, zanim wpakujemy się w tarapaty. Torak mógł zostawić kilka niespodzianek.

- To całkiem rozsądna propozycja.

Beldin skoncentrował się, wykrzywiając z wysiłku swą okropną twarz.

- Nikogo nie ma w domu - powiedział po chwili.

- Jakież ślady psów?

- Sam sprawdź. Ja rozejrzę się za pułapkami w środku. Nie wyczułem zupełnie nic. W środku nie mieszkały nawet

szczury. Stwierdziłem, że nie zagnieździły się również karaluchy.

- Masz coś? - zapytał Beldin.

- Zupełnie nic. A ty coś znalazłeś?

- Nie. Miejsce jest bezpieczne. - Spojrzał na bramę. Poczułem, jak zbiera Wolę. Potem ją uwolnił i ogromne żelazne wrota przewaliły się do środka z wielkim hukiem.

- Po co to zrobiłeś? - zapytałem.

- To moja wizytówka, czyżbyś nie wiedział? - odparł. - Stara Spalona Gęba może wrócić któregoś dnia, a ja chcę, aby wiedział, że tu zajrzeliśmy

- Chyba się starzejesz.

- No cóż, ty jesteś w tym ekspertem. Chodźmy do środka.

- Przeszliśmy przez zdruzgotaną bramę, minęliśmy dziedziniec i ostrożnie zbliżyliśmy

się do ogromnych, nabijanych ćwiekami wrót, ozdobionych wypolerowaną stalową maską. Najwyraźniej Torak uznał, że każdy dom, w którym mieszkał, z definicji był świątynią.

- Bądź moim gościem - zaproponował Beldin, wskazując na drzwi.

- Nie wygłupiaj się. - Schwyciłem masywną żelazną klamkę, nacisnąłem ją i otworzyłem drzwi.

Dom Toraka miał sień wielkości sali balowej. Naprzeciwko drzwi znajdowały się monumentalne schody.

- Może stąd zaczniemy? - zapytał Beldin.

- Nie, chodźmy na górę. Rozpoznasz chyba staroangarackie pismo, gdy się na nie natkniesz?

- Chyba tak. Jest takie jakies pająkowate, prawda?

- Mniej więcej. Rozdzielimy się. Rozglądaj się za jakimi-kolwiek książkami w języku, którego nie znasz, a ja będę zbierał wszystko w staroangarackim. Potem je poukładam.

Pałac był kolosalnych rozmiarów. Myślę, że bardziej na pokaz niż z prawdziwej potrzeby. Wiele komnat na górnych piętrach nawet nie było umeblowanych. Pomimo to przeszukanie domu zajęło nam całe tygodnie, gdyż był przynajmniej tak wielki jak pałac Anhega w Val Alorn.

Początkowo Beldin bardzo się podniecał, gdy tylko trafił na jakiś zwój lub książkę w języku staroangarackim. Większość z nich jednak była jedynie kopiami "Księgi Toraka". Niemal wszyscy mieszkańcy Ashaby byli Grolimami, a każdy Grolim posiada kopię Świętej Księgi Angaraków. W końcu posadziłem go i cierpliwie udzieliłem mu kilku wskazówek na temat staroangarackiego alfabetu, aby nie przybiegał co chwila do mnie, wymachując książkami. Gdy nauczył się rozpoznawać kopie "Księgi Toraka", mógł je już sam odrzucać.

Na drugim piętrze zamku znaleźliśmy bibliotekę Toraka i tam spędziliśmy wiele czasu. Być może na uniwersytecie Tol Honeth lub w Melcenie było więcej książek, ale na pewno nie wiele więcej.

Parze zwykłych naukowców całe dziesięciolecia zajęłoby przejrzanie tych wszystkich dzieł, ale my z Beldinem mieliśmy pewną przewagę. Potrafiliśmy rozpoznać zawartość książki bez otwierania.

W końcu przeszukaliśmy ostatnią półkę w najdalszym kącie. Beldin cisnął tom przez pokój i klął przez dobre piętnaście minut.

- To niedorzeczne! - ryczał. - Tu musi być jakaś kopia!

- Być może - zgodziłem się. -Ale nie sądzę, byśmy ją znaleźli. Ostatecznie to Zedar zajmował się spisywaniem majączeń Toraka, a Zedar jest mistrzem w ukrywaniu rzeczy. Możemy się tylko domyślać, że Wyrocznie są ukryte w jakiejś innej książce -lub w kilku innych, strona tu, strona tam. Być może gdzieś znajduje się kompletna kopia, ale nie myślę, żeby leżała na wierz-

chu. Może być ukryta pod podłogą lub w ścianie jakiegoś pomieszczenia, które już przeszukiwaliśmy. Nie sądzę, aby się nam poszczęściło, bracie. Możemy przeszukać parter, jeśli chcesz, ale chyba tylko tracimy czas. Jeśli rzeczywiście Zedar ukrył tu jakąś kopię, to jej nie znajdziemy. On zna nas wystarczająco dobrze, by wymyślić sposób, na który żaden z nas nie wpadnie.

- Chyba masz rację, Belgaracie - przyznał ponuro. - Przetrząšnjmy parter i wracajmy do domu. To miejsce cuchnie. Potrzeba mi świeżego powietrza.

Tak więc porzuciliśmy poszukiwania i wróciliśmy do domu. Przynajmniej chwilowo musieliśmy polegać jedynie na naszych prorocत्वach.

Zrobiłem sobie wakacje, których tak potrzebowałem, ale po miesiącu zacząłem się nudzić. Wybrałem się do Sendarii, by sprawdzić, co z Polgarą, i powiedzieć jej o naszej wyprawie do Ashaby. Gelana urzędziła jako bednarza w Selinie, mieście w północnej Sendarii. Spadkobierca Rivy spędzał większość czasu na robieniu beczek i baryłek. A gdy się tym nie zajmował, "wychodził" z ładną blondyneczką, córką miejscowego kowala.

- Jesteś pewna, że ona jest tą właściwą? - zapytałem Pol. Polgarą westchnęła.

- Tak, ojciec - odparła pobłażliwym tonem.

- Skąd ty to właściwie wiesz, Pol? Kodeks Mriński ani Dariński nic nie mówią o tych dziewczętach, a przynajmniej ja na nic takiego nie natrafiłem.

- Otrzymuję instrukcje, ojciec.

Włączyłem się po królestwach Zachodu przez następnych kilka lat, doglądając różnych rodów, które wychowywałem od stuleci. Najazd Angaraków i masowa rzeź algarskiego bydła spowodowała królestwa Zachodu na skraj katastrofy ekonomicznej. Miną pokolenia, nim w Muros znów będą się odbywać spędy bydła. Tolnedra pogrążyła się w głębokiej żałobie, ale praktyczni Sendarowie znaleźli wyjście. Cała Sendaria zamieniła się w ogromną hodowlę świń. Wieprzowina miała pewną przewagę

nad wołowiną. Przypuszczam, że Algarowie, gdyby bardzo chcieli, też mogliby uwędzić wołowinę, ale nigdy im to nie przyszło do głowy. Być może dlatego, że w Algarii nie było pod dostatkiem drewna. Sendarowie nie mieli tego problemu. Wozy pełne wędzonych szynek, bekonu i kiełbas toczyły się po wszystkich tolnedrańskich traktach we wszystkich

królestwach Zachodu.

Po wizycie w Tol Honeth, gdzie przeprosiłem Rana Boruna i generała Cerrana za zachowanie Polgary, wyruszyłem na północ. W drodze powrotnej zahaczyłem o Arendię, w której panował niepewny, nerwowy pokój. Do Vo Mandor dotarłem jesienią 4877 roku i spędziłem przyjemną zimę ze swym przyjacielem baronem. Naprawdę lubiłem Mandora. Miał poczucie humoru, rzadkość w Arendii, i bardzo dobrego kucharza. W trakcie tej wizyty przybyło mi kilka kilogramów.

Wiosną następnego roku baron Wildantor przyjechał z Asturii w odwiedziny. Przyjaźń, która zrodziła się pomiędzy nimi w czasie bitwy pod Vo Mimbre, pogłębiła się i teraz byli niemal jak bracia. Towarzystwo hałaśliwego, rudowłosego Wildantora zamieniło nasze spotkanie w nieustanne przyjęcie. Wybornie się bawiłem. Aż tu pewnego wieczoru, gdy do późna snuliśmy wspomnienia, wytropił mnie w końcu Beldin. Była wspaniała wiosenna noc. Otworzyłem szeroko okna swej komnaty na drugim piętrze, by wpuścić zapach kwiatów niesiony wiosennym wietrzykiem. Z ciemności nocy wyłonił się znajomy jastrząb z błękitną obwódka, przysiadł na moim parapecie, zamigotał i zmienił się w mego pokracznego braciszka.

- Wszędzie cię szukałem - warknął.

- Jestem tu od sześciu miesięcy. Stało się coś?

- Odkryłem, gdzie Zedar ukrył ciało Toraka, to wszystko.

- To wszystko? To bardzo ważne, Beldinie. Słucham.

- W południowym Cthol Murgos. Około pięćdziesięciu lig na południe od Rak Cthol.

Znajduje się tam górską grota i Zedar schował w niej Toraka.

- Tak blisko Ctuchika? Oszalał?

- Oczywiście, że jest szalony. Zawsze był. Ctuchik jednak nie wie, że on tam jest.

- Ctuchik jest Grolimem, Beldinie. Potrafi wyczuć obecność Toraka.

- Nie, nie potrafi. Zedar posłużył się jedną ze sztuczek, których go kiedyś sam nauczyłeś. Dlatego właśnie Zedar jest tak niebezpieczny. Tylko on jeden z nas wszystkich otrzymał instrukcje od dwóch Bogów.

- Jak go zatem znalazłeś?

- Czysty przypadek. Wyszedł z jaskini po drewno, gdy tamtędy przelatywałem.

- Jesteś pewny, że Torak jest w środku?

- Oczywiście, Belgaracie! Wszedłem do jaskini, aby się upewnić.

- Co zrobiłeś?

- Nie denerwuj się. Zedar nie wiedział, że tam byłem. Był nawet tak miły, że zaniósł

mnie do środka.

- Jak ci się to udało? Beldin wzruszył ramionami.

- Byłem owadem. Pchłą. - Roześmiał się. - To prawdziwe wyzwanie. Nie uwierzysz, co takie ściśnięcie robi z wnętrznościami. W każdym razie Zedar nie należy do czyścioszków, więc jest nieźle pogryziony przez pchły. Ma również wszy. Wskoczyłem mu na głowę i schowałem się we włosach, gdy schylił się, by pozbierać patyki na ognisko. Zaniósł mnie do środka. Tam, na płaskim kamieniu leżał obłożony lodem Stara Spalona Gęba. Zedar nałożył mu z powrotem maskę. Pewnie jego, tak jak i resztę ludzkości, twarz Toraka przyprawiała o mdłości. Zostałem tam, dopóki Zedar nie poszedł spać. Potem ugryzłem go kilka razy i wyskoczyłem z jaskini.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać.

- Co w tym zabawnego?

- Ugryzłeś go?

- W tych okolicznościach to było najlepsze, co mogłem zrobić. Nie byłem na tyle duży, by wygryźć mu mózg, ale przez następnych kilka tygodni głowa będzie go porządnie swędziała. Co jakiś czas wpadałem tam, by upewnić się, że nadal tkwi na tej swojej górze. Malloreia się rozpadła, wiesz?

-Tak?

- Na wieść o letargu Toraka na całym kontynencie zaczęły się ruchy niepodległościowe. Cesarz - ten, którego Torak usunął - powrócił na tron w Mai Zeth, ale nie jest zbyt skuteczny. Ma wnuka, który chyba nazywa się Korzeth. Stary władca przygotowuje go do zjednoczenia Mallorei. Chciałem wśliznąć się do pałacu i poderżnąć tej małej bestii gardło, ale Mistrz mi zabronił - bardzo stanowczo. Najwyraźniej Korzeth ma być przodkiem kogoś bardzo nam potrzebnego. To wszystko, Belgaracie, przekaz me słowa bliźniakom i Pol. Ja wracam do Cthol Murgos. Myślę, że trochę dłużej pozeruję na głowie Zedara. - Potem Beldin ponownie przystroił się w pióra i wyleciał przez okno.

Następnego ranka przeprosiłem Mandora i Wildantora i ruszyłem na północ. Miałem zamiar udać się do Saline, by zawiadomić Pol o tym odkryciu, ale nie przebyłem jeszcze pięciu mil, gdy usłyszałem za sobą galopującego konia. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to generał Cerran.

- Belgaracie! - zawołał, nim jeszcze mnie dopędził. - Dzięki Nedrze, że złapałem cię, nim zniknąłeś w Puszczy Arendzkiej! Ran Borune chce, byś wrócił do Tol Honeth!

- Czyżby zabrakło wam kurierów? - zapytałem, trochę zaskoczony widokiem tolnedrańskiego generała pełniącego rolę posłańca.

- To delikatna sprawa, przyjacielu. W Tol Honeth dzieją się rzeczy, które mogą i ciebie dotyczyć. Imperator nawet nie chce, byś wrócił do pałacu. Mam cię zabrać do pewnego miejsca i tam pozostawić. Jego wysokość podejrzewa, że chodzi tu o jedną z tych niezrozumiałych dla Tolnedranina spraw.

- Udało ci się obudzić moją ciekawość, Cerranie. Czy możesz mi podać więcej szczegółów?

- Jeden z członków rodu Honethów to prawdziwy łajdak.

- Myślałem, że wszyscy.

- Ten jest tak podły, że wyparła się go nawet rodzina. Pewne sprawy tak cuchną, że nawet Honethowie ich nie trawią, ale ten gość, Olgon, zrobi wszystko za odpowiednią cenę. Robi interesy w podłych tawernach pełnych kieszonkowców i skrytobójców. Lubimy mieć go na oku, więc kilku naszych agentów wkręciło się pomiędzy stałych bywalców. Jesteśmy przekonani, że ambasador Drasni też ma tam swoich ludzi.

- Możesz się założyć - przyznałem.

- W istocie. Mówiąc krótko, kilka tygodni temu ten Olgon spotkał się z Nyissaninem, który powiedział, że jego pracodawca dużo da za wiadomość o tym, gdzie jesteś - a jeszcze więcej za to, gdzie jest lady Polgara.

- Pol nie ma w Tolnedrze.

- Byliśmy tego niemal pewni, ale ludzie Olgona przetrząsają wszystkie królestwa Zachodu. On ma kontakty ze wszystkimi złodziejami i wyrzutkami po tej stronie Szańca.

- Czemu Nyissanin usiłuje nas odnaleźć?

- Jego pracodawca nie jest Nyissaninem. Jednemu z naszych agentów udało się podsłuchać, gdy Nyissanin podawał Ol-gonowi imię swego mocodawcy. Człowiek, który cię szuka, nazywa się Asharak i jest Murgiem.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- To przybrane imię. Nasz wywiad ma grubą teczkę o tym Murgu. Posługuje się kilkoma innymi imionami. W jednym z raportów sprzed dwudziestu lat nosi imię Chamdara. Czy to imię coś ci mówi?

Gapiałam się na niego przez chwilę, po czym zawróciłem konia i pogałęm na południe, ku Tol Honeth.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W drodze do Tol Honeth niemal zagoniliśmy z generałem Cerranem konie. Cerran zapewne sądził, że zwariowałem, dopóki nie powiedziałem mu o poprzednich spotkaniach z ambitnym podwładnym Ctuchika. Po przybyciu do Tol Honeth natychmiast udaliśmy się do ambasady Drasni. Wywiad Rana Bo-runy był dobry, ale nie mógł się równać z wywiadem Rhodara. Ambasador Drasni nazywał się Kheral. Nie wyglądał na zbytnio zaskoczonego, gdy wprowadzono nas do jego gabinetu ozdobionego czerwonymi draperiami.

- Spodziewałem się twojej wizyty, Prastary - rzekł do mnie.

- Przejdźmy do sprawy, Kheralu - powiedziałem, ucinając uprzejmości. - Co możesz nam powiedzieć o człowieku, który nazywa siebie Murgiem Asharakiem?

Kheral oparł się wygodniej, splatając na wydatnym brzuchu swe pulchne dłonie.

- Dość aktywnie działał tu, w Tolnedrze, przed wojną, Belgaracie. Zajmował się zwykłymi sprawami: szpiegostwem, korumpowaniem urzędników i tak dalej. W tamtych czasach robiło to kilkudziesięciu Murgów. Rutynowo mieliśmy wszystkich na oku, ale Asharak nie zachowywał się inaczej od pozostałych.

- Czy w Boktorze nie doszukano się niczego podejrzanego?

- Najwyraźniej nie. Imię Asharaka przewijało się w naszych raportach, ale wraz z imionami innych murgoskich agentów, więc nie zwróciło niczyjej uwagi. Potem Kal Torak najechał Drasnię i służby wywiadowcze musiały w pośpiechu opuścić Boktor. Kwatera główna wywiadu została przeniesiona na Rivę, ale archiwum uległo zniszczeniu. To by tłumaczyło dlaczego późniejsze raporty na temat Asharaka nie zwróciły uwagi - aż do teraz. Murgowie działali w Tolnedrze nawet po zamknięciu Południowego Szlaku Karawan, ale gdy wojna zaczęła przybierać poważny obrót, wszyscy się wynieśli z kraju.

- Nie będziemy po nich płakać - zauważył Cerran.

- Niezupełnie, generale - zaprzeczył Kheral. - Murgowie, można powiedzieć, wyróżniali się w królestwach Zachodu, więc łatwo było ich wychwycić w tłumie. Teraz Ctuchik używa zamiast nich Dagashi, a ich o wiele trudniej rozpoznać. Jednakże kilka miesięcy temu udało się nam jednego wytropić. Kilku naszych ludzi go obserwuje. Jakies dwa tygodnie temu ten Dagashi rozmawiał z gościem, który wyglądał na Sendara, ale chyba nim nie był. Jeden z moich agentów był na tyle blisko, że usłyszał jak mówili o rozkazach, które otrzymali od Murga Asharaka. Raport o tym wysłałem na Rivę, do tymczasowej siedziby naszego dowództwa. Urzędnik, który go odebrał, okazał się czujniejszy od tego, który tak

nieumiejętnie obchodził się z moją korespondencją, i doszukał się powiązań. Sprawdził akta, które od lat gromadziliśmy na temat Asharaka. Znalazł dokumenty zawierające odsyłacze do akt Chamdara. Szef wywiadu zawiadomił mnie o tym, a ja zorganizowałem przeciek tych informacji do szpiegów Rana Boru-na. Wiedziałem, że niedawno odwiedzałeś pałac, Belgaracie, i była szansa, że imperator wie, dokąd się udałeś. Uznałem, że będzie łatwiej - i taniej - pozwolić, by odszukali cię jego ludzie, niż wysłać własnych.

Cerran podejrzliwie spoglądał na Kherala.

- Zaczynam odnosić wrażenie, że siedzisz na dwóch stołkach, wasza ekscelencjo - zauważył.

- Nie wiedziałeś o tym, Cerranie? - zapytałem. - Każdy drasański ambasador jest członkiem służb wywiadowczych.

Kheral zrobił lekceważącą minę.

- Względy finansowe, generale - wyjaśnił. - Król Rhodar jest bardzo oszczędny, a dzięki temu może płacić tylko jedno wynagrodzenie zamiast dwóch. Po pewnym czasie daje to spore oszczędności.

Cerran uśmiechnął się.

- Jakież to typowo drasańskie - mruknął.

- A jak ten renegat, Olgon, wmieszał się w to wszystko, Kheralu? - zapytałem.

- Właśnie miałem do tego przejść, Prastary. Dagashi, którego obserwowaliśmy, udaje obecnie Nyissanina - ogolona głowa, jedwabne szaty i tak dalej. Spędza wiele czasu w tej tawernie, której częstym gościem jest Olgon. Mam w otoczeniu Olgo-na kilku agentów i wywiad tolnedrański również, jestem o tym przekonany. Ów niby Nyissanin był tym, który zwerbował Ol-gona do pomocy w poszukiwaniu ciebie i lady Polgary.

Wstałem.

- Chyba pójdę do tej tawerny i sam przyjrzę się Olgonowi. Gdzie dokładnie się ona znajduje?

i - Na południowym krańcu wyspy - powiedział Cerran - ale Czy to rozsądne? Jesteś dobrze znany i pewny jestem, że Daga-shi Asharaka rozpozna cię.

- Potrafię się zamaskować, Cerranie - zapewniłem go. - Nikt mnie nie pozna. - Spojrzałem mu w oczy. - Nie chcesz chyba wiedzieć, jak to robię?

Generał wyglądał na zmieszanego.

- Nie, chyba nie, Belgaracie - powiedział.

- Też tak sądziłem. Kheralu, czy jeden z twoich ludzi mógłby mi pokazać, gdzie jest ta tawerna? Wy obaj zaczekajcie tutaj. Niedługo wrócę.

Po przekroczeniu bram Tol Honeth ma się wrażenie, że całe składa się tylko z okazałych domów i marmurowych gmachów użyteczności publicznej, ale podobnie jak każde miasto świata ma również swoją dzielnicę slumsów. Tawerna, do której zaprowadził mnie szpieg Kherala, była zdecydowanie nędzna. Szyld nad wejściem miał chyba przedstawiać kiść winogron. Zdaje mi się, że wszystkie karczmy na Zachodzie mają taki szyld nad wejściem. Słońce właśnie zachodziło, gdy dra-sański szpieg wskazał na tawernę i odszedł ulicą. Cofnąłem się do cuchnącego zaułka, uformowałem w myślach obraz wysokiego, szczupłego gościa w łachmanach, po czym schowałem się za tym wizerunkiem. Potem wyszedłem z zaułka zataczając się, przeszedłem przez ulicę i wszedłem do mrocznego, cuchnącego zwietrzałym piwem pomieszczenia. Zwałem się na ławę przy jednym z chwiejnych stołów i głośno oznajmiłem:

- Chcę piwa!

- A ja chcę najpierw zobaczyć twoją forszę - odparł szynkarz znudzonym głosem.

Pogrzebałem w kieszeni obszarpanego chałata i wyciągnąłem tolnedrańską półpensówkę. Szynkarz wziął monetę i przyniósł mi kufel zdecydowanie pośledniego piwa.

Potem rozejrzałem się dokoła. Olgoną nietrudno było wypatrzeć. Był najlepiej ubranym człowiekiem w karczmie, a na twarzy miał ów arogancki wyraz, z którym rodzą się wszyscy Honethowie. Wodził prym przy dużym stole, stojącym pod tylną ścianą. Otaczali go złodzieje i rzezimieszki. Worki pod oczyma i zmęczona twarz świadczyły o latach hulank.

- Musisz tylko powiedzieć, że ją widziałeś na ulicy, Stragu - cierpliwie wyjaśniał łotrowi z czerwoną szramą na policzku.

- Na co się to zda? - odparował Strag.

- Jeśli nie dostanie informacji o tym, że ona jest w Tol Honeth, to może zabrać swoją forszę do Tol Borune - a nawet do Arendii. Możemy go stracić.

- Nie wiem jak ty, Olgonie - odparł Strag - ale ja cenię swoją skórę. Nie mam zamiaru okłamywać Dagashi i brać za to forszę.

- Tchórz z ciebie, Stragu - oskarżył go Olgon.

- Być może, ale żywy. Widziałem, co Dagashi robią z ludźmi, którzy weszli im w drogę. Znajdź sobie kogoś innego, by za ciebie kłamał, lub zrób to sam.

Olgon uśmiechnął się szyderczo.

- W porządku - powiedział do pozostałych łotrów przy stole - kto chce zarobić srebrną półmarkówkę?

Nie znalazł chętnych. Najwyraźniej wszyscy w tym szemranym towarzystwie znali reputację, jaką cieszył się Dagashi.

Olgon zmierzył swych najmitów groźnym spojrzeniem, po czym dał spokój. Ta krótka rozmowa odsłaniała jego charakter. Za nic nie mogłem pojąć, jak Dagashi mógł w ogóle wierzyć w słowa Olgona.

Dziesięć minut później nadal tuliłem swój kufel ciepłego, wodnistego piwa, gdy drzwi tawerny otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna z ogoloną głową, w nyissańskiej jedwabnej szacie. Podeszedł prosto do stołu Olgona.

- Masz coś dla mnie? - zapytał szorstko.

- Wszyscy się rozglądają - odparł trochę niepewnie Olgon. - To mnie sporo kosztuje, Saress. Czy nie widziałbyś możliwości wypłacenia małej zaliczki?

- Asharak nie płaci na zapas, Olgonie - odparł z szyderstwem w głosie człowiek w jedwabiach. - Płaci tylko przy dostawie.

Olgon mruknął coś i drugi mężczyzna pochylił się nad stołem.

- Co powiedziałeś? - zapytał złowieszczo.

Ponieważ był pochylony, wyraźnie mogłem dostrzec zarys trójkątnego przedmiotu, który tulił do pasa pod szatą.

- Powiedziałem, że ten twój Asharak to sknera - odparował Olgon.

- Przekażę mu to - odparł Saress. - Jestem pewny, że będzie zachwycony.

- Nie proszę o całą sumę, Saressie - powiedział Olgon płaczliwie. - Tyle tylko, by pokryć moje wydatki.

- Potraktuj je jak inwestycję, Olgonie. Jeśli uda ci się wskazać kobietę, której szuka Asharak, uczyni cię bogatym. Jeśli nie, będziesz musiał klepać biedę. - Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z tawerny.

Coś tu nie pasowało. Zachowywali się zbyt ostentacyjnie. Wiedziałem, że moje przebranie było nie do rozpoznania, ale być może Olgon lub gość w nyissańskiej szacie rozpoznali jednego z drasańskich lub tolnedrańskich agentów i dla ich zmylenia starannie odegrali ten spektakl. Cała sprawa zaczęła wydawać mi się mocno podejrzana. Oczekałem jeszcze kilka minut, po czym wstałem i zrzuciłem kufel ze stołu.

- Dość już tych pomysłów - oznajmiłem głośno. - Jeśli miałbym ochotę napić się wody z rzeki, to zszedłbym na brzeg i napił się do woli bez płacenia za nią.

Następnie jak burza wypadłem z karczmy. Przebranie zachowałem, dopóki nie nabrałem pewności, że nikt mnie nie śledzi. Potem wszedłem w kolejny zaułek, przybrałem własną postać i wróciłem do ambasady drasańskiej. Nad Tol Honeth właśnie zapadał wieczór.

- Czy któryś z waszych ludzi widział Asharaka? - zapytałem Kherala.

- Jeszcze nie, Prastary - odparł ambasador. - Próbowaliśmy dotrzeć tropem tego Dagashi

do jego pracodawcy, ale zawsze udało mu się wymknąć.

- Nie jestem tym zaskoczony. To nie byle jaki Dagashi. Nosi jad żmii. Pochylił się nad stołem w karczmie i zobaczyłem jego zarys pod jedwabną szatą.

Kheral gwizdnął.

- Co to takiego jad żmii? - zapytał Cerran.

- To trójkątny nóż do rzucania - odparł Kheral. - Ma oko-
ło sześciu cali średnicy i jest ostry jak brzytwa. Jego rogi są zwykle zatrute. Nosi je tylko sama elita Dagashi.

- To się nie trzyma kupy - złościłem się. - Ci elitarni Dagashi są bardzo kosztowni. Czemu Asharak tyle płaci za chłopca na posyłki? Coś tu mi zaczyna śmierdzieć. Ktoś płaci kupę forsy, byśmy uwierzyli, że Asharak jest w Tol Honeth, ale ja dam się przekonać dopiero, gdy go rzeczywiście zobaczę.

- Po co Asharak miałby się narażać na te wszystkie kłopoty i wydatki? - zapytał zbity z tropu Cerran.

- Prawdopodobnie pragnie, bym uwierzył, że jest tutaj, podczas gdy naprawdę jest gdzie indziej - odparłem. Nie powiedziałem tego, ale byłem niemal pewny, gdzie jest Chamdar. - No cóż - rzekłem. - Do tej gry potrzeba dwóch. Ja szukam Chamdara, a on szuka kogoś innego. Myślę, że znalazłem sposób, by popędził do Tol Honeth na złamanie karku.

- Co zamierzasz, Prastary? - zapytał Kheral.

- Chamdar ma ludzi szukających Polgary. Mam zamiar dopilnować, aby ją znaleźli, a raczej zobaczyli kilkakrotnie w ciągu dnia i to tutaj, w Tol Honeth. Chodźmy do pałacu. Muszę porozmawiać z Ranem Borunem.

Wszyscy trzej udaliśmy się do siedziby imperatora i bezzwłocznie zostaliśmy wpuszczeni do jego prywatnych komnat.

- Dobry wieczór, panowie - powitał nas Ran Borune, odkładając lutnię, którą stroił. - Domyślam się, że czegoś potrzebujecie.

- Chciałem prosić o przysługę, wasza wysokość - rzekłem.

- Oczywiście.

- Ten Chamdar, o którym słyszałeś, jest Grolimem, który odwala za Ctuchika całą brudną robotę.

Ran Borune zmrużył oczy.

- A zatem jest ważniejszy, niż myśleliśmy. Co on robi w Tolnedrze? Myślałem, że to, co wydarzyło się pod Vo Mimbre, całkowicie zdemoralizowało Grolimów.

- I pewnie tak się stało, wasza wysokość, ale Chamdar nie

jest zwykłym Grolimem. Ctuchik dawno temu wyznaczył mu zadanie, a Chamdar to uparciuch. Moja córka ochrania coś bardzo ważnego i Chamdar od lat usiłuje ją znaleźć. Tak go to opętało, że pewnie nawet nie zauważył bitwy pod Vo Mimbre.

- Dlaczego zatem tu szuka? Twojej córki nie ma w Tolnedrze, prawda?

- W tej chwili nie, ale myślę, że i Chamdara tu nie ma. Ta cała historia z tym renegatem Honethów miała skłonić mnie do myślenia, że on tu jest. Chamdar zdecydowanie chce przykuć moją uwagę do Tol Honeth. Mam jednak zamiar pobić go jego własną bronią i postarać się, aby przyznał tu co tchu. A wówczas Kheral będzie go miał na oku.

- Jak zamierzasz tego dokonać?

- Ludzie Kherala przekażą pewne fałszywe informacje za pośrednictwem tego Olgona. Byłbym wdzięczny, gdyby twoi agenci zrobili to samo. Powiedz im jednak, aby postępowali bardzo ostrożnie. Teraz ludźmi Chamdara nie są już Murgowie. Zamiast nich wykorzystuje Dagashi. Murgowie nie są zbyt bystrzy, łatwo ich wyłowić z tłumu. Dagashi są jednak bardzo sprytni, a rozpoznanie ich jest prawie niemożliwe.

- Kim są owi Dagashi?

- To członkowie na wpół religijnego zakonu, działającego w Okręgu Wojskowym Araga, w południowo-zachodnim Cthol Murgos, wasza wysokość. Głównie skrytobójcy, ale są również doskonałymi szpiegami. Mogą przysporzyć wielu problemów, ponieważ nie wyglądają na Murgów.

- Jak im się to udaje?

- Za sprawą krzyżowania. Nyissanie sprzedają im niewolnice z całego świata. Chłopcy przez nie zrodzeni są odpowiednio wychowywani i wcielani do tego zakonu. Są fanatycznie lojalni wobec swych przełożonych i bardzo niebezpieczni, gdyż praktycznie są niezauważalni. Doszliśmy teraz do tej przysługi, o której mówiłem.

- Co mogę dla ciebie zrobić, stary przyjacielu?

- Chciałbym, aby wśród pań zapanowała moda na nową fryzurę.

Imperator zamrugął.

- Czyżbyś nagle zmienił zainteresowania?

- Nie. Spotkałeś moją córkę. Przyznasz chyba, że robi doskonałe wrażenie.

- Niezaprzeczalnie.

- Co szczególnie zwraca uwagę w jej wyglądzie?

- Ten biały lok, oczywiście.

- No właśnie. Imperator uśmiechnął się.

- Ale z ciebie szczwany lis, Belgaracie - powiedział z podziwem. - Chcesz, by całe Tol

Honeth zarało się od imitacji Polgary, prawda?

- Tak, na początek. Chcę ściągnąć Chamdara do Tol Honeth. Pozwolę, aby się tu trochę pokręcił, a potem zacznę podstęp rozwijać. Myślę, że potrafię wszystko tak urządzić, żeby kilka razy dziennie docierały do niego wieści o namierzeniu Polgary.

- Skoro Polgara rzeczywiście nie chce się rzucać w oczy, to czemu nie ufarbuje sobie włosów?

- Już próbowała, nie zdało egzaminu. Farba nie trzyma się tego białego loku. Zaraz schodzi, a Polgara myje włosy przynajmniej raz dziennie. Ponieważ nie mogę upodobnić jej do innych kobiet, to spróbuję zrobić na odwrót. Sprawię, aby wszystkie kobiety na Zachodzie wyglądały jak ona. Tol Honeth jest stolicą mody zachodniego świata, więc jeśli tutejsze kobiety zaczną farbować sobie na białe pasemko włosów, to najdalej za sześć miesięcy będą tak robić wszystkie damy w innych królestwach. Na początek ściągnę Chamdara do Tol Honeth, a potem będę krążył po innych królestwach, zachęcając wszystkie damy, by podążyły za nową modą. Za sprawą tego małego podstępu Chamdar będzie gonął od pogranicza Morindlandu po południowe granice Nyissy przez następne dziesięć lat. A co gorsza, Dagashi oczekują zapłaty za każdą usługę. Chamdar słono zapłaci za wszystkie fałszywe raporty. Może go to nawet zrujnować.

Zostałem w Tol Honeth jeszcze około miesiąca, czekając, by nowa moda się przyjęła. Nie starałem się ukrywać swej obecności. Jeśli agenci Chamdara doniosą mu, że tu byłem, to wieści o obecności Pol będą jeszcze bardziej wiarygodne. Z niechęcią muszę przyznać, że to rozmowa Olgona ze Stragiem podsunęła mi ten pomysł. Upiększyłem go jednak. Zawsze upiększałem pomysły innych ludzi. To się nazywa "sztuką", a czasami "plagiatem".

Wówczas to właśnie znalazłem sobie przebranie, które całkiem dobrze służyło mi przez następne pięćset lat. Stałem się wędrownym bazarzem. We wszystkich niepiśmiennych społeczeństwach bazarze byli mile widzianymi gośćmi, a w tamtych czasach umiejętność czytania i pisania nie była szczególnie rozpowszechniona.

Ludzie, którzy znali mnie w ciągu owych minionych pięciu wieków, sądzili zwykle, że mój nędzny wygląd był rezultatem mojej niedbałości. Nic bardziej mylnego. Wiele czasu poświęciłem zaprojektowaniu tego kostiumu, a uszył go dla mnie jeden z najlepszych krawców Tol Honeth. Może i te rzeczy wyglądały, jakby zaraz miały się rozlecieć, ale zostały tak dobrze wykonane, że były praktycznie niezniszczalne. Łaty na kolanach mych spodni były czysto kosmetyczne, jako że nie zakrywały żadnych dziur. Rękawy mojej wełnianej tuniki były podarte, ale nie od noszenia. Materiał tuniki został celowo postrzępiony, nim ją jeszcze założyłem. Pas ze sznura zawsze uważałem za dzieło sztuki, a kaptur z luźnym karczkiem był

charakterystyczną, łatwo rozpoznawalną cechą mego wyglądu. Dodałem do tego gruby, szary rivański płaszcz i torbę na różne drobiazgi. Potem cały dzień sprzeczałem się z szewcem o buty. Zupełnie nie mógł pojąć, czemu chcę, aby były nie do pary. To były naprawdę solidne buty, ale wyglądały, jakbym znalazł je gdzieś na śmietniku. Cały kostium przeobrażał mnie we włóczęgę, i przez pięć wieków w zasadzie się nie zmienił.

Tol Honeth opuściłem na piechotę. Po pierwsze, wędrownego bajora zapewne nie byłoby stać na konia, a poza tym, mając inne sposoby przemieszczania się, koń tylko by mi zawadzał.

Nie rozwodziłbym się tak nad tym, ale chciałem poprawić szeroko rozpowszechniony, lecz błędny pogląd. Wcale nie jestem taki niechlujny, jak ludzie myślą. Moje ubranie wygląda jak obszarpane, ponieważ tego chciałem.

Zaskoczyło was odkrycie, że tak naprawdę nie jestem włóczęgą? Życie pełne jest takich drobnych rozczarowań, nieprawdaż?

W drodze na północ zatrzymałem się w Vo Mimbre. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że królowa Mayaserana natychmiast przystała na mój plan. Czasami mylnie osądzamy Arendów. Najłatwiej powiedzieć, że są po prostu głupi, ale to nie do końca prawda. Ich problemem jest nie tyle głupota, ile nadmierna pobudliwość. To uczuciowi ludzie i emocje wpływają na ich sądy. Porywczą Mayaserana, niemal tak szybko jak Ran Borune, pojęła znaczenie mego podstępu. Nim słońce zaszło, na jej włosach pojawił się biały lok. Zachowała się bardzo właściwie i następnego dnia z przyjemnością zauważyłem, że ciemnowłose damy dworu pospiesznie poszły w jej ślady. Przypominam sobie, że jasnowłose damy były bardzo nadąsane.

W drodze na północ odkryłem ciekawą cechę kobiecej natury. Bez względu na to, gdzie się zatrzymałem, w wiosce, miasteczku czy na samotnej farmie, wcześniej czy później któraś z kobiet pytała: "Jaka teraz panuje moda na dworze? Jak długie są suknie? Jakie fryzury noszą damy?"

Nic lepiej nie mogło przysłużyć się moim celom. Zostawiałem za sobą ślad z białych loków, niczym wojenny okręt Chereku kilwater.

Starannie omijałem rodziny, których doglądałem od stuleci. Pomyślałem, że Chamdar może się okazać na tyle przebiegły, by zabiciem kilku kluczowych przodków poważnie pokrzyżować przebieg wydarzeń ujawnionych nam przez Kodeks Mriń-ski. Jednakże głównym moim zmartwieniem było zapewnienie bezpieczeństwa Gelanowi, więc omijałem Seline, jakby było zadżumione.

Jak się jednak okazało, niebezpieczeństwo grożące Gelanowi nie było natury fizycznej,

lecz duchowej.

Przeniosłem się do centralnej Sendarii, do Medalii. Za grosik snułem opowieści i doradzałem damom w kwestii mody. Sypiałem w stajni na skraju miasta. Byłem w Medalii już od tygodnia, gdy w środku nocy obudził mnie zmartwiony głos Pol.

- Ojcie, jesteś mi potrzebny.

- O co chodzi?

- Mamy problem. Lepiej przybądź tu najszybciej, jak możesz.

- Ale wyjaśnij, czego chcesz.

- Powiem ci, gdy tu przybędziesz. Ktoś może podsłuchiwać. Zmień wygląd.

Jej głos umilkł.

Była w tym zaszyfrowana wiadomość. Polgara jest najbardziej opanowaną osobą na świecie, dopóki coś jej nie wyprowadzi z równowagi. Prawie nic jej nie denerwuje, ale tym razem było inaczej. Wstałem, otrzepałem płaszcz z siana i natychmiast opuściłem Medalię.

Nim słońce wzeszło, byłem na skraju Seline. Przebiegłem w myślach katalog swych przebrań i wybrałem postać łysego mężczyzny. Potem udałem się do warsztatu, w którym Gelane spędzał czas na robieniu beczulek.

Polgara, pomimo bardzo wczesnej pory, z wigorem zamiatała wejście.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała na mój widok. Jakimś sposobem zawsze potrafiła przejrzeć moje przebrania.

- Uspokój się, Pol. Co cię tak zdenerwowało?

- Wejdz do środka. - Wprowadziła mnie do warsztatu. - Gelane jeszcze śpi - szepnęła. - Chcę ci coś pokazać. - Poprowadziła mnie do schowka na miotły na tyłach warsztatu. Otworzyła drzwi i wyciągnęła futrzaną tunikę. Serce mi zamarło.

Tunika była zrobiona z niedźwiedziej skóry.

- Jak długo to już trwa?

- Nie jestem pewna, ojcie. Przez ostatnie sześć miesięcy Gelane był jakiś sztywny i nieuchwytny. Wychodził prawie każdego wieczoru i wracał bardzo późno. Początkowo myślałam, że zdradza Enallę.

- Swoją żonę?

Polgara skinęła głową i ostrożnie włożyła z powrotem do schowka tunikę z niedźwiedziej skóry.

- Wyjdzmy - szepnęła. - Nie chcę, aby zszedł i nas tu znalazł.

Wyszliśmy na ulicę i poszliśmy na róg.

- W każdym razie - podjęła swą relację - ostatnio matka Gelana była bardzo chora, więc

musiałam jej doglądać. Wraca już do zdrowia, toteż zeszłego wieczoru miałam w końcu okazję pójść za nim. Zszedł do warsztatu i schował tunikę do torby. Potem poszedł nad jezioro i brzegiem udał się do dużego zagajnika, około mili na wschód od miasta. Było tam kilkunastu innych Alornów. Stali wokół ogniska płonącego w środku zagajnika. Wszyscy mieli na sobie niedźwiedzie skóry. Gelane nałożył swoją tunikę i dołączył do nich. Jest całkiem oczywiste, że został wyznawcą Kultu Niedźwiedzia.

Zacząłem przeklinać.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy, ojcze - oświadczyła szorstko Pol. - Co zrobimy?

- Nie jestem pewny. Kto przeprowadził temu spotkanku zeszłej nocy?

- Był tam brodaty mężczyzna w szacie kapłana Belara. On mówił najwięcej.

- Czy powiedział coś znaczącego?

- Nie bardzo. Powtarzał głównie te wyświechtane slogany. "Aloria jest jedna", "Przeklęte niech będą dzieci Boga-Smo-ka", "Reguły Belara" - i tym podobne rzeczy.

- Pol, miałas uważać na Gelana. Jak mogłas na to pozwolić?

- Nie spodziewalam się tego, ojcze. On zawsze był taki rozsądny.

- Czy ten kapłan jest związany z miejscowym kościołem?

- Nie. Z tego, co wiem, nie pochodzi z Seline.

- Jak wygląda?

- Jest dość gruby, ale może to tylko szata. Nie widziałam jego twarzy. Broda zaczyna mu się tuż pod oczami.

- Miał jasne włosy? To znaczy, czy wyglądał jak zwyczajny Alorn?

- Nie. Miał bardzo ciemne włosy. Jego broda i włosy były niemal kruczoczarne.

- To nic nie znaczy. Jest wielu czarnowłosych mieszkańców Drasni i Algarii. Czy Gelane często tam chodzi?

- Prawie każdej nocy.

- A zatem pójdę dziś za nim. Mam zamiar przyjrzeć się temu kapłanowi Belara. Wracam do domu, Pol. Ja będę trzymał się z dala od warsztatu Gelana. Wyznawcy Kultu Niedźwiedzia są z natury podejrzliwi. Jeśli Gelane zacznie cokolwiek podejrzewać, może opuścić dzisiejsze spotkanie.

Wałęsałem się po Seline przez resztę dnia. Oczy miałem szeroko otwarte i nastawiałem uszu, ale ust nie otwierałem. Teraz, gdy wiedziałem czego szukać, wypatrzenie członków Kultu Niedźwiedzia nie było zbyt trudne. Oczywiście wszyscy byli Alornami. Cechowała ich ta sama nerwowa podejrzliwość, chytre spojrzenie i przesadnie dramatyczny wyraz twarzy,

jakie charakteryzowały wszystkich głupich ludzi ukrywających tajemnice.

Tym, co zbiło mnie z tropu, był fakt, że w Sendarii w ogóle czczono Niedźwiedzia. Sendarowie, bez względu na swe narodowościowe pochodzenie, byli zbyt rozsądni, aby ulegać tego rodzaju fanatyzmowi.

Wraz z nadciągnięciem wieczoru przywlokłem się pod warsztat Gelane. Zapadał już mrok, gdy chyłkiem wymknął się z warsztatu z płóciennym workiem na plecach. Gelane był już dobrze po trzydziestce i młodzieńcza szczupłość ustąpiła teraz miejsca krępej muskularności. Niechybnie zapuszczał brodę. Wszyscy wyznawcy Kultu Niedźwiedzia z jakiejś przyczyny nosili brody. Gelane ruszył w kierunku jeziora, a ja poszedłem w przeciwną stronę. Wiedziałem, dokąd idzie, więc nie musiałem iść za nim krok w krok.

Wyszedłem z miasta przez jedną z bram, przeobraziłem się w sowę i pofrunąłem. Na miejsce spotkania w zagajniku przybyłem kwadrans przed Gelanem. Obecni tam wyznawcy chodzili wokół ogniska owym osobliwym, kołyszącym się krokiem, który wedle nich przypominał krok niedźwiedzia. Widziałem w swym życiu wiele niedźwiedzi, ale żaden z nich nie chodził w ten sposób. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko widuje się niedźwiedzie usiłujące chodzić na tylnych łapach.

Alornowie monotonnymi głosami wyśpiewywali typowe dla kultu slogany. Zdaje się, że głupota bardziej cieszy, gdy ma się ją z kim dzielić, a nie ma na świecie nic głupszego od Kultu Niedźwiedzia. Nigdy nie rozumiałem idei chóralnych śpiewów, zawsze zdawały się dodawać otuchy fanatykom religijnym różnego pokroju.

Gdy przybył Gelane, teraz ubrany w tunikę z niedźwiedziej skóry, pozostali zgromadzeni skłonili się nisko przed nim i chóralnie zaintonowali: Witaj Rivański Królu, Pogromco Boga, Suzerenie Zachodu. Pójdziemy tam, gdzie nas poprowadzisz.

Tajemnica, którą tak starannie skrywailiśmy z Pol prawie przez dziewięćset lat, najwyraźniej wyszła na jaw. Zacząłem kląć pod nosem, z pasją zaciskając swój haczykowany dziób.

Gdy w końcu opanowałem gniew, ostrożnie zbadałem umysły poszczególnych wyznawców, zebranych wokół swego bohatera. Większość z nich stanowili zwyczajni, tępogłowi Alornowie, którzy zawsze zasilali szeregi fanatyków. Kilku z nich jednak do nich nie należało. W ich myślach uchwyciłem słowo "Kah-sha", a Kahsha to góra na Pustyni Araga, gdzie znajduje się kwatera główna Dagashi. W końcu Chamdar mnie wyprzedził. Znowu zacząłem przeklinać.

Potem przybył kapłan Belara. Tak jak powiedziała Pol, twarz zakrywała mu krzaczasta broda, ale nie zasłaniała oczu - owych skośnych oczu typowych dla Angaraków. Jak Gelane i

inni Alornowie mogli być na tyle głupi, by tego nie zauważyć? Gdy kapłan podszedł do ogniska i wyraźniej zobaczyłem jego twarz, zacząłem kląć jeszcze bardziej.

Kapłanem Belara, który wyprowadził w pole spadkobiercę Rivy, był sam Chamdar.

W tym momencie poczułem, jak wszystko wali mi się na głowę. Dagashi przebrany za Nyissanina w Tol Honeth doskonale wiedział, co robi. Chamdar nie pognałby do Tol Honeth czy innego miasta na Zachodzie w odpowiedzi na mój starannie opracowany wybieg z modą, ponieważ Chamdar wiedział, gdzie Pol i Gelane byli cały czas. Straciłem ponad pół roku, nakłaniając damy we wszystkich królestwach Zachodu do naśladowania Pol, i wszystko na darmo. Tym razem Chamdar mnie przechytrzył!

- Lepiej zaraz tu przybądź, Pol. - Wysłałem myśl cichą jak szept, głównie dlatego, że Chamdar był nie dalej jak dwadzieścia stóp od drzewa, na którym siedziałem. Na szczęście rozmawiał w tym czasie z wyznawcami, więc mnie nie słyszał.

Był właśnie w trakcie błogosławienia Rivańskiego Króla, "który powiedzie nas do królestw Południa, a wszyscy napotkani zostaną nawróceni na wiarę w Boga-Niedźwiedzia".

Potem Gelane zaczął mówić. Nie dopatrzyłem się nawet śladu skromności, tak charakterystycznej dla jego rodziny od

czasów księcia Gerana. Gelane najwyraźniej był z siebie bardzo dumny.

- Baczcie! - oznajmił. - Jam jest Pogromcą Boga, o którym mówią prorocтва. Jam, Gelane, jest Rivańskim Królem, Suzerenem Zachodu, wzywam królestwa Zachodu, by uznały mą zwierzchność. Pójdziecie, gdzie was powiodę, i wszyscy Angarakowie drzeć przede mną będą.

Przemawiał tak przez jakiś czas i gdy Pol przybyła, nadal zachwycał się sobą.

W tym momencie, dla dobra prawdy historycznej, muszę uczciwie powiedzieć, że popadnięcie Gelana w ten idiotyczny stan nie było wyłącznie jego winą. Garion może wam szczegółowo opisać, jak Chamdar subtelnie potrafi kierować myślami innych. Na farmie Faldorna, gdzie dorastał, Garion pewnie co tydzień widywał Murga Asharaka, ale zadbano, by nikomu o tym nie powiedział. To stara sztuczka Grolimów, z której powszechnie korzystali w społeczności Angaraków jeszcze przed rozłupaniem świata. Nonsensy kryjące się w angarackiej religii niemal wymuszały, by Grolimowie dysponowali jakimiś zdolnościami kontrolowania myśli innych. Gdy się tak teraz nad tym zastanawiam, to wszystkie religie tak robią - oczywiście z wyjątkiem mojej.

Polgara mądrze wybrała postać sowy o brązowym upierzeniu. Białe ptaki rzucają się w oczy w ciemności. Przysiadła na konarze obok mnie i bez komentarza wysłuchiwała długiej mowy pochwalnej, którą Gelane wygłosił na swą cześć.

- Ten rzekomy kapłan Belara, to Chamdar, Pol - szepnąłem.

- A więc tak wygląda - odparła, trzaskając swym haczykowatym dziobem. - Co teraz, ojczy?

- Miałem nadzieję, że ty wpadniesz na jakiś pomysł. Ja nie wiem, co z tym począć. Chamdar ma całkowitą kontrolę nad Gelane. Musimy go jakoś uwolnić.

- Jest coś, co mogłoby pomóc - powiedziała. Siedziała, wpatrując się w Gelane swymi ogromnymi, nie mrugającymi oczami. - Chcesz zaryzykować?

- Całe moje życie to ryzyko, Pol.

- Tak, zauważyłam. Kiedyś, w Vo Wacune, skorzystałam z tego sposobu, gdy asturski szpieg wkradł się w zaufanie księcia. Jednakże Chamdar jest Grolimem, więc mógłby temu przeciwdziałać. Jeśli Gelane jest całkowicie pod wpływem Chamdara, to nie uwierzy w nic, co powiemy o jego mistrzu, prawda?

- Prawdopodobnie nie. Co ci chodzi po głowie?

- Chamdar musi się zatem sam odsłonić.

- Jak chcesz to osiągnąć?

- Wystarczy tylko, abym uczyniła myśli Chamdara słyszalnymi. W ten sposób przekonałam księcia wacuńskich Arendów, że jego nowy przyjaciel nie jest tym, na kogo wyglądał. Jednak szpieg asturski był tylko zwyczajnym człowiekiem. W przypadku Grolima to może nie odnieść skutku.

- Więc spróbuj, Pol. W przeciwnym razie będę musiał zrobić Gelane coś bardzo poważnego.

- Jak bardzo poważnego, ojczy?

- Spadkobierca Rivy nie może znajdować się pod kontrolą Chamdara. To nie do pomyślenia. Mógłbym wymazać mu większość umysłu. Nie potrafiłby już robić beczek, ale nadal mógłby być ojcem.

- Umiesz to zrobić?

- Tak. Choć nie bardzo by mi się to podobało.

- To zbyt drastyczne posunięcie, ojczy.

- Nie mamy wyboru, Pol. Traciliśmy już poprzednio spadkobierców. To linia jest ważna, nie pojedyncze osoby, i linia nie może dostać się pod kontrolę Grolimów.

Myślę, że ta uwaga pozwoliła Pol skoncentrować się jeszcze bardziej. Są pewne ograniczenia tego, co można zrobić, gdy się nie jest we własnej postaci, więc Pol sfrunęła na ziemię za drzewem, na którym siedzieliśmy, i przybrała ludzką postać.

Ja mam zwyczaj trochę hałasować, gdy używam Woli i Słowa - najprawdopodobniej z

czystej arogancji - ale ona zawsze działała bardzo subtelnie. Choć ogólnie wiedziałem, co zamierza zrobić, to z ledwością usłyszałem, jak uwalniała Wolę wypowiedzianym szeptem Słowem.

Gelane nadal opowiadał swym towarzyszom, jakim to wspaniałym jest facetem, gdy zagłuszył go inny głos. Na jego dźwięk zająknął się, po czym zupełnie umilkł.

Głos należał do Chamdara, ale jego usta się nie poruszały. Dochodził jakby znad jego głowy, ale on najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jego myśli stały się słyszalne.

- Ctuchik nagrodzi mnie, jeśli zabiję tego głupka - dumiał na głos - ale Torak nagrodzi mnie jeszcze bardziej, jeśli mój plan się powiedzie. Gdy tylko zdobędę kompletną władzę nad tym niedorozwiniętym Alornem, to zabiorę go do Rivy i tam zagarnię Cthrag Yaska. Potem go skuję i dostarczę Bogu-Smokowi, aby pokłonił się mu i przekazał ten przeklęty Klejnot, jako symbol swej uległości. Tak wielka przysługa musi zostać nagrodzona. Zostanę czwartym uczniem Boga-Smoka, który obdarzy mnie największymi względami. Będę pierwszym uczniem, a Ctuchik, Urvon i Zedar będą musieli mi się pokłonić. Torak

zdobędzie panowanie nad całym światem dzięki memu podarunkowi, a ja w nagrodę po wsze czasy zasiadać będę po jego prawicy.

Wyraźnie usłyszałem, gdy władza Chamdara nad umysłem Gelane została złamana. Pewne oznaki świadczyły, że Gelane był umiarkowanie uzdolniony. Głośne myśli Chamdara wystarczyły, by wrócił mu rozum. Mocnym szarpnięciem Gelane uwolnił swój umysł i całe znaczenie tego, co się wydarzyło, nagle zważyło się na niego z hukiem. Wtórował temu okropny hałas.

A ponieważ był Alornem, jego reakcja była do przewidzenia. Z płonącym wzrokiem i morderczymi zapędami w sercu, ruszył na zaskoczonego Grolima.

- Co ty wyprawiasz? - Głos Chamdara przeszył powietrze.

Gelane odpowiedział pięścią. Wymierzył podwładnemu Ctuchika cios, który powaliłby wołu.

Wiele razy zastanawiałem się, jak zmieniłby się bieg historii, gdyby Gelane miał tego wieczoru przy sobie siekiere. Zdaje się jednak, że na dłuższą metę tak było lepiej.

Chamdar zatoczył się w tył. Oczy mu się zaszkliły, a Wola ulotniła się. Zwalił się ciężko na ziemię, a para niby-Alornów z Ashaby natychmiast skoczyła, by chronić swego pracodawcę. Miałem właśnie wkroczyć do akcji, ale pozostali wyznawcy ubiegli mnie. Przysięgali wierność Gelane, a w Kulcie Niedźwiedzia to zobowiązanie natury religijnej. Stłoczyli się wokół obu Dagashi. Zamieszanie pozwoliło jednak Chamdarowi odzyskać przytomność i uciec. Przemieścił się na skraj zagajnika, przybrał skrzydła i odleciał w noc.

- Zostaliśmy oszukani! - ryczał Gelane. - To nie był kapłan Belara!

- Co mamy zrobić, Pogromco Boga? - zapytał jeden z fanatyków bezradnym głosem.

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywajcie! - wrzasnął Gelane. - Nie jestem Pogromcą Boga! To było oszustwo! Zhańbiłem swe imię! - Zdarł z siebie tunikę z niedźwiedziej skóry i cisnął ją w ognisko. - Kult Niedźwiedzia jest kłamstwem i szachraj-stwem! Nie będę więcej w nim brać udziału!

- Poszukajmy tego fałszywego kapłana i zabijmy go! -krzyknął jeden z potężnie zbudowanych mężczyzn, a ponieważ byli Alornami, ruszyli, by to zrobić. Przez pół godziny kręcili się pomiędzy drzewami, ale Chamdar był już wtedy daleko.

W końcu dali za wygraną i wrócili do ogniska.

- Co teraz zrobimy, wasza wysokość? - zapytał ów wielki Alorn.

- Po pierwsze, wszyscy dacie spokój z "waszą wysokością" - odparł Gelane. - Nie jestem Rivańskim Królem, więc nigdy

więcej mnie tak nie nazywajcie. - Wyprostował się. - Przysięgnijcie mi to. Nigdy nawet słowo o tym nie może przeciec. Od teraz jestem Gelane bednarz i nikt więcej. Przysięgniecie? Naturalnie przysięgli. Co innego mogli zrobić?

- Teraz wracajcie do domów do swych rodzin! - rozkazał. -pozbądźcie się tych cuchnących niedźwiedziich skór, wracajcie do swego życia i zapomnijcie, że to się kiedykolwiek wydarzyło.

- A co z Grolimem? - dopytywał się rosły Alorn. - Tym, który udawał kapłana Belara?

- Moja rodzina się nim zajmie - odparł Gelane. -Teraz idźcie do domów.

Potem, gdy wszyscy odeszli, Spadkobierca Rivy padł twarzą na ziemię. Długo płakał ze wstydu i wyrzutów sumienia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Choć Gelane odzyskał już zdrowe zmysły, to tak przytłaczało go poczucie winy, że zupełnie nad sobą nie panował.

- Jak mogłem być tak głupi, dziadku? - szlochał. - Jestem godny pogardy! Jestem niegodny swego imienia! Zdradziłem wszystko, co było mi drogie!

- Przestań! - powiedziałem. - To do niczego nie prowadzi.

- Kim był ten człowiek, dziadku?

- Nazywa się Chamdar i jest Grolimem. Nie poznałeś po skośnych oczach, że jest Angarakiem?

- To jest Sendaria, ojciec - powiedziała Polgara. - Ludzie nie przywiązują tu dużej wagi do rasy.

- Być może, ale Gelane powinien zdawać sobie sprawę, że ktoś z angarackim rodowodem nie może być kapłanem Belara. - Spojrzałem surowo na swego wnuka. - Jak on zdobył tak duży wpływ na ciebie, Gelane? - zapytałem z wyrzutem.

- Pochlebstwami - odparł z pogardą dla siebie. - Czasami wołałem, żeby ciocia Pol nigdy mi nie powiedziała, kim naprawdę jestem. To przez to ten Grolim tak łatwo zapanował nad moją duszą.

- A co ma do tego, kim jesteś? - zapytałem.

- Tutaj, w Saline, nie jestem osobą specjalnie ważną, dziadku. Ludzie, którzy przychodzą do mojego warsztatu kupować beczki, traktują mnie jak sługę. W czasie wojny, gdy z ma-

mną i ciocią Pol byliśmy w Twierdzy, a Kal Torak ją oblegał, nie-którzy ludzie traktowali mnie z wielkim respektem, ponieważ wiedzieli, że naprawdę jestem Rivańskim Królem. Tutaj, w Seline, zasililem szeregi prostych rzemieślników. Kto szanuje bednarza? Kiedy jakiś piwowar lub sprzedawca wina zaczyna zadzierać nosa, to ja kryję się za swą prawdziwą tożsamością. To pozwala mi nie czuć się małym i nic nie znaczącym. Tak właśnie wpadłem w sidła Grolima.

- Chyba mu nie powiedziałaś, kim jesteś?

- On już wiedział. Pewnego dnia przyszedł do warsztatu, pokłonił się mi i pozdrowił jako Rivańskiego Króla. Powiedział, że jest kapłanem Belara i że wróżby powiedziały mu, kim naprawdę jestem. Nikt nie zwracał się do mnie "wasza wysokość", odkąd opuściliśmy Twierdzę i to uderzyło mi do

- Tak to się zwykle dzieje, Gelane - powiedziałem. - Zadufanie zgubiło więcej ludzi, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

- Zadufanie?

- Próżność, pewność siebie. Gdy jesteś tak w siebie zapatrzonej, że mózg przestaje ci pracować. Najlepszym tego przy-

kładem była ta mówka, którą palnąłeś dziś wieczór. Nie ty pierwszy się tym zaraziłeś i pewnie nie ostatni. Jak Chamdar wplątał cię w Kult Niedźwiedzia?

- Stopniowo mnie w to wciągał. Początkowo mówił tylko o tym, że powinienem wrócić do Rivy i odzyskać tron. Powiedział, że cała Aloria na to czeka.

- I to pewnie prawda, Gelane - powiedziała mu Pol. - Ale Aloria nie wie, że czeka. Od bardzo dawna ukrywaliśmy twoją rodzinę.

- Wydawało się, że on o tym wszystkim wie.

- Naturalnie - odparłem. - Grolimowie mają swoje proroctwa. Mogliśmy cię ukrywać, ale twego istnienia nie mogliśmy zachować w tajemnicy. Chamdar od trzech stuleci przetrząsał świat w poszukiwaniu twojej rodziny.

- Zabiję go! - zapalczywie zawołał Gelane, wyciągając poządlawie ręce.

- Nie - zaprzeczyłem - nie zrobisz tego. To moje zadanie, nie twoje. Ty masz nie rzucać się w oczy. Teraz wrócisz do miasta i zaczniesz się pakować. Zabierzesz swoją żonę i matkę i za-szyjecie się w najgłębszej dziurze, jaką uda nam się z cocią Pol dla was znaleźć. - Zastanowiłem się chwilę. - Myślę, że to Val Alorn.

- Nie mówisz poważnie! - zaprotestowała Pol.

- Val Alorn nie jest takie złe, Pol, a Chamdar nie ukryje swego pochodzenia przed Cherekami, tak jak przed Sendarami. Cherekowie są zwykle jasnowłosi, a Chamdar z tą czarną brodą i skośnymi oczami zdecydowanie będzie się rzucał w oczy na ulicach Val Alorn. Król Eldrig przyrzekł nagrodę za głowę każdego Angaraka złapanego w jego królestwie. To całkiem pokaźna sumka. Zdecydowanie zachęca Chereków do wypatrywania obcych. Porozmawiam z Eldrigiem i znajdziemy jakąś wioskę, w której nie mieszkają weterani wojny w Arendii.

Gelane wyglądał na zdezorientowanego.

- Twój dziadek i ja trochę rzucaliśmy się w oczy pod Vo Mimbire, Gelane - wyjaśniła mu Pol. - Ktoś, kto tam był, mógłby mnie rozpoznać, a Cherekowie zbyt dużo gadają po pijanemu, czyli prawie każdego wieczoru.

- Cofnijmy się trochę w czasie - powiedziałem do Gelane. - Jak dokładnie udało się Chamdarowi wciągnąć cię w szeregi czcicieli Niedźwiedzia?

- Zaczął od ostrzeżenia, że powinienem być bardzo ostrożny, ponieważ różni ludzie mnie szukają, a nie wszyscy wyglądają jak Angarakowie. Powiedział, że jedynymi ludźmi, którym mogę zaufać, są Alornowie. Potem powiedział, że w królestwach Alornów jest zakon religijny, który przysiągł mnie chronić i przywrócić należne mi miejsce na tronie we Dworze Rivańskiego Króla. Tak mi zawrócił w głowie, że nawet mu to ułatwiłem. Powiedziałem, że chciałbym spotkać się z ludźmi, którzy są

mi tak oddani. On jednak odparł, że członkom Kultu Niedźwiedzia nie wolno ujawniać swej tożsamości nikomu, kto nie jest jego członkiem. Dasz wiarę, że zgłosiłem się na ochotnika?

- On bardzo starannie cię do tego doprowadził, Gelane -odparłem. - Za każdym razem, gdy zaakceptowałeś to, co ci mówił, jego wpływ na ciebie rósł. Grolimowie są w tym bardzo dobrzy. Gdy już zgłosiłeś chęć wstąpienia w szeregi wyznawców, mógł nakłonić cię do zrobienia niemal wszystkiego.

- Czy pozostali Alornowie z Seline naprawdę czcili Niedźwiedzia?

- Zapewne tak myśleli, ale wątpię, aby prawdziwi wyznawcy choćby wiedzieli o ich istnieniu. Kult nie rozprzestrzenił się w Sendarii. Ta mała grupka z Seline była zawieszona w próżni, całkowicie odizolowana od reszty. Mogę też sobie wyobrazić, że Chamdar dodał kilka szczegółów, które nie były częścią dogmatu kultu. Dla pewności jednak porozmawiam z królami Alorii. Myślę, że czas już ponownie zgnieść czcicieli Niedźwiedzia. -Rozejrzałem się. - Mamy sprawy do załatwienia. Może byśmy wrócili do miasta?

- Za chwilę, ojczy - powiedziała Pol. - Chamdar miał niemal pełną kontrolę nad Gelane przez kilka miesięcy. Chcę się upewnić, czy Gelane całkowicie uwolnił się spod jego wpływu.

- To chyba niezły pomysł, Pol - przyznałem.

- To nie będzie bolało, Gelane - zapewniła. Potem ujęła go za prawą rękę - tę z charakterystycznym znamieniem na dłoni - i położyła ją na swym białym loku. Jej wzrok natychmiast przybrał nieobecny wyraz, a oczy Gelane otworzyły się bardzo szeroko. Odniosłem wrażenie, że ich umysły nigdy przedtem jawnie się nie dotknęły. Potem Polgara lekko pocałowała go w policzek.

- Kilka śladów, to wszystko, ojczy - oznajmiła - a i one już nikną. Wątpię, aby Chamdar mógł zmusić go choćby do podniesienia palca.

- Dobrze. Wracajmy do miasta i zacznijmy pakowanie.

Z samego rana ruszamy do stolicy. Znajdę jakiegoś kapitana z Chereku i załatwię przeprawę do Val Alorn.

- Przez przesmyk? - zapytała z niechęcią Pol.

- To najkrótsza droga, Pol, a ja chcę wrócić najszybciej, jak będę mógł. Chcę go dopaść i raz na zawsze się go pozbyć.

- Tak! - krzyknął zapalczywie Gelane.

Oczywiście do tego nie doszło. Murg Asharak miał jeszcze do zrobienia coś bardzo ważnego. Jego śmierć otworzyła umysł Gariona i skierowała spadkobiercę na obecną drogę.

Nie oznacza to, iż przez kilka lat nie szukałem nieuchwytnego Grolima. W końcu dałem za wygraną i wróciłem do Doliny. Pol, Gelane i ich rodzinka osiedlili się w małej wiosce jakieś dziesięć mil od Val Alorn. Byli tam całkiem bezpieczni - jeśli jakiegokolwiek miejsce na świecie było naprawdę bezpieczne dla spadkobiercy Rivy.

Beldin wrócił z Mallorei, gdy szukałem podwładnego Ctuchika. Wpadł do mojej wieży tego ranka, kiedy nareszcie wróciłem do domu. Usłyszałem wiele niepochlebnych słów, gdy opowiedziałem mu, jak Chamdar mnie przechytrył, ale nie obraziłem się - sam zwymyślałem się jeszcze gorzej. Pozwoliłem mu marudzić, dopóki nie zaczął się powtarzać. Wówczas mu przerwałem.

- A co słyhać w Mallorei? - zapytałem.

- Pamiętasz tego młodziana z Mai Zeth, o którym ci opowiadałem? - odparł. - Wnuka starego cesarza, którego Torak po opuszczeniu Ashaby usunął z tronu?

- Mgliście. Nazywał się chyba Korzeth?

- To imię, które nadano mu przy urodzeniu. Teraz jednak wielu ludzi w Mallorei nazywa go inaczej. Po skończeniu czternastu lat odsunął od władzy dziadka i sam włożył koronę. Pod pewnymi względami jest równie bezlitosny jak Torak. Nie wiem, czemu pragnął tronu. Nigdy na nim nie zasiada. Cały czas spędza w siodle. Jednoczy Malloreę. Cały kontynent po kostki jest skąpany we krwi. Korzeth nawet nie zwraca sobie głowy pytaniem ludzi, czy akceptują jego rządy. Po prostu zabija wszystkich, którzy mu się nawiną. Będzie mieć cesarstwo, gdy skończy. Nie będzie w nim zbyt wielu ludzi, ale przynajmniej Wszystkie ziemie będą do niego należeć.

- Można powiedzieć, że to redukuje zagrożenie ze strony Mallorean - zauważyłem z zadowoleniem. - Czy Zedar nadal siedzi w tej grocie z ciałem Toraka?

- Siedział, gdy ostatni raz tam zaglądałem. Przeleciałem tamtędy w drodze do domu.

- Czy Murgowie robią coś godnego uwagi?

- Jedynie umacniają mury swych miast. Myślę, że spodziewają się inwazji.

- Po co mielibyśmy to robić? Pod Vo Mimbre osiągnęliśmy wszystko, co chcieliśmy.

- Murgowie obawiają się nie tyle nas, co Rana Boruna. Po tych dwóch katastrofach nie zostało zbyt wielu Murgów, ale wszystkie kopalnie złota nadal tam są. Chyba się obawiają, by Rana Boruna nie zaczął im podgryzać Cthol Murgos.

- Domyślasz się, co Ctuchik knuje?

- Nie mam pojęcia. O ile wiem, siedzi w Rak Cthol. Urvon wrócił do Mai Yaska i też się stamtąd nie rusza. Chyba Vo Mimbire przekonało Angaraków, by dać pokojowi szansę.

- To dobrze. Potrzebuję wypoczynku. Masz już sprecyzowane jakieś palny?

- Myślę, że wrócę do południowego Cthol Murgos i będę miał oko na Zedara. Jeśli postanowi ruszyć Starą Spaloną Gębę, to wołę o tym wiedzieć.

Po odejściu Beldina wałęsałem się po swej wieży. Co jakiś czas zabierałem się za sprzątanie pokładów wiekowego kurzu i śmieci. Nie było to jednak moje główne zajęcie. Zwykle znajdowałem sobie coś bardziej interesującego do roboty niż sprzątanie.

Byłem już w domu od miesiąca, gdy pewnego pogodnego, wiosennego ranka do mojej wieży przyszli bliźniacy.

- Znaleźliśmy w Kodeksie Darińskim coś intrygującego, Belgaracie - powiedział Beltira.

-Co?

- Jest w nim wzmianka o kilku "pomocnikach". Nie będą tak ważni jak Przewodnik czy Władca Koni, ale też będą mieli swój wkład.

- Przyjmę każdą pomoc. Co w tym takiego intrygującego?

- Z tego, co udało nam się dowiedzieć, będą to Nadrakowie.

- Nadrakowie? - Byłem tym nieco zaskoczony. - Czemu jakiś Angarak miałby nam pomagać?

- Kodeks Dariński tego nie mówi, a nie znaleźliśmy jeszcze odpowiedniego fragmentu w Kodeksie Mrińskim.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Nadrakowie nigdy szczególnie nie przepadali za Murga-mi czy Thullami - dumałem. - Teraz, gdy Torak śpi, może zechcą się uniezależnić. W zasadzie obecnie i tak nic nie robię. Może powinienem się rozejrzeć.

- Ci "pomocnicy" jeszcze się nie pojawili - zauważył Belkira. -I nic nie wiemy o rodzinach, z których się wywiodą.

- Trudno - przyznałem - ale trochę powęszę i spróbuję chociaż wysondować nastroje panujące wśród Nadraków.

- To chyba nie zaszkodzi - przyznał Beltira.

- Będę się z wami kontaktował od czasu do czasu - obiecałem. - Dajcie mi znać, jeśli znajdziecie coś w Kodeksie Mrińskim. Kilka dodatkowych szczegółów może pomóc mi w odszukaniu tych rodzin.

To nie było szczególnie pilne zadanie, więc w drodze na północ zatrzymałem się w Twierdzy i kupiłem sobie konia. Podróżowanie w inny sposób wiązało się ze sporym wysiłkiem, a ja byłem w dość leniwym nastroju.

Dotarcie do Boktoru zajęło mi kilka tygodni. Drasanie właśnie odbudowywali swoją stolicę. W pewnym sensie Kal Torak wyświadczył Drasanom przysługę, niszcząc im wszystkie miasta. Miasta Alornów zawsze miały tendencje do pewnego rozłazenia się. Ich ulice biegły tam, gdzie akurat było

wygodnie. Teraz Drasanie mieli szansę od nowa zaplanować swoje miasta. Rhodara znalazłem na naradzie z architektami. Dyskutowali właśnie zawzięcie na temat bulwarów. Jedna Szkoła preferowała szerokie, proste ulice. Druga wołała wąskie i kręte, usprawiedliwiając ich niewygodę "przytulnością".

- A co ty sądzisz, Belgaracie? - zapytał mnie Rhodar.

- To zależy, czy chcesz zbudować drugie Tol Honeth, czy drugie Val Alorn - odparłem.

- Myślę, że Tol Honeth - powiedział Rhodar. - Tolnedranie zawsze traktowali nas z wyższością, z powodu wyglądu naszych miast. Dość już mam określić typu "oryginalne".

- Czy miałeś jakieś kontakty z Nadrakami od czasów wojny? - zapytałem.

- Żadnych oficjalnych. Wzdłuż granicy trochę handlują, a w Górach Nadraku zawsze są poszukiwacze złota. Złóża nie są tam tak bogate, jak w południowym Cthol Murgos, ale jest tam dosyć złota, by przyciągać ludzi z innych krajów.

To mi podsunęło pewien pomysł.

- Myślę, że właśnie rozwiązałeś mój problem, Rhodarze.

- Jaki?

- Muszę rozejrzeć trochę po Gar og Nadrak i wołałbym nie rzucać się w oczy. Nadrakowie pewnie przyzwyczaili się już do widoku obcych w tych górach, więc znajdę sobie łopatę i ruszę szukać złota.

- To bardzo nudne zajęcie, Belgaracie.

- Nie na mój sposób.

- Nie bardzo rozumiem.

- Tak naprawdę nie interesuje mnie złoto. Ja chcę tylko powłóczyć się trochę i popytać. Narzędzia będą tłumaczyć moją obecność.

- Dobrej zabawy - powiedział. - Teraz, jeśli mi wybaczysz, mam miasto do zbudowania.

Kupiłem trochę sprzętu, jucznego muła i ruszyłem przez mokradła do granicy z Nadrakiem. Było wczesne lato, więc zwykle posępne mokradła były całe w kwiatkach, toteż podróż była nawet przyjemna.

Angarakowie zostali tak doszczętnie pobici pod Vo Mim-bre, że ich społeczności uległy faktycznemu rozkładowi. Na przejściu granicznym nie było żadnych straży. Byłem pewny, że mnie obserwowano. Jednak muł i te wszystkie narzędzia wyjaśniały moją obecność, dlatego Nadrakowie pozwolili mi przejść bez przeszkód.

Podążyłem Północnym Szlakiem Karawan. Pierwszym miastem, na jakie się natknąłem, było Yar Gurak. Był to raczej bardziej obóz górniczy niż prawdziwe miasto. Rozłożyło się na obu brzegach mulistego potoku. Większość budynków przypominała szałas byle jak sklecone z bali i płótna namiotowego. W ciągu minionych stuleci przechodziłem przez tę osadę kilkakrotnie i niewiele się zmieniło. Silk bywał tam dość często. Zahaczaliśmy też o nią w drodze do Cthol Mishrak, gdy Garion spieszył na spotkanie z Torakiem. W Yar Gurak nikt nie zatrzymuje się na dłuższy czas, jego mieszkańcy z braku poczucia obywatelskiego obowiązku nie budują trwalszych domów. Rozbiłem namiot na końcu błotnistej ulicy i bez trudu wmieszałem się pomiędzy ludzi. Górnicze obozy w górach Gar og Nadrak są bardzo kosmopolityczne i pytania natury osobistej uważane są za przejaw złego wychowania.

Oczywiście dochodziło do drobnych nieporozumień. W końcu mieliśmy za sobą wojnę, ale poza kilkoma burdami w karczmach było raczej spokojnie. Ludzie żyjący w Yar Gurak szukali złota, nie bijatyk. Po kilku dniach pobytu, gdy moja twarz zrobiła się już tu i ówdzie znana, zacząłem odwiedzać dużą karczmę. W niej koncentrowało się tak zwane życie towarzyskie Yar Gurak. Podawałem się za Sendara. Mieszkańcy Sendarii stanowią taką mieszkankę ras, iż moje osobliwe rysy nie zwracały zbytniej uwagi.

W Yar Gurak było sporo samotnych poszukiwaczy złota. Jednak o wiele popularniejsze było wyprawianie się w góry we dwóch lub trzech. W tej części świata nie obowiązywały żadne prawa i bezpieczniej było mieć koło siebie przyjaciela - na wypadek gdyby ci się poszczęściło i znalazłbyś złoto. Zawsze trafią się ludzie uważający, że kradzież jest łatwiejsza od kopania.

Zawarłem znajomość z rubasznym Nadrakiem imieniem Rablek. Rablek wrócił do Yar Gurak po zapasy i zabawił tu nieco dłużej z tęsknoty za piwem i towarzystwem. W ubiegłym roku miał spółkę z Tolnedraninem, ale jego przyjaciel zbłądził na tereny Morindlandu i banda Morindimów, raczej nieprzypadkowo, pozbawiła go głowy. Po zawarciu bliższej znajomości Rablek wystąpił z propozycją, na którą czekałem. Siedzieliśmy właśnie w karczmie, popijając dość ostre w smaku nadrackie piwo. Rablek był smukłym facetem o czarnych włosach i

zmierzwionej brodzie.

- Wyglądasz na rozsądnego gościa, Caracie - powiedział. - Co byś powiedział, gdybyśmy stworzyli zespół i razem ruszyli na poszukiwanie złota?

Zauważcie, że wróciłem do swego pierwotnego imienia. Zdarzało mi się to niekiedy. Przybrane imiona są czasem niewygodne, szczególnie jeśli się zapomni, którego się właśnie używa. Spojrzałem na niego spod oka.

- Chrapiesz? - zapytałem.

- Nie jestem pewny. Zwykle wtedy śpię. Jednak nikt nigdy się nie skarżył.

- Chyba możemy spróbować - powiedziałem. - Jeśli okaże się, że nie pasujemy do siebie, to zawsze możemy się rozstać.

- Potrafisz się bić? Zrozum, nie chcę być wścibski, ale być może przyjdzie nam bronić tego, co znajdziemy.

- Zwykle daję sobie radę.

- To mi wystarczy. Równe udziały?

- Jasne.

- Zatem ustalone. Jestem gotów spróbować. Zahaczę o twój namiot jutro rano i możemy się stąd zabierać. Już zaspokoilem swój głód cywilizacji.

Z naszych rozmów dowiedziałem się co nieco o Rableku. W czasie ostatniej wojny zmuszono go do służby wojskowej. Był jednym z nielicznych Nadraków, którym udało się uciec z rzezi pod Vo Mimbre. Miał swoje poglądy i raczej ich otwarcie nie głosił. Po paru dniach spędzonych w górach wiele się o nim dowiedziałem - i o innych Nadrakach. Zapewniał mnie, że wszyscy Nadrakowie przede wszystkim gardzą Murgami i to samo czują do Mallolean. Rablek z przyzwyczajenia spluwał za każdym razem, gdy wspominał Kał Toraka. Choć mój towarzysz nie powiedział tego wprost, odniosłem wrażenie, że miał w przeszłości jakieś zatargi z Grolimami. Rablek skory jest do noża, gdy go ktoś zdenerwuje. Ctuchik mógł całkowicie zastraszyć Murgów i Thullów, ale jego Grolimowie w najlepszym razie mieli jedynie nieznaczny wpływ na Nadraków. Z tego, co mówił mi Rablek, lepiej było dla Grolimów, by nie kręcili się sami po Gar og Nadrak. Rablek dawał do zrozumienia, że samotnemu Grolimowi mogą przydarzyć się różne wypadki w lasach i górach tej najdalej na północ wysuniętej części królestwa Angaraków.

Im dłużej rozmawiałem z Rablekiem, tym lepiej rozumiałem ów dziwny fragment Kodeksu Darińskiego. Społeczeństwo Angaraków nie było tak jednolite, na jakie wyglądało. A jeśli ktokolwiek miałby się z niego wyłamać, to z całą pewnością będą to Nadrakowie.

A potem, czy dacie wiarę, znaleźliśmy złoto! Penetrowaliśmy północny skraj gór w

pobliżu owej niewyraźnej granicy z Morindlandem. Posuwaliśmy się wzdłuż rwącego górskiego potoku, którego spienione wody spływały po ogromnych głazach i tworzyły rozlewiska pełne wirów i spienionej zielonej wody. Wówczas to odkryłem jeden z aspektów tego, co z braćmi

nazywaliśmy "uzdolnieniami", a z którego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Wyczuwałem obecność złota! Rozejrzałem się. Było tam; wiedziałem o tym.

- Wieczór nadciąga - powiedziałem do swego towarzysza. - Może rozbijemy tu obóz i przetrzucimy kilka łopat ziemi, nim się ściemni?

Rablek rozejrzał się.

- To miejsce nie wygląda zbyt obiecująco - powiedział.

- Nie upewnimy się, dopóki nie spróbujemy.

- Czemu nie? - zgodził się, wzruszając ramionami. Pozwoliłem, by to on znalazł kilka pierwszych samorodków.

W końcu nie chciałem się zbyt zdradzać. Odkryliśmy całkiem bogate złoża czystego złota, naniesionego z gór przez strumień.

Zbiliśmy fortunę. Byłem rzeczywiście bogaty, a to nie zdarzało mi się w życiu często. Zostaliśmy w tamtym miejscu i zbudowaliśmy szałas. Przekopywaliśmy strumień z jednego końca na drugi. Nadeszła zima, ale my się nie ruszyliśmy. Pracować nie bardzo się dawało, ale nie mieliśmy zamiaru odejść i porzucić złoża. Naturalnie przysypał nas śnieg. W ciągu tych długich miesięcy Rablek opowiadał mi o sobie z coraz większą otwartością. Podczas tej zimy sporo się o nim dowiedziałem, a złoto było rodzajem premii.

Nadeszła wiosna, a wraz z nią banda Morindimów. Ustawiliśmy zwyczajowe znaki ostrzeżenia o zarazie i kłątwie, ale był z nimi młody uczeń czarownika, który na tyle znał już swoje rzemiosło, że zneutralizował nasze znaki.

- Sprawy nie przybierają dobrego obrotu, Caracie - powiedział posepnie Rablek, spoglądając przez szczelinę w ścianie szałasu na zbliżających się Morindimów. Było ich ze dwudziestu, wszyscy odziani w skóry. - Jeszcze trochę i będziemy mieć tych dzikusów na karku.

Mieliśmy oczywiście łuki, ale zimowe polowania na jelenie znacznie uszczupliły zapasy strzał.

Zakląłem.

- Jak bardzo jesteś tolerancyjny, Rableku? - zapytałem.

- Nie jestem gotów zaprosić w gości dwudziestu Morindi-mów.

- Moim zdaniem miarka się przebrała. Mam zamiar zrobić coś trochę niezwykłego. Nie

denerwuj się.

- Jeśli tylko znajdziesz sposób na pozbycie się tych bydlaków, to potrafię zapanować nad sobą.

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Nie miałem też jak ukryć przed swoim towarzyszem tego, co robiłem. Starannie sformowałem w myślach obraz średnich rozmiarów demona i wcieliłem się w niego.

Rablek odskoczył. Oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Zostań tam! - warknąłem na niego mrożącym krew głosem demona. - Nie wychodź i lepiej nie patrz. Będzie jeszcze gorzej.

Potem wyłamałem drzwi, by stawić czoło nadchodzącym Morindimom.

Jak już chyba wspominałem, czarownik Morindimów był niedoświadczonym żółtodziobem. Być może potrafiłby przywołać diabełka wielkości myszy, ale coś większego przekraczało jego możliwości. By zmartwić go jeszcze bardziej, powiększyłem się do pełnych rozmiarów Naczelnego Demona.

Morindimowie uciekli, wrzeszcząc z przerażenia. Czarownik biegł na czele. Był młody i bardzo chyży.

Wróciłem do własnej postaci i wszedłem do szałas.

- Kim ty jesteś, Caracie? - zapytał drżącym głosem Rablek, gdy przeszedłem przez zdruzgotane drzwi.

- Jestem twoim współnikiem, Rableku. To wszystko, co musisz wiedzieć. Przybyliśmy tu razem, żeby zostać bogaczami. Może zabierzmy się do tego, nim stracimy więcej dziennego światła.

Rablek trząsał się gwałtownie.

- Gdzie ja miałem rozum przez te wszystkie miesiące? Powiniennem rozpoznać to imię. Ty nie jesteś tylko Garathem. Ty jesteś Belgarathem, prawda?

- To nic wielkiego, współniku - usiłowałem go uspokoić. - To w końcu tylko imię. Przecież nie zrobiłem ci żadnej krzywdy, prawda?

- No cóż... jeszcze nie, zdaje się. - Nie wydawał się zbyt przekonany. - Słyszałem o tobie wiele opowieści.

- Mogę sobie wyobrazić. Większość z nich to propaganda Grolimów, współniku. W przeszłości nieraz pokrzyżowałem im plany, więc musieli wymyślać te niestworzone historie, żeby wytłumaczyć swe niepowodzenia.

- Czy naprawdę jesteś tak stary, jak mówią?

- Prawdopodobnie jeszcze starszy.
- Co robisz w Gar og Nadrak? Uśmiechnąłem się do niego.
- Bogacę się, mam nadzieję. Czy nie po to siedzimy obaj w tej głuszy?
- Tu się nie mylisz.
- A zatem nadal jesteśmy współnikami?
- Nie chciałbym, by było inaczej, Belgaracie. Czy ty wyczarowałeś to całe złoto, które znaleźliśmy?
- Nie. To naturalne złożę prawdziwego złota. Spoczywa tam, czekając, byśmy je wydobyli.

Rablek uśmiechnął się szeroko.

- A zatem, współniku, może zabralibyśmy się ponownie do pracy?
- Czemu nie? - zgodziłem się.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Złoto posiada urok, któremu trudno się oprzeć - i nie mówię tu tylko o czerwonym złocie Angaraków, którym Grolimowie kupują dusze ludzi pokroju jarla Jarviku. Nim wiosna w pełni rozkwitła, zgromadziliśmy więcej złota, niż zdołaby unieść nasze konie, ale nadal zwlekaliśmy z odejściem znad rwącego górskiego potoku.

W końcu udało mi się okiełznać własne pożądanie, ale jeszcze tydzień zajęło mi przekonanie współnika, że czas już odejść.

- Bądź rozsądny, Rableku - mówiłem. - Masz już więcej złota, niż będziesz w stanie wydać przez całe życie. A jeśli naprawdę jesteś taki zawzięty, to przecież wiesz, jak znowu tu trafić. Będziesz mógł wrócić i nakopać więcej, jeśli będziesz chciał.

- Mierzi mnie myśl o pozostawieniu choćby odrobiny - odparł.

- Ono nigdzie sobie stąd nie pójdzie, Rableku. Będzie tu zawsze, gdybyś potrzebował więcej.

Wiem, że to zabrzmiało nienaturalnie, ale lubiłem swego nadrackiego współnika. Był trochę szorstki i grubo ciosany, ale sam nie jestem aniołem, więc dobrze nam było razem. Nie bał się pracy, a gdy po zachodzie słońca odkładaliśmy narzędzia, potrafił opowiadać całymi godzinami, ja zaś lubiłem słuchać. Po spotkaniu z Morindimami był trochę wystraszony i oficjalny, ale w końcu doszedł do siebie. Znowu byliśmy parą druhów zbijających fortunę. Żaden z nas nie pamiętał o tym, że powinniśmy być naturalnymi wrogami. Całą swoją uwagę poświęciliśmy zdobywaniu bogactwa.

Ostatecznie zburzyliśmy szalas, zatarliśmy ślady naszego kopania najlepiej, jak potrafiliśmy, i ruszyliśmy z powrotem do Yar Gurak.

- Co planujesz zrobić ze swymi pieniędzmi? - zapytałem swego współnika w wieczór poprzedzający dotarcie do obozu górniczego.

- Chyba wejdę w handel skórami - odparł. - Można na tym sporo zarobić.

- Ty już masz sporo pieniędzy.

- Pieniądze niewiele znaczą, dopóki dla ciebie nie pracują, Belgaracie. Nie jestem z tych, co to leżeliby do góry brzuchem i obrastali w sadło. Znam handlarzy skórami, którzy co roku podwajają majątek

- Po co, bracie, skoro ty już masz więcej, niż potrafisz wydać?

- To gra, Belgaracie - odparł, wzruszając ramionami. - Pieniądze są jedynie sposobem notowania wyników. Wejdę w handel skórami właśnie dla gry, nie dla pieniędzy.

To otworzyło mi oczy i pozwoliło wejrzeć głęboko w naturę Nadraków. Przynajmniej zrozumiałem, dlaczego Nadrakowie tak bardzo nie lubią Murgów.

Nieważne. To zbyt złożone, by teraz wyjaśniać.

Rozstaliśmy się na obrzeżu Yar Gurak. Uznałem, że nie mam powodu wracać do tego wstrętnego miejsca. Co więcej, miałem w sakwach przy siodle sporo złota i nie chciałem, żeby podczas mego snu grzebali w nich wścibscy ludzie.

- To była dobra zabawa, prawda, Belgaracie? - powiedział z odrobiną smutku Rablek, gdy siodłaliśmy konie.

- Tak, przyjacielu.

- Jeśli kiedyś będzie ci się nudzić, to poszukaj mnie. Góry zawsze tam będą i wystarczy słowo, bym z tobą wyruszył.

- Miej się dobrze, Rableku - powiedziałem, ściskając mu serdecznie dłoń.

Granica Nadraku nadal nie była strzeżona. Wjechałem do Drasni z poczuciem pewnej ulgi. Z lekkim zaskoczeniem stwierdziłem, że moje nagłe wzbogacenie się uczyniło mnie nerwowym i lęklwym. Cóż za osobliwa rzecz! Gdy byłem jedynie biednym włóczęgą, bez zastanowienia mogłem się wszędzie wybrać. Teraz, gdy byłem majątny, wszystko uległo zmianie.

Przejechałem przez Algarię w ostatni dzień lata roku 4881 i dotarłem do Doliny, gdy jesień właśnie zaczęła złocić liście. Kolor pasował do mego nastroju i bagażu w sakwach. Schowaliśmy z Rablekiem owoce naszego trudu do solidnych worków płóciennych. Ja miałem ich czterdzieści. Całe godziny wnosłem je na górę mej wieży.

Następnego dnia zbudowałem prowizoryczny piec metalurgiczny i przetopiłem swoje złoto w sztaby. Wydaje się, że czterdzieści sakw złota to dużo, ale kruszec jest tak ciężki, że sztaby nie były wcale duże. Gdy ułożyłem je w kącie, poczułem rozczarowanie, tak mały był stos. Siedziałem i zastanawiałem się, czy zdążyłbym dogonić Rableka, nim opuści Yar Gurak. Ostatecznie w naszym strumieniu, nieopodal granicy z Morindlandem, nadal jeszcze było dużo złota.

Byłem zachłanny. Opowiadałem wam, jaki żywot wiodłem, nim wstąpiłem na służbę do Mistrza, a pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Wiele o tym myślałem. Za każdym razem, gdy nachodziła mnie nieprzewartna chęć powrotu nad ten bezimienny strumyk. Jednakże potem, zwykle o szarym świcie, rozsądek podnosił swój wstrętny łeb. Po co u licha człowiekowi takiemu jak ja pieniądze? Jeśli naprawdę czegoś zapragnę, to zwykle jakoś to zdobędę - lub sobie zrobię. Na dłuższą metę, to o wiele łatwiejsze niż kopanie złota. Ale na złoto tak miło popatrzeć i to takie podniecające, gdy się je znajduje.

Z czasem wydałem kilka sztabek, ale niezbyt wiele. Większość z nich nadal gdzieś tu jest.

Wybaczcie mi na chwilę. Pogrzebię trochę, może uda mi się je znaleźć.

Rok po powrocie z Gar og Nadrak, Pol zawiadomiła mnie, że żona Gelane, Enalla, w końcu urodziła syna. Od dwudziestu lat byli już małżeństwem i Gelane zbliżał się do czterdziestki. Bezdzielnosc Enalli wszystkich nas bardzo niepokoiła. Biorąc pod uwagę fakt znaczenia tej rodziny, z pewnością zrozumiecie dlaczego. Znając jednak zaangażowane w to siły, pewnie nie powinniśmy się martwić. Wybrałem się do Chereku, by przyjrzeć się swemu nowemu wnukowi. Stwierdziłem, że bardzo przypomina swego ojca, gdy ten był dzieckiem - jeszcze jeden dowód na działanie sił, o których wspomniałem.

Z pewnością zauważyliście, że dawno już porzuciłem wszystkie nudne "prapra... pra". Dla mnie ci wszyscy płowowłosi chłopcy byli po prostu moimi wnukami. Wszystkich ich kochałem tak samo.

Jednakże Polgara każdego z nich kochała inaczej. Jednych więcej, innych mniej. Z wielu powodów szczególnie bliski był jej Gelane. Gdy zmarł w 4902 roku, dokładnie w dziewięćset lat po zamordowaniu króla Goreka, była wręcz zdruzgotana. Bliźniacy uznali tę datę za bardzo znaczącą i wertowali cały Kodeks Mriński w poszukiwaniu znaczenia tego wydarzenia. Jednak cichy przyjaciel Gariona pozostawał właśnie taki - cichy.

Nie sądzę, aby któryś z nas w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Polgara cierpiała z powodu tych ciągłych strat. Mnie martwiło jedynie zachowanie ciągłości linii, nie życie jej poszczególnych przedstawicieli. Moje związki z tymi spadkobiercami w najlepszym razie były luźne i ich odejście nie dotykało mnie tak bardzo. Miałem do tego dość filozoficzne podejście. Przyzwyczailem się, że ludzie rodzą się, dorastają, a potem umierają. Każdy, kto żyje dość długo, traci kilku członków rodziny, ale sytuacja Pol była wyjątkowa. Ona była bardzo blisko związana z tymi wszystkimi chłopcami i w ciągu tych dziewięciu stuleci przeżywała kolejno ich utratę. Smutek nie jest czymś, do czego można się przyzwyczać.

Wróciłem do Chereku po śmierci Gelane i uważnie przyjrzałem się jego synowi. Potem westchnąłem i oddaliłem się. Nie na niego czekaliśmy.

Mijały lata. Dla odmiany na Zachodzie panował spokój. Totalna klęska pod Vo Mimbri osłabiła Angaraków i w zasadzie zostawili nas w spokoju. Chamdar nadal gdzieś się czał, ale nie przeszkadzał na tyle, by zwrócić moją uwagę. Byłem niemal pewny, że nie pojawi się w Chereku, by przysporzyć Polgarze kłopotów. Cherekowie są potomkami starożytnych Alornów. Drasanie nawiązali ostrożne stosunki z Nadrakami, Algarowie tolerowali Thullów, ale Cherekowie nie złagodzili swych uprzedzeń rasowych wobec wszystkich Angaraków.

Próbowałem czasami wytłumaczyć któremuś z Chereków, dlaczego te uprzedzenia nie są szczególnie chwalebne, ale nigdy chyba żadnego z nich nie przekonałem. Zapewne dlatego, że Belar pierwszy do nich dotarł. Nie zrozumcie mnie źle, lubię Belara, ale, na Bogów, jaki on jest uparty! Czasami myślę, że za nienawiścią Chereków do wszystkich Angaraków kryje się boska inspiracja. Muszę przyznać jednak, że była nam w ciągu owych lat bardzo na rękę, gdyż wyraźnie trzymała Chamdara z dala od Polgary.

Trzecia Dynastia Borunów panowała nadal. Już samo to wskazywało, że zanoszą się na coś bardzo ważnego. Kodeks Mriński wyraźnie mówił o tym, że żona Pogromcy Boga będzie księżniczką z rodu Borunów.

W Arendii sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Pokój, jaki wymusiliśmy na Asturii i Mimbre ślubem Mayaserany i Korodullina, naruszano coraz częściej, głównie dlatego, że mimbrańscy Arendowie odmawiali uznania tytułów asturskiej szlachty.

To obrażało porywczych asturskich Arendów i w pięćdziesiątym wieku doszło do wielu niemiłych incydentów.

Do Sendarii powrócił dobrobyt, gdy wznowiono coroczne spędy algarskiego bydła do Muros. Na Wyspie Wiatrów ponownie przywrócono ograniczony handel, ale obcy kupcy nadal nie mieli wstępu do miasta. Ulgosi w ogóle się nie zmienili, ale oni nigdy się nie zmieniają. Bogaci kupcy z Tol Honeth uznali ich udział w wojnie przeciwko Kal Torakowi za dobry znak. Mieli nadzieję, że Ulgosi złagodzą niektóre ograniczenia w sprawie handlu. Jednak ci wrócili do Prolgu, zeszli do swych jaskiń i zatrzasnęli za sobą drzwi.

Nyissanie posępnieli coraz bardziej. Ich ekonomia opierała się głównie na handlu niewolnikami, a jeśli nie było bitew, nie było nowych niewolników. Nyissanie zawsze krzywo patrzyli na zbyt długi okres pokoju.

Korzeth zakończył jednoczenie Mallorei. Przekazał nominalnie zjednoczone cesarstwo swemu synowi, ale faktycznego dzieła scalenia Mallorei dokonała biurokracja melceńska i ich polityka angażowania się w rządy wszystkich podbitych narodów.

Kell się nie zmieniło, podobnie jak Ulgoland.

Skoro nic się w zasadzie nie działo, miałem okazję wrócić do swych studiów. Zawsze denerwowało mnie, że ponowne przywrócenie sprawności mózgu trwa tym dłużej, im dłużej nie prowadziło się własnych badań. Studiowanie to bardzo intensywne zajęcie. Jeśli odłożyć je na jakiś czas, trzeba potem od nowa się uczyć. Wiedziałem o tym i dlatego złościłem się za każdym razem, gdy coś odciągało mnie od zasadniczego zajęcia mego życia. Długi okres względnego spokoju i ciszy pozwolił mi na prawie trzysta pięćdziesiąt lat nieprzerwanych studiów i sporo się w tym czasie dowiedziałem.

Naprawdę chcecie, abym przerwał w tym miejscu i wygłosił długi wykład o teorii liczb lub zasadach krytyki literackiej?

Nie sądzę, byście chcieli tego słuchać, wróćmy więc do naszego wielkiego dzieła.

Gdzieś w połowie pięćdziesiątego trzeciego wieku - w roku 5249 lub 5250 - skończyłem coś, nad czym pracowałem od dwudziestu lat. Uznałem przeto, że warto by się rozejrzeć po świecie. Zakradłem się więc do Cthol Murgos i zajrzałem do Ctuchika.

To wszystko, co zrobiłem - zajrzałem. Wyglądał na zajętego rozlicznymi rozrywkami - niektóre były plugawe, inne obrzydliwe - zatem mu nie przeszkadzałem.

Z Rak Cthol udałem się na południe. Chciałem sprawdzić, czy uda mi się odnaleźć grootę, w której Zedar trzymał pogrążonego w śpiączce Boga. Nie było to zbyt trudne. Beldin siedział na grani u wylotu skalistego wąwozu.

- Zabiłeś już Ctuchika? - zapytał, gdy otrząsnąłem się z piór.

- Beldinie - odparłem zboląłym głosem - nie znasz innej recepty na kłopoty?

- Jestem prostym człowiekiem - odpowiedział, wyciągając swą sękatą rękę ze zdumiewającą szybkością. Pochwycił nieuważną jaszczurkę i zjadł ją żywą. - Zabijanie zawsze jest najprostszym sposobem rozwiązania problemu.

- Najprostszym nie znaczy najlepszym - powiedziałem. - Nie, nie zabiłem Ctuchika. Bliźniacy znaleźli w Kodeksie Mrińskim kilka wzmianek świadczących o tym, że będzie nam jeszcze później potrzebny. Osobiście nie mam zamiaru robić niczego, co mogłoby przeszkodzić biegowi wydarzeń. - Spojrzałem na drugi koniec wąwozu. - Czy Zedar nadal jest w grocie z Jednookim?

- Nie. Opuścił ją kilka lat temu.

- Czemu zatem wrosłeś tu w ziemię?

- Ponieważ bardzo możliwe, że Torak pierwszy dowie się o przyjściu na świat Pogromcy Boga. Być może to będzie dla nas jedyne ostrzeżenie, że sprawy zaczynają zbliżać się do punktu kulminacyjnego. Dam ci znać, gdy zbrocze tamtej góry pęknie.

- Domyślasz się, dokąd poszedł Zedar?

- Nie mogę robić wszystkiego, Belgaracie. Ja będę pilnował Toraka; Zedar to twój problem. Co ostatnio porabiałeś?

- Udowodniłem, że trzy i trzy daje sześć - odparłem z dumą.

- I to zabrało ci trzy wieki? Potrafiłbym tego dowieść z pomocą garści fasoli.

- Ale nie matematycznie, Beldinie. Doświadczalny dowód w rzeczywistości niczego nie dowodzi, ponieważ badacz mógł być szalony. Pewność może dać tylko czysta matematyka.

- A jeśli przypadkowo obrócisz swoje równanie do góry nogami, to wszyscy pospadamy

z powierzchni ziemi?

- Prawdopodobnie nie.

- Wybacz, bracie, ale ja bardziej ufam doświadczalnym dowodom. Być może czasami dostaję od tego lekkiego bzika, ale widziałem, co ci wychodziło, gdy próbowałeś dodać kolumnę cyfr.

Wzruszyłem ramionami.

- Nikt nie jest doskonały. - Przesunąłem się na zawietrzną. - Kiedy ostatnio się kąpałeś?

- Nie potrafię powiedzieć. Kiedy tu padało ostatni raz?

- To jest pustynia, Beldinie. Tutaj całe lata może nie padać.

- I co? Zawsze uważałem, że zbyt częste kąpiele osłabiają. Wracaj do domu, Belgaracie.

Usiłuję nad czymś pracować.

- Tak? Nad czym?

- Usiłuję określić różnicę pomiędzy określeniami "dobry" i "zły".

- Dlaczego?

Beldin wzruszył ramionami.

- To mnie interesuje, ot co. Przynajmniej mam zajęty umysł, czekając na następną kąpiel. Idź odszukać Zedara i przestań mnie niepokoić. Jestem zajęty.

Jeśli mam być szczery, miejsce pobytu Zedara wcale mnie nie interesowało. Sytuacja Toraka w zasadzie chwilowo wyłączała Zedara. Pokrążyłem więc trochę po królestwach Zachodu, zaglądając do rodów, które pielęgnowałem przez te wszystkie stulecia. Rodzina Lelldorina przebywała w Wildantor i była głęboko zaangażowana w różne intrygi przeciwko Mimbra-tom. Baron Vo Mandor, dziadek Mandorallena, zajęty był walkami z sąsiadami, które wybuchały zwykle z tajemniczych przyczyn. Klan Hettara hodował konie, przygotowując się, choć nie zdawali sobie z tego sprawy, do nadejścia Władcy Koni. Dziadek Durnika był wiejskim kowalem, a Relega fanatykiem religijnym, który większość czasu spędzał na podziwianiu swej czystości. Nie miałem pojęcia, gdzie była rodzina Taiby, kosztowało mnie to wiele bezsennych nocy. Wiedziałem, że wraz z rodziną plątała się gdzieś po świecie, ale zupełnie straciłem jej ślad po tolnedrańskiej inwazji na Maragor.

Przed udaniem się na północ, do Drasni i Chereku, wpadłem do Tol Honeth. Zawsze lubiłem mieć Borunów na oku. W tym czasie na tronie zasiadał Ran Borune XXI, który, jak się okazało, był prapradziadkiem Ce'Nedry. Wspominałem już o skłonności Tolnedran do poślubiania swych kuzynów i Ran Borune XXI nie był wyjątkiem. Skłonność do Driad zawsze była w rodzie Borunów dziedziczona w linii męskiej i męscy członkowie rodu byli Driadami zupełnie zauroczeni. Myślę, że mieli to już we krwi.

Prapradziadek Ce'Nedry miał około czterdziestki, gdy odwiedziłem jego pałac. Jego żona, Ce'Lanne, miała płomiennie rude włosy i skłonność do sprzeczek. Czyniła życie imperatora bardzo ekscytującym.

Tolnedranie nadal hołdowali fikcji, że moje imię było alornskim tytułem. Uczeni historycy z uniwersytetu wymyślili szalone teorie o bractwie czarodziejów. Do jej powstania przyczyniła się pewnie jakaś przypadkowa uwaga Beldina lub któregoś z bliźniaków. Bujna wyobraźnia historyków dokonała reszty. Wedle nich byliśmy zakonem religijnym. Pewien obdarzony fantazją gorliwiec posunął się nawet do sugestii, iż wrogość pomiędzy moimi braćmi, mną i uczniami Toraka była wynikiem dawniejszej schizmy w naszym zakonie.

Nigdy nie zawracałem sobie głowy prostowaniem tych wszystkich nieporozumień, ponieważ pomagały w uzyskaniu dostępu do każdego aktualnie panującego imperatora, a to oszczędzało mi sporo czasu.

Była zima, gdy dotarłem do Tol Honeth i stawilem się w pałacu. Zimy nie są szczególnie ostre w Tol Honeth, więc przynajmniej nie musiałem przed oblicze cesarza brnąć przez śnieżne zasy.

- Zatem ty jesteś Prastarym Belgarathem - powiedział Ran Borune, gdy mnie mu przedstawiono.

- Tak mnie nazywają, wasza wysokość - odparłem.

- Zawsze zastanawiał mnie ten tytuł. - Jak wszyscy z tego rodu, był niskiego wzrostu i masywny tron sprawiał, że wyglądał trochę głupio. - Powiedz mi, Prastary, czy tytuł "Belgarath" jest dziedziczny, czy ty i twoi poprzednicy byliście wybierani losowo lub za pomocą wróżb?

- Dziedziczny, wasza wysokość - odparłem. No cóż, w pewnym sensie to była prawda. Zależy, jak zdefiniować słowo "dziedziczny".

- Wielka szkoda - mruknął. - Byłoby bardziej interesujące, gdyby Belgaraci byli rozpoznawani po jakimś znaku danym z góry. Domyślam się, że przynosisz mi ważne wieści?

- Nie, wasza wysokość. Byłem w okolicy i pomyślałem, że dobrze by było wpaść i przedstawić się.

- To bardzo uprzejme z twojej strony. Jeden z moich przodków znał jednego z was, jak mi mówiono - jeszcze za czasów wojny z Angarakami.

- Tak, to prawda.

Imperator usiadł wygodniej w udrapowanym na czerwono tronie.

- To musiały być czasy. Pokój jest w porządku, jak mi się zdaje, ale wojny są bardziej podniecające

- Wiele w tym przesady - wyraziłem swoją opinię. - Na wojnie większość czasu albo się chodzi, albo siedzi, czekając, aż coś się wydarzy. Wierz mi, Ranie Borunie, są lepsze sposoby na spędzanie czasu.

Wtem do sali tronowej wpadła jego żona.

- Co to za idiotyzm? - krzyczała głosem, który pewnie słyhać było w Tol Vordue.

- O jaki dokładnie idiotyzm ci chodzi, moja duszko? - zapytał całkiem spokojnie.

- Chyba nie pošlesz mojej córki na Wyspę Wiatrów w środku zimy!

- Nie moja wina, że jej urodziny przypadają w zimie, Ce'Lanno.

- Tak samo twoja, jak i moja! Imperator zakaszlał odrobinę zakłopotany.

- Rivanie mogą zaczekać do lata! - krzyczała.

- Traktaty stanowią, że musi tam być w dzień swych szesnastych urodzin, kochanie, a Tolnedranie nie łamią traktatów.

- Bzdura! Cały czas naciągasz traktaty!

- Ale nie ten. Na świecie panuje pokój i chcę, aby tak pozostało. Powiedz Ce'Bronne, żeby zaczęła się pakować. Przy okazji, to jest Prastary Belgarath.

Cesarzowa rzuciła mi przelotne spojrzenie.

- Czarujący - podsumowała krótko. Potem podjęła swoją tyradę, przytaczając różne powody, dla których niemożliwe jest, by jej córka, księżniczka Ce'Bronne, odbyła podróż do Rivy.

W tym momencie postanowiłem się wtrącić. Wiedziałem, że księżniczka Ce'Bronne nie była tą, na którą czekaliśmy, ale nie chciałem, by Borunom weszło w krew lekceważenie jednego z kluczowych postanowień traktatów z Vo Mimbre.

- Sam wybieram się do Rivy, wasza cesarska wysokość - powiedziałem do drobnej żony Rana Boruna. - Osobiście zaopiekuję się twoją córką, jeśli sobie życzysz, pani. Mogę gwarantować za jej bezpieczeństwo i dopilnować, aby traktowano ją z należyтым szacunkiem.

- Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony, Belgaracie - szybko włączył się Ran Borune. - No to załatwione, Ce'Lanno. Nasza córka będzie w dobrych rękach. Alornowie darzą Prastarego Belgaratha ogromnym szacunkiem. Osobiście wszystkiego dopilnuję. - Gładko z tego wyszedł, muszę przyznać. Żył już ze swoją imperatorową na tyle długo, by wiedzieć, jak sobie z nią poradzić. Tak więc towarzyszyłem jej małej cesarskiej wysokości, księżniczce Ce'Bronne, w podróży na Wyspę Wiatrów w celu rytualnej prezentacji na Dworze Rivańskiego Króla, jak wymagały tego traktaty z Vo Mimbre. Ce'Bronne była równie zapalczywa jak jej matka i równie przebiegła jak córka jej bratanka. To, czego nie osiągnęła krzykiem, zwykle zdobywała przymilaniem się. Mimo to nawet ją lubiłem. Przez pierwsze

dni na pokładzie statku dąsała się. W końcu miałem tego dość.

- O co ci chodzi, młoda damo? - zapytałem przy śniadaniu czwartego dnia od wyruszenia z Tol Honeth.

- Nie chcę poślubić Alorna!

- Tym się nie martw - oświadczyłem. - Nie będziesz musiała.

- Skąd ta pewność?

- Rivański Król jeszcze nie przybył. Jeszcze dość długo go nie będzie.

- Każdy Alorn może przybyć do Rivy i podać się za Spadkobiercę Rivy. Mogę zostać zmuszona do poślubienia człowieka z ludu.

- Nie, moja droga - rzekłem. - Po pierwsze, żaden Alorn nie zrobiłby czegoś takiego, a po drugie, uzurpator nie przeszedłby testu.

- Jakiego testu?

- Tylko prawdziwy Rivański Król może zdjąć ze ściany w sali tronowej miecz Rivy. Uzurpator nawet młotem kowalskim nie oddzieliłby go od kamienia. Klejnot by o to zadbał.

- Widziałeś kiedyś ten tajemniczy Klejnot?

- Wiele razy, moja droga. Zaufaj mi. Nie będziesz zmuszona do poślubienia żadnego Alorna.

- Ponieważ nie jestem dość dobra? - wybuchła. W mgnieniu oka potrafiła zmienić front.

- To nie ma z tym nic wspólnego, Ce'Bronne - odparłem. -Po prostu jeszcze nie nadszedł właściwy czas. Wiele rzeczy musi się najpierw wydarzyć.

Księżniczka zmrużyła oczy. Jestem pewny, że cały czas w moich słowach dopatrywała się obelgi.

- No dobrze - powiedziała w końcu trochę niegrzecznie -zgadzam się. Ale trzymam cię za słowo, starcze.

- Nie inaczej, księżniczko.

Tak oto księżniczka imperium, Ce'Bronne, dotarła na czas do Rivy. W Cytadeli alornskim damom pobożnością i pochlebstwami udało się ją nakłonić do prawie uprzejmego zachowania. Dokonała obowiązkowej prezentacji w sali tronowej i odczekała wymagane trzy dni, a potem zabrałem ją z powrotem do domu.

- Nie było wcale tak źle, prawda? - zapytałem, gdy zeszła na jedno z marmurowych nabrzeży Tol Honeth.

- No cóż, chyba nie - odparła. Roześmiała się, zarzuciła mi na szyję swe drobne ramiona i ucałowała mnie siarczyście.

Poczekalem w Tol Honeth do nadejścia wiosny, a potem poleciłem wojennemu

okrętowi Chereku zabrać mnie na północ. Udałem się do Trelheim, by zajrzeć do dziadka Baraka, który był równie wielki i rudobrody jak Straszliwy Niedźwiedź i niemal tak inteligentny jak on. W Trelheim chyba wszystko było w porządku, zatem udałem się do wioski, w której Polgara doglądała rodziny Garionowego prapradziadka, jeszcze jednego z owych Geranów. Pol lubiła wplatać owo imię niemal w każde pokolenie. Myślę, że miało to coś wspólnego z jej potrzebą zachowania ciągłości. Ten Geran właśnie poślubił jasnowłosą cherecką dziewczynę i sprawy zdawały się układać jak należy.

Po rodzinnym powitaniu w końcu miałem okazję porozmawiać ze swą córką na osobności.

- Zdaje się, że będziemy mieć kłopoty z księżniczkami Driad, gdy przyjdzie czas - ostrzegłem ją.

- Tak? Jakiego rodzaju?

- Nie grzeszą potulnością. Żeniliśmy tych wszystkich młodzieńców z alornskimi dziewczętami, a kobiety Alornów są dość potulne. Driad z rodu Borunów nie sposób uznać za potulne. Są kapryśne, rozpieszczone i bardzo przewrotne. - Opowiedziałem jej o księżniczce Ce'Bronne i naszej podróży do Rivy.

- Zajmę się tym, ojcze - zapewniła mnie.

- Z pewnością, Pol, ale uważam, że powinienem cię przestrzec. Przekonasz się, że Rivańska Królowa nie grzeszy grzecnością. Nigdy jej nie wierz.

- Poradzę sobie z nią, gdy przyjdzie czas, ojcze. Dokąd się stąd wybierasz?

- Do Drasni. Sprawdzę, co słychać u rodziny Przewodnika.

- Czy ten czas w końcu nadchodzi?

- Bliźniacy uważają, że tak. Zaczynają już dostrzegać pewne znaki. Sądzą, że to, na co czekamy, wydarzy się w następnym stuleciu.

- A wówczas będę bez pracy, czy tak?

- Myślę, że znajdziemy ci jakieś zajęcie, Pol.

- Straszne dzięki, staruszk. Skoro to już tak niedługo, to pomyślę chyba o przeniesieniu się do Sendarii. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Równie dobrze jak ty potrafię czytać w Kodeksie Mrińskim i Darińskim, ojcze. Wiem, gdzie powinien urodzić się Pogromca Boga.

- Faktycznie, lepiej o tym pomyśleć - przyznałem. - Gdy skończę w Drasni, wrócę do Doliny i porozmawiam z bliźniakami. Może znaleźli coś bardziej konkretnego. To nie jest najlepszy czas na popełnianie błędów.

- Kiedy ruszasz do Drasni?

- Jutro. Nie upiekłabyś na śniadanie jednego z tych placków czereśniowych, Pol? Nie jadłem go już chyba ze sto lat i naprawdę za nim tęsknię.

Polgara przeszła mnie wzrokiem.

- Twoje są najlepsze, Pol - oznajmiłem, nawet się nie uśmiechając. - Mam pomysł. Gdy już posadzimy Pogromcę Boga na tronie, będziesz mogła otworzyć cukiernię.

- Postradałeś rozum?

- Powiedziałaś, że będziesz szukać pracy, Pol. Ja ci tylko podsunąłem pomysł.

Pol okazała tyle przyzwoitości, by się roześmiać.

Następnego ranka wyruszyłem do Drasni. Dziadek Silka zajmował się importem, głównie przypraw, a przy okazji pracował dla drasańskiego wywiadu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wszyscy drasańscy kupcy pracowali dla wywiadu. I tym razem wszystko szło zgodnie z planem, więc wróciłem do Doliny.

Po przybyciu do domu nieco zaskoczyła mnie nieobecność bliźniaków. Zostawili mi dość tajemniczą wiadomość - coś o pilnym wezwaniu od Polgary. Próbowałem połączyć się z nimi w myślach, ale z jakiejś przyczyny nie odpowiadali. Chwilę po-kląłem, po czym ruszyłem z powrotem do Chereku. Zaczynałem mieć już dość tych wszystkich podróży.

Była pełnia lata, gdy ponownie dotarłem do Val Alorn. Udałem się do wioski, w której mieszkała ze swą rodziną Pol. Jednak jej nie zastałem. Bliźniacy doglądali wszystkiego. Na pytanie o Pol odpowiadali dość wymijająco.

- Prosiła, byśmy ci nie mówili, Belgaracie - wyznał Beltira ze zboląłą miną.

- A ja proszę, byście to zignorowali - oświadczyłem stanowczo. - No już, dajcie spokój. Nie mam czasu przetrząsać świata w jej poszukiwaniu. Dokąd się udała?

Bliźniacy spojrzeli po sobie.

- Jest już daleko przed nim - odezwał się do Bełkira. - Nie sądzę, aby ją dogonił, więc chyba możemy mu powiedzieć.

- Pewnie masz rację - przyznał Beltira. - Udała się do Nyissy, Belgaracie.

- Nyissy? Po co?

- Pol ma swoje źródła informacji... i instrukcji. Oczywiście wiedziałeś o tym, prawda?

Już od dość dawna wiedziałem, że Pol otrzymywała osobne instrukcje. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogły one pochodzić z innego źródła niż moje. Skinąłem głową.

- W każdym razie Pol otrzymała ostrzeżenie, że Ctuchik kontynuuje coś, co Zedar robił na początku piątego tysiąclecia. Utrzymuje kontakt z obecną Salmisarą i jest o krok od przekonania jej, by do niego dołączyła. Pol polecono, by udała się do Sthiss Tor i porozmawiała z nią o tym.

- Dlaczego Pol? - zapytałem. - Ja mogłem się tym zająć.

- Pol nie wdawała się zbytnio w szczegóły - odparł Bełkira. - Wiesz, jaka jest czasami. Najwyraźniej potrzeba tam kobiecej ręki.

- Nie my jedni mamy proroctwa, Belgaracie - przypomniał mi Beltira. - Salmisary mają swoje sposoby na zajrzenie w przyszłość. One wszystkie o wiele bardziej obawiały się Polgary niż ciebie. Zdaje się, że Pol zrobi coś paskudnego jednej z królowych Wężowego Ludu. Zapewne więc wyruszyła do Sthiss Tor zapytać obecną Salmisary, czy to właśnie ona ma ochotę nią być. Już to samo powinno przekonać Salmisary o zerwaniu kontaktów z Ctuchikiem.

- No dobrze, ale dlaczego po prostu mi o tym nie powiedziała? Czemu knuje za plecami?

Bełkira uśmiechnął się.

- Wyjaśniła nam to - oznajmił. - Nie chcesz chyba, byśmy powtórzyli ci, co powiedziała?

- Chyba jakoś to przeżyję. Mówcie. Bełkira wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Powiedziała, że jesteś niezdolnie nadopiekuńczy i za każdym razem, gdy ma coś zrobić, kłócisz się z nią tygodniami. Potem rzekła, że zrobi to, czy ci się podoba, czy nie i że wszystko pójdzie łatwiej, jeśli nie będziesz wtykał nosa w cudze sprawy. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie widzę w tym nic zabawnego, Belkiro.

- Ale było, gdy to mówiła. Nie zacytowałem dokładnie jej słów. Pol ma niezłe słownictwo, prawda?

Popatrzyłem na niego z powagą.

- Dajmy temu spokój - zaproponowałem.

- Jak sobie życzysz, bracie.

- Przy najbliższej okazji poproście ją, by wpadła do Doliny. Powiedzcie jej, że tęsknię za małą pogawędką.

Następnie odwróciłem się na pięcie i wyruszyłem z powrotem do Doliny.

Miesiąc później Pol posłusznie zjawiała się w mojej wieży. Zdążyłem się już uspokoić, więc nie zwymyślałem jej - a przynajmniej nie za bardzo.

- Bardzo dobrze to znosisz, staruszk - zauważyła.

- Nie ma co krzyczeć, gdy jest już po wszystkim. I cóż takiego kombinował Ctuchik?

- Jak zwykle - odparła. - Próbował siać ferment wśród mieszkańców Zachodu, w nadziei, że pomogą mu, gdy nadejdzie czas. Murgowie ponownie otworzyli Południowy

Szlak Karawan i znowu zalewają Zachód. Trzeba solidniej zabrać się za Kodeks Mriński. Ctuchik chyba wierzy, że sprawy zbliżają się do punktu kulminacyjnego. Robi wszystko, by poróżnić królestwa. Zdecydowanie nie chce, byśmy następnym razem byli zjednoczeni, tak jak pod Vo Mimbre. Sojusze angaraćkie są w najlepszym razie chwiejne i wygląda na to, że Ctuchik chce dla równowagi posiać niezgodę na Zachodzie.

- Robisz się w tym bardzo dobra, Pol.

- Miałam niezłego nauczyciela.

- Dziękuję - powiedziałem i przez chwilę czułem dziwną wdzięczność dla swej nieprzewidywalnej córki.

- Nie ma o czym mówić.

- Wracaj do Chereku i odeślij bliźniaków do domu. Tylko oni są w stanie wyciągnąć więcej informacji z Kodeksu Mrińskiego.

- Jak sobie życzysz, ojczu.

Dopiero u schyłku wieku bliźniacy zaczęli wydobywać z Kodeksu Mrińskiego potrzebne nam informacje. W 5300 roku, wiosną, przybiegli podnieceni do mej wieży.

- Wkrótce się wydarzy, Belgaracie! - wykrzyknął Beltira. - Pogromca Boga przybędzie w tym stuleciu!

- Najwyższy czas - powiedziałem. - Czemu tyle czasu tego szukaliście?

- Nie mieliśmy znaleźć tej informacji aż do teraz - odparł Belkira.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Konieczność ma nad wszystkim o wiele większą kontrolę, niż nam się zdawało - stwierdził. - Fragment, mówiący o tym, że to jest stulecie, w którym wszystko się wydarzy, cały czas mieliśmy przed oczyma. Wszyscy czytaliśmy go wiele razy, ale aż do teraz nie miał dla nas sensu. Ostatniej nocy jego znaczenie po prostu stało się oczywiste. Omówiliśmy to i jesteśmy przekonani, że bez względu na to, jak się będziemy wysilać nad zrozumieniem Kodeksu Mrińskiego, nie pojmiemy sensu danego fragmentu, dopóki Konieczność nie uzna, że jesteśmy do tego gotowi. Pod pewnym względem samo zrozumienie jest częścią WYDARZENIA.

- To strasznie niewygodny sposób załatwiania spraw - zaprotestowałem. - Czemu Konieczność miałaby się z nami tak bawić?

- O tym również rozmawialiśmy, Belgaracie - rzekł Beltira. - Wydaje się, że po to, abyś się nie wtrącał. Uważamy, że Konieczność nawet cię lubi, ale za dobrze cię zna, by zostawić dość czasu na próbowanie zmian.

- Często to robiłeś, wiesz? - odezwał się Belkira z uśmiechem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zdaje się, że powinienem czuć się urażony wywodami bliźniaków, ale tak nie było. Wystarczająco długo znam już przyjaciela Gariona, by wiedzieć, co o mnie sądzi. Rzeczywiście od czasu do czasu manipuluję biegiem rzeczy. To chyba potwierdza me poprzednie słowa; usposobienie nie pozwala mi siedzieć z założonymi rękoma. Nieważne jednak, za jak sprytnego się uważam, przyjaciel Gariona wyprzedza mnie o dwa kroki. Pewnie powinienem się już do tego przyzwyczaić, ale mi nie wychodzi.

Nie przejąłem się owymi niepocholebnymi uwagami, ponieważ bardziej poruszyła mnie wiadomość, iż w końcu dotarliśmy do stulecia, w którym urodzi się Pogromca Boga. Naprzykrzałem się biednej Polgarze niemiłosiernie w ciągu pierwszych trzech dziesięcioleci pięćdziesiątego czwartego wieku. Zaglądałem do niej co dwa, trzy miesiące, by sprawdzić, czy żona spadkobiercy nie jest w ciąży. Upierałem się też, by być przy wszystkich narodzinach w tej niewielkiej rodzinie.

W tym czasie Pol mieszkała w centralnej Sendarii, w Medalii. Ówczesny spadkobierca miał na imię Darral. Byłem bardzo rozczarowany, gdy w 5329 roku żona Darrala, Alara, powiła chłopca, a jego narodzinom nie towarzyszyły żadne wymagane znaki i zapowiedzi. On nie był Pogromcą Boga. Pol nazwała go Geran i to imię zdawało się do niego pasować.

Być może to, że Darral był kamieniarzem, skłoniło moją córkę do przeniesienia rodziny w 5334 roku do górskiej wioski, Annath, leżącej tuż przy granicy z Algarią. W tamtej okolicy było wiele kamieniołomów, toteż Darral mógł znaleźć stałą pracę.

Poczułem pewien niepokój. Na dźwięk nazwy Annath z jakiegoś powodu przebiegały mnie zimne dreszcze. Nie chodziło o to, że Annath było brzydkim miasteczkiem. Przypominało większość górskich wiosek. Miało tylko jedną ulicę, co jest rzeczą normalną w mieście zbudowanym na dnie wąskiej doliny. W miarę rozwoju domy nowych mieszkańców po prostu były dostawiane na jednym z końców ulicy. Ludzie żyjący w górach są przyzwyczajeni do chodzenia. Zbocza doliny porastały osiki, które sprawiały, że powietrze w okolicy było czyste i rześkie. Niektóre górskie osady toną w świerkach i jodłach, w rezultacie czego są wiecznie zamglone. Annath takie nie było, ale i tak wzbudzało we mnie dreszcze.

Nie miałem jednak czasu na zastanawianie się nad tym. Musiałem niezwłocznie udać się do Boktoru, by towarzyszyć narodzinom jednego z członków rozległej drasańskiej rodziny królewskiej. Nazwali go księżę Kheldar, choć zajmował dalekie miejsce w kolejce do tronu, ale jego narodzinom towarzyszyły znaki, których brakowało przy narodzinach Gerana.

Kodeks Mriński wspominał o nim jako o Przewodniku, ale reszcie świata znany był pod przezwiskiem, jakim obdarzyli go koledzy z Drasańskiej Akademii Służb Wywiadowczych - Silk.

Przez kilka następnych lat wciąż byłem w ruchu. Przewodnik urodził się w 5335 roku, podobnie jak Ślepiec - Relg, zelota ulgoski. Potem, w 5336 roku, na świat przyszedł syn jarla Trelheim. Nazwali go Barak, ale Kodeks Mriński przypisuje mu imię Straszliwego Niedźwiedzia. W następnym roku urodzili się Władca Koni i Rycerz Obrońca - Hettar i Mandorallen. Towarzysze wyrastali wokół mnie niczym grzyby po deszczu, ale gdzie był Pogromca Boga?

Potem, wiosną 5338 roku, dotarło do mnie pilne wezwanie od Polgary. Pospieszyłem do Annath, myśląc o najgorszym, ale nie był to żaden nagły wypadek. Pol spokojnie czekała na mnie w pobliżu kamieniołomu na skraju miasta.

- Co się stało, Pol? - zapytałem.

- Nic, ojciec - odparła, wzruszając lekko ramionami. - Po prostu potrzebuję kogoś, kto mnie zastąpi na kilka miesięcy. Muszę się czymś pilnie zająć.

- Tak? Czym?

- Nie wolno mi powiedzieć.

- Chcesz się znowu bawić w tę starą, nudną grę, Pol?

- To nie jest gra, ojciec, a jeśli jesteś tym zmęczony, to poproszę bliźniaków.

- Nie możesz ich teraz wyciągać z Doliny, Pol! Zbyt wiele się dzieje, by mieli zostawić Kodeks Mriński!

- A wujek Beldin pilnuje Toraka. To również ważne zajęcie. Zdaje się, że zostałeś wybrany, ojciec - czy ci się to podoba, czy nie. Nie zajmujesz się przecież teraz niczym ważnym, prawda? Akuszerki mogą odebrać porody tych wszystkich dzieci bez twojego dozoru. Doglądaj Darrala i chłopca, starszku. Tylko nie próbuj pytać "Dlaczego ja?", bo wyrwę ci brodę.

- Nie jestem twym sługą, Pol.

- Nie, nie jesteś. Jesteś sługą czegoś o wiele ważniejszego, podobnie jak ja. Mam do wykonania zadanie, a ty w tym czasie zajmiesz moje miejsce.

- Mistrz nic mi o tym nie mówił.

- Jest teraz zajęty, więc ja przekazuję ci w jego imieniu wskazówki. Po prostu zrób to, ojciec. Nie sprzeczasz się ze mną.

Nim zdążyłem wymyślić jakąś odpowiedź, postać Polgary rozmazała się i zniknęła.

Pokląłem przez chwilę, po czym zszedłem do wioski. Geran, który miał jakieś dziewięć

lat, czekał na mnie przed masywnym domem, stojącym na wschodnim końcu jedynej ulicy Annath.

- Witaj, dziadku - powitał mnie. - Czy ciocia Pol rozmawiała z tobą?

- Mówiła do mnie, byłoby właściwszym określeniem, Geranie - odparłem kwaśno. - Czy wspomniała ci może, dokąd się udaje?

- Nie, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ciocia Pol rzadko kiedy mówi nam, co zamierza zrobić i dlaczego.

- Zauważyłeś to, widzę. Gdzie twoja matka?

- Zeszła na chwilę do piekarza. Ciocia Pol powiedziała, że zostaniesz u nas trochę, a mama wie, jak bardzo przepadasz za ciastami.

- Każdy z nas ma słabostki.

- Mama powinna zaraz wrócić - powiedział - ale skoro i tak czekamy, to mógłbyś pewnie opowiedzieć mi jakąś historię?

Roześmiałem się.

- Mógłbym - zgodziłem się. - Twoja ciotka uwiązała mnie tutaj do swego powrotu, więc będziemy mieć mnóstwo czasu na opowieści. - Przyjrzałem mu się uważniej. Choć Geran, jak większość członków jego rodziny urodził się z jasnymi włosami, to zaczynały mu ciemnieć. Nie będzie tak potężnie zbudowany jak Riva, ale mogłem dopatrzeć się już pewnych podobieństw.

Słówko przestrogi, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Gdy wiemy, że coś ma się wydarzyć, to we wszystkim dopatrujemy się znaków nadejścia owego wydarzenia. Nie zapominajcie jednak, że większość zdarzeń na tym świecie nie jest znakami. Doszukiwanie się znaczenia w każdym podmuchu wiatru czy każdej ulewie może doprowadzić do obłądzenia. Oczywiście, pewnych znaków nikt nie chce przegapić. Cała sztuka polega na wyłapaniu różnicy.

Zawsze lubiłem towarzystwo mych wnuków. Cechuje ich osobliwie poważne usposobienie, co mnie wzrusza. Nie chcę przez to powiedzieć, że czasami nie robią rzeczy głupich czy wręcz niebezpiecznych - na myśl przychodzi mi zaraz spotkanie Gariona z odyńcem w lasach pod Val Alorn - ale jeśli podążycie śladem ich czasami błędnego rozumowania, to stwierdzicie, że przynajmniej w ich własnym mniemaniu większość rzeczy, które robią, ma uzasadnienie. Potomkowie Rivy i Beldaran zawsze byli bardzo poważnymi chłopcami. Poczucie humoru znacznie wzbogaciłoby ich osobowość, ale nie można mieć wszystkiego.

Pomimo faktu, że Polgara bezlitośnie zmusiła mnie do pilnowania Gerana, przyznaję, iż

cieszyłem się ze spędzonych z nim miesięcy. Nigdy nie byłem tak dobrym wędkarzem jak Durnik, ale znałem zasady - to znaczy potrafiłem nadzieć przynętę na haczyk. Geran był w wieku, w którym łowienie ryb stawało się namiętnością. Lata obserwacji nauczyły mnie, że ta szczególna pasja pojawia się u chłopców tuż przed tym, zanim uświadomią sobie, że na świecie są dwa rodzaje ludzi - chłopcy i dziewczynki. Ogólnie biorąc, większość chłopców jest z tego zadowolona.

Gdyby tylko nie zachowywali się przy tym jak odkrywcy nowego łądu.

W każdym razie tę wiosnę i lato spędziłem z Geranem na łowieniu pstrągów. Oczywiście są jeszcze inne ryby na świecie, ale zawsze miałem wrażenie, że łowienie pstrągów było szczególną próbą sił. A co więcej, jeśli się przy tym zbyt nie hałasuje, to można sobie całkiem poważnie pogawędzić, czekając, aż ryba zacznie brać.

Szczególnie zapamiętałem jeden paskudny, ale zarazem absolutnie cudowny dzień, który mój wnuk i ja spędziliśmy skuleni na prowizorycznej tratwie na środku małego górskiego jeziora. Siąpiło cały czas. Nie jestem pewny dlaczego, ale pstrągi zupełnie oszalały. Tego dnia złowiliśmy z Geranem więcej ryb, niż normalnie łapiemy w tydzień.

Po południu, gdy obaj przemokliśmy już do suchej nitki, a wiklinowy koszyk, który wzięliśmy z sobą tak "na wszelki wypadek", po brzegi wypełnił się srebrzystymi pstrągami, tempo nieco spadło.

- To naprawdę świetna zabawa, dziadku - zauważył mój kolega wędkarz. - Szkoda, że nie mogliśmy robić tego częściej.

- Geranie - odparłem - chodziliśmy na ryby codziennie przez ostatnie trzy tygodnie. Częściej już nie można.

- Tak, ale dzisiaj je łapiemy. Roześmiałem się.

- Zawsze to pociecha - przyznałem.

- My nie jesteśmy tacy jak inni ludzie, prawda? - zapytał.

- Bo obaj lubimy łowić ryby? Na świecie jest wielu wędkarzy, Geranie.

- Nie to miałem na myśli. Mówię o naszej rodzinie. Wydaje mi się, że jesteśmy jacyś inni - trochę dziwni i... szczególni. - Skrzywił się i otarł rękawem nos z wody. - Nie ująłem tego zbyt dobrze, prawda? Nie chcę powiedzieć, że jesteśmy ważni czy coś w tym rodzaju, ale my po prostu nie jesteśmy tacy jak inni ludzie - a przynajmniej mnie się tak wydaje. Ciocia Pol nigdy o tym ze mną nie mówiła, ale czasami w nocy, przed zaśnięciem, słyszałem, jak rozmawiała z tatą na dole, w kuchni. Ona zna wielu ludzi, prawda?

- Twoja ciotka? O tak, Geranie. Twoja ciocia Pol zna ludzi prawie w każdym królestwie Zachodu.

- Nie mogę tylko zrozumieć, jak poznała tych wszystkich królów, szlacheiców i innych. Przecież w zasadzie nigdzie się nie rusza. Wiesz, co myślę?

- Co takiego, chłopcze?

- Myślę, że ciocia Pol jest o wiele starsza, niż na to wygląda.

- Jak to mówią, "dobrze się trzyma", Geranie. Jednak na twoim miejscu nie robiłbym z tego sprawy. Damy są czułe na punkcie swojego wieku.

- Ty jesteś stary, a zdaje się, że cię to specjalnie nie trapi.

- To dlatego, że nigdy naprawdę nie dorosłem. Nadal potrafię się dobrze bawić. To pozwala zachować młodość. Twoja ciotka uważa, że uciechy nie są ważne.

- Ona jest bardzo dziwna, prawda? Czasami myślę, że jest najdziwniejszą kobietą na świecie.

W tym momencie nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem.

- Co w tym zabawnego?

- Kiedyś ci to wytłumaczę. Ale masz rację. Nasza rodzina jest szczególna, ale ważne dla nas, byśmy zachowywali się tak jak zwykli ludzie. Ciocia Pol wyjaśni ci to, gdy będziesz trochę starszy.

- Czy bycie kimś wyjątkowym poprawia ci samopoczucie?

- Nieszczęśliwie. Trzeba z tym po prostu żyć. To nie takie skomplikowane, Geranie. Nasza rodzina ma do zrobienia coś bardzo ważnego, a pewni ludzie nie chcą do tego dopuścić.

- Ale my i tak to zrobimy, prawda? - Na twarzy chłopca malowało się ogromne zdecydowanie.

- Sądzę, że chyba nam się uda, ale jeszcze daleka droga przed nami. Masz zamiar wyciągnąć tę rybę, czy też planujesz trzymać ją na wędce przez resztę dnia?

Mój wnuk wydał cichy okrzyk i wyłowił pstrąga, który ważył pewnie z pięć funtów.

Często wracam myślami do owego dnia. Był jednym z najlepszych w moim życiu.

Niemal nastąpiła zima, gdy wróciła Pol. Liście zmieniły kolor i opadły, niebo poszarzało, a powietrze pachniało wilgocią. Moja córka nadeszła jedyną ulicą Annath, otulona niebieskim płaszczem, wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Wyszedłem jej na spotkanie.

- Tak szybko wróciłaś, Pol? - zażartowałem. - Nie zdążyliśmy nawet za tobą zatęsknić. Czy teraz możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś i co robiłaś?

Polgara wzruszyła ramionami.

- Musiałam znowu udać się do Nyissy. Znajdowali się tam pewni ludzie, z którymi

chciałam się spotkać.

- Tak? Kto taki?

- Zedar, po pierwsze, a po drugie, obecna Salmissara.

- Pol, trzymaj się z dala od Zedara! Jesteś dobra, ale nie aż tak.

- Takie były wymogi, ojczu. Zedar i ja musieliśmy się poznać. To jedna z tych rzeczy.

- Co Zedar kombinuje?

- Nie mogę zrozumieć, czemu Zedar zawsze cię tak podniecał. Prawdę powiedziawszy, jest raczej żalony. Strasznie wynędzniał, nie odżywia się dobrze i wygląda na chorego.

- Dobrze. Życzę mu naprawdę dotkliwej choroby. Wynajdę nawet dla niego jakieś nowe, jeśli obecnie dostępne mu się znudzą.

- Jesteś barbarzyńcą, ojczu.

- Zauważyłaś? Co on robi w Nyissie?

- Zmienił się we włóczęgę. Łazi po świecie, rozpaczliwie czegoś szukając - lub kogoś.

- Miejmy nadzieję, że nie znajdzie.

- Wprost przeciwnie, koniecznie musi znaleźć. Jeśli tego nie znajdzie, ty będziesz musiał to zrobić, a nie wiedziałbyś, skąd zacząć.

- A on wie?

- Nie. To, czego szuka, znajdzie jego.

To był pierwszy sygnał nadejścia Erionda. Rozmawiałem kiedyś o tym z Beldinem i obaj zgodziliśmy się, że Eriond i Torak byli swymi lustrzanymi odbiciami - Torak po jednej stronie, a Eriond po drugiej. Każdy z nich był dokładnym przeciwieństwem drugiego.

Czasami zastanawiam się, czy Torak wiedział, iż był pomyłką.

Już samo to usprawiedliwiłoby całe moje istnienie.

- Czemu musiałaś rozmawiać z Salmissara? - zapytałem.

- Aby ją przestrzec - odparła moja córka. - Zrobi coś za parę lat, a ja zostanę zmuszona zrobić jej coś w zamian. Nie wprowi jej to w zachwyty, ani mnie. - Westchnęła. - Obawiam się, że zrobię coś strasznego, ale nie będę miała wyboru. - Nagle objęła mnie i wtuliła twarz w moje ramię. - Och, ojczu - zaszlochała - dlaczego właśnie ja muszę to uczynić?

- Ponieważ jesteś jedyną, która to potrafi, Pol. - Potem poklepałem ją po plecach. - No dobrze już, dobrze.

Następne kilka lat upłynęło spokojnie i to mnie bardzo drażniło. Lada moment miało dojść do najdonioślejszego wydarzenia w dziejach świata. Bardzo chciałem, by już się zaczęło. Cierpliwość nie jest moją mocną stroną.

Potem, w 5340 roku, Ran Borune XXIII został koronowany na imperatora Tolnedry i

wkrótce ożenił się z jedną ze swych kuzynek, rudowłosą Driadą, Ce'Vanne. Bliźniacy uznali to za bardzo znaczące i zapewnili mnie, że z małżeństwa tego narodzi się Królowa Świata. Jeśli mieli rację, a prawie zawsze tak było, oznaczało to, że gdy Geran dorośnie i się ożeni, zostanie ojcem tego, na którego wszyscy czekamy.

Wreszcie Beldin wrócił do Doliny.

- Widzę, że nareszcie znudziło ci się pilnowanie tej groty - powiedziałem, gdy wszedł po schodach do mej wieży.

- Niezupełnie - odparł. - Doszło do pewnych zdarzeń, prawda?

- Kilku. Zbliżamy się do narodzin Pogromcy Boga.

- Tak też sobie myślałem. Kilka miesięcy temu poczułem nagłą, nieprzepartą chęć, by pójść się rozejrzeć. Murgowie mają nowego króla, Taura Urgasa. To kompletny szaleniec. To nic nowego ani szczególnie zaskakującego; wszyscy Urgasi byli szaleni. Jednak Taur Urgas w swym szaleństwie sięgnął szczytów. Widziałem go raz w Rak Goska i myślę, że odegra jeszcze pewną rolę w wydarzeniach.

- Czy jest już jakiś sygnał o pojawieniu się jego malloreńskiego odpowiednika?

Beldin kiwnął głową.

- Nazywa się Zakath. Nie został jeszcze koronowany na cesarza, ale myślę, że niedługo będziemy czekać. Zdrowie jego ojca się pogarsza. Jak na Angaraka, Zakath jest zdumiewająco cywilizowanym człowiekiem. Jest wyjątkowo inteligentny, a jego nauczycielom udało się przekonać ojca, by pozwolił mu uczyć się na uniwersytet w Melceni. Wykształcony cesarz Mallorei będzie nowością. Ilu z towarzyszy już się pojawiło?

- Sześciu, o których wiem. Przewodnik i Ślepiec urodzili się w 5335 roku, Straszliwy Niedźwiedź w 36, a Władca Koni i Rycerz Obrońca w 37.

- To tylko pięciu.

- Myślałem, że już wiesz o Człowieku o Dwóch Życiach. Urodził się wcześniej - zdaje się w 5330 roku. Oddano go na naukę do kowala w Erat, w centralnej Sendarii.

- Jakież ślady innych?

- Bliźniacy uważają, że obecny imperator Tolnedry spłodzi żonę Pogromcy Boga.

- To zdaje się przesądza sprawę. Jak Pol?

- Trudna, jak zawsze. Kilka lat temu była w Nyissie i spotkała się tam z Zedarem.

- I ty jej na to pozwoliłeś?

- Pozwolić nie jest najlepszym określeniem, gdy mowa

o Polgarze. Powinieneś już to wiedzieć, Beldinie. Prawdę powiedziawszy, nie pofatygowała się, by poinformować mnie, dokąd się wybiera. Po powrocie wyjaśniła, że

musieli poznać się z Zedarem. Ona nie bierze swych instrukcji z Kodeksu Mrińskiego.

- Jestem tego pewny. Och, byłbym zapomniiał. W Gar og Nadrak też panuje nowy król. Nazywa się Drosta Lek Thun

i miał ledwie dwanaście lat, gdy posadzili go na tronie.

- Widziałeś go?

- Nie. Słyszałem o nim, gdy byłem w Rak Goska. Czy Algarowie zamierzają zrobić coś w sprawie swego następcy tronu?

- Co masz na myśli, mówiąc "zrobić coś"?

- Przecież to kaleka, prawda? Nie sądzę, aby Algarowie zaakceptowali ułomnego króla.

- Prawdopodobnie nie będzie tak źle. Na koniu jest równie dobry jak każdy Algar. - Podrapałem się po brodzie. - Jednak trochę mnie to niepokoi. Kodeks Mriński mówi, że Władca Koni będzie jego synem, a Władca Koni już się urodził - w innym klanie. Bliźniacy nad tym pracują. Zostaniesz tu trochę?

- Nie. Lepiej wrócę do Cthol Murgos, by obserwować Spaloną Gębę. Narodziny Pogromcy Boga coraz bliżej. A to może być wydarzenie, które obudzi Toraka.

- Nie jestem taki pewien. Gdyby jednak tak się stało, znajdziemy się w kłopotach. Niemowlak nie będzie stanowił dla Toraka Jednookiego zbyt wielkiego zagrożenia.

- Uważani jednak, że powinniśmy być przygotowani. Jeśli to obudzi Toraka, będziesz pewnie musiał ukryć się z dzieckiem w lasach. Czy Chamdar nadal węszyć?

- Teraz ^est w Tolnedrze. Wywiad drasański nie spuszcza go z oczu.

- Myślałem, że ty miałeś to robić.

- Tak jest lepiej. Chamdar zna mnie trochę za dobrze. Potrafi wyczuć moją obecność.

- To już twoja sprawa. Pójdę pogadać z bliźniakami, a potem wrócę do Cthol Murgos - oświadczył Beldin, po czym odwrócił się i poczłapał w dół schodami. Dopiero po jego odejściu uświadomiłem sobie, że nawet nie poprosił mnie o nic do picia. Rosnące oczekiwanie sprawiało, że wszyscy zachowywaliśmy się trochę dziwnie.

W następnym roku kaleki Cho-Ram został wyniesiony do pozycji Wodza Wodków Klanów Algarów, co przysporzyło mi nie lada zmartwień. Wiedziałem, że pewnego dnia Hettar zajmie to miejsce, ale nie miałem zielonego pojęcia, jak mogłoby do tego dojść, bez wojny klanów. A biorąc pod uwagę to, co nas czekało, wojna klanów w Algarii była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy.

Wszystko teraz działo się bardzo szybko. Wydarzenia goniły jedno za drugim, a ja, w dosłownym tego słowa znaczeniu, liczyłem dni, czekając, aż Geran dorośnie i się ożeni. Czasami ogarniało mnie zniecierpliwienie. Bierne oczekiwanie doprowadzało mnie do szału,

więc choć nie było to naprawdę konieczne, odkurzyłem swój kostium bazarza i ruszyłem się rozejrzeć.

Pierwszym przystankiem naturalnie było Annath. Geran miał już dwanaście lat i rósł jak na drożdżach. Włosy jeszcze bardziej mu ściemniały i głos zaczął się zmieniać, raz mówił głębokim barytonem, a innym razem chrypiał i piszczał. Najczęściej przypominał młodego koguta, usiłującego pisać.

- Zaczął już zwracać uwagę na dziewczynki? - zapytałem Pol, gdy udało mi się odciągnąć ją na stronę.

- Daj mu czas, ojciec - odparła. - lidera ma dopiero dziewięć lat. Nie popędzajmy spraw.

- lidera?

- Dziewczyna, którą ma poślubić.

- To mi nie brzmi jak sendaryjskie imię.

- Bo nie jest. lidera jest córką algarskiego wodza klanu. Ich pastwiska znajdują się tuż po drugiej stronie granicy.

Zmarszczyłem brwi.

- Jesteś pewna, Pol? Zawsze zdawało mi się, że matka Pogromcy Boga będzie Sendarką.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem. Ma się urodzić w Sendarii, więc chyba dlatego założyłem, że jego matka będzie Sendarką.

- Wystarczyło mnie zapytać, ojciec. Już sześć pokoleń temu mogłam ci powiedzieć, że to będzie Algarka.

- Jesteś pewna, że ona jest tą właściwą?

- Oczywiście.

- Powiedziałaś Geranowi?

- Nie, ojciec. Tyle powinienes sam wiedzieć. W młodych rodzi się instynktowny sprzeciw, gdy za wcześnie powiedzieć im, z kim mają się ożenić.

- Pogromca Boga będzie wiedział.

- Nie, dopóki nie przygotuję go do tego, ojciec.

- Pol, to jest zapisane w traktatach z Vo Mimbre. Stoi tam czarno na białym, że poślubi tolnedrańską księżniczkę.

- Dla niego to nie będzie miało znaczenia.

- Jak zamierzasz to przed nim ukryć?

- Po prostu nie nauczę go czytać.

- Tego nie możesz zrobić! On musi umieć czytać! Skąd będzie wiedział, co ma robić, jeśli nie będzie potrafił przeczytać Kodeksu Mrińskiego?

- Później będzie miał dość czasu, by się nauczyć czytać, starszku. Ja zaczęłam dopiero po ślubie Beldaran, pamiętasz? Jeśli będzie taki, jak myślimy, nie będzie miał z tym najmniejszego problemu.

Miałem pewne wątpliwości, ale zatrzymałem je dla siebie.

- Ile powiedziałaś już Geranowi? - zapytałem.

- Niewiele. Młodzi ludzie potrafią w chwili podniecenia wszystko wypaplać. Robię raczej wszystko, żeby mieszkańcy Annath nie wiedzieli, iż rodzina królewska żyje wśród nich. Darral oczywiście wie, ale on potrafi trzymać buzię na kłódkę.

- Gdzie jest w tej chwili chłopiec?

- Z ojcem w kamieniołomie - uczy się handlu.

- Praca w kamieniołomie może być niebezpieczna, Pol - zaprotestowałem

- Nic mu nie będzie, ojczu. Darral na niego uważa.

- Chyba się tam wybiorę.

- Po co?

- Zobaczę, czy Darral nie dałby swemu uczniowi dnia wolnego.

- Po co?

- Abym mógł z chłopcem pójść na ryby.

- Tylko nie opowiadaj rzeczy, o których jeszcze nie powinien wiedzieć.

- Nie to miałem na myśli.

- Dlaczego zatem zabierasz go na ryby?

- By łowić ryby, Pol. Czyż nie po to ludzie zwykle wybierają się na ryby?

Polgara przewróciła oczami.

- Mężczyźni! - powiedziała zdeglustowana.

Spędziliśmy z Geranem miłe popołudnie nad górskim strumieniem wypływającym z jeziora, o którym już wspominałem poprzednio. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowę, ponieważ ryba brała i mieliśmy zajęć co niemiara.

Następnego ranka pożegnałem się i ruszyłem do Erat. Chciałem rzucić okiem na Durnika. Wiedziałem, że był Człowiekiem o Dwóch Życiach, ale w owym czasie nie zdawałem sobie sprawy, co to może oznaczać ani jaką rolę Durnik odegra w naszym życiu. Teraz jest oczywiście moim zięciem i najmłodszym uczniem mego Mistrza.

Jak dziwnie potrafią potoczyć się sprawy, nieprawdaż?

Durnik był rok młodszy od Gerana, ale już był bardzo silny. Oddano go w termin do

kowala imieniem Barl, a praca w kuźni jest jednym z najszybszych sposobów na rozwinięcie mięśni.

Durnik był bardzo poważnym młodzieńcem i zapowiadało się, iż wyrośnie na typowego Sendara: trzeźwo myślącego, pracowitego, o niezachwianych zasadach moralnych. Poważnie wątpię, aby przez całe swoje życie miał choćby jedną nieczystą myśl.

Celowo złamałem sprzączkę przy sakwie i wstąpiłem do warsztatu Barla, aby ją naprawić. Barl był akurat zajęty podkuwaniem konia, więc Durnik naprawił mi sprzączkę. Porozmawialiśmy przy tym trochę, po czym ruszyłem dalej.

Mojemu zięciowi to spotkanie pewnie wywietrzało z głowy. Ja jednak pamiętam je, ponieważ podczas krótkiej rozmowy dowiedziałem się o nim wszystkiego, co chciałem.

Po opuszczeniu kuźni skręciłem na południe i ruszyłem ku Arendii, by zajrzeć do Wildantorów. Najbardziej typowym

przedstawicielem tego rodu był młody hrabia Reldegen. Zdawało się, że miał zamiar przejść przez życie z na wpół wyciągniętym rapierem. To zapewne o nim myślano przy wprowadzaniu określenia "raptus". Nie miał co prawda aż takiej skłonności do ściągnięcia katastrof, jaką mieć będzie jego bratanek, Lelldorin, ale wiele mu nie ustępował. Pomimo to lubiłem go.

Po opuszczeniu Arendii pośpieszyłem z powrotem do Doliny. Nadciągała już zima, a chciałem dowiedzieć się, czy bliźniacy odkryli coś nowego. Wydarzenia kłębiły się wokół nas. Rzadko dzień mijał, by nie odczytali kolejnego fragmentu Kodeksu Mrińskiego.

Dopiero w 5344 roku rozwiązał się problem z Algarią. Młodego Hettara i jego rodziców, gdy samotnie podróżowali wzdłuż Wschodniego Szańca, zaatakowali Murgowie. Zabili rodziców, a dzieciaka ciągnęli za koniem przez kilka mil. Potem zostawili go na pewną śmierć. Kilka dni później znalazł go Cho-Hag i po jakimś czasie adoptował. Hettar będzie następnym Wodzem Wodźów Klanów i obejdzie się przy tym bez wojny. To była ulga.

Wiosną następnego roku bliźniacy zdecydowanie nalegali, abym zabrał Polgarę na spotkanie z tymi młodymi Alornami, którzy będą dla nas później tak ważni.

- Oni naprawdę powinni ją poznać, Belgaracie - powiedział Belkira. - Przyjdzie czas, gdy będą razem dokonywać ważnych rzeczy, więc powinni ją znać z widzenia. Alornowie mają dziwne uprzedzenia, jeśli chodzi o kobiety, więc lepiej jeszcze za młodu przyzwyczaić ich do myśli, że Pol nie jest zwykłą kobietą. Udamy się do Annath razem z tobą i przypilnujemy wszystkiego pod waszą nieobecność.

Nie mogłem odmówić słuszności ich rozumowaniu, tym bardziej że sami byli Alornami. Poza tym Pol w Annath wiodła bardzo jałowe życie i pomyślałem sobie, że dobrze

ją na chwilę od tego oderwać.

Najpierw wybraliśmy się do Algarii, jako że i tak była po drodze. Ostatecznie udało nam się wytropić Cho-Haga. Algaro-

wie często przenoszą się z miejsca na miejsce. Już w wieku ośmiu lat Hettar był chłopcem o posępnym obliczu, który prawie każdą chwilę poświęcał ćwiczeniom z bronią i swym komom. Gdy tylko ktoś wspominał o Murgach, jego oczy przybierały przeraźliwie zimny wyraz. Najwyraźniej dokładnie już wiedział, co będzie treścią jego życia. Sam nie bardzo przepadałem za Murgami, ale Hettar doprowadził swą nienawiść do apogeum.

Oczywiście wszyscy Alornowie słyszeli o mnie i mej córce, więc Cho-Hag zgotował nam królewskie przyjęcie. Zadbalem o to, aby Pol miała okazję jakiś czas porozmawiać z Hettarem. Obudził w niej poważne wątpliwości. Powiedziała mi o tym, gdy wyruszyliśmy do Drasni.

- On jest o krok od popadnięcia w obłąd, ojcze - powiedziała. - Będzie z niego prawdziwy potwór, gdy dorośnie, a przecież w końcu zostanie królem Algarów.

- To chyba problem Murgów, prawda? - odparłem.

- Nie ciesz się tak, staruszk. Hettar zapowiada się na szaleńca, ogarniętego pasją zabijania. Obawiam się, że przyjdzie czas, gdy wszystkich narazi na niebezpieczeństwo. Wiesz oczywiście, że on jest Sha-Darem?

- Tak. Wyczułem to, gdy zobaczyłem go pierwszy raz. Czy wie już o tym?

- Być może. Wie, że o wiele lepiej rozumie konie niż inni Algarowie. Ale mógł jeszcze nie nawiązać kontaktu. Czy pozostali dwaj Alornowie są równie szaleni jak ten?

- Jakiś czas już ich nie widziałem. Kheldar powinien być dość cywilizowany. W końcu jest Drasaninem. Nie mogę jednak niczego obiecywać, jeśli chodzi o Baraka. Jest Cherekiem, a cały ten kraj pełen jest szaleńców.

Książę Kheldar, siostrzeniec Rhodara, następcy tronu Drasni, był drobnym, żyłastym chłopcem o długim nosie i o wiele za dużym sprycie. Już jako dziesięciolatek bił na głowę przebiegłością większość dorosłych. Straszliwie schlebiał Pol i zawojował ją w ciągu dziesięciu minut. Lubiła go, ale była na tyle mądra, by mu nie ufać.

Powinniście zawsze o tym pamiętać, gdy zdarzy się wam mieć do czynienia z Silkiem. Możecie go lubić, proszę bardzo, ale nigdy mu nie ufajcie. Jest już żonaty, i ta jego towarzyszka życia jest równie przebiegła jak on.

Po kilkudniowej wizycie u rodziny Kheldara udaliśmy się z Pol do Kotu. Tam wsiedliśmy na statek płynący do Voł Alorn. W pałacu pożyczyłem konie i pojechaliśmy do Trelheim. Barak miał około dziewięciu lat, a jego kuzyn, Anheg, następca tronu Chereku, był

o rok starszy. Anheg odwiedzał właśnie swego kuzyna. Obaj niemal dorównywali już wzrostem dorosłym mężczyznom. Barak miał płomiennie rude włosy, a Anheg - proste i czarne. Tworzyli parę urwisów, ale tego można się było spodziewać po Cherekach.

Przedstawiłem im Pol, a jej udało się utrzymać ich w jednym miejscu dostatecznie długo, aby odbyć krótką rozmowę.

- No i co? - zapytałem, gdy jechaliśmy z powrotem do Val Alorn. - Co myślisz?

- Moim zdaniem całkiem dobrze się spisują - odparta. - Są hałaśliwi i chełpliwi, ale obaj bardzo inteligentni. Sądzę, że z Anhega będzie bardzo dobry król i już teraz polega na Baraku.

- Czy domyślasz się, o co chodzi z tym Straszliwym Niedźwiedziem?

- Nie do końca. To ma coś wspólnego z Pogromcą Boga. Być może, po prostu Barak będzie berserkiem. Możliwe jednak, że chodzi tu o coś więcej. Być może wszystko stanie się jaśniejsze, gdy Barak dorośnie.

- Miejmy nadzieję. Wolałbym wiedzieć wcześniej, jeśli miałyby zajść jakieś istotne zmiany.

Pożegnaliśmy z powrotem do Darine, a potem udaliśmy się do Annath. Bliźniacy wrócili do Doliny. Ja rozstałem się z Pol

i ruszyłem Wielkim Traktem Północnym do Boktoru. Chciałem rzucić okiem na wuja księcia Kheldara, Rhodara, następcę tronu Drasni. Uciałem sobie z nim pogawędkę i nie rozczarowałem się. Jeszcze jako młodzieniec Rhodar był zdecydowanie pucołowaty, ale jaki bystry! Wszyscy trzej, Rhodar, Anheg i Cho-Ram, zostaną wspaniałymi królami. Moim zdaniem ich zdolności bardzo nam się przydadzą, gdy sprawy dojdą do punktu kulminacyjnego.

Wówczas niemal bez przerwy wędrowałem, więc rzadko wracałem do Doliny, by porozmawiać z bliźniakami. Pozostawaliśmy jednak w kontakcie.

Wiosną 5346 roku donieśli mi, że Pol wyruszyła na kolejną ze swych tajemniczych wypraw, a oni ją zastępują w Annath.

Wróciłem więc pospiesznie, by z nimi porozmawiać. Z Pol porozumiewałem się bez trudu, zaręczam wam, ale na Zachodzie znowu byli Murgowie, a tam gdzie są Murgowie, są i Gro-limowie, a ci mają sposoby na podsłuchanie rozmów. Zdecydowanie nie chciałem, by jakiś Gro-lim ustalił miejsce pobytu Polgary i dotarł za nią do Annath.

- Wolałbym, aby powiadomiła mnie, co zamierza robić, zamiast tak sobie po prostu zniknąć - wybuchnąłem gniewem, gdy spotkałem się z bliźniakami - Dokąd wybrała się tym razem?

- Gar og Nadrak - odparł Beltira.

- Dokąd?

- Do Gar og Nadrak. Tym razem to Kodeks Mriński kazał jej tam pojechać. Pamiętasz tych nadrackich "przyjaciół", o których mówiliśmy ci w czterdziestym dziewiątym wieku? Poszedłem tam nawet rozejrzeć się.

- Tak. - Oczywiście pamiętałem. To wówczas zdobyłem całe złoto.

- Owi "przyjaciele" właśnie się pojawili, więc Pol wybrała się do Gar og Nadrak, by ich rozpoznać.

- Ja mogłem to zrobić! - krzyknąłem w nagłym przypiływie gniewu.

- Nie tak dobrze jak Pol - zaprzeczył Belkira. - Nie krzycz na nas, Belgaracie. My tylko przekazaliśmy jej instrukcje, ale ich nie wymyśliliśmy.

Opanowałem się.

- Gdzie dokładnie jest?

- Ona i jej właściciel są w Yar Nadrak.

- Jej właściciel?

- Nie wiedziałeś? Kobiety w Gar og Nadrak uważane są za własność.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W tym samym 5346 roku w zachodniej Drasni ponownie wybuchła epidemia. Choroba miała w tej części świata charakter endemiczny. Przypuszczam, że wiązała się w jakiś sposób z mokradłami. Była wyjątkowo złośliwa. Zwykle kończyła się śmiercią, a ci, którzy przeżyli, zostali w większości groteskowo oszpeceni.

Ponieważ Pol była w Yar Nadrak, musiałem przez rok tkwić w Annath. Uważałem na Gerana, ale rzadko mieliśmy czas na ryby, gdyż inne rzeczy już mu były w głowie. Właśnie zaczął myśleć o własnym domu i gdy tylko klan Ildery był w pobliżu granicy, spędzał z nią każdą wolną chwilę. lidera była wysoka, jasnowłosa i bardzo urocza. Geran był nią zupełnie oczarowany, choć w tym wypadku i tak pewnie nie miał żadnego wyboru. Wyglądało na to, że nawet gdy Pol nie było w pobliżu, Konieczność sama potrafiła sobie radzić i wieść młodych ludzi do małżeństwa. Poczulem się dziwnie zadowolony.

Wczesnym latem 5347 roku chudy jak szczapa Drasanin, imieniem Khendon, przybył do Annath z wiadomością dla mnie. Khendon był, jak mi się zdaje, margrabią, ale miał lepsze rzeczy do robienia niż siedzenie i polerowanie swego tytułu. Szpiegostwo było gałęzią gospodarki narodowej Drasni, więc większość z członków drasańskiej szlachty zwyczajowo uczęszczała do Akademii Służb Wywiadowczych i Khendon nie był

wyjątkiem. To właśnie podczas pobytu w akademii nadawano wszystkim owe charakterystyczne przydomki. Khendona ochrzczono mianem Javelin, prawdopodobnie z powodu jego chudości. Javelin, choć nie był jeszcze bardzo stary, już był najlepszym szpiegiem. Nawet go lubiłem. On jeden na świecie potrafił zbić Silka z tropu. Już to samo czyniło go bardzo cennym. Khendon rozsiadł się wygodnie na krześle, podczas gdy matka Gerana przygotowywała kolację. Darral i Geran nadal ciężko pracowali w kamieniołomie.

- Przypadkiem byłem w Yar Nadrak, Prastary - powiedział Javelin - i twoja córka mnie wypatrzyła. Dała mi wiadomość dla ciebie. - Sięgnął pod kaftan, wyciągnął złożony i zapieczętowany kawałek pergaminu i podał mi go. - Powiedziała, że zrozumiesz, czemu wybrała ten sposób, zamiast, jak to nazwała, "innego sposobu". Co miała na myśli?

- To jedna z tych spraw, o których nie musisz wiedzieć, Javelinie - odparłem.

- Ja muszę wiedzieć prawie o wszystkim, Prastary - sprzeciwił się.

- Ciekawość może ci napytać biedy, Javelinie. Powiedzmy, że mamy tu dwa współistniejące światy. Ty zajmuj się swoim, a ja zajmę się swoim. Postarajmy się nie deptać sobie zbyt często po piętach. Wierz mi, tak będzie łatwiej. Zajmuję się tym już od bardzo

dawna, toteż wiem, co robię. - Złamałem woskową pieczęć, którą z pewnością Javelin starannie złożył po dokładnym przejrzeniu wiadomości, i przeczytałem liścik od mej córki.

“Ojczy - zaczynał się - jestem już gotowa do powrotu. Przybądź do Yar Nadrak i zabierz z sobą mnóstwo pieniędzy. Mój właściciel prawdopodobnie spodziewa się za mnie wysokiej ceny”.

- De teraz kosztują kobiety w Gar og Nadrak, Khendonie? - zapytałem chudego Drasanina.

- To zależy od kobiety, Świątobliwy - odparł - i od tego, jak dobrze potrafi targować się kupujący. Weź pod uwagę fakt, że w tym targu biorą udział trzy strony.

- Jak to?

- Kobieta również jest zainteresowana ceną, Belgaracie, ponieważ dostaje z niej połowę. Cena jest wskaźnikiem jej wartości. Twoja córka będzie obstawać przy jak najwyższej cenie, to kwestia ambicji.

- Nawet gdy ja mam płacić?

- Taki zwyczaj, Świątobliwy. Chcesz ją przecież odzyskać, prawda?

- To zależy, ile to mnie będzie kosztowało.

- Belgaracie! - Wyglądał na naprawdę zaszokowanego.

- Żartuję, Khendonie. Podaj mi jakąś przybliżoną sumę. Mam trochę dziesięciouncjowych sztabek w mej wieży. Ile powinienem ze sobą zabrać?

- Przynajmniej kilkanaście. Mniej byłoby obraźliwe.

- Masz niezłą zabawę, co?

- To ty powiedziałeś, Belgaracie. Ja tylko chcę ci jak najlepiej doradzić.

- Dzięki - powiedziałem chłodnym tonem. - Jak się nazywa jej właściciel?

- Gallak, Świątobliwy. Zajmuje się handlem skórami. Fakt, że jest właścicielem twej córki, dodaje mu nie lada splendoru, więc pewnie nie zechce jej tanio sprzedać. Posłuchaj mej rady i nie żałuj grosza.

Wstałem.

- Dopilnuj tu spraw, Khendonie. Zaraz po powrocie do Doliny przyślę bliźniaków, aby cię zastąpili.

- Będzie, jak powiedziałeś, Święty Belgaracie. Opuściłem Annath, zmieniłem się w sokoła i poleciałem

prosto do Doliny. Porozmawiałem krótko z bliźniakami, po czym zabrałem się za przeszukiwanie wieży. W końcu znalazłem stos złotych sztabek - za regałem na książki, możecie to sobie wy-

obrazić? Wetknąłem około dwudziestu z nich - dwanaście i pół funta - do sakwy. Potem ruszyłem na północ w poszukiwaniu algaraskiego klanu, który zaopatrzyłby mnie w konia. Nieraz nadużywałem w ten sposób ich uprzejmości.

Pojechałem skrajem sendaryjskiej granicy i po kilku dniach dotarłem do Brodu Aldura. Potem podążyłem Wielkim Traktem Północnym aż do grobli, która biegnie przez mokradła do Boktoru. Tam zatrzymałem się, by kupić sobie drasańskie odzienie. Potem przeszedłem bagnami do granicy Nadraku.

- Jakie masz sprawy w Gar og Nadrak? - zapytał podejrzliwie jeden ze strażników po zatrzymaniu mnie na granicy.

- Moje sprawy są moimi sprawami, przyjacielu - powiedziałem opryskliwie. - Udaję się do Yar Nadrak, by coś kupić. Następnie mam zamiar zabrać to z powrotem do Boktoru i sprzedać. Mam wszelkie niezbędne dokumenty, jeśli chcesz je zobaczyć.

- Zwyczajowo przyjęty jest jakiś datek - zasugerował z nadzieją w głosie.

- Staram się nie być niewolnikiem zwyczajów - wyjaśniłem. - Powinienem ci pewnie powiedzieć, że król Drosta jest moim osobistym przyjacielem. - Prawdę powiedziawszy, nigdy nawet nie spotkałem Drosty, ale powołanie się na znajomość z nim mogło być pomocne.

Na twarzy strażnika pojawiła się obawa.

- Ciekaw jestem, jak twój król zareaguje na wieść, że jego straż graniczna przyjmuje łapówki - dodałem.

- Nie powiesz mu chyba, prawda?

- Nie, jeśli przepuścisz mnie przez granicę bez dalszych ceregieli.

Strażnik z posępną miną podniósł bramę i pozwolił mi przejść. Mogłem pewnie mu zapłacić, ale bardzo ciężko pracowaliśmy z Rablekiem przy kopaniu tego złota i nie miałem ochoty go rozdawać.

Północnym Szlakiem Karawan podążyłem na wschód i po tygodniu dotarłem do Yar Nadrak, stolicy. Yar Nadrak jest wyjątkowo brzydkim miastem. Leży u zbiegu wschodniego i zachodniego odgałęzienia rzeki Cordu. Otaczały je bagniska, oznaczone wypalonymi czarnymi pniakami, gdyż Nadrakowie mieli zwyczaj karczowania lasów przez wypalanie. Być może miasto robiło tak niesympatyczne wrażenie, ponieważ niemal wszystko wewnątrz murów wysmarowane było dziegiem. Chronił on drewno przed zbutwieniem, ale nie dodawał mu piękna - nie wspominając o zapachu.

Pojechałem prosto na targ skór i rozpylałem o handlarza skór imieniem Gallak. Skierowano mnie do pobliskiej karczmy. To było ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym

się znaleźć Polgarę. Sala jadalna miała niski strop, podtrzymywany przez wysmarowane dziegciem słupy. Zaraz po wejściu spostrzegłem coś, co naprawdę mnie zaskoczyło. Polgara tańczyła.

Może nie była tak dobra jak Vella, ale niewiele jej ustępowała. Na nogach miała miękkie, wysokie, skórzane buty nad-rackiego kroju. Z cholewy każdego buta wystawała rękojęść sztyletu. Dwa kolejne sztylety zatknęła za pas. Ubrana była w cienką sukienkę z malloreańskiego jedwabiu - błękitnego, oczywiście - a pod nią działały się różne bardzo interesujące rzeczy, gdy jej stopy śmigały w zawiłych krokach tańca.

Bywalcy karczmy zachęcali ją, co mnie wprawiło w wojowniczy nastrój. Mam wrażenie, że przez całe tysiąclecia wpadałem w wojowniczy nastrój na widok mężczyzn zbyt zainteresowanych Pol. Czyż jednak ojcowie nie powinni się tak czuć?

Polgara zakończyła taniec owym dumnym, zmysłowym krokiem, który jest tradycyjnym finałem tańca nadrackiej kobiety. Goście zgotowali jej owację. Potem wróciła do stołu, przy którym siedział dumny jak paw mężczyzna, zapewne jej właściciel. Był Nadrakiem w średnim wieku, o pociągłej twarzy.

Krój i jakość jego ubioru świadczyły o znacznej zamożności. Zauważyłem, że bardzo starannie starał się trzymać ręce przy sobie, gdy Pol usiadła przy stole. Najwyraźniej doskonale wiedziała, jak posłużyć się tymi sztyletami.

Przecisnąłem się przez tłum gości do jego stołu.

- Masz niezłą kobietę, przyjacielu - zagadnąłem go. - Nie chciałbyś jej sprzedać? - zapytałem bez ogródek, Nadrakowie zwykli bowiem od razu przechodzić do rzeczy.

Nadrak otaksował mnie wzrokiem.

- Jesteś Drasaninem, prawda? - wywnioskował po moim odzieniu.

- Zgadza się - odparłem.

- Nie wiem, czy miałbym ochotę sprzedać ją Drasaninowi.

- Interes jest interesem, Gallaku - rzekłem - a moje pieniądze są równie dobre jak każde inne. - Potrząsnąłem przyniesioną sakwą.

- Skąd znasz moje imię? - zapytał.

- Rozpylałem się - odparłem.

- Nie jesteś trochę za stary na tak piękną kobietę?

- Nie kupuję jej dla siebie, Gallaku. Chcę ją ofiarować następcy tronu, Rhodarowi, jako prezent z okazji wstąpienia na tron Drasni. Nigdy nie zawadzi człowiekowi interesu mieć w królu dłużnika.

- To szczerza prawda - przyznał - ale Rhodar jest Alornem. Skąd przypuszczenie, że

będzie zainteresowany nadracką kobietą?

- Nie znasz Rhodara, jak widzę. On ma ogromny apetyt -na wiele rzeczy.

- Może go stracić, gdy Polanna wypruje mu flaki za zbytnią poufałość. Bardzo zręcznie posługuje się sztyletami.

- To jej imię? Gallak skinął głową.

- A ile chciałbyś mi za nią zaproponować? Pytam tak z czystej ciekawości.

Sięgnąłem do sakwy, wyciągnąłem jedną ze sztabek złota i położyłem przed nim na stole.

Polgara obserwowała nas bardzo uważnie.

- Absolutnie nie wchodzi w grę - warknęła. - Potrzebowałbyś dwudziestu takich, żeby mnie kupić. Powiedz mu, żeby sobie poszedł, Gallaku.

Gallak jednak uważnie oglądał sztabkę.

- Nie spiesz się tak, Pol - powiedział. -To złoto doskonałej jakości. Powiedziałbym, że niemal czyste. - Zerknął na mnie spod oka. - Jak je zdobyłeś, przyjacielu?

- Kilka lat temu zajmowałem się trochę poszukiwaniem -odparłem. - Mój partner i ja znaleźliśmy strumień pełny tego po brzegi.

Na te słowa oczy mu rozblęły.

- Chciałbym zobaczyć ten strumień - powiedział.

- Wielu by chciało, ale ja trzymam jego położenie w tajemnicy. No to jak? Podasz swoją cenę?

- Polanna właśnie to uczyniła. Dwadzieścia sztabek.

- Pięć - odparowałem.

- Mógłbym zejść do piętnastu.

- To śmieszne! - krzyknąłem. - Za piętnaście sztabek mógłbym kupić całą karcznię ze wszystkimi w środku. Bądź realistą, przyjacielu. W końcu to tylko kobieta.

Targowaliśmy się tak około godziny. Z każdą chwilą twarz Polgary przybierała coraz bardziej kamienny wyraz. W końcu stanęło na dwunastu. Potem splunęliśmy w dłonie, uścisnęliśmy je i targ został dobity. Wstałem.

- W porządku, dziewczyno - rzekłem do córki. - Jedźmy do Drasni.

- Muszę zabrać rzeczy - odparła, zgarniając swoją część złota.

- Zostaw je.

- Za nic, staruszk. Kupiłeś mnie. Ale nie kupiłeś władzy nade mną. Dom Gallaka jest niedaleko stąd. To nie zajmie mi

wiele czasu. - Odwróciła się i wyszła z karczmy, odprowadzana spojrzzeniami

wszystkich gości.

- Ma charakterek, co? - zauważyłem oględnie.

- W rzeczy samej - przyznał Gallak. - Jeśli mam być szczery, przyjacielu, to rad jestem, że się jej pozbyłem. Znasz swojego przyszłego króla lepiej ode mnie, ale może powinienesz zastanowić się nad innym prezentem. Po kilku tygodniach z Polgarą jego wdzięczność może zdecydowanie osłabnąć.

- Ona będzie w sam raz, Gallaku. Robienie z tobą interesu było czystą przyjemnością. - Wziąłem o wiele lżejszą sakwę i wyszedłem na ulicę.

Polgara, gdy wróciła, zmroziła mnie wzrokiem.

- Twój występ nie był zbyt zabawny, staruszk - oświadczyła. - Zostałam znieważona.

- A ja myślałem, że poradziłem sobie całkiem dobrze. Czy zechcesz oddać mi moje złoto?

- Nie, ojcze. To złoto jest teraz moje. Westchnąłem.

- Dobrze, Pol. - Podałem się. - Skoro tak uważasz. Poszukajmy stajni. Kupię ci konia i możemy ruszać.

Po wyjechaniu za mury Yar Nadrak mogliśmy porozmawiać bardziej otwarcie.

- Znalazłeś ludzi, których szukałeś? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła. - W przeciwnym razie nie posłałabym po ciebie.

- Kim oni są?

- Jednym jest sam Drosta Lek Thun.

- Król Nadraku? - To było zaskoczenie. Polgara skinęła głową.

- Drosta to bardzo skomplikowany gość. Wygląda na to, że szuka okazji do wydostania się spod wpływów Grolimów. Chce zamienić swoje królestwo w państwo świeckie. Jest przewrotny i nie uznaje żadnych zasad, ale dla swego kraju chce jak najlepiej.

- Kim jest drugi?

- Gość o imieniu Yarblek. Zdaje się, że jest potomkiem kogoś, kogo znałeś.

- Masz na myśli Rableka?

- Oczywiście. Nic nie dzieje się przypadkowo, ojcze. Skrzywiłem się.

- Jestem już tym zmęczony - powiedziałem.

- Myślałam, że się do tego przyzwyczaiłeś. Yarblek to człowiek interesów - w pewnym sensie. Jest młody, ale już tak pozbawiony wszelkich skrupułów, że cieszy się niezłą reputacją. Myślę, że pomoże nam, gdy przyjdzie czas - jeśli cena będzie odpowiednia. Masz chyba jeszcze więcej tego złota, ojcze?

Północnym Szlakiem Karawan podążyliśmy na zachód w kierunku granicy z Drasnią.

Nastała już jesień. Liście brzoź i osik zaczynały się złocić. To zawsze był piękny widok, ale zwiastował nadejście zimy, a my mieliśmy jeszcze do przejścia góry wokół Yar Gurak.

Spieszyliśmy się, ale po dotarciu do gór szczęście nas opuściło. Wczesna zamieć spadła od strony Morindlandu i pogrzebała nas pod głębokim na pięć stóp śniegiem. W gęstym sosnowym zagajniku skleciłem prowizoryczny szałas i w nim przeczekałszy zadymkę. Po trzech dniach burza śnieżna ucichła i ruszyliśmy dalej. Posuwaliśmy się bardzo wolno i wczesnym przedpołudniem humor Pol zaczął się wyraźnie pogarszać.

- To niedorzeczne, ojcze! - warknęła. - Mamy inne sposoby na dostanie się tam, gdzie chcemy.

Pokręciłem głową.

- Jesteśmy na terytorium Angaraków, Pol, a to oznacza obecność Grolimów. Nie róbmy hałasu, gdy nie musimy. Poradzimy sobie, jeśli pogoda się utrzyma.

Ale oczywiście nie utrzymała się. Kolejna zadymka deptała już pierwszej po piętach i znowu musiałem zbudować szałas.

Następnego dnia, późnym rankiem, mieliśmy gościa. Zawierucha szalała wokół naszego prowizorycznego schronienia,

a śnieg padał tak gęsty, że nie widzieliśmy dalej niż na dziesięć stóp. Wtem zza śnieżnej zasłony dobiegł głos.

- Hej, tam w obozie. Wchodzę. Nie denerwujcie się. Wyglądał na starca, szczupłego i żyłastego, jego splecione

włosy były równie białe, jak śnieg wokół nas. Po uszy opatulił się w skóry, twarz miał smagłą, ogorzałą i pooraną zmarszczkami. Jednakże jego niebieskie oczy nie sprawiały wrażenia starych.

- Wpakowaliście się w kłopoty, co? - zauważył, brnąc ku nam w śniegu. - Nie czuliście, że nadchodzi zamieć?

Wzruszyłem ramionami.

- Myśleliśmy, że ją wyprzedzimy.

- W tych górach niewielka na to szansa. Dokąd zmierzacie?

- Do Drasni.

- Nigdy tam nie dotrzecie. Za późno wyruszyliście. Zdaje się, że będziecie musieli tutaj prezimować.

- To niemożliwe - powiedziała Pol.

- Znam te góry, dziewczyno. Dalej już przed wiosną nie dotrzecie. - Spojrzał na nas spod oka, po czym westchnął. - Chyba nie ma rady. Chodźcie ze mną. - Nie wydawał się z

tego powodu zbyt szczęśliwy.

- Dokąd? - zapytałem.

- Zimuję w jaskini o milę stąd. Nie jest wielka, ale lepsza od tej waszej lichoty. Chyba jakoś zniosę towarzystwo przez zimę. Przynajmniej będę miał z kim porozmawiać. Mój osioł całkiem dobrze słucha, ale nieczęsto odpowiada, gdy coś do niego mówię.

Z pewnością Garion i Silk pamiętają tego starca. Natknęliśmy się na niego w tych samych górach wiele lat później, po drodze do Cthol Mishrak.

Nigdy nie powiedział nam, jak się nazywa. Jestem pewny, że kiedyś miał jakieś imię, ale całkiem możliwe, że zapomniał. W czasie tej nie kończącej się zimy dużo mówił, ale niewiele

było treści w jego słowach. Domyśliłem się, że spędził życie na poszukiwaniu złota w tych górach, ale miałem wrażenie, że nie szukał go zbyt intensywnie. Po prostu lubił przebywać wśród szczytów.

Chyba nigdy nie znałem nikogo, kto jednym spojrzeniem potrafił tak wiele zobaczyć, jak ten starzec. Od pierwszego wejrzenia wiedział, że nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, ale jeśli miał na ten temat jakąś opinię, to zatrzymał ją dla siebie.

Lubiłem go i myślę, że Pol również. Drażniło ją jednak, że trzymał swego osła i nasze konie w jaskini razem z nami. O ile sobie przypominam, sporo na ten temat rozmawiali tamtej zimy.

Tak jak przewidywał, zamiecie szalały, a zasyły stawały się coraz głębsze. Oczywiście obaj polowaliśmy i bardziej niż trochę przejadła mi się dziczyna. Pol zajęła się gotowaniem, ale nawet jej wyczerpały się pomysły, nim zima dobiegła końca.

Nie rozmawiałem z nią o tym, ale mimo niechęci Pol do tej małej bestii, osioł starca bardzo ją polubił. Swoją sympatię okazywał, trącąc ją łbem, zwykle w najmniej spodziewanych momentach. Może myślał, że zaskakiwanie było zabawne. Potem, gdy już wydawało się, że zima będzie trwać wiecznie, nasz gospodarz stanął pewnego dnia w wejściu do jaskini i wciągnął powietrze.

- Już prawie ma się ku końcowi - powiedział nam. - Nim dzień się skończy, powieje ciepły wiatr od Drasni i przepędzi cały śnieg, ani się obejrzyście. Rzeka przybierze, ale pod koniec tygodnia będzie już można bezpiecznie podróżować. Przyjemność sprawiło mi wasze towarzystwo, ale zbliża się czas rozstania.

- W którą stronę ruszysz, gdy pogoda się poprawi? - zapytała go Pol.

Starzec podrapał się po głowie.

- Jeszcze nie postanowiłem - odparł. - Może na południe, a może z powrotem w

kierunku Morindlandu. A może po pro-

stu zobaczę, w którą stronę zawieje wiatr, gdy przyjdzie czas ruszać, lub decyzję zostawię osłu. To dla mnie bez znaczenia, dopóki pozostają w górach.

Jego przepowiednie co do zmiany pogody okazały się bardzo trafne i pod koniec tygodnia pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę. Pod drzewami nadal piętrzył się śnieg, ale szlak był w większości czysty. Po czterech dniach dotarliśmy do granicy Drasni, a tydzień później do Boktoru.

Epidemia, o której wspominałem wcześniej, przeszła przez zachodnią Drasnię. Jej ofiarą padł ojciec Rhodara i matka Silka. Król umarł, ale matka Silka przeżyła. Choroba straszliwie ją oszpeciła, ale także odebrała wzrok, więc nie mogła w lustrze zobaczyć swej okaleczonej twarzy. Silk ze swym ojcem nigdy jej o tym nawet nie wspomnieli.

Zostaliśmy z Pol na koronacji Rhodara, a potem kupiłem łódź, byśmy mogli popłynąć w dół rzeki Mrin i przez mokradła. Nie przepadałem zbyt za bagnami, ale na Wielkim Trakcie Północnym było o tej porze zbyt wielu podróżnych.

Zimy potrafią dać się we znaki, ale bywa, że wiosna jest jeszcze gorsza - szczególnie na mokradłach. Zaczęło padać tego dnia, gdy wyruszyliśmy z Pol z Boktoru i padało bez przerwy przynajmniej przez tydzień. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie było przypadkiem jakiegoś drugiego zaćmienia, które zakłóciło pogodę.

Zapewne każdy z was kiedyś przeprowadzał się przez mokradła, jako że nie można inaczej dostać się do Boktoru od zachodu. Jednak tym z was, którzy tego nie robili, wystarczy powiedzieć, że to rozległe bagniska pomiędzy rzekami Aldura i Mrin. Pełno na nich sitowia, bazi, płaczących wierzb moczących swe wiotkie gałązki w wodzie. Obie rzeki, choć płynęły bardzo leniwie, zapewniały powolny ruch wody, dzięki czemu nie była zastała. Zwyczajowym sposobem przeprowadzania się przez mokradła jest odpychanie się od dna żerdzią. Wiosłowanie na niewiele się tu zda, gdyż wiele kanałów jest zbyt wąskich. Nie lubię w ten sposób pływać łodzią, ale na mokradłach nie ma zbyt wiele wyboru.

- Chyba w Boktorze powinniśmy nająć do przeprowadzenia jakiegoś kupca - powiedziałem markotnie pewnego deszczowego ranka. - Mogliśmy już być w połowie drogi do Darine.

- No cóż, teraz już zbyt późno, by zawracać, ojcze - doszła do wniosku Pol. - Pchaj dalej.

Zaczęliśmy spotykać błotniaki - całkiem sporo błotniaków - a potem, ku memu absolutnemu zdumieniu, gdy wypłynęliśmy z zakrętu kanału, naszym oczom ukazał się dom!

Prawdę powiedziawszy, była to raczej chatka z wysuszonych drewnianych bali, pokryta strzechą. Stała w zagajniku płaczących wierzb na wysepce, która łagodnie wynurzała się z

otaczającej wody.

Gdy przepchałem łódź bliżej, jeden z błotniaków, który płynął przodem, wygramolił się na błotnisty brzeg wysepki, niczym wydra, pognął w podskokach do drzwi chatki i zaświergo-tał nagłaco.

Wtem drzwi chatki otworzyły się i stanęła w nich kobieta. Przyglądała się nam ponuro przez strugi deszczu.

- Witajcie w domu Vordai - zwróciła się do nas, ale w tonie jej głosu niewiele było z serdecznego powitania.

- Jestem nieco zaskoczony, że ktoś żyje w takim miejscu -zawołałem do niej.

- Są po temu powody - odparła. - Możecie wejść do środka, przynajmniej dopóki nie przestanie padać.

To nie było najuprzejmniejsze zaproszenie, ale w mej głowie coś jakby kliknęło. Wiedziałem już, że powinienem przyjąć to zaproszenie, bez względu na to, jak było nieuprzejme.

Wyszliśmy z Pol na brzeg.

- Więc ty jesteś Vordai - odezwała się Pol do kobiety stojącej w drzwiach chatki.

- A ty pewnie jesteś Polgara - odparła kobieta.

- Zdaje się, że coś tu przeoczyłem - powiedziałem.

- Znamy się ze słyszenia, ojczy - odparła Pol. -Vordai nazywają Wiedźmą z Bagien. Jest wyrzutkiem, a to jedyne miejsce w Drasni, w którym jest bezpieczna.

- Pewnie dlatego, że drewno jest tu za mokre, by palić ludzi na stosie - dodała właścicielka chatki z pewną goryczą. -Wejdźcie do środka, oboje. -Wiedźma z Bagien była bardzo stara, ale jej twarz nadal nosiła ślady oszałamiającej urody, choć szpeciły ją wykrzywione goryczą usta. Życie nie obeszło się z nią łaskawie.

Każdy, kto spędził jakiś czas w Drasni, musiał słyszeć o Wiedźmie z Bagien. Ja zawsze uważałem te opowieści za bajki i zapewne większość z nich nimi była. Vordai zdecydowanie nie była czarownicą. Z całą pewnością nie zwabiła nieostrożnych podróżnych na grzędzawiska. Pewne wydarzenia z przeszłości przyczyniły się do jej zubożenia.

Wnętrze chatki było niezwykle schludne. Nisko nad głowami zwieszał się ciężki, belkowany sufit, a drewnianą podłogę wyszorowano do białości. Nad ogniem zawieszono garnek; w wazonie na stole stał bukiet polnych kwiatów, a w oknach wisiały zasłonki.

Vordai miała na sobie prostą brązową suknię. Lekko utykała. Wyglądała na zmęczoną.

- A więc to jest sławny Belgarath - rzekła, zabierając nasze mokre płaszcze. Rozwiesiła je w pobliżu ognia.

- Rozczarowuje, nieprawdaż? - powiedziała Pol.

- Nie - odparła Vordai - nie bardzo. Wygląda tak, jak się spodziewałam. - Wskazała na stół. - Usiądźcie. Myślę, że stawy starczy dla wszystkich.

- Wiedziałaś o naszym nadejściu, prawda, Vordai? - zapytała Pol.

- Naturalnie. W końcu jestem wiedźmą.

Przez otwarte drzwi wszedł błotniak i stanął na swych krótkich, tylnych łapach. Zaświergotał w ów osobliwy sposób wszystkich błotniaków.

- Tak - powiedziała do stworzenia Vordai - wiem.

- A zatem to prawda - powiedziała tajemniczo Pol, przyglądając się uważnie zwierzęciu.

- Wiele niezwykłych spraw jest prawdą, Polgaro - odparła Vordai.

- Nie powinnaś się wtrącać w ich życie.

- Nie zrobiłam im krzywdy. Za to odkryłam, że wtrącanie się w życie ludzi może być bardzo niebezpieczne. Wolę towarzystwo błotniaków niż swych pobratymców.

- Są przynajmniej czystsze - przyznała Pol.

- Dlatego, że częściej się kąpią. Deszcz powinien niebawem przejść i będziesz mogła ze swym ojcem popłynąć dalej. A teraz proponuję śniadanie. Na tym moja gościnność się kończy.

Było wiele spraw, których do końca nie rozumiałem. Najwyraźniej Polgara w swych studiach zgłębiła również czary, obszar całkowicie mi nie znany. Pomiędzy Pol i Wiedźmą z Bagien musiało dojść do wymiany, której ja nie zrozumiałem. Zrozumiałem wszakże jedno: Vordai była samotną starą kobietą, którą w przeszłości bardzo źle potraktowano.

I coś się tak Garionie zawziął? Tak, w istocie, było mi żal Vordai - prawie tak jak Illesy. W końcu nie jestem potworem. Jak myślisz, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, gdy ty, Silk i ja przeprawialiśmy się przez bagna w drodze do Cthol Mishrak? Z pewnością nie dlatego, iż nie potrafiłem wymyślić innego sposobu.

Tak jak przewidziała Vordai, około południa przejaśniło się. Włożyliśmy z Pol wysuszone płaszcze i wróciliśmy do naszej łodzi.

Vordai nawet nie pofatygowała się, by nas odprowadzić.

Przepchnąłem łódź żerdzią za następny zakręt krętego kanału. Samotna chatka na środku bezkresnych mokradeł zniknęła nam z oczu, a w oczach Pol zalśniły łzy. Uznałem za stosowne nie zadawać pytań. Gdy okoliczności tego wymagały, Poi potrafiła być absolutnie bezlitosna, ale nie była niehumanitarna.

Wydostaliśmy się z bagien w pobliżu Brodu Aldura i pieszo poszliśmy wzdłuż wschodniej granicy Sendarii, aż do znaczonego kolejnymi szlakami, który wiodł do Annath.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy na rubież miasteczka, gdzie w pobliżu kamieniołomu czekał na nas Geran.

- Dzięki Bogom! - zawołał żarliwie. - Bałem się, że nie zdążycie wrócić na ślub!
- Jaki ślub? - zapytała ostro Pol.
- Mój - odparł Geran. - Żenię się w przyszłym tygodniu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ślub Gerana i Ildery odbył się późną wiosną roku 5348. Cale Annath zrobiło sobie z tej okazji dzień wolny od pracy. Klan Ildery nie pozostał z tyłu, jego odziani w skóry członkowie tłum- nie przeszli przez granicę, by wziąć udział w weselu.

Trochę spierano się o to, kto ma przeprowadzić ceremonii, Ildera była Algarką, więc kapłan Belara, który zajmował się zaspokojeniem duchowych potrzeb klanu, uznał, że to on powinien poprowadzić ceremonię. Jednakże miejscowy kapłan ostro zaprotestował. W tym momencie wkroczyła Polgara i załagodziła spór - przynajmniej powierzchownie - proponując proste rozwiązanie. Zamiast jednej, odbędą się dwie ceremonie. Dla mnie nie miało to najmniejszego znaczenia, więc się nie wtrącałem.

Pomiędzy matką Gerana, Alarą, i matką Ildery, Olane, również doszło do pewnych tarć. Ojciec Ildery, Grettan, był w końcu wodzem klanu, a to w społeczności Algarów odpowiadało szlachetnemu pochodzeniu. Geran zaś był synem zwykłego kamieniarza. Olane nie ukrywała więc, że jej zdaniem córka popełnia mezalians. To mocno zraziło Alarę. Pol musiała stanowczo wyperswadować jej ujawnienie pochodzenia syna. Nie było potrzeby, by wiedzieli o tym inni. Zdaje się, że nieporozumienia pomiędzy matkami młodych przysparzały Poi w ciągu stuleci więcej trosk niż sam Chamdar.

Wiejskie wesela są zazwyczaj nieformalnymi uroczystościami. Pan młody zwykle bierze kąpiel, najczęściej przywdziewa czystą koszulę i to wszystko. Jednakże z powodu zadzierania nosa przez Olane, Alara przetrząsnęła całe Annath w poszukiwaniu wykwintnego stroju dla swego syna. Przypadkiem dowiedziała się, że miejscowy brukarz ma na stryszku stary, zakurzony, purpurowy kubrak. Tak długo męczyła biedaka, aż w końcu zgodził się pożyczyć go Geranowi. Alara wyprała go i zmusiła mego wnuka do przywdziania go na tę szczęśliwą okazję.

Kubrak nie leżał na nim jednak najlepiej i Geran cały czas próbował go poprawiać.

- Zostaw go, Geranie - powiedział ojciec, gdy we trzech czekaliśmy na rozpoczęcie ceremonii. - Podrzesz go.

- Nie rozumiem, po co w ogóle musiałem włożyć tę idiotyczną rzecz, ojciec - skarżył się Geran. - Miałem przecież zupełnie dobrą tunikę.

- Twoja matka chciała, abyś dobrze prezentował się przy Algarach - rzekł Darral. - Nie sprawmy jej zawodu. Ma teraz pewien mały problem, więc bądźmy dla niej mili. Zrób to dla swego ojca, Geranie. Ty od dziś przejdziesz na własny garnuszek, ale ja dalej będę musiał

jeść to, co przygotuje twoja matka. Nie zdejmuj kubraka, chłopcze. Wytrzymasz w nim kilka godzin i tym samym ułatwisz mi życie.

Geran pomruczał trochę i zaczął znowu, zwyczajem wszystkich panów młodych, nerwowo spacerować.

Ponieważ pogoda była ładna i spodziewano się wielu gości, ślub odbył się na uroczej, ukwieconej łące na przedmieściach Annath. We właściwym czasie doprowadziliśmy z Darralem naszego nerwowego pana młodego przed ołtarz wzniesiony na środku łąki. Stali przy nim obaj kapłani, spoglądając groźnie na siebie. Po wyrazie ich twarzy widziałem, że rada Pol nie usunęła wszystkich rozbieżności.

Najbliższe rodziny młodej pary siedziały na ławkach, pozostali goście stali. Wszyscy Sendarowie włożyli odzienie w odcieniach brązu i ustawili się po jednej stronie. Algarowie byli odziani w czarne końskie skóry i zajęli drugą stronę. Zauważyłem, że spoglądali na siebie mało przyjaźnie. Wrogie nastawienie Olane i Alary najwyraźniej podzieliło weselną gości na dwa obozy.

Na ogół mieszkańcy Annath byli kamieniarzami, więc nie było wśród nich biegłych muzykantów. Algarowie zaś byli tak niemuzycalni, że większość z nich nie potrafiła zaśpiewać jednej nuty bez fałszowania. Pol wzięła to pod uwagę i mądrze postanowiła obyć się bez tradycyjnego marsza weselnego. I tak już mieliśmy dość kłopotów. Jakaś przypadkowa uwaga początkującego krytyka muzycznego mogłaby doprowadzić do wybuchu walki jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii.

Ilderę poprowadził do ołtarza ojciec, Grettan. Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył, że niczego nie pragnął bardziej niż końca dnia. Panna młoda, ubrana cała na białą, z wiankiem wiosennych kwiatów na jasnych włosach, promieniała. Oblubienice promienieją, a oblubieńcy są nerwowi, zauważyliście to? I kto tu naprawdę rządzi światem?

Polgara - naturalnie cała ubrana na niebiesko - szła zaraz za lidera i Grettanem. A choć powinno to być szczęśliwe wydarzenie, jej twarz miała bardzo surowy wyraz. W powietrzu wisiała awantura i Pol chciała, by wszyscy zrozumieli, że nie pozwoli na żadne głupstwa.

Podwójna ceremonia zdawała się ciągnąć bez końca. Jestem pewny, że Geran tak to odbierał. Najpierw kapłan algarski błagał o błogosławieństwo Belara. Z kolei kapłan sendaryjski błagał o błogosławieństwo każdego z pozostałych sześciu Bogów. Staralem się nie okazywać rozbawienia, gdy przeszedł do Toraka. Nie miałem wątpliwości, że Torak, nawet gdyby nie spał, nie odpowiedziałby, jako że ten ślub z wszelkimi następstwami zdecydowanie nie sprawiłby mu radości. Sendarowie jednak są wyznawcami szeroko pojętego ekumenizmu, więc w swych religijnych obrzędach powszechnie uwzględniają

wszystkich siedmiu Bogów.

W końcu ceremonia dobiegła końca i państwo młodzi się pocałowali. Potem rozpoczęła się uczta weselna, którą Pol przygotowała osobiście. Wznoszono wiele toastów za zdrowie nowożeńców. O zachodzie słońca każdy, kto jeszcze był na tyle trzeźwy, odprowadził szczęśliwą parę pod drzwi domu, który zbudował Geran.

Potem, gdy nad Annath zapadł wieczór, przyszła kolej na bijatyki.

Podsumowując, było to całkiem udane wesele.

Noc spędziłem w domu Darrala. Następnego ranka Pol obudziła mnie o wschodzie słońca.

- Co to były za wrzaski i hałasy ostatniej nocy? - zapytała.

- Weselni goście świętowali.

- Doprawdy? To mi wcale nie wyglądało na świętowanie.

- Wesela to bardzo emocjonujące wydarzenia, Pol, a zeszłego wieczoru powietrze pełne było przeróżnych emocji.

- To mi wyglądało na ogólną bijatykę, ojczy.

- Żadne wesele nie obejdzie się bez kilku bójek. One upamiętniają wydarzenie.

- Dużo było ofiar śmiertelnych?

- Żadna, o której bym wiedział. Gadatliwy kapłan Belara nie będzie mógł przez jakiś czas odprawiać długich nabożeństw, przynajmniej dopóki nie zagoi mu się złamana szczęka.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jakie masz plany?

- Myślę, że wrócę do Doliny. Ten ślub był pewnego rodzaju WYDARZENIEM, które być może odsłoniło kilka kolejnych szczegółów w Kodeksie Mrińskim. Poza tym lepiej, abym się wyniósł z Annath. Chamdar jest teraz w Tolnedrze, ale z pewnością jego Grolimowie węszą wokół i nie chciałbym zwracać na siebie uwagi.

- Mądra decyzja. Pozdrów ode mnie bliźniaków.

- Pozdrowię.

Ubrałem się, pospiesznie zjadłem śniadanie i powlokłem się na drugi koniec jedynej ulicy Annath, aby złożyć swoje uszanowanie nowożeńcom. Geran miał na twarzy ów wystraszonego wyraz, który zawsze mają młodzi mężowie, a lidera, podobnie jak wszystkie świeżo upieczone żony, wciąż się rumieniła. Uznałem to za pomyślny znak. Potem opuściłem Annath i ruszyłem do Doliny.

Po powrocie do domu niczym się specjalnie nie zajmowałem. Coś bardzo ważnego miało się wkrótce wydarzyć i niecierpliwe oczekiwanie nie pozwalało mi się skupić. Pomimo największych wysiłków, bliźniakom nie udało się wydobyć nic znaczącego z Kodeksu

Mrińskiego. Przyjaciół Gariona, jak reszta z nas, zdawał się czekać na stosowną chwilę.

Czasami wydaje mi się, że większość życia spędziłem na wyczekiwaniu stosownej chwili.

Następnej zimy Beldin wrócił do domu. Ja nie bardzo przepadam za podróżowaniem zimą, ale Beldin nigdy nie dbał o pory roku - zapewne wiązało się to z jego osobliwym dzieciństwem. Dla zabicia czasu czytałem właśnie prastary melceński poemat epicki, opiewający przygody jednego z ich narodowych bohaterów, półgłówka, który wypłynął w morze na małej łódce i u wschodniego wybrzeża Mallorei odkrył Wyspy Melceńskie.

- Belgaracie! - zawołał do mnie z dołu mój pokraczny brat. - Otwórz te swoje głupie drzwi!

Podszedłem na szczyt schodów.

- Otwórz się! - rzekłem do płaskiego głazu, który bronił niepokodnie dostępu do przedsionka mej wieży. Kamień gładko przesunął się i Beldin wszedł.

- Po co zamykasz te durne drzwi? - zapytał z wyrzutem, otrzepując nogi ze śniegu.

- Pewnie z przyzwyczajenia - odparłem. - Chodź na górę. Beldin kuśtykał po schodach.

- Czy ty tu nigdy nie posprzątasz? - zapytał, spoglądając

na bałagan, do którego tak się przyzwyczailem, że nawet go nie zauważałem.

- Zabiorę się do tego - kiedyś. Co cię w końcu skłoniło do zejścia z tej grzędy w południowym Cthol Murgos?

- Trzęsienie ziemi, prawdę powiedziawszy. Czy ostatniej wiosny wydarzyło się coś znaczącego?

- Geran i lidera pobrali się.

- Jeśli bliźniacy mają rację, to prawdopodobnie jest najbardziej znaczące wydarzenie od czasów Vo Mimbre. Stąd chyba trzęsienie ziemi.

- Czy obudziło Toraka?

- Z tego, co wiem, nie. W każdym razie nie zamienił w kupę gruzu swej jaskini. Jak udało się wesele?

- Nieźle. Sama ceremonia była nudna, ale bójki owszem, owszem.

- Szkoda, że je przegapiłem - powiedział ze swym paskudnym uśmiechem. - Czy lidera jest już w ciąży?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czemu to tyle trwa?

- Zdaje się, że to sprawa Konieczności. Narodziny Pogromcy Boga będą jednym z tych WYDARZEŃ, dla których czas ma decydujące znaczenie. lidera nie zajdzie w ciążę, dopóki

Konieczność nie uzna, że chwila jest odpowiednia. Czy Ze-dar wrócił do tej grotty?

- Jeszcze nie. Pewnie włóczy się gdzieś. Czy bliźniacy dowiedzieli się, czego on szuka?

- Nie. Przynajmniej nie powiedzieli mi o tym.

- Pewny jesteś, że to Geran będzie ojcem tego, na którego czekamy?

- Tak im się zdaje. W każdym razie wydarzy się to w tym stuleciu.

- Czas najwyższy!

- Cierpliwość nigdy nie była twoją mocną stroną, bracie. Czemu tyle czasu zajęło ci dotarcie tutaj z Cthol Murgos?

- Poszedłem się rozejrzeć. W Mallorei panuje niepokój. - Tak?

- Zakatha koronowano na cesarza, co z jakiegoś powodu tak wystraszyło Taura Urgasa, że postanowił podjąć odpowiednie kroki.

- Czemu Taura Urgas tak obawia się Zakatha?

- Taur Urgas jest szaleńcem, Belgaracie, a szaleńcy nie potrzebują wytłumaczenia swych czynów czy myśli. Zakath jest bardzo ambitnym młodzieńcem i agenci Taura Urgasa w Mallorei bacznie go obserwują. Mallorea to wielki obszar, ale chyba bardzo nęci Zakatha myśl o zostaniu władcą wszystkich Angaraków. Wieść o tym przeniknęła do Rak Goska. Zdaje się, że bardzo niepokoi to Taura Urgasa. Mallorea jest przynajmniej dwukrotnie większa od Cthol Murgos i ma prawie pięć razy tyle mieszkańców. Jeśli Zakath uzna, że chce władać angarackim światem, to Taur Urgas niewiele będzie mógł zrobić, by mu w tym przeszkodzić.

- Przy odrobinie szczęścia może zobaczymy powtórkę z wydarzeń na Pustyni Araga tuż przed bitwą pod Vo Mimbre.

- Nie miałbym takiej nadziei, Belgaracie. Tylko patrzeć, jak Torak się obudzi. Co prawda Stara Spalona Gęba co najmniej dorównuje pod względem szaleństwa Taurowi Urgasowi, ale ma bardzo dobrą pamięć. Nie pozwoli, by Taur Urgas i Zakath, podobnie jak ostatnim razem Ctuchik i Urvon, pokrzyżowali mu plany.

- Powiedziałeś, że Taur Urgas podjął kroki. Co takiego zrobił?

- Chyba już ci mówiłem, że Zakath udał się do Melceny, by podjąć studia na tamtejszym uniwersytecie. Melcena zrobiła na nim wielkie wrażenie. Mai Zeth bardziej przypomina obóz wojskowy niż miasto, ale Melcena jest bardzo cywilizowanym i wykwinnym miejscem. Zakath, jako następca tronu Mallorei, był zapraszany do najlepszych domów w mieście. Przedstawiono go pewnej wysoko urodzonej melceńskiej panie w je-

go wieku. Zupełnie stracił dla niej głowę. - Beldin westchnął. - Gdyby pozostawiono sprawy samym sobie, zapewne zmieniłby się bieg historii. Dziewczyna była piękna i

inteligentna. Mogłaby mieć ogromny wpływ na Zakatha.

- Co się stało?

- Właśnie do tego dochodzę. W tym momencie do akcji wkroczył Taur Urgas. Jego agenci donieśli mu o powiązaniach Zakatha z melceńską panną oraz o tym, że dziewczyna należała do wysoko postawionej, ale po uszy tkwiącej w długach rodziny. Taur Urgas jest szalony, ale nie głupi. Natychmiast dostrzegł możliwości wynikające z tej sytuacji. Rozkazał swym ludziom w Melcenie po cichu wykupić owe długi. Gdy zaś już został właścicielem zobowiązań, mógł wywierać nacisk na rodzinę panny.

- Co chciał przez to osiągnąć?

- Zakath wstąpił na tron, gdy miał osiemnaście lat. W Melcenie powszechnie wiadomo było, iż w powietrzu wiszą oświadczyzny. Taur Urgas jest Murgiem, więc nie miał zielonego pojęcia o cechach melceńskiej natury. Kobiety murgoskie nie uczestniczą w życiu publicznym, siedzą w domach, nie mają żadnego wykształcenia i robią, co im rodzina każe. Od kołyski wbija się im do głowy posłuszeństwo. Murgoska dziewczyna poderznęłaby sobie gardło, gdyby tak kazał jej ojciec. Melceńskie dziewczęta mają więcej charakteru, ale Taur Urgas o tym nie wiedział. Założył po prostu, że panna robi, co każe jej rodzina. Poleciał swym ludziom w Melcenie przekazać rodzinie dziewczyny bardzo szczegółowe instrukcje i postraszyć ściąganiem długów, jeśli nie będą posłuszni. Rodzina robiła, co mogła, by zdobyć pieniądze. Potrzebowali jednak więcej czasu, więc udali, że przystają na plan Urgasa.

- To mi zaczyna przypominać marną arendzką tragedię, Beldinie - zauważyłem.

- Jeszcze gorzej. Plan Taura Urgasa był bardzo prosty. Wysłał swemu siostrzeńcowi w Melcenie jedną z najsilniejszych

nyissańskich trucizn, wraz z pewnymi bardzo wyraźnymi instrukcjami. Dziewczyna miała podsycać zainteresowanie Zakatha, a potem, przy pierwszej okazji, otruć go. Miła, posłuszna dziewczyna dokładnie tak by postąpiła, ale nie melceńską panną. Taur Urgas jest na tyle szalony, że nie potrafił dostrzec między nimi różnicy. Rodzina dziewczyny nadal grała na zwłokę, więc udała, że się zgadza. Niestety, w każdej rodzinie zdarza się czarna owca. Jeden z pozbawionych skrupułów członków bocznej linii dostrzegł szansę na ustrzelenie zdobyczy dla siebie. -Beldin skrzywił się. - Źle się chyba wyraziłem.

- Myślę, że wiem, o co chodziło.

- Tak też myślałem. W każdym razie ten przewrotny łajdak sprzedał szczegóły spisku pewnym urzędnikom rządowym i wieść o tym dotarła do samego Zakatha. Pomimo swych cywilizowanych manier Zakath nadal jest Angarakiem, toteż natychmiast krew go zalała. Bez najmniejszego zastanowienia rozkazał usunąć wszystkich członków tej melceńskiej rodziny.

Jego podwładni - również Angarakowie - wykonali jego polecenie co do joty. Dziewczyna zginęła jedna z pierwszych. Gdy później wyszła na jaw jej niewinność, Zakath niemal postradał zmysły z żalu i wyrzutów sumienia. Zamknął się w swojej komnacie na sześć miesięcy, a gdy stamtąd wyszedł, był zupełnie innym człowiekiem. Przed tym zdarzeniem wydawał się cywilizowanym, oświeconym mężczyzną, z którego zapewne byłby dobry cesarz. Teraz jest prawdziwym potworem, który rządzi Malloreą żelazną pięścią. Do tego ma zamiar wyrządzić Taurowi Urgasowi bardzo niemiłe rzeczy.

- Dać mu więcej władzy - pochwaliłem. - Gdybym nie był taki zajęty, to sam zaoferowałbym mu pomoc.

- Potrafisz być paskudny, gdy się postarasz, Belgaracie, ale nie możesz równać się z Zakathem. Gdy wrócił między ludzi, wysłał list do Taura Urgasa i polecił rozpowszechnić jego kopię - pewnie, by uczynić go przez to jeszcze bardziej obraźliwym. Ja też mam jedną. - Sięgnął pod poszarpaną tunikę i wyciągnął

złożoną kartkę papieru. - Chciałbyś przeczytać najbardziej obraźliwy list, jaki jeden monarcha przesłał drugiemu monarsze? Wziąłem od niego papier, rozłożyłem go i przeczytałem.

Do jego wysokości, Taura Urgasa z Murgodemu.

Nie rozbawiły mnie ostatnie próby mieszania się w wewnętrzne sprawy Mallorei, ty murgoski psie. Gdyby nie obecna sytuacja na świecie, to zwałiłbym ci się na łeb z całą potęgą swego cesarstwa za obrazę, jaką mi wyrządziłeś.

By mieć pewność, że nic podobnego więcej się nie zdarzy, zaaresztowałem wszystkich Murgów w swoich granicach jako zakładników twego dobrego zachowania. Doniesiono mi, że kilku z nich jest twymi bliskimi krewnymi. Podjudź jeszcze do jakichś awantur w moim królestwie, a odeślę ci twych rodaków w kawałkach.

W przeszłości twój świat zapewniali wymyśleni wrogowie. Raduj się, Taur Urgasie, i daj spokój swemu szaleństwu, albowiem teraz masz prawdziwego wroga, o wiele bardziej zawziętego od wszystkich mar z twego oblędu. Możesz być pewny, że gdy tylko sytuacja na świecie na to pozwoli, zaatakuję cię i te cuchnące pustkowia, którymi władasz. Z przyjemnością zetnę z powierzchni ziemi ostatniego Murga i wymażę każdą wzmiankę o tym narodzie z kart historii ludzkości.

Miej oczy na plecach, ty szaleńcze, gdyż, tak jak słońce jutro wstanie, pewne jest, że któregoś dnia zjawię się, by wymierzyć ci karę, na którą tak sobie zasłużyłeś.

Zakath

Gwizdnąłem i oddałem mu list.

- To otwarta deklaracja wojny - stwierdziłem.

- Robi wrażenie, co? - przyznał Beldin z szerokim uśmiechem. - Być może oprawię go i powieszę na ścianie w wieży. Słyszałem, że Taur Urgas toczył pianę z ust i gryzł dywan, nim jeszcze skończył czytać. Zakath zaś spełnia swą groźbę. Wysłała do Rak Goska kawałki różnych Murgów. Urvon próbuje zawrzeć pokój, ale nie bardzo mu to wychodzi. Serce Zakatha zmieniło się w kamień, a szaleństwo Taura Urgasa rośnie z minuty na minutę.

- Przekażę to Rhodarowi - powiedziałem. - Drasański wywiad potrafi dolać oliwy do ognia. Czy Ctuchik coś robi?

- Ctuchik to twoje zmartwienie, Belgaracie. Słyszałem jednak, że utworzył Radę Hierarchów. Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek nabrała większego znaczenia, jeśli w jej skład wchodzi tacy politycy jak Grolimowie. Widziałem kilka murgoskich karawan na południowym szlaku. Coś knują?

Skinąłem głową.

- Przybywają na zachód całymi stadami, udając zainteresowanie handlem. To pewnie pomysł Chamdara. Potrafi odczytać znaki równie dobrze jak my, więc wie, że czas rozwiązania coraz bliżej. Najwyraźniej pragnie pomocy.

- Gdzie jest teraz?

- W Tolnedrze, według ostatnich wieści. Drasański wywiad pilnuje go dla mnie.

- Chyba każdy na Zachodzie wykonuje za ciebie kawałek roboty, co, Belgaracie?

- To się nazywa "scedowaniem obowiązków", bracie. Wiele się teraz dzieje, więc muszę być elastyczny.

- Wiedziałem, że z łatwością znajdziesz usprawiedliwienie dla swego nieróbstwa. Nie rozsiadaj się jednak zbyt wygodnie, Belgaracie. Przyjdzie czas, że będziesz musiał być w sześciu czy ośmiu miejscach naraz. Chodźmy zobaczyć się z bliźniakami. Te sprawy pomiędzy Zakathem i Taurem Urgasem mogły wytrząsnąć z Kodeksu Mrińskiego kilka dalszych wskazówek.

Tak jednak nie było. Kodeks Mriński pozostał krnąbrny jak zawsze. Mogłem tylko przyjąć, że Konieczność wiedziała, co robi, i że świadomie utrzymywała mnie w niewiedzy.

Wydaje mi się, że nikt z nas nigdy w pełni nie docenił stuleci cierpliwego trudu bliźniaków. Ta para łagodnych alorn-skich pasterzy miała decydujący wpływ na nasze poczynania. W pewien szczególny sposób byli przewodnikami. Goniliśmy po świecie dzięki ich odkryciom. Konieczność zwykle z nami nie rozmawiała, natomiast z bliźniakami - tak.

Zaczytali sześć czy osiem kopii Kodeksu Mrińskiego i Darińskiego w ciągu tych lat. Bogowie wiedzą, że ani ja, ani Beldin nie mielibyśmy takiej cierpliwości. Po dziś dzień, gdyby bliźniacy kazali mi skoczyć, to będę już cztery stopy w powietrzu, nim zapytam "W którą stronę?". O to pewnie chodziło Aldurowi, gdy po nich posłał. Mistrz w równym stopniu był niewolnikiem Konieczności jak my wszyscy.

Beldin został w Dolinie przez tydzień, po czym wrócił do Cthol Murgos, by podjąć swe samotne czuwanie nad śpiącym bratem naszego Mistrza. Wkrótce po jego odejściu udałem się do Boktoru, by powiadomić Rhodara o niezgodzie pomiędzy Za-kathem i Taurem Urgasem. Król Rhodar nie robił się szczuplejszy, ale jego umysł rozwijał się zdecydowanie szybciej, niż rósł mu obwód w pasie. Opowiedziałem mu o ostatnich wydarzeniach w Mallorei, a on spojrzał na mnie przebiegle.

- To nie jest naturalne, Belgaracie. Król Murgów nie zwracałby sobie tak głowy tym, co dzieje się w Mallorei. Cały ocean dzieli oba kraje. Jakieś WYDARZENIE się zbliża, prawda? Z raportów, które otrzymuję, emanuje coś doniosłego.

Nie było sensu ukrywać rzeczy przed Rhodarem, miał zbyt dobrych szpiegów i zbyt bystry umysł.

- Powiedzmy, że żyjemy w interesujących czasach i poprzestańmy na tym, dobrze, Rhodarze? - zaproponowałem. - Ty zajmuj się zwyczajnym światem, a mnie pozostaw opiekę nad drugim.

- Czy w grę wchodzi wojna? Jeśli tak, to muszę zwiększyć pobór do armii.

- To byłoby przedwczesne. Nie zwracaj uwagi na przygotowania do wojny. Lepiej skoncentruj się na wrogości pomiędzy Murgami i Mallooreanami. W razie wojny wolałbym, aby Angarakowie nie pałali do siebie zbytnią miłością. - Potem zmieniłem temat. - Kiedy masz się zamierzyć ożenić?

- Za jakiś czas - odparł wymijająco z lekkim zakłopotaniem na twarzy. Kiedy teraz wracam myślami do tej rozmowy, to jestem niemal pewny, że już wówczas wpadła mu w oko Porenn. O ile pamiętam, miała wtedy dopiero trzynaście lat.

Następnie udałem się do Val Alorn, a stamtąd na Wyspę Wiatrów. Nie skłoniły mnie do tego żadne szczególne powody, ale zawsze wolałem mieć Alornów na oku. Często pakowali się w kłopoty, jeśli ich bacznie nie pilnowałem.

Potem w 5349 roku mój wnuk, Darral, zginął podczas osunięcia ściany w kamieniołomach, w których pracował, więc pospiesznie ruszyłem do Annath. Oczywiście nic już nie mogłem na to poradzić, ale udałem się tam mimo wszystko. Śmierć w rodzinie nie jest sprawą, obok której można przejść obojętnie, a Polgara zawsze bardzo ciężko to przeżywała.

Pewnie myślicie, że zdążyliśmy już z Pol nabrać filozoficznego dystansu do ludzkiej śmiertelności, ale tak nie jest. Naturalnie kochałem Darrala. Był przecież moim wnukiem, ale pogodziłem się już z myślą, że pewnego dnia i on zestarzeje się i umrze. Jednakże Polgara nie potrafiła podejść do tego z filozoficznym spokojem. Śmierć kogoś kochanego zawsze ją boleśnie dotykała. Być może miało z tym coś wspólnego jej medyczne wykształcenie. Dla medyka śmierć jest największym wrogiem.

Próbowałem pocieszyć ją typowymi w takiej sytuacji banałami, ale ona nie chciała mnie nawet słuchać.

- Odejdź i zostaw mnie w spokoju, ojciec - powiedziała stanowczo. - Jakoś sobie z tym poradzę.

Poszedłem więc dalej ulicą, by porozmawiać z Geranem.

- Co się naprawdę wydarzyło? - zapytałem.

- Musiało być jakieś ukryte pęknięcie w skale, dziadku - odparł ze smutkiem. - Obaj z ojcem sprawdziliśmy ścianę od góry do dołu. Wydawała się kompletnie zdrowa, nie było żadnych rys ani szczelin. Robotnicy wyrąbывali bloki na szczycie i wszystko po prostu się zapadło. Ojciec stał u podnóża skały. Nie miał dokąd uciec, gdy się zawaliła. - Na jego twarzy pojawił się gniew. Walnął pięścią w stół. - Nie było żadnego powodu, dziadku! Ta skała nie powinna się zawalić! Rozbiorę tę górę kamień po kamieniu, ale dowiem się, dlaczego tak się stało!

Teraz wiem, kto był za to odpowiedzialny. Między innymi z tej przyczyny odczułem ogromną satysfakcję z tego, co Garion zrobił z Chamdarem w Lesie Driad.

Polgara nadal była niepokieszona i nie potrafiłem tego zmienić żadnym słowem ani uczynkiem. Zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Przez jakiś czas bałem się, że oszaleje z żalu.

Ale to żona Darrala oszalała.

Początkowo to nie było takie oczywiste. Po pierwszym wybuchu żalu zrobiła się nienaturalnie spokojna. Dwa tygodnie po pogrzebie wróciła do swych zwykłych zajęć: sprzątania, zamiatania przed wejściem i przygotowywania posiłków, jakby nic się nie stało. Często nawet podśpiewywała przy gotowaniu.

Ktoś mógłby pewnie uznać, że to zdrowe podejście, ale myliłby się. Śmierć żony lub męża pozostawia ranę, do której zbliznienia potrzebne są całe lata. Wiercie, ja to wiem. Gdybym sam nie był pogrążony w tak głębokim smutku, to zauważyłbym, że coś tu było nie w porządku.

Alara przygotowywała posiłki i zawsze stawiała na stole nakrycie dla Darrala. Pod

wieczór podchodziła do drzwi i z niepokojem wyglądała na jedyną ulicę Annath, jakby oczekiwała czyjś nadejścia. Oznaki jej szaleństwa były oczywiste. Nie mogę uwierzyć, że ich z Pol nie zauważyliśmy.

Gdybym był choć trochę czujniejszy, to domyśliłbym się, kto odpowiada za śmierć Darrala i szaleństwo Alary. A wówczas przetrząsnąłbym cały świat w poszukiwaniu Murga Asharaka, a gdybym go dopadł, poderżnąłbym mu gardło tępym nożem. Rozkoszowałbym się każdą minutą jego męki.

Oczywiście, że jestem okrutny. Jeszcze tego nie zauważyliście?

Nie twierdzę, że Alara całkowicie oszalała. Zaczęła zachowywać się dość nieprzytomnie - co pewnie było jeszcze gorsze, jak się nad tym zastanowić. Polgara, po otrząśnięciu się z własnego smutku, musiała na nią nieustannie uważać, i to z upływem czasu okazało się bardzo ważne.

Ja swój smutek zabrałem w drogę. Pokonywanie trzydziestu mil dziennie przytępiła wszelkie emocje. Zdecydowanie uważałem, że powrót do nabrzeżnych tawern Camaar nie był dobrym rozwiązaniem. Pod koniec wiosny roku 5351 zawędrowałem do Doliny. Czekał już tam na mnie Javelin.

- Zgubiliśmy go, Prastary - przyznał z pewnym wstydem. - Moi ludzie obserwowali go nieustannie, a on pewnego dnia po prostu zniknął. Chamdar jest Murgiem, a oni przecież nie są zbyt sprytni.

- On potrafi zwodzić, Khendonie - westchnąłem. - Wygląda na to, że muszę znowu wzuć buty. Lepiej będzie, jak go odszukam.

- Nie jesteś trochę za stary na te rzeczy, Świętobliwy? - zapytał z zaskakującą bezpośredniością. - Śledzenie Chamdara należało do mnie. Pozwól mi go zatem zlokalizować.

- Może i jestem stary, Javelinie, ale nadal potrafiłbym zapędzić cię w kozi róg. Po prostu nie wchodź mi w drogę. Nie cierpię, gdy ludzie czepiają się mego wieku. Czy nie dotarło do nich jeszcze, że nie ma on dla mnie żadnego znaczenia?

Udałem się prosto do Tol Honeth. Bliźniacy oceniali, że znajdujemy się kilka lat od narodzin Pogromcy Boga. Dobrze pamiętałem głośne rozważania Chamdara, gdy Gelane znalazł się w szeregu wyznawców Kultu Niedźwiedzia. Ctuchik polecił swemu podwładnemu Grolimowi zabicie Spadkobiercy Rivy, ale Chamdar wpadł na inny pomysł. Szukał sposobności wyniesienia do statusu ucznia. Mogło mu to zagwarantować dostarczenie Pogromcy Boga i Klejnotu bezpośrednio Torakowi, z pominięciem Ctuchika. Był ambitny, muszę przyznać. Przetrząsnąłem niemal całą Tolnedrę, ale nie dostałem go w swoje ręce. Naśladowując mnie, pozostawił różne fałszywe tropy, zmuszając mnie do gonienia z jednego

końca Tolnedry na drugi. Nie dowiedziałem się, jak to zrobił, aż do czasu tragedii w Annath.

Lelldorin, Łucznik wspomniany w Kodeksie Mrińskim, urodził się w 5352 roku, ale nie miałem czasu zajrzeć do rodziny Wildantor, gdyż byłem zajęty szlifowaniem bruków Tol Honeth w poszukiwaniu swego nieuchwytnego przeciwnika. Po jakimś czasie zaczęło mnie to drażnić.

Javelin wrócił do Tol Honeth, aby mi pomóc. Sprytnie nakłonił ambasadora Drasni, żeby spróbował wyjednać pomoc ojca Ce'Nedry w poszukiwaniach. Wywiad tolnedrański nie mógł się równać z drasańskim, ale na ulicach byłoby więcej czujnych oczu. Jednakże Ran Borune XXIII nie dał się w to wciągnąć. Był zaangażowany w pewne dość delikatne negocjacje handlowe z przedstawicielami Taura Urgasa i nie miał zamiaru w najmniejszym stopniu ich zakłócać, więc odmówił pomocy swych rozlicznych szpiegów i informatorów. Lubiłem Rana Boruna i uwielbiam jego córkę, ale był zachłanny i perspektywa położenia ręki na całym czerwonym złocie Murgów zawróciła mu w głowie, toteż nie otrzymaliśmy żadnej pomocy ze strony tol-nedrańskiego wywiadu.

Ostatecznie u schyłku lata 5354 roku byłem gotów dać za wygraną. Stało się już oczywiste, że różne ślady, za którymi jak szalony gnałem z jednego końca Tolnedry na drugi, były fałszywe. Po raz pierwszy Chamdar mnie przechytrzył. Nabrałem przekonania graniczącego z pewnością, że nie ma go już w Tolnedrze, więc przekazałem Javelinowi niewdzięczne zadanie tropienia wszystkich fikcyjnych "Chamdarów", jakich Grolimowie wymyślali dla naszej rozrywki, a sam wyruszyłem do Arendii.

Grolimowie tam przebywający byli równie zajęci jak ci w Tolnedrze. Muszę przyznać Chamdarowi, że bardzo dobrze nauczył się lekcji, jakich udzielałem mu przez stulecia. Gdziekolwiek się obróciłem, słyszałem opowieści o Murgu Asharaku, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej niestworzone. Grolimowie to intryganci, nie ma wątpliwości, ale ich knowaniom brakowało artyzmu. Zawsze popadali w skrajności. To chyba wada ich rasy.

Na północ od Vo Mimbre spotkałem przystojnego młodzieńca w pełnej zbroi. Dosiadał dumnego rumaka bojowego. Rozpoznałem pióropusz rodziny Mandora na jego tarczy.

- Szczęśliwe spotkanie, Prastary Belgaracie! - powitał mnie Mandorallen swym gromkim głosem. - Poszukiwałem cię! - Mandorallen miał wówczas dopiero siedemnaście lat, ale już był imponująco muskularny.

- O co chodzi tym razem, Mandorallenie? - zapytałem.

- Byłem, jak niewątpliwie wiesz - albowiem niezawodnie wszelkie sprawy są ci znane - w Vo Ebor, gdzie mój drogi przyjaciel i opiekun, pan tych pięknych włości, kształcił mnie w sztukach rycerskich i....

- Mandorallenie, do rzeczy! Spojrzał na mnie nieco urażony.

- Krótko mówiąc - powiedział, jakby mimbrański Arend potrafił powiedzieć coś krótko - twoi bracia, Beltira i Belkira, przybyli niedawno do Vo Ebor i błagali mnie, abym cię odszukał. Natychmiast dosiadłem konia i myśląc, iż nadal jesteś w Tol Honeth, skierowałem się na południe, abym mógł przynieść interesujące cię wieści.

- Co? Jakie wieści?

- Przyznaję, że nie rozumiem ich prawdziwego znaczenia, ale polecono mi, bym doniósł ci, że pewna twoja krewniczka spodziewa się dziecka i że twoja córka, której dotąd nie miałem przyjemności spotkać - choć z tęsknotą wyglądam dnia, gdy dostąpię zaszczytu pozdrowienia jej i pokłonienia się...

- Dobrze, Mandorallenie, wiem, o co chodzi.

- Ta wiadomość, jak tuszę, ważna jest zapewne?

- Umiarkowanie, panie rycerzu.

- Czy wolno mi znać jej znaczenie?

- Nie, nie wolno. Nie musisz tego wiedzieć. Zawróć z powrotem do Vo Ebor. Wypełniłeś swoje zadanie, panie rycerzu, i dziękuję ci. A teraz wracaj do domu.

Skorzystam z okazji, aby przeprosić za swą szorstkość Rycerza Obrońcę. Tak naprawdę chciałem, aby jak najszybciej zniknął mi z oczu, żebym mógł dać upust swej radości. lidera była w ciąży! Pogromca Boga drzemał pod jej sercem!

Przerwałem bezowocne poszukiwania Chamdara. Było całkiem oczywiste, że go nie znajdę. Udałem się do Asturii, by rzucić okiem na Lelldorina i upewniłem się, że w istocie był tym, na którego czekaliśmy. Wszystko toczyło się jak powinno, więc przeszedłem przez Ulgołand do Doliny.

Po powrocie do domu bliźniacy zapewnili mnie, że lidera urodzi dziecko w połowie zimy.

- Polgara przeniesie rodzinę wkrótce po narodzinach dziecka - powiedział Beltira.

- To niezły pomysł - odparłem. - Wszyscy dość często odwiedzaliśmy Annath przez ostatnie piętnaście lat. Chamdar czai się gdzieś, więc będzie bezpieczniej, jeśli Pol się przeprowadzi. Czy poprawiło się zdrowie Alary?

Belkira pokręcił smutno głową.

- Nadal nie przyjmuje do wiadomości, że jej mąż nie żyje. Polgara próbowała wszystkiego, aby ją z tego wyrwać, ale jak dotąd bez skutku.

- Może zmiana otoczenia dobrze jej zrobi - zasugerowałem.

- Trudno powiedzieć. - Beltira nie wydawał się mieć wielkiej nadziei.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas i uzgodniliśmy, że powinienem pojechać do Sendarii, aby zobaczyć mnie w innych miejscach niż Annath. Proroctwa Grolimów, a także Wyrocznia Ashabińska zapewne na bieżąco informują Ctuchika o ważnych wydarzeniach, więc byłem pewny, że wie o bliskich narodzinach Pogromcy Boga oraz o tym, że przyjdzie na świat w Sendarii. Czas było odebrać Chamdarowi pole, więc przywdziałem strój bazarza i ruszyłem do Sendarii.

Zatrzymałem się w mieście Sendar, by rzucić okiem na nowego króla, Fulracha, i jego trzpiotowatą żonę, Laylę. Nie zrozumcie mnie źle. Kochałem Laylę. Jest wyjątkowo wielkiego serca, ale straszna z niej trzpiotka, a do tego niemal nieustannie w ciąży. Czasami nawet zastanawiałem się, jak Fulrach znajduje czas na rządy swym królestwem.

Potem udałem się na wieś. Przemierzałem boczne trakty i polne drogi centralnej Sendarii przez całą jesień i początek zimy. Byłem przekonany, że Grolimowie Chamdara obserwowali każdy mój ruch. Nie zbaczałem ze swej drogi, aby im tego nie utrudniać.

Zbliżał się Dzień Zaranja. Uczucie oczekiwania we mnie narastało. Zaranie jest głównym świętem w Sendarii, gdyż doskonale pasuje do tradycyjnego ekumenizmu Sendarów. Datę święta - w połowie zimy - ustalono dość arbitralnie. Stworzenie świata nie trwało jeden dzień, ale przypuszczam, że duchowni po prostu wybrali losowo któryś z nich dla dorocznych obchodów. Święto było coraz bliżej. Przeniosłem się więc z Darine do Erat z rosnącym przekonaniem, że tego roku Zaranie będzie szczególnym świętem. Przyjaciel Gariona postara się o to.

Oczywiście z nikim się nie kontaktowałem w niekonwencjonalny sposób. Grolimowie potrafili doskonale podsłuchiwać, a nadchodzące WYDARZENIE było tak ważne, że nie chcieliśmy przez nieuwagę dać Chamdarowi zajęcia. Patrząc z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że nasza przesadna ostrożność była prawdopodobnie błędem.

Po wielokroć analizowaliśmy z Polgarą wydarzenia tej zimy. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, gdzie popełniliśmy błąd. Śmierć Darrala powinna być dla nas ostrzeżeniem, to pierwsze. Tak jak podejrzewał Geran, osunięcie zbrocza, które zabiło jego ojca, nie było zwykłym wypadkiem. Jakimś sposobem, którego nigdy nie udało nam się ustalić, Chamdar dowiedział się o miejscu pobytu mojej córki i rodziny, którą ochraniała od przeszło trzynastu stuleci. Śmierć Darrala - morderstwo, jak śmiało mogę powiedzieć - była jedynie pierwszym krokiem w misternym planie Chamdara.

Obłąd Alary był następnym. To również uszło mojej i Polgary uwagi.

Dowiedziałem się od Pol, że stan Alary się pogorszył. Wędrowała po okolicznych górach w poszukiwaniu swego męża. Jestem pewny, że Chamdar również w tym maczał

palce; Grolimowie są w końcu ekspertami w manipulowaniu umysłami innych.

Na dzień przed Zaraniem Uderę chwyciły bóle porodowe. Polgarą poszła więc z domu Darrala na drugi koniec wioski, aby zbadać Ilderę. Tymczasem Alara - jestem pewny, że za podszeptem Chamdara - skorzystała z okazji i wybrała się w góry na poszukiwanie męża. Po powrocie do domu Darrala Pol stwierdziła, że Alary nie ma. Zdarzało się to już poprzednio, więc Pol po prostu wyruszyła na jej poszukiwanie.

Oto jak Chamdar pozbył się Pol. Polgarą przez całe lata obwiniała się za to, ale to nie była jej wina.

Teraz jestem przekonany, że fałszywe bóle porodowe Ildery również były sprawką Chamdara. Trudno nie podziwiać, jak starannie zgrał wydarzenia w ciągu owych straszliwych dwóch dni. Gdy tylko Pol opuściła wioskę, fałszywe bóle porodowe Ildery zamieniły się w prawdziwe. Oczywiście w wiosce nie brakowało kobiet, które wiedziały, co robić, i krótko po północy, w Dzień Zarania, Garion przyszedł na świat.

A Polgarą, szukająca Alary, była hen, hen!

Wówczas to znajomy głos w mej głowie odezwał się ostrzegawczo:

- Natychmiast udaj się do Annath! Dziecię Światła jest w niebezpieczeństwie!

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Przebywałem wtedy w Muros. Piętnaście minut zajęło mi wydostanie się z miasta i przystrojenie w pióra. Skrzydeł sobie mało nie powyrywałem, usiłując lecieć jak najszybciej, ale dotarłem za późno.

Po porodzie Ildery kobiety z wioski zrobiły to, co zwykle robi się po urodzeniu dziecka, i poszły do domów. W końcu było święto i trzeba było przygotować świąteczne jadło. Widzicie, jak sprytnie Chamdar wszystko zaplanował?

Zapadał już zmierzch, a ja nadal frunąłem z Muros. Geran, Hdera i Garion byli zupełnie sami w małym domku. Wówczas do akcji wkroczył Chamdar.

Podpalił dom.

To był kamienny dom, ale Chamdar był Grolimem - a kamień zapali się, jeśli uczynić ogień dostatecznie gorącym.

Po dziś dzień nie mam pewności, czy Chamdar wiedział, co Geran uczyni, gdy uprzytomni sobie, że dla niego i Ildery nie ma ucieczki. Całkiem możliwe, że porzucił swój szalony pomysł dostarczenia Rivańskiego Króla Torakowi i postanowił wypełnić polecenie Ctuchika, po prostu zabijając Spadkobiercę Rivy.

Okna i drzwi domu spowijały płomienie. Geran, prawdopodobnie na progu śmierci, zdał sobie sprawę, że nie uratuje już siebie i żony, ale istniała nikła szansa na uratowanie syna. Miał w domu swoje narzędzia i był kamieniarzem. Wedle moich ustaleń,

najprawdopodobniej wziął młot i wybił mały otwór tuż przy ziemi. Potem, choć był już umierający, schwycił owinięte w kocyk dziecko i przepchnął przez otwór w murze.

W tym momencie przybyłem na miejsce. Właśnie zapadał zmrok.

Chamdar albo wiedział, co się wydarzy, albo po prostu wykorzystał nadarzającą się okazję. Skoczył, podniósł otulone kocykiem niemowlę i uskoczył poza zasięg ognia.

Zmieniałem właśnie postać na tej ośnieżonej ulicy, ale wszystko dokładnie widziałem. Byłem zdesperowany i gotów na zrobienie czegoś absolutnie zakazanego. Niewiele brakowało, a starłbym Chamdara z powierzchni ziemi siłą swej Woli. Myślę, że przed popełnieniem tego fatalnego błędu powstrzymała mnie jedynie chęć zabicia tego krwiożerczego Grolima gołymi rękoma. Ze wściekłym wyciem rzuciłem się ku niemu przez śnieg. Niestety, tym samym ostrzegłem go. Ileż razy żałowałem, że nie trzymałem buzi na kłódkę.

Chamdar obrócił się. Oczy rozszerzyło mu przerażenie.

- Ty! - wrzasnął, gdy zobaczył, że gnam ku niemu z morderczym wyrazem twarzy.

A potem zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy dla ratowania własnej skóry.

Rzucił we mnie dzieckiem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W tym momencie podyktowane paniką zachowanie Chamdara zmieniło bieg historii. By ratować własne życie, odrzucił maleńkiego Gariona w bezpieczne miejsce. Gdyby był trochę bardziej oddany swemu zadaniu, odwróciłby się i cisnął dziecko w płomienie.

Opanowałem na tyle swą morderczą pasję, aby pochwycić zawiniątko w powietrzu. To dało Chamdarowi czas na ucieczkę. Skoczyłem rozpaczliwie, by pochwycić Gariona, po czym potur-lałem się po ziemi, a gdy obejrzałem się, Chamdar już zniknął. Myślę, że moje rozdzierające wycie obudziło całą wieś.

Z dobrze potwierdzonych źródeł wiem, że w tym właśnie momencie, w dalekim Chereku, Barak doświadczył swego pierwszego przemienienia. Na mgnienie oka zmienił się w Straszliwego Niedźwiedzia. Garion znalazł się w niebezpieczeństwie i Barak, zupełnie bezwiednie, zareagował tak, jak powinien. Polował wówczas na odyńce i całą noc spędził na hulankach z przyjaciółmi. Był pijany, więc zapamiętał jedynie, że ocknął się w lesie obok na wpół zjedzonego dzika.

Kilku z jego towarzyszy było trzeźwiej szych. Mówiono mi, że poprzysięgli potem nie brać kropli trunku do ust i do końca życia dotrzymali przyrzeczenia.

- Ojczy! - doleciał mnie głos Polgary.

- Lepiej wracaj tu, Pol! Natychmiast!

Potem uklęknąłem i odwinąłem dziecko. O ile mogłem stwierdzić, Garionowi nic nie się stało. Nawet nie płakał. Miał poważny wyraz twarzy. Gdy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy, doznałem ogromnego wstrząsu. Oniemiałem ze zdumienia; nie było wątpliwości. To na niego wszyscy czekaliśmy.

Potem spojrzałem na płonący dom. Miałem nadzieję, że może uda mi się uratować Gerana i Dderę, ale sprawa była beznadziejna. Patrzyłem na płonący dom, ale nie dostrzegałem żadnych oznak życia. Załamany, wybuchnąłem płaczem.

Pol znalazła mnie klęczącego we łzach przy dziecku.

- Co się stało, ojczy? - dopytywała się.

- To był Chamdar! - wrzasnąłem na nią. - Gdzie ty masz oczy, Pol? O czym myślałaś? Czemu sobie poszłaś? - Zawsze żałowałem tego wybuchu.

Pol stała porażona rzuconym w twarz oskarżeniem. Spojrzała na płonący dom.

- Nie ma żadnej nadziei? - zapytała.

- Żadnej. Oboje nie żyją. Wówczas i Pol załamała się.

- Zawiodłam, ojczel! - szlochała. - Miałam najpoważniejsze zadanie w historii i zawiodłam!

Słumiłem własny smutek.

- Nie czas na to, Pol! - powiedziałem ostro. - Musimy zabrać stąd dziecko. Chamdar uciekł i może być wszędzie.

- Czemu na to pozwoliłeś?

- Nie miałem wyboru. Musiałem ratować dziecko. Nic tu po nas. W drogę!

Pol pochyliła się i podniosła Gariona z ową szczególną czułością, jaką zawsze okazywała piastowanym niemowlętom, które przecież nie były jej dziećmi. Gdy wyprostowała się, w jej oczach dostrzegłem stanowczość.

- Chamdar za wiele musi odpowiedzieć.

- O tak, Pol, i zrobię wszystko, aby jego odpowiadanie trwało przynajmniej tydzień. Co się stało z Alarą?

- Spadła z urwiska. Nie żyje, ojczel. Ponownie ogarnęła mnie wściekłość.

- Dodam jeszcze jeden tydzień do tego, co zamierzam zrobić z Chamdarem - przyrzekłem.

- Dobrze! Ja wezmę dziecko. Ty goń Chamdara. Pokręciłem głową.

- Nie ma mowy, Pol. Najpierw muszę umieścić was w bezpiecznym miejscu. Jesteśmy przede wszystkim odpowiedzialni za to otulone kocykiem maleństwo. Ruszajmy.

Opuściliśmy wioskę i weszliśmy w lasy, unikając wszelkich dróg i wszystkiego, co choćby przypominało ścieżki. O tej porze roku to nie była miła podróż. Problem karmienia Gariona rozwiązałem, kradnąc kozę z jakiejś samotnej farmy.

W końcu udało nam się zejść z gór i zaprowadziłem Pol do jej domu w Erat. Potem oddaliłem się nieco i przywołałem bliźniaków, wyrażając się tak zawile, że nie było do końca pewne, czy mnie rozumieją. Miałem nadzieję, że rozumieją, o co chodzi, gdy powiedziałem, że potrzebni mi są w "ogrodzie różanym".

Potem wróciłem do zarośniętego różanym buszem domu Pol.

- Powinni tu wkrótce być - powiedziałem. - Zostanę, dopóki nie przybędą.

- Poradzę sobie, ojczel. Nie daj Chamdarowi uciec.

- Ważniejsze, żeby nie szedł za mną. Zostanę. Nie kłóć się ze mną. -Wyjrzałem przez okno na zbrunatniały różany gąszcz. - Uważam, że twój dom stoi w zbyt odludnym miejscu, by było tu zupełnie bezpiecznie. Przeczekaj zimę, a potem znajdź sobie jakąś zapadłą wioskę lub farmę i wmieszaj się pomiędzy Sendarów. Nie zwracaj na siebie uwagi, dopóki nie uporam się z Chamdarem.

- Jak sobie życzysz, ojczu.

Zawsze mnie denerwowało, gdy Pol robiła się potulna.

Bliźniacy odszyfrowali moją wiadomość i przybyli następnego ranka. Rozmówiłem się z nimi krótko, po czym opuściłem Erat. Udałem się na północ, do Boktoru, by porozmawiać z Łowcą. Stanowisko, jeśli można to tak nazwać, piastował w owym czasie urzędnik z dowództwa wywiadu, facet o bliżej nieokreślonym wyglądzie, imieniem Khonar.

- Potrzebny mi książę Kheldar - powiedziałem mu bez ogródek. - Gdzie jest?

Khonar ostrożnie odłożył dokument, który właśnie czytał.

- Mogę zapytać, po co, Prastary?

- Nie, nie możesz. Gdzie jest Silk?

- W Tol Honeth, Przenajświętszy. W tej chwili pracuje dla Javelina. - Wydał usta. - To pierwsze zadanie Kheldara. Nie ma wiele doświadczenia.

- Czy jest dobry?

- Pokładamy w nim spore nadzieje, gdy w końcu się ustatkuje. Jeśli to coś ważnego, to ja mogę z tobą jechać. W końcu jestem najlepszy.

- Nie. Ty będziesz mi potrzebny na miejscu. Silka chcę ze sobą zabrać. Są po temu powody.

- Ach, tak - powiedział. - Jedna z tych spraw.

- No właśnie. Czy słyszałeś ostatnio o Murgu Asharaku?

- Nie dalej niż tydzień temu był w Arendii, Prastary. Jeden z naszych agentów widział go na Wielkim Jarmarku.

Westchnąłem z wielką ulgą. Przynajmniej Chamdar nie węszył w Sendarii.

- W którą stronę ruszył z jarmarku?

- Na południowy wschód, w kierunku Gór Tolnedrańskich. Nasz agent doniósł, że wydawał się czymś trochę podenerwowany.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziałem ponuro. - Znieważył mnie. Pragnę z nim o tym porozmawiać, ale on wolałby raczej mnie unikać, albowiem wielce prawdopodobne, że w trakcie rozmowy rozwieszę jego flaki na płocie.

- To dość obrazowe. - Nic nie zaskoczy Łowcy. - Chcesz, byśmy go zabili, jeśli któryś z moich ludzi natknie się na niego?

- Nie. Sam to zrobię. Wystarczy, jeśli ustalicie miejsce jego pobytu. Masz dobrych ludzi, ale nie mogą równać się z Asharakiem.

Jego spojrzenie przybrało przebiegły wyraz.

- Jesteś niekonsekwentny, Prastary. Najpierw wyraźnie prosisz o dwudziestolatka, który

ledwie rok temu ukończył akademię, a potem mówisz, że moi najbardziej doświadczeni agenci nie sprostają temu, kogo szukasz.

- Konsekwencja jest bronią maluczkich, Khonarze. Przekaż wieść swym ludziom w Arendii i Tolnedrze. Dotrę tam na długo przed twoją wiadomością i rozejrzę się. Potem macie mi donosić o wszystkim, co się tyczy Asharaka.

Khonar wzruszył ramionami.

- Skoro tak sobie życzysz, Prastary.

- Tak. Teraz odchodzę i nie trać czasu na próby śledzenia mnie.

Przybrał niewinną minę.

- Jakżebyś śmiał, Święty Belgaracie?

- W końcu to twoja praca.

Opuściłem Boktor jeszcze tego samego popołudnia i dość ostentacyjnie udałem się na południowy zachód Wielkim Traktem Północnym. Byłem pewny, że śledził mnie przynajmniej jeden ze szpiegów Łowcy. Jednakże gdy tylko się ściemniło, musiał zgubić mój ślad, chyba że potrafił fruwać.

Mimo środka zimy nad przykrytymi śniegiem górami było pogodnie. Przeleciałem nad południowo-wschodnim krańcem Sendarii i udałem się do Prolgu, by powiadomić Gorima o przyjeździe na świat Pogromcy Boga. Potem poleciałem na równiny Mimbre, aby na Arendzkim Wielkim Jarmarku porozmawiać z tamtejszym szefem agentów Łowcy, chudym Drasaninem imieniem Talvar.

Gwoli wyjaśnienia, Łowcy zawsze byli najbardziej tajnymi agentami w wywiadzie drasańskim i często miał on - lub ona - małą prywatną agencję - rodzaj wywiadu w wywiadzie. Drasa-nie już tacy są. Zdecydowanie przepadają za tajemnicami.

- Sądzę, że ten Asharak zawrócił, Prastary - zapewnił mnie Talvar. - Po odejściu stąd udał się na południowy wschód, w kierunku Gór Tolnedrańskich, ale w Vo Mimbre dzieją się rzeczy, które noszą wyraźne ślady jego ingerencji.

-Tak?

- Przebywa tam delegacja handlowa Murgów. Wydają mnóstwo pieniędzy na przekupywanie mimbrańskich rycerzy. Mim-braci nie grzeszą bystrością. Zadłużają się, by zaimponować swoim kompanom. Asharak nigdy nie żałował swego złota. Jeśli zobaczysz monety z czerwonego złota, możesz być pewny ich pochodzenia. Być może to jakaś dawna intryga, ale osobiście w to wątpię. Nagły napływ murgoskiego złota sugeruje coś nowego. Idź śladem pieniędzy, Prastary. On powie ci więcej niż wszystko inne.

- Jesteś Drasaninem do szpiku kości, Talvarze - powiedziałem.

- Dlatego Łowca tu mnie umieścił, Prastary. Te wszystkie knowania zmierzają do obalenia następcy tronu, który prawdopodobnie jest najbardziej zadłużony w całej Arendii. - Skrzywił się. - Gdybym nie pracował dla swego rządu, mógłbym tam zbić fortunę. Niektórzy z tych mimbrańskich idiotów gotowi są płacić niebotyczne sumy za uwolnienie ich od długów.

- Pilnuj swego zajęcia, Talvarze - powiedziałem. - Nie daj się zwieść. Rób pieniądze w wolnym czasie, nie na służbie. Czy Asharak zawładnął już duszą następcy tronu?

- Chyba nie. Młody książę Korodullin nie stracił jeszcze poczucia honoru, pomimo swych długów. Opiera się pochlebstwom Murgów, ale chyba zaczyna się łamać. Potrzebuje kogoś, kto podtrzyma go na duchu.

- Myślę, że znam odpowiedniego człowieka. Wymień kilka imion, Talvarze. Muszę wiedzieć kim są owi kupieni-i-opłaceni rycerze. Wyślę do Vo Mimbre człowieka, który się tym zajmie.

- Teraz wiem, czemu nazywają cię Świętobliwym Belgarathem - powiedział.

- Nie mieszaj "świętego" z "pieniężmi", Talvarze. W przeciwnym razie wpakujesz się w kłopoty.

Potem udałem się do Vo Ebor, gdzie Mandorallen szkolił się pod okiem barona. Baron Vo Ebor poślubił niedawno młodą szlachciankę, imieniem Nerina. Liczne obowiązki sprawiały, że niewiele miał czasu dla swej młodej żony. Zapewnił sobie jednak zastępstwo w osobie przystojnego i prawego młodego rycerza - nie było w tym niczego niewłaściwego, ale doprowadziło do ciekawej sytuacji.

Od razu po przybyciu wyłuszczyłem problem.

- Jak dobry jest twój wychowanek, mój panie baronie? -zapytałem starca.

- Znacznie oczekiwania nasze przewyższył, Prastary - odparł baron. - Wątpię, by w całej Arendii znalazł się równy mu rycerz.

- Dobrze. - Spojrzałem na Mandorallena. - Chcę, abyś pojechał do Vo Mimbre - rzekłem. - Są tam pewni ludzie, których należy ukarać. Brali pieniądze od Murgów za sprowadzenie z właściwej drogi księcia Korodullina. Powstrzymaj ich. Ambasador Drasni przy dworze starego króla powie ci, kim oni są. Rzuć kilka wyzwania i połam trochę kości. Postaraj się przy tym nie zabić ich zbyt wielu. Czekają cię jeszcze inne zadania i wolałbym, abyś nie był uwikłany w krwawe porachunki, gdy przyjdzie czas działać.

- Z całych sił będę się starał wykonać twoje polecenie, Świętobliwy Belgaracie - odparł młodzieniec. - Moja kopia, mój miecz i moje prawe ramię zawsze gotowe do usług i zważywszy na fakt, iż jestem - jak wszystkim na świecie wiadomo - najsilniejszym rycerzem,

nie wątpię, że zadanie klęski owym niegodziwym rycerzom będzie błahym zadaniem, które z przyjemnością wykonam. Wprawa moja i męstwo takie są, iż wyjąwszy wypadek, mogę z pełnym zaufaniem zapewnić, że mimo klęski nie doznają trwałego kalectwa.

Panie, ależ Mandorallen ma gadane, gdy już się zapędzi!

Pamiętam jednak, że baronessa promieniała,, gdy obwieszczał skromnie swoją niezwykłość. Takie już są arendzkie damy.

Nigdy nie poznałem wszystkich szczegółów planu, który Chamdar zaczął realizować w Vo Mimbre. Przypuszczam, że czynił starania, bym nie deptał mu po piętach. Chamdar w Annath ujrzał moją twarz i jestem przekonany, że zrobił wszystko, by ponownie nie oglądać jej z bliska.

Raport ambasadora Drasni z Vo Mimbre dotarł do mnie kilka miesięcy później. Wywnioskowałem z niego, że Mandorallen dotrzymał obietnicy. Gaduła czy nie - gdy już zamknął buzię i zabrał się do roboty, był jak klęska żywiołowa. Wielu rycerzy, z którymi się potykał tego dnia, musiano dosłownie wycinać ze zbroi przed opatrzeniem im ran.

Nim jednak Mandorallen skończył perorować i zabrał się do dzieła, ja byłem już w ambasadzie Drasni w Tol Honeth.

- Jak jest dobry? - zapytałem Javelina, wskazując na Silka. Zapewne było to zbyt uprzejme wobec szpiega o szczurzej twarzy, ale ostatnie wydarzenia wyraźnie nadszarpięły moje dobre maniery.

- Budzi pewne nadzieje, Prastary - odparł Javelin. - Choć ma lekką skłonność do zbaczania z toru. Uczciwość nie jest jego mocną stroną. Ma duszę złodzieja i nie potrafi przepuścić żadnej okazji.

- Javelinie! - zaprotestował Silk. Książę Kheldar ubrany był w typowy drasański czarny kubrak i spodnie. Był żyłastym, drobnym człowieczkiem, o ostrych rysach i długim, spiczastym nosie. Miał wówczas raptem dwadzieścia lat, ale jego oczy ce-

chował już cyniczny i inteligentny wyraz charakterystyczny dla osoby o wiele starszej.

- Zatem dobrze, panowie - powiedziałem - przystąpmy do rzeczy. Chodzi o Grolima, imieniem Chamdar, który zwykł nazywać siebie Murgiem Asharakiem. Ostatnio przebywał w Sendarii i dopuścił się tam pewnych czynów, które poważnie mnie zdenerwowały. Jak udało mi się ustalić, niedawno przejeżdżał przez Arendię i zmierzał w tym kierunku. Chcę go mieć. Znajdźcie go.

- Nie owija w bawełnę, co? - odezwał się do swego przyjaciela Silk. Potem rzucił mi swój zuchwały uśmiezek, który zawsze z jakiegoś powodu mnie drażnił - Że zapytam z czystej ciekawości, Prastary, czemu zostałem wybrany do tego szaczonego zadania

towarzyszenia ci? W końcu jestem niemal nowicjuszem.

- Ponieważ Chamdar mnie zna i prawdopodobnie potrafi również rozpoznać większość z bardziej doświadczonych agentów Javelina. Ty jesteś w tym interesie na tyle nowy, że twoja twarz jeszcze się nie opatrzyła. Dlatego wybrałem właśnie ciebie. Mam nadzieję, że twoja anonimowość umożliwi ci znalezienie go dla mnie.

- Czy chcesz, bym go zabił? - Silkowi rozbłyły oczy.

- Nie. Chcę tylko, byś go znalazł. Potem ja się nim zajmę.

- Psujesz całą zabawę.

- Zawsze tak się zachowuje? - zapytałem Javelina.

- Zwykle. Czasami gorzej.

- A ile, wedle ciebie, jest warte ustalenie miejsca pobytu tego Asharaka, Prastary? - zapytał chytrym tonem Silk.

- Silk! - warknął Javelin.

- Tylko żartowałem. - Drobny człowieczek uśmiechnął się szeroko. - Znam Świątobliwego Belgaratha od dzieciństwa. - Spojrzał na mnie. - Ściśle biorąc, Murgo Asharak jest teraz w Tol Rane. Mogę podać ci nazwę zajazdu, w którym się zatrzymał, jeśli chcesz. Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Jesteś pewny, że jest w Tol Rane? - dopytywałem się.

- Na tyle, na ile można być czegoś pewnym w tym szczególnym interesie. Wywiad tolnedrański nie jest najlepszy, ale mają na ulicach sporo ludzi, którzy mieli na oku owego Asha-raka.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytał go Javelin.

- Mam wtyczki w wywiadzie tolnedrańskim - odparł Silk z wyniosłym wyrazem twarzy, polerując paznokcie o swój kubrak. - Ran Borune jest właśnie zaangażowany w negocjacje handlowe z Murgami. Delegacja Murgów zdaje z nich relację bezpośrednio Asharakowi. Przez ostatnie dwa tygodnie ich posłańcy kursowali bez przerwy pomiędzy Tol Honeth a Tol Rane.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - chciał wiedzieć Javelin. Silk rzucił mu głupi uśmiezek.

- Mam swoje źródła - odparł.

- A wracając do rzeczy, to czemu mi o tym nie doniosłeś?

- Zamierzałem to uczynić - w końcu. Chciałem zdobyć trochę więcej szczegółów, nim położę ci to na biurku. Zawsze zadajesz tyle pytań, Javelinie. Panowałem nad sytuacją, a ty miałeś inne rzeczy na głowie.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji, książę Kheldarze - powiedział z sarkazmem

Javelin. - A przynajmniej wtedy, gdy w końcu uda się zmusić cię do otwarcia ust. - Potem szybko przeszedł do rzeczy. - Co Ran Borune usiłuje sprzedać Murgom?

Silk wzruszył ramionami.

- Trochę tego, trochę tamtego - odparł wymijająco.

- Sprecyzuj owo "tego" i "tamtego", Silku. Silk skrzywił się.

- No dobrze, skoro tak do tego podchodzisz. Ran Borune ma bratanka, który prowadzi interesy w handlowej enklawie w Rivie. Ten bratanek ma zamiar skupić całą wełnę z wiosennego strzyżenia. Nieźle by zarobił, gdyby udało mu się odsprze-

dać ją Murgom. Ja mam na Wyspie przyjaciela, który usiłuje przelicytować bratanka. Jeśli Ranowi Borunie uda się dobić targu z Murgami, to równie dobrze zamiast bratanka mógłby się wzbogacić mój przyjaciel.

- A ty dostajesz od swego przyjaciela prowizję, prawda? - zapytał Javelin.

- Naturalnie. W końcu dostarczam mu informacji o tych pertraktacjach. Coś za coś, Javelinie.

- Jeśli twój wuj dowie się, że wykorzystujesz środki wywiadu do pomnożenia swego majątku, to dostanie apopleksji. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Zatem musimy dołożyć starań, aby się o tym nie dowiedział - odparł przymilnie Silk. - Mój wuj jest królem Drasni, Javelinie. Ma tyle spraw na głowie, że nie warto martwić go czymś takim. - Mały oszust spojrział na mnie. - Chcesz, bym pojechał z tobą do Tol Rane? - zapytał.

- Chyba tak. Jak rozumiem, masz tam kontakty?

- Stary przyjacielu, ja mam kontakty wszędzie. Chcesz wiedzieć, co Salmisara miała dziś na śniadanie?

- Nieszczerólnie. W takim razie idź się spakować.

- Ja nie muszę się pakować, Belgaracie. Moje torby zawsze są spakowane.

Następnego ranka Silk zjawił się na dziedzińcu ambasady w kasztanowatym aksamitnym kaftanie i zawadiacko zsuniętym na ucho, workowatym kapeluszu.

- Nie wystroiłeś się zbytnio jak na długą konną jazdę? - zapytałem.

- Trzeba dbać o wygląd, Prastary - odparł. - W Tol Rane jestem znany jako Radek z Boktoru. Robię tam czasami interesy. Uznałem, że lepiej nie używać prawdziwego imienia. Ten "książę", którego przyczepiła do mnie rodzina, sprawia, że różni kupcy uważają mnie za frajera. Wierz mi, nikt nie spróbuje oszukać Radeka z Boktoru. Zawarłem kilka bardzo korzystnych transakcji w tym przebraniu.

- Jestem tego pewny. Ruszajmy.

Pojechaliśmy traktem do Tol Rane. Tydzień później przybyliśmy do przysypanego śniegiem miasta. Tol Rane leży tuż przy granicy dawnego Maragoru, wysoko w górach. Każdej zimy jest tam niemal tyle śniegu, co w Val Alorn czy Boktorze. Udaliśmy się do zajazdu, w którym Silk zwykle się zatrzymywał podczas pobytu w mieście. Zajęliśmy okazałe pokoje na górnym piętrze, "ze względów reprezentacyjnych", jak to ujął.

Wkrótce po naszym przybyciu odwiedził nas jeden z miejscowych agentów drasańskich. Silk odbył z nim długą rozmowę w tajemnym języku. Oczywiście to nie było konieczne, ale myślę, że chciał się popisać.

Po wyjściu Drasanina mój drobny towarzysz zapoznał mnie z niektórymi szczegółami ich pogawędki. Sporo pominął, ale nie poprawiałem go. Nie musiał wiedzieć, że rozumiem to całe machanie palcami.

- Asharak dopiero co tu był - zakończył Silk - ale przez ostatnich kilka dni nikt go nie widział. Powęszę trochę i spróbuję dowiedzieć się czegoś konkretniejszego.

- Dobrze - powiedziałem. - Ja zostanę tutaj. Nie chcę obwieszczać swojej obecności w Tol Rane, Chamdar mnie zna. Wystarczy, że mignę mu gdzieś na ulicy, a przekroczy granicę z Cthol Murgos, nim słońce zajdzie.

Silk skinął głową, a potem wyszedł.

Drzwi jeszcze nie zdążyły się za nim zamknąć, gdy już zmieniłem swój wygląd, by mnie nie rozpoznał, i poszedłem za nim. Nie zrobiłem tego z powodu braku zaufania, choć Silk na pewno nie należy do najbardziej wiarygodnych ludzi, chciałem zobaczyć go w akcji. On jeszcze o tym nie wiedział, ale Przewodnik miał w przyszłości odegrać bardzo ważną rolę, i chciałem się upewnić, czy poradzi sobie z tym, co go czekało.

Nie zawiódł mnie. Księżę Kheldar już działał równie gładko, jak sugerował jego przydomek. Nie golił się przez całą drogę z Tol Honeth. Broda sprawiała, że wyglądał na starszego, niż był w istocie. To wrażenie podkreślał jeszcze swym zachowaniem. Jestem przekonany, że gdyby Silk chciał - i gdyby bycie szpiegiem tak go nie ekscytowało - to mógłby zbić fortunę jako aktor. Sam korzystałem z różnych przebrań, więc potrafię poznać geniusza.

Niech tylko nie przewróci ci się w głowie, Silk. Przyznaję, że jesteś bardzo dobry. W końcu dlaczego cię zatrudniłem?

"Radek z Boktoru" wędrował po zaśnieżonych ulicach Tol Rane i po drodze zawierał różne transakcje. Trzymałem się z tyłu, więc nie słyszałem żadnych szczegółów, ale odniosłem wrażenie, że "Radek" sprzedawał wiele rzeczy, których tego dnia wcale nie miał. Bez zająknięcia jednak obiecywał dostarczenie towarów i domyślałem się, że wywiązał się z

większości tych obietnic. Silk nie gardzi oszustwem, ale zbyt ciężko pracował nad reputacją "Radeka".

W końcu dobrnął do dzielnicy, w której zwykle zatrzymywali się Murgowie. W sali ogólnej jednego z tamtejszych zajazdów przystąpił do właściwego działania. Po sprzedaniu kilku rzeczy, do których w rzeczywistości nie miał prawa, zaczął dyskretne przepytывania. Przy jego stole koczowało trzech Murgów o pokrytych bliznami twarzach. Silk rozsiadł się wygodnie, beztrudno bawiąc się swym kuflem.

- Jeśli któryś z was zna Asharaka, to może mu przekazać, że Radek z Boktoru ma dla niego propozycję interesu - oznajmił.

- A czemu miałbym fatygować się dla wzbogacenia Asharaka? - odparował jeden z Murgów.

- Ponieważ Asharak daje sute prowizje - odparł Silk. - Jestem pewny, że opłaci ci się fatyga. Ta propozycja zapowiada się bardzo obiecująco.

- Jeśli jest tak dobra, to może sam byłbym nią zainteresowany.

- Nie chcę cię urazić, Grachiku - powiedział Silk z lekkim uśmiechem - ale nie masz środków na taką transakcję. To dotyczy handlu hurtowego, a wiesz, jakie to kosztowne.

- Jakiego rodzaju hurt?

- Wolę powiedzieć o tym Asharakowi osobiście. Czasami zdarzają się przecieki, a ja mam konkurentów, których wolałbym trzymać od tego z daleka. Jeśli dowiedzą się, że Radek wchodzi na rynek, skoczą ceny. A to ani mnie, ani Asharakowi nie wyjdzie na dobre.

- Asharaka nie ma w Tol Rane - powiedział Grachik. - Dwa dni temu wyjechał do Tol Borune.

Jeden z Murgów kopnął pod stołem gadatliwego Grachika.

- Tak przynajmniej słyszałem - poprawił się pospiesznie. -Z Asharakiem nigdy nie wiadomo. Zdajesz sobie sprawę, że prowadzi interesy w całej Tolnedrze. Z tego, co wiem, może być teraz w Tol Horb - Grachik starał się niezdarnie naprawić błąd. Wymknęło mu się coś, co powinien zachować dla siebie.

- Zgadza się, Asharak jest nieuchwytny - przyznał Silk. - Usiłuję go wytropić od dwóch miesięcy. Propozycja, o której myślę, jest bardzo poważna i zapewne tylko Asharak może sobie na nią pozwolić. Jeśli znasz kogoś, kto może mu dostarczyć wiadomość, to przekaz mu, że za dzień wracam do Tol Honeth. Powiedz mu, że zwykle zatrzymuję się w tym dużym zajazdzie, w pobliżu drasańskiej ambasady i jeśli chce podwoić swoje pieniądze, to niech mnie odszuka. Nie mam zamiaru tracić więcej czasu na szukanie go.

Silk rozmawiał z Murgami jeszcze pół godziny. Potem wyszedł. Zostałem tam wystarczająco długo, by usłyszeć, jak obaj Murgowie łajali Grachika za niewyparzony język, i zobaczyć, jak Grachik, w celu naprawienia swego błędu, wysłał parę łotrów za moim przyjacielem. Murgowie najwyraźniej za wszelką cenę chcieli utrzymać w tajemnicy miejsce pobytu Asharaka.

Para płatnych morderców dopadła Silka w ciemnym, zaśnieżonym zaułku. Silk jednak doskonale wiedział, że go śledzono. Sprawiał wrażenie pewnego, że sobie z tym poradzi. Ja nie byłem przekonany, więc trzymałem się w pobliżu, by w razie konieczności pospieszyć mu z pomocą.

Nie było to jednak konieczne. Nigdy nie widziałem kogoś tak zwinnego jak Silk. Zabójcy byli parą krzepkich tolnedrańskich osiłków. Nie mieli jednak u mego drobnego przyjaciela najmniejszych szans. Silk szybko odwrócił się, wyciągnął jeden sztylet z buta, drugi zza kołnierza i zabił ich obu, nim zdążyłem mrugnąć. Potem nogą przysypał ciała śniegiem i poszedł dalej. Ten chłopak był dobry!

Udało mi się dotrzeć do naszej kwatery na chwilę przed nim i gdy wszedł, siedziałem przy kominku.

- Jak tam? - zapytałem. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Dowiedziałem się, że Asharak jest teraz w Tol Borune. To może być prawda, ponieważ Murgo, który się wygadał, urządził na mnie zasadzkę, by naprawić swój błąd. Takie potwierdzenie chyba wystarczy?

- Prawdopodobnie. A zatem powinniśmy się udać do Tol Borune.

- Jeszcze dziś w nocy, Belgaracie. Do rana ten gadatliwy Murgo dowie się, że jego zabójcy zawiedli. Nie mam ochoty po drodze ciągle oglądać się za siebie. Ruszajmy z kopyta.

Dotarcie do Tol Borune zajęło nam cztery dni, gdyż Silk nalegał, abyśmy unikali głównych dróg. Myślałem, że znam wszystkie polne drogi we wszystkich królestwach Zachodu, ale mój szpiczastonosy przyjaciel poprowadził mnie szlakami, których nigdy dotąd nie widziałem. Przed Tol Borune wstrzymał konia i zmienił ubranie.

- Nowa tożsamość - wyjaśnił. - Do Asharaka pewnie już dotarła wieść, że szuka go gość imieniem Radek.

- Kim jesteś tym razem?

- Ambarem z Kotu. Ambar trochę mniej rzuca się w oczy niż Radek i nie obraca się w tych samych kręgach.

- Ile jeszcze przebrań masz w zanadrzu?

- Straciłem rachubę. Mam jednak sentyment do Radeka

i Ambara. Z nimi spędziłem najwięcej czasu, więc znam ich lepiej. Czasami odkurzam jednak któreś z innych przebrań, aby nie wyjść z wprawy.

- Czy tego uczą was w akademii?

- Poruszają ten temat, ale ja większości sam się nauczyłem, nim jeszcze tam poszedłem. Jestem do tego stworzony, Belgaracie. Ruszamy?

Ponieważ "Ambar z Kotu" wyglądał o wiele nędzniej niż "Radek z Boktoru", wynajęliśmy pokój w jednej z podlegszych dzielnic Tol Borune. Silk natychmiast ruszył na ulice pod pozorem różnych fikcyjnych interesów, mających ukryć prawdziwy powód jego poszukiwań. Wrócił późnym wieczorem ze skrzywionym nosem.

- Coś tu nie gra, Belgaracie - powiedział.

- To znaczy?

- Jesteś pewny, że Asharak wie, iż go szukasz?

- O tak. Jestem niczym karząca ręka opatrności. On wie, że będę go ścigał, bez względu na to, gdzie się ukryje.

- Czemu zatem się nie kryje? Zlokalizowałem go po dwóch godzinach. Jestem dobry, ale chyba nie aż tak.

Rzuciłem mu ostre spojrzenie.

- Lepiej przyjrzyjmy się temu facetowi - powiedziałem. - Myślę, że znam cię już na tyle dobrze, by ufać twemu instynktowi. Jeśli coś zaczyna ci cuchnąć, to lepiej to zbadać.

Silk skłonił się z beczelną uniżonością.

- Sługą twym jestem, Prastary.

Była prawie północ. Porywisty wiatr hulał po wyludnionych ulicach Tol Borune, gdy zmierzaliśmy na południowy kraniec miasta, gdzie zwykle zbierali się Murgowie. Silk podprowadził mnie do zajazdu, a potem zakradliśmy się pod zamglone okno z taniego szkła.

- To jego nazywają Murgiem Asharakiem - szepnął złodziejasek, wskazując na siedzącego w kącie człowieka o poznaczonej bliznami twarzy.

Murgo wyglądał jak Chamdar i przyznam, że podobieństwo było niesamowite, ale gdy ostrożnie wysłałem badającą myśl, moje serce zamarło. Siedzący w kącie Murgo nie był Chamdarem. Zacząłem przeklinać.

- O co chodzi? - szepnął Silk.

- Ten człowiek nie jest tym, którego szukamy.

- Belgaracie, ludzie, którzy go znają, są przekonani, że to Murgo Asharak.

- Przykro mi, ale się mylą. Goniliśmy za oszustem. - Zakląłem znowu. - Lepiej wracajmy do Tol Honeth. Chcę powiadomić o tym Javelina. Człowiek, którego wszyscy

obserwowali, nie jest Chamdarem.

- Skąd ta pewność?

- Chamdar jest Grolimem. A ten facet przy stole to zwyczajny Murgo. Podobieństwo jest uderzające, ale nie jest on tym, kogo chcemy znaleźć. - Myślałem nad tym, gdy wracaliśmy do naszej kwatery. To zaskakujące odkrycie wyjaśniało wiele rzeczy. Ze wstydem muszę przyznać, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Powiniennem wiedzieć, że coś uczyniło Chamdara tak trudnym do wytropienia. Mój umysł musiał chyba spać.

- A co zdradziło tego Murga? - zapytał Silk.

- Jego myśli. Umysł Chamdara potrafię rozpoznać. Tracimy tylko czas w Tol Borune. Chcę być w drodze do Tol Honeth o wschodzie słońca.

- Javelin będzie z tego bardzo niezadowolony. Poświęcił wiele czasu i pieniędzy na obserwację tego oszusta.

- To nie jego wina. Prawdopodobnie moja. Z tego, co już wiemy, na zachodzie włóczy się pewnie z kilkunastu fałszywych Asharaków. Chamdar pracuje dla Ctuchika. Jestem pewny, że Ctuchik wie, jak zmienić wygląd człowieka, by wywieść nas w pole.

- A co ma robić Chamdar?

- Szuka czegoś. A ja usiłowałem mu w tym przeszkodzić.

- Tak? A czego szuka?

- Nie musisz tego wiedzieć, Silku. Po powrocie do Tol Honeth chcę, abyś udał się do Chereku.

- Do Chereku? O tej porze roku?

- Pora roku nie gra roli. Znasz Baraka?

- Jarla Trelheim? Oczywiście. Upiliśmy się razem w czasie ostatniego spotkania Rady Alornów. Trochę z niego chwali-pięta, ale lubię go.

- I niech tak będzie. Będziecie obaj dłuższy czas współpracować.

- Skąd wiesz?

Nie mogłem się powstrzymać.

- Mam swoje źródła. Chcę, abyś udał się do Trelheim i zajął się Barakiem. Nigdy nie będzie z niego doskonały szpieg, ale musi wiedzieć, co dzieje się na świecie. Ma dopiero osiemnaście lat i potrzebuje nauki.

- Będę to musiał najpierw uzgodnić z Javelinem.

- Daj sobie spokój z Javelinem. Powiem mu to, co powinien wiedzieć. Od teraz pracujesz dla mnie. Gdy cię wezwę, masz przybywać natychmiast, a gdy ci powiem, byś coś zrobił, to masz to zrobić. Żadnych dyskusji. Żadnych pytań. To, w co jesteśmy zamieszani,

jest najważniejszą sprawą od czasów rozłupania świata, a ty tkwisz w tym po uszy.

- No, no - powiedział, po czym rzucił mi chytre spojrzenie. - A zatem w końcu się zaczęło?

- Zaczęło się, mój młody przyjacielu.

- Czy zwyciężymy?

- Z całą pewnością będziemy się starać.

Gdy przybyliśmy do Tol Honeth, Beldin już czekał w drasańskiej ambasadzie.

- Co tu robisz? - zapytałem. Nie byłem przy tym szczególnie miły.

- Kiepski masz humor - zauważył mój brat.

- Kilka dni temu spotkała mnie przykra niespodzianka.

Ctuchik wynalazł sposób, by zwykłego Murgo upodobnić do Chamdara. Poleciałem go śledzić drasańskiemu wywiadowi, ale to był błąd. Całe stulecia poświęcili obserwacji niewłaściwych ludzi.

Beldin gwizdnął.

- Tego się nie spodziewaliśmy. Mówiłem ci, że powinieneś sam robić, co do ciebie należy. Zdajesz sobie sprawę, że przez swoje lenistwo zostawiłeś Chamdarowi całkowitą swobodę?

- Nie dobijaj mnie, Beldinie. Spaprałem. Zdarza się.

- Bierz lepiej tyłek w troki i wracaj do Sendarii. Pol jest tam całkiem sama, a ty nie masz najmniejszego pojęcia, gdzie naprawdę znajduje się Chamdar.

- Gdzie ona jest?

- Miałem właśnie do tego przejść. Prawdę powiedziawszy, z tego powodu tu jestem. Bliźniacy wezwali mnie do Doliny i wysłali na poszukiwanie ciebie. W zeszłym tygodniu Pol opuściła swój dom w Erat.

- Dokąd się udała?

- Na południe od Erat jest wioska Górne Gralt. Około dziesięciu lig na zachód stamtąd znajduje się farma człowieka zwanego Faldornem. Tam jest Pol. Pracuje w jego kuchni i ma ze sobą dziecko. Jedź tam lepiej i przestrzeż ją, że Chamdar jest na swobodzie.

- Chyba muszę to zrobić - przyznałem pochmurnie - Nieźle nabałagałem, co?

- Nie powiem, byś okrył się chwałą. Czy Przewodnik jest tak dobry jak mówi Kodeks Mriński?

- Prawie. Trzeba go jeszcze trochę oszlifować.

- Czy zdaje sobie sprawę, o co naprawdę chodzi?

- Ma pewne podejrzenia, które niewiele odbiegają od prawdy.

- Czy pozostali są na miejscach?

- Brakuje mi Matki Wymarłej Rasy, ale jestem pewny, że pojawi się, gdy będziemy jej potrzebować.

- Optymizm to dobra rzecz, Belgaracie, ale czasami z nim przesadzasz.

- Wracasz do Doliny?

- Nie. Lepiej wrócę do południowego Cthol Murgos. Torak może obudzić się w każdej chwili i ktoś powinien mieć go na oku.

- Dobrze, ja ruszam do Sendarii.

- Miłej podróży.

Kolejny raz odkurzyłem swój strój bazarza. Opuściłem Tol Honeth następnego ranka, zaraz po otwarciu bram. Przechodziłem przez wioskę Górne Gralt wielokrotnie w ciągu minionych lat, więc dokładnie wiedziałem, gdzie jest.

Moje poszukiwania Chamdara okazały się poważną stratą czasu, ale zaowocowały wykryciem podstępu, dzięki któremu udawało mu się tyle razy wymknąć. Myślę, że to też się liczy. Nie przejąłem się zbytnio tym, że mi uciekł. Byłem przekonany, że pewnego dnia pojawi się znowu i wówczas będę mógł się z nim rozprawić raz na zawsze.

Teraz jednak odsunąłem od siebie te wszystkie myśli i ruszyłem cesarskim traktem na północ, ku Sendarii, do miejsca zwanego farmą Faldorna.

EPILOG

Kapitan Gredlik pijany był jak świnia, gdy jednoręki generał Brendig i jego ludzie w końcu wytropili go w nabrzeżnej speluncie w Camaar.

- Hej, Brendigu! - wrzasnął Gredlik. - Chodź tu i zabieraj się do roboty! Jestem daleko przed tobą!

- Jak go najszybciej otrzeźwić? - zapytał Brendig stojącego za nim krzepkiego sierżanta.

- Możemy wrzucić go do zatoki, panie. Woda jest lodowata. To może pomóc. - Sierżant nie wydawał się jednak zbytnio tego pewny.

- Tylko uważaj, żeby go nie utopić.

- Będziemy ostrożni, panie.

Sierżant i jego czterech sendaryjskich żołnierzy przeszli po zasłanej słomą podłodze tawerny, schwycili Gredlika i wynieśli go na zewnątrz, nie zważając na wierzgania i przeraźliwe protesty. Potem zanieśli go na brzeg, uwiązali mu linę do nogi i wrzucili do lodowatej wody.

Gredlik pluł przekleństwami, gdy wypłynął na powierzchnię. Brendigowi nadal wydawał się jeszcze pijany.

- Dajcie mu trochę popływać - polecił sierżantowi.

- Tak, panie. - Sierżant był weteranem bitwy pod Thull Mardu, solidnym, praktycznym człowiekiem, który zawsze potrafił wszystko załatwić.

Żołnierze pozwolili Gredlikowi pływać w zatoce jeszcze pięć minut, a potem bezceremonialnie go wyciągnęli.

- Co ty wyprawiasz, Brendigu? - dopytywał się Gredlik. Miał posiniałe wargi i szczął zębami.

- Przyciągani twoją uwagę, Gredliku - odparł spokojnie Brendig. - Rano płyniemy do Rivy, więc chciałem, abyś był na tyle trzeźwy, by utrzymać właściwy kurs.

- A po co płyniemy do Rivy?

- Książę Hettar z Algarii kilka dni temu przywiózł do pałacu w mieście Sendar pewne dokumenty od Świątobliwego Belgaratha. Mamy je zawieźć królowi Belgarionowi.

- Nie mogłeś znaleźć sobie okrętu w porcie Sendar?

- Książę Hettar powiedział mi, że Belgarath prosił wyłącznie o ciebie. Nie wiem u licha czemu, ale uważa, że można na tobie polegać.

Gredlik trzął się okropnie.

- Czy moglibyśmy wrócić do środka? - zapytał. - Trochę zimno dziś wieczór.
- Dobrze - zgodził się Brendig - ale żadnego picia.
- Masz skłonności do okrucieństwa, Brendigu - oskarżył go Gredlik.
- Tak mi mówiono.

Zebranie załogi Gredlika zajęło resztę nocy. Wszyscy wydawali się równie pijani, jak ich kapitan.

Statek był zniszczony i niezbyt czysty. Żagle miał połatane i postrzępione, ale generał Brendig uznał, że jest w dobrym stanie. To był okręt wojenny Chereków, który został nieco przerobiony, by zabierać ładunek. Brendig miał pewne podejrzenia co do tego, gdzie i jak Gredlik zdobywa te ładunki. Zdążył już zauważyć, że piractwo było drugą naturą Chereków. Załoga nie ruszała się zbyt żwawo tego ranka, ale udało im się wypłynąć na wiosłach na pełne morze i postawić żagle. Gredlik osobiście, z czerwonymi oczami i wstrząsany dreszczami, stał u steru. Trzymał kurs, mimo iż płynęli prosto w paszczę szalejącego sztormu.

Generał Brendig był Sendarem i podziw w nim budziła fachowość kapitana. Zmuszony był przyznać, że pomimo swych złych nawyków, kapitan Gredlik być może rzeczywiście zalicza się do najwspanialszych żeglarzy na świecie. Sendaryjski kapitan nie wypłynąłby z portu przy takiej pogodzie, ale Gredlik ignorował żywioły.

Po trzech dnia żeglugi dopłynęli do portu w Rivie. Gredlik gładko podprowadził swój sfatygowany okręt do jednego z nabrzeży. Polecenia wydawał w takim języku, od którego pobladł nawet zawodowy żołnierz Brendig. Potem obaj zeszli na brzeg i ruszyli stromymi schodami, pnącymi się przez miasto do fortecy, która była domem Rivańskiego Króla.

Nikt niepostrzeżenie nie dostanie się do Rivy, więc pomimo niepogody król Belgarion i jego drobniotka żona, Ce'Ne-dra, czekali na placu przed głównym wejściem.

- Brendigu! - zapiszczała uradowana Ce'Nedra, rzucając się staremu przyjacielowi na szyję.
- Dobrze wyglądasz, wasza wysokość - odparł, obejmując ją swym jedynym ramieniem.
- Brendigu, czy ty nigdy się nie uśmiechasz?
- Ja się uśmiecham, wasza wysokość - odpowiedział z absolutnie poważną twarzą.
- Witaj, Garionie - powiedział brodaty Gredlik do Rivańskiego Króla. Kapitan Gredlik zupełnie nie dbał o formy. Nigdy nie używał tytułów, bez względu na to, do kogo się zwracał.
- Gredlik - odpowiedział Garion, gdy ściskali sobie dłonie.
- Wyglądasz starzej.
- Mam nadzieję. W przeciwnym razie ludzie mogliby zacząć coś podejrzewać. Co sprowadza cię do Rivy o tej porze roku?

- Ten tu, Brendig - odparł Gredlik, rzucając sendaryjskie-mu generałowi twarde spojrzenie. - Wyciągnął mnie z miłej ta-werny w Camaar, wrzucił do zatoki, a potem uparł się, żebym go przywiózł tutaj. Brendig trochę za bardzo przyzwyczaił się do

wydawania rozkazów. Gdyby zdobył się na tyle uprzejmości, aby się ze mną upić, to pewnie zgodziłbym się przywieźć go tutaj bez urządzania mi dorocznej kąpieli.

- Kapitanie Gredliku! - powiedziała ostro Ce'Nedra. - Jesteś trzeźwy?

- Mniej więcej - odparł Gredlik, wzruszając ramionami. - Trochę kiwało, więc musiałem uważać na stery. Widzę, że przytyłaś, panno. Lepiej wyglądasz. Przedtem byłaś nadto koścista.

Królowa się zaczerwieniła. Gredlik zawsze zbijał ją z tropu. Wolny jak ptak, zwykle mówił, co myślał, nie zważając na stosowność czy choćby zwykłą grzeczność.

- Cóż było na tyle ważnego, by skłonić cię do wyprawy na Morze Wiatrów u schyłku zimy, generale? - zapytał Garion Brendiga.

- Książę Hettar przywiózł do pałacu paczkę z dokumentami, wasza wysokość - odparł Brendig. - To dokumenty od Świątobliwego Belgaratha. Chciał, aby niezwłocznie je dostarczyć. Jest tam również kilka listów.

- Nareszcie! - krzyknęła Ce'Nedra. - Już myślałam, że ten kochany staruszek nigdy tego nie skończy! Pracował nad tym prawie rok!

- Czy to naprawdę takie ważne, wasza wysokość? - zapytał Gariona Brendig.)

- To książka historyczna, generale - odparł Garion.

- Książka historyczna? - Brendig wydawał się zaskoczony.

- Dla naszej rodziny ma ona pewne szczególne znaczenie. Z pewnych powodów szczególnie interesuje moją żonę. Oczywiście jest Tolnedranką, a wiesz, jacy oni są. Wejdźmy do środka.

- Powiedz mi, Garionie - odezwał się Gredlik, gdy szli placem do szerokiej bramy rivańskiej Cytadeli - masz tu gdzieś może coś do picia?

Belgarion z Rivy, Pogromca Boga i Suzeren Zachodu, przeczytał ostatnią stronę tekstu swego dziadka. Poczul rodzaj lęku i zdumienia tym, jak całe pojmowanie przez niego świata uległo subtelnej zmianie. Nie miał pojęcia, że tak wiele się wydarzyło. Wydarzenia, które przeszły niemal nie zauważone, nagle nabrały znaczenia, gdy ujrzał je w nowym świetle. Pamiętał niezliczone rozmowy z Belgarathem, w trakcie których dyskutowali z dziadkiem "możliwe" i "niemożliwe". Teraz stawało się jasne prawdziwe znaczenie tych niby zwyczajnych dyskusji. Belgarath potrafił wstrząsnąć podstawami świata, ale przede

wszystkim był nauczycielem.

Garion musiał ze smutkiem przyznać, że nie był najlepszym uczniem. Belgarath cierpliwie powtarzał mu, co naprawdę się dzieje, a on zupełnie tego nie pojmował.

- Może powinienem się bardziej przyłożyć do swych studiów - mruknął półgłosem, spoglądając na pełne książek i zwojów półki, stojące pod ścianami jego zagraconej pracowni. - Chyba potrzeba mi trochę więcej miejsca - dodał i nagle przed oczyma pojawił mu się obraz wieży Belgaratha. Poczł dziwną tęsknotę. Potrzebował miejsca do spokojnej pracy. W zachodnim skrzydle Cytadeli znajdowała się nie używana wieża. Była zimna i hulał po niej wiatr, ale przy niewielkich staraniach nadałaby się do zamieszkania - wystarczyło trochę zaprawy do wypełnienia szpar w murach, przyzwoite szyby w oknach, naprawa kominka.

Potem westchnął. To było marzenie niemożliwe do spełnienia. Miał żonę, rodzinę i królestwo do władania. Nie mógł sobie pozwolić na życie naukowca, jakie wiódł pierwszy uczeń Aldura. Musiał też przyznać, że nie najlepszy z niego naukowiec. Oczywiście przy odrobinie czasu... po kilku wiekach w każdym

razie...

Ta myśl poruszyła go. W tekście, który właśnie przeczytał, czas był zwyczajnie pomijany. Dla Belgaratha Czarodzieja stulecia znaczą tyle, co lata dla zwykłych ludzi. On spędził czterdzieści pięć lat na studiowaniu trawy i Bóg jeden wie, ile czasu próbował odkryć powód istnienia gór. Garion uprzytomnił sobie, że nie wiedziałby nawet, jakie pytania postawić, a co dopiero jak znaleźć na nie odpowiedzi. Wiedział jednak, że pierwsze pytanie powinno brzmieć: "Dlaczego?".

Wówczas wziął list od swego dziadka. Nie był szczególnie długi.

"Garionie - przeczytał. - Oto więc masz to, skoro tak obstawaliście z Durnikiem przy tym idiotycznym pomysle. To jest początek i środek. Znasz już zakończenie - jeśli coś takiego w ogóle może mieć koniec. Pewnego dnia, gdy będziesz miał trochę czasu, wpadnij do mnie, to porozmawiamy. Teraz jednak chyba wróć do swych notatek o górach. Belgarath".

Garion poderwał się, gdy drzwi do pracowni otworzyły się z hukiem.

- Skończyłeś wreszcie? - zapytała z wyrzutem Ce'Nedra. Choć byli już małżeństwem od jakiegoś czasu, Gariona ciągle zdumiewała drobna postura żony. Gdy nie było go przy niej więcej niż kilka godzin, zdawała się rosnać w jego wyobraźni. Była doskonała, ale bardzo, bardzo mała. Być może to płomiennie rude włosy dodawały jej wzrostu w wyobraźni.

- Tak, kochanie - powiedział, podając jej kilka ostatnich rozdziałów, które gorliwie wyrwała mu z rąk.

- Nareszcie!

- Będziesz się musiała nauczyć cierpliwości, Ce'Nedro.

- Garionie, przesłałam przez dwie cięższe. O cierpliwości wiem już wszystko. Teraz siedź cicho i daj mi czytać. - Przysunęła sobie fotel do jego biurka, usadowiła się i zaczęła czytać. Ce'Nedra otrzymała najlepsze wykształcenie, jakie mogło jej zapewnić Imperium Tolnedry, ale jej mąż nadal był zdumiony tym, jak szybko potrafiła przebrnąć przez każdy tekst. Dotarcie do końca nie zajęło jej więcej niż piętnaście minut. - To prowadzi donikąd! - wykrzyknęła. - Nie dokończył opowieści!

- Nie sądzę, aby ta opowieść już się skończyła, kochana - powiedział Garion. - Wszyscy wiemy, co wydarzyło się na farmie Faldorna, więc dziadek nie musiał tego nam opowiadać. - W zamyśleniu odchylił się na oparcie fotela. - Tak okropnie dużo działo się, o czym żadne z nas nie miało pojęcia. Dziadek nawet nie żyje na tym samym świecie, co reszta nas. Tylko kilka razy pozwolił nam do niego zajrzeć. Chciałbym mieć czas, by udać się do Mai Zeth i porozmawiać z Cyradami. Tam jest inny świat, o którym nawet nie wiemy.

- Oczywiście, że jest, ty głuptasie! Nie zwracaj głowy Cy-radom. Porozmawiaj lepiej z Eriondem. To przecież o niego chodziło w tym wszystkim!

Rivański Król poczuł nagły przypływ zrozumienia. Ce'Ne-dra miała rację! Eriond był w centrum wszystkiego, co robili! Torak i Zandramas byli pomyłką. Eriond był prawdą. Walka pomiędzy dwoma Koniecznościami była zupełnie naturalna. Torak był wynikiem pomyłki. Eriond był naprawieniem tej pomyłki. Ce'Nedra, być może instynktownie, dostrzegła to. Pogromca Boga jakoś tego nie zauważył.

- Twoja inteligencja czasami mnie dobija - powiedział żonie z cieniem gorzkości.

- Tak - odparła uprzejmie - wiem. Ale nadal mnie kochasz, prawda? - Posłała mu ów ujmujący uśmiech, od którego zawsze uginały się pod nim kolana.

- Oczywiście - odparł, usiłując zachować powagę i dostojeństwo. - O czym pisze dziadek w liście do ciebie?

- Myślałam, że to czyste bzdury, ale teraz gdy widzę, jak zakończył, rozumiem, co miał na myśli. Masz. - Podała mu złożoną kartkę.

"Tak, Ce'Nedro - zaczynał się list - wiem, że opowieść nie jest kompletna. Wszyscy razem zmusiliście mnie do jej napisania. Tyle udało wam się ze mnie wyciągnąć i na tym koniec. Jeśli chcesz znać resztę, idź dręczyć Polgarę. Życzę ci powodzenia w tym małym przedsięwzięciu. Jednak nie oczekuj ode mnie pomocy. Jestem wystarczająco stary, by wiedzieć, że nie należy kusić losu. Belgarath".

- Lepiej zacznę się pakować - powiedziała Ce'Nedra, gdy jej mąż skończył czytać list.

- Pakować? Dokąd się wybierasz?

- Do chatki cioci Pol, oczywiście.

- To wszystko toczy się dla mnie nieco za szybko, Ce'Ne-dro. Skąd ten pośpiech? Czy naprawdę musimy gnać na północny kraniec Doliny u schyłku zimy?

- Chcę znać resztę opowieści, Garionie. Nie obchodzi mnie, jak pijany był Belgarath po śmierci swej żony - chcę wiedzieć o Polgarze. To część opowieści, którą twój niecny dziadek pominął. - Poklepała dość lekceważąco rękopis Belgaratha. - To tylko połowa. Chcę mieć jeszcze połowę Polgary - i zdobędę ją, choćbym miała wyciągnąć ją z niej siłą.

- Mamy tu obowiązki, Ce'Nedro, a ciocia Pol zajęta jest dziećmi. Nie ma czasu na spisywanie historii swego życia jedynie dla twojej przyjemności.

- Wielka szkoda, nieprawdaż? Czy Gredlik jeszcze jest trzeźwy?

- Wątpię. Wiesz, jaki jest Gredlik, gdy zawinie do portu. Czy możemy pomówić o tym nieco później?

- Nie. Idź znaleźć Gredlika i zacznij go cucić. Ja się spakuję. Chcę wyruszyć z porannym przypływem.

Garion westchnął.

- Tak, kochanie - powiedział.